

DR JAROSŁAW FLIS:

**PiS nie ma zdolności koalicyjnej.
Wygranie nie oznacza władzy**



TYGODNIK LISICKIEGO

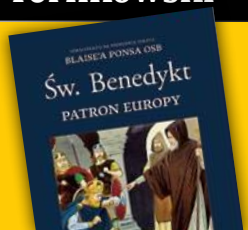
DO RZECZY

NR 36/288 3-9 WRZEŚNIA 2018

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

**Katolicy są tym razem
naprawdę wściekli – pisze
Tomasz P. Terlikowski**

**SZUKAJ
WYDANIA
Z KOMIKSEM
O ŚWIĘTYM
BENEDYKCIE**



**Konstantynopol
– miasto, które pozostało
na pocztówkach**

**DODATEK
SPECJALNY
„DO RZECZY”
O ZDROWIU**



CAŁA PRAWDA O MACIEREWICZU

Sławomir Cenckiewicz odpowiada na kłamstwa o byłym szefie MON

facebook

**WSPIERA
SPOŁECZNOŚCI**

ZROZUM WYKORZYSTAJ TWÓRZ

Zrozum, jak lepiej wykorzystywać nowe technologie. Wykorzystaj tę wiedzę w planowaniu działań w mediach społecznościowych. Twórz intuicyjne, funkcjonalne strony internetowe.

Przestrzeń to miejsce, które łączy społeczności. Dzięki niej Facebook przeszkoli blisko 50 000 osób z całej Polski w obszarze wykorzystywania narzędzi cyfrowych.

Dowiedz się więcej: przestrzen.fb.com



Przestrzeń
from **facebook**



W RZECZY SAMEJ

W stronę holokaustianizmu

PAWEŁ LISICKI

Zagładę stworzyli w dużej mierze ludzie, trzeba to powiedzieć, niestety, z bólem serca, ludzie, których wychowywały Kościoły chrześcijańskie na swoich nabożeństwach – powiedział abp Grzegorz Ryś, który modlił się przy pomniku upamiętniającym łódzkie ofiary obozów zagłady. W tym samym wystąpieniu dodał, że „to się stało w środku Europy, w środku cywilizacji, którą dumnie nazywamy chrześcijańską, i to, o czym trzeba pamiętać w tych dniach, to, że to jest powtarzalne”.

Najważniejsze pytanie brzmi: Co miał na myśli arcybiskup? Najbardziej prawdopodobna interpretacja, biorąc pod uwagę kontekst, a mianowicie rocznicę i pomnik pomordowanych Żydów, prowadziłaby do przyjęcia tezy, że według abp. Rysia chrześcijaństwo współodpowiada za Holocaust. A może nawet przede wszystkim ono jest mu winne? Wyszłoby na to, że Zagładę, a mianowicie masowe mordowanie Żydów, „stworzyli”, a więc wymyślili, przygotowali, zorganizowali i wprowadzili w życie „ludzie wychowani na nabożeństwach kościelnych”. Krótko: to Kościół (może Kościoły, bo przecież trzeba do sprawy podejść ekumenicznie) wychował przyszłych morderców. Jeśli tak się rzeczy mają, abp Ryś objawiłby się w roli typowego wyznawcy holokaustianizmu.

Jak wiele razy pisałem, jednym z dogmatów tej ideologii jest uznanie dziejowej winy chrześcijaństwa i Kościoła za Holocaust oraz przyjęcie, że chrześcijanie są z natury podejrzani – „zagłada jest powtarzalna”. Jest to możliwe tylko wtedy, kiedy dokonuje się, tak jak to robi arcybiskup, fałszywych uogólnień, używa niedopowiedzeń i sofizmów.

I dąc tokiem rozumowania arcybiskupa, można w ogóle powiedzieć, że większości zbrodni, wojen i przestępstw w okresie między wiekiem V a XX w Europie dokonali ludzie ochrzczeni, bo Europę w tym czasie zamieszkiwali w zdecydowanej większości chrześcijanie. Tylko co z tego wynika? Co wynika z tego, że głównym wrogiem Kościoła katolickiego w XVI w. stał się człowiek, który nie tylko wcześniej wychował się na jego nabożeństwach, lecz także nawet go bronił, czyli Henryk VIII? Z równym powodzeniem można dowodzić, że rewolucji francuskiej dokonali w większości chrześcijanie. Oraz że etatowymi wrogami Kościoła też są często dawni księża lub seminarzyści (np. Stalin) albo po prostu ludzie niegdyś wierzący. Wszyscy byli w ogólnym sensie „wychowani na nabożeństwach”. Jedni na nie chodzili, inni żyli w świecie, gdzie się na nie chodzi. Użycie takiego

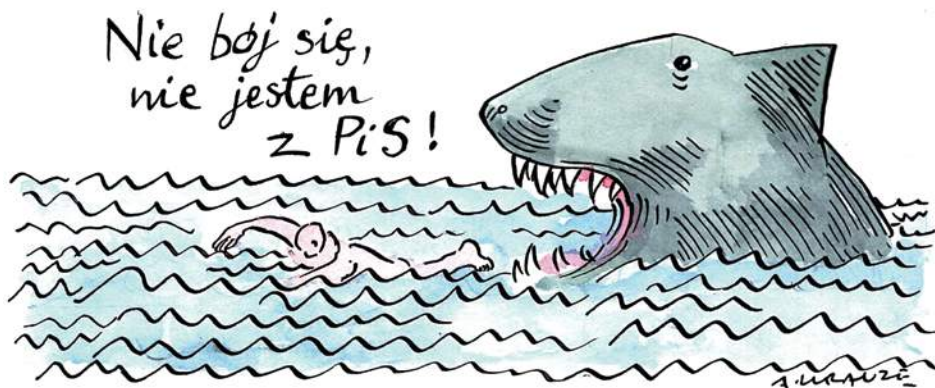
pojęcia jest chwytem dialektycznym, za pomocą którego można uzasadnić dowolną tezę.

Czy naziści byli faktycznie „wychowani na nabożeństwach chrześcijańskich”? A może przeciwnie: zostając nazistami, zdradzili to, co starano się im wpoić „na chrześcijańskich nabożeństwach”? I jak się ma to twierdzenie arcybiskupa do prostego historycznego faktu, że ci, którzy „stworzyli Zagładę”, chrześcijaństwa nienawidzili i zamierzali zniszczyć Kościół? Jak można zatem bez żadnego dookreślenia mówić o twórcach Zagłady, jakby wychował ich Kościół, a nie – jak było naprawdę – że z Kościołem zerwali i przeciw niemu walczyli?

I jak maże to robić Polak, ksiądz, arcybiskup, któremu zwrot „ludzie wychowani na nabożeństwach chrześcijańskich” powinien kojarzyć się nie z twórcami Zagłady, ale, tak przynajmniej mniemam, z ludźmi, którzy z owymi twórcami Zagłady toczyli wojnę na śmierć i życie i przez nich byli masowo zabijani? Ciekawe, jak na te słowa zareagowałyby setki tysięcy polskich ofiar zabitych przez hitlerowców. Czyż nie wszyscy oni właśnie byli „wychowani na nabożeństwach chrześcijańskich”? I czy wielu z nich właśnie ze względu na to wychowanie nie złożyło daniny krwi? Jak teraz przyjęliby te słowa, które „wychowanie na nabożeństwach chrześcijańskich” łączą nie z ofiarą, bohaterstwem, ale ze zbrodnią?

Słowa abp. Rysia to kolejny przykład dokonującej się w polskim Kościele zmiany. Ponad rok temu w Jedwabnem bp Rafał Markowski przeprosił „braci i siostry narodu żydowskiego” za wielki ból i wyrzut sumienia, którym była zbrodnia w Jedwabnem. Arcybiskup łódzki zmierza w tę stronę. Polscy hierarchowie dostosowują się do zachodniej poprawności politycznej i uznają w chrześcijaństwie źródło Zagłady. Smutne to bardzo. Po prostu smutne. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



TEMAT TYGODNIA

16 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
MACIEREWICZ
– BIOGRAFIA SFAŁSZOWANA
Manipulacje w „Biografii nieautoryzowanej”



KRAJ

22 ROZMOWA Z DR. HAB. JAROSŁAWEM FLISEM
PIS MOŻE WYGRAĆ I NIE PRZEJĄĆ WŁADZY
Wybory samorządowe okiem socjologa

25 WOJCIECH WYBRANOWSKI
NAJWYŻSZY PROBLEM

28 PIOTR SEMKA
LIST KONSERWATYSTY ZMIANY DO KONSERWATYSTY UMIARU

32 ŁUKASZ WARZECHA
STRZELANIE W ZAŚCIANKU

34 KAMILA BARANOWSKA
NOWE SZATY BIEDRONIA

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NA PRZYKŁAD UBER

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
URLOP PREZESA

40 ROZMOWA Z DR. TYMOTEUSZEM ZYCHEM
Z ORDO IURIS
POLACY NIE CHCĄ ŻŁOBKÓW

KULTURA

44 WIESŁAW CHEŁMIŃSKI
ATLANTYDA ZNAD BOSFORU
Konstantynopol – miasto, które pozostało na pocztówkach



48 PIOTR GOCIEK
POLAK CHCE, ANGLIK POTRAFI

NIE PRZEGAP

50 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

56 KRYSZTOF KRATIUŁ
TYLKO RADYKALIZM URATUJE KOŚCIÓŁ
Wywiad rzeka z kard. Müllerem

59 GABRIEL MICHAŁIK
SPOŁECZEŃSTWO JEST KREMLOWI ZBĘDNE



HISTORIA

64 MACIEJ PIECZYŃSKI
HISTORIA PO ROSYJSKU
Do II wojny światowej doprowadziła agresywna polityka Warszawy – tak uważa część rosyjskich historyków

ŚWIAT

68 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
KOŚCIELNA BOMBA ATOMOWA
Czy Franciszek znał grzechy swego doradcy?



71 JACEK PRZYBYLSKI
SEKS, KŁAMSTWA I DONALD TRUMP

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z HENRYKIEM KOWALCZYKIEM
STAWIAMY NA BUDOWNICTWO DREWNIANE
Program „Czyste powietrze” jest już praktycznie gotowy

O ZDROWIU

92 KATARZYNA PINKOSZ
NA CO POSTAWIĆ?
Profilaktyka czy nowe terapie

FELIETONY: SEMKA (7), WARZECHA (10), ZIEMKIEWICZ (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (62), ZYCHOWICZ, KOPER (63), KOWALCZUK (74), GABRYEL, RYBIŃSKI (79), KOMUDA (94), JĄSTRZĘBOWSKI (96), TYRMAND (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)



SWISS MILITARY

BY CHRONO



YEARS

INTERNATIONAL
WARRANTY



butiki **SWISS**

swiss.com.pl

eprasa.pl 8c241e37a6

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu opinia odnośnie do polskiej edukacji, a także uwaga z „Matruxem” w tle. Korespondencję prosimy przysyłać na adres: listy@dorzczy.pl.

Potrzebna Karta dziecka

Dlaczego tak mało piszemy o polskiej edukacji? Czy dlatego, że jesteśmy jeszcze w trakcie reformy PiS, czyli likwidacji gimnazjów i powrotu do ośmioklasowych podstawówek? A przecież to nie była reforma edukacji. To był konieczny retusz. Odważny powrót do lepszego formatu edukacji. Lepszego z punktu widzenia samego dziecka. Napisano już o tym wiele. Nie warto powtarzać.

Na dziś potrzeba jednak w edukacji prawdziwej reformy. Już nie odgórnej, ale reformy oddolnej. Przykro mi to mówić, ale tej oddolnej reformy nie przeprowadzą sami nauczyciele. W każdym razie nie wszyscy. Dlaczego? Bo są oni uwikłani w ogromny uprzywilejowany system kastowy zwany Kartą nauczyciela. Karta nauczyciela czyni szkołę przede wszystkim miejscem pracy nauczyciela. Sprawy zatrudnienia, zarobków i osłon społecznych należą do najważniejszych spraw związanych z edukacją. Czy tak powinno być? Czy szkoły nie powinny być przede wszystkim dla dzieci? Niestety z przykrością trzeba powiedzieć, że obecnie szkoły nie są dla dzieci – są przede wszystkim dla nauczycieli. Karta nauczyciela to utrwała i sankcjonuje.

Wrocław. A.D. 2018. Moje dziecko przyniosło z publicznej podstawówki zakupione w sklepiku szkolnym chipsy. Niby nic strasznego. Jednak na radzie rodziców odkrywam, że są w tej szkole nawet 5-latki, które pomimo że pozostają w szkole 7–8 godzin, nie chodzą na obiady szkolne. Co zatem jedzą? Sklepik szkolny jest ogólnodostępny... [...].

Postanawiam zatem zadziałać... Sprawę w formie pytań przekazuję Ministerstwu Zdrowia. Sprawa jednak wędruje po szczeblach administracji w dół. Na końcu przyjeżdża do szkoły lokalny sanepid, dobrze zaprzyjaźniony z panią dyrektorką. Dostaje telefon z sanepidu, że w zasadzie nic się nie stało i nie można nic zrobić, bo sklepik akurat był zamknięty. [...]

W tej szkole nie ma już chipsów. To bodaj jedyny pozytywny skutek mojego pytania. Zanim przyjechał sanepid, śmie-

ciowe jedzenie zniknęło. Sprawie nawet łba nie trzeba było ukłacać – po prostu w ustalonym czasie schowano to, co było niewygodne. Na jak długo? [...]

Powyższy przykład pokazuje, jak w szkołach sami uczniowie mało znaczą. W małym poważaniu ma się ich zdrowie, ich dobro. Smutne to. Pokazuje to również, że kasta dyrektorska w szkole odpowiedzialna za takie i inne karygodne zaniedbania nic sobie z tego nie robi. Dzieci odchodzą – oni zostają. Są nietykalni. [...]

Polskiej szkole potrzebna jest prawdziwa reforma, która sprawi, że szkoły będą przede wszystkim dla uczniów, a nie dla kasty posadowionej i umocowanej na komunistycznej Karcie nauczyciela. Polskim dzieciom, uczniom polskich szkół, potrzebna jest Karta dziecka, w sensie słów Chrystusa: „Pozwólcie Dzieciom przychodzić do mnie”. Czy dziś polski nauczyciel jest jak dobry biblijny pasterz? Czy jest raczej zimnym urzędnikiem od nauczania? Oczywiście to sprawa indywidualna. Decyduje o tym sam nauczyciel w swoim sercu. Jednak obecna Karta nauczyciela utrwała raczej urzędniczy status zawodu nauczyciela, niż buduje poczucie odpowiedzialności za fizyczny, psychiczny i duchowy rozwój dzieci. [...]

Rafał Węgrzyn,
nauczyciel od 15 lat w publicznych i niepublicznych szkołach

„Czerwona pigułka, niebieska pigułka” – Łukasz Warzecha, „DRz” 34/2018

Szanowni Państwo, w „Notatniku malkontenta” pan Łukasz Warzecha proponuje popularne, acz niezbyt przemyślane tłumaczenie tytułu filmu „The Matrix” na „Matryca”. Moim zdaniem to jest błąd. [...] Poprawne wydaje mi się tłumaczenie „Macierz”, czyli uporządkowany wielowymiarowo zbiór liczb (jakoś tam kojarzący się też z matką). Widzimy te liczby w filmie wielokrotnie, jak formują wirtualną rzeczywistość. Dziwię się, czemu większość komentatorów upiera się przy matrycy.

Pozdrawiam
Tomasz Fąs

Faktycznie, słowo „Macierz” wydaje się lepszym wyborem niż zwykle używana „Matryca”. Dziękuję za odpowiedź i tak od dziś będę tłumaczył tytuł filmu Wachowskich.

Łukasz Warzecha



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
i zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji),
Andrzej Dziekan, **Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociak**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemiakiewicz**
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, **Oliver Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojańczyk**,
Grzegorz Brzozowski, **Sławomir Cenciewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cioś (*Bruszel*), **Krzysztof Czałajski**, **Roman Graczyk**,
Piotr Gursztyn, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**, **Piotr Kowalczyk**
(*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Tomasz Lenczewski**, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**,
Marcin Makowski, **Karolina Marchwinska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memmes, **Agnieszka Niewińska**, **Maciej Pieczyński**, **Katarzyna Pinkosz**,
Witold Repetowicz, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**, **Stefan Sekowski**,
Teresa Stylińska, **Artur Szeremeta**, **Tomasz P. Terlikowski**, **Błażej Torajski**,
Matthew Tymand, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**, **Marcin Wolski**,
Tomasz Wróblewski, **Wojciech Wybranowski**, **Igor Zalewski**

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej)
z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata**
Puzyr, **Damian Cygan**, **Karol Gac**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress),
Magdalena Złotnicka (także TVP Warszawa), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**,
Jacek Nadarowski, **Anna Sobieszka-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoodciska: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**,
Marzena Dobosz, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Łukasz Szlag**/REPORTER, oprac. JAN

WYDAWCA: **Orle Pióro** sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisicki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza);

prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu nakładu podstawowego 288829

Nr indeksu nakładu z komiksem 296430

Nakład 91,5 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedają egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna

ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej

i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie

www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów

niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów

oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego

wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów

opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko

za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów

prasowych na www.dorzczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niemiecki **klincz**

Od ponad tygodnia w saskońskim Chemnitz nie mija stan napięcia i nie milkną protesty. To reakcja na zamordowanie 35-letniego Niemca przez dwójkę imigrantów z Syrii i Iraku. Migranci mieli zacząć się przy bankomacie i próbowali zmusić ofiarę do oddania im karty oraz podania numeru PIN. Niemiec odmówił, doszło do szarpaniny, w trakcie której śmiertelnie ugodzono go nożem.

Wrzenie w Chemnitz, które rozciągnęło się na cały tydzień demonstracji i protestów „normalnych” obywateli (choć neonaziści natychmiast stali się jego hałaśliwym marginesem), pokazuje skalę rozjechania się nastrojów zwykłych Niemców z jednej strony i mediów oraz polityków z drugiej.

Media nagłośniły głównie udział kryptonazistów w demonstracjach, a potem akty agresji wobec imigrantów w czasie protestów. Mieszkańcy Chemnitz pytali z kolei w sieci: Dlaczego nikt z polityków i dziennikarzy nie skupia się na punkcie wyjścia kryzysu, czyli mordzie na ich współobywatelu?

Kolejna eskalacja emocji nastąpiła, gdy jeden z pracowników organów ścigania nielegalnie wypuścił do sieci list gończy za sprawcami. „To skandal i złamanie praw!” – grzmiała prasa. „Macki brunatnej ośmiornicy sięgają aparatu państwa” – oburzali się politycy. A mieszkańców Chemnitz zainteresowało to, że sprawcy mordu odmówiono wcześniej azylu i że miał za sobą liczne rozboje, a mimo to nikt nie wszczął procedury wydalenia go z Niemiec.

Ta kwestia ostatnio najbardziej bulwersuje Niemców. Niedawno były ochroniarz bin Ladena został sądowo uwolniony od groźby deportacji do Tunezji, bo sąd uznał, że jest duże ryzyko, iż w jego ojczyźnie mogą grozić mu tortury. Zwykli Niemcy nie rozumieją tak daleko posuniętego humanitaryzmu.

Tak drastyczne wypadki jak mord w Chemnitz uruchamiają gromadzące się od wielu miesięcy złe doświadczenia z emigrantami w Niemczech.

Kobiety odreagowują sytuację, gdy stykały się z pogardą muzułmańskich mężczyzn, a starsi

Niemcy mają w pamięci chwile obaw, gdy musieli mijać grupy imigranckich, pewnych siebie nastolatków.

Nowym elementem jest rosnąca frustracja policjantów. Najgłośniejszym echem odbiła się wypowiedź szefa związku zawodowego policjantów Olivera Malchowa. Ostrzegł on, że takich wydarzeń jak w Chemnitz może być więcej, bo „ludzie stracili zaufanie do państwa”. Zarzuca, że państwo nie potrafi już chronić obywateli, a w związku z tym może dojść do samosądów.

Ludzie nie wierzą w skuteczność policji, bo ta nie jest w stanie kontrolować środowiska przestępczego w środowisku imigrantów. Zbyt mało jest informatorów znających obce języki i działa solidarność klanowa.

Dochodzi do tego brak zaufania do władz i policji, które kierując się poprawnością polityczną, jak mogą, unikają jasnego informowania o udziale imigrantów w przypadkach przemocy. A to budzi brak zaufania do sfery oficjalnej. To za Odrą nowe uczucie, ale – jak pokazują wydarzenia w Chemnitz – coraz wyrzistsze. © ©



FOT. FOTOLIA

WRESZCIE KONIEC ZE ZMIANĄ CZASU?

Komisja Europejska będzie rekomendować rządów państw członkowskich UE, aby zaniechały przechodzenia z czasu letniego na zimowy – zapowiedział szef KE Jean-Claude Juncker. To reakcja na największą ankietę w dziejach UE, w której udział wzięło ponad 4,6 mln mieszkańców UE. 80 proc. z nich opowiedziało się za tym, aby przez cały rok obowiązywał tylko czas letni. Zanim ostatecznie pożegnamy się z przestawianiem wskazówek, propozycję KE muszą przyjąć Parlament Europejski oraz rządy krajów członkowskich. (jap) © ©

W roku 2019 planujemy historycznie niski deficyt finansów publicznych (1,8 proc.) wobec 7 proc. z lat 2009–2010. To jest właśnie polityka zrównoważonego rozwoju – powiedział „Do Rzeczy” premier Mateusz Morawiecki, chwając się spektakularnym wzrostem wpływów budżetowych z PIT, CIT i VAT.

– Postawiliśmy na sprawne państwo, sprawną gospodarkę i sprawny system podatkowy. Za czasów naszych poprzedników, tj. w okresie ośmiu lat, wpływy do budżetu z podatku CIT wzrosły o 700 mln zł. A w ciągu trzech lat rządów PiS wpływy wzrosną ponadośmiokrotnie – o ok. 6 mld zł – zauważył szef polskiego rządu. I podkreślił: wykresy mówią same za siebie, to nie są niuansy i drobne zmiany, lecz ogromne różnice.

Premier zaznaczył, że sprawne państwo potrzebowało zupełnie innego systemu podatkowego, nowych narzędzi. I odpowiedzialności w podejściu do zarządzania finansami publicznymi.

– Co z wpływami z VAT, najważniejszej daniny z punktu widzenia budżetowych wpływów podatkowych? Mafie VAT-owskie hulały po Polsce niczym wiatr. W trzy lata naszych rządów zwiększyliśmy o prawie jedną czwartą dochody z tego podatku, czyli o ponad 40 mld zł. Uszczel-



FOT. LUKASZ DEJNAROWICZ/EPORUM

Dodatkowe miliardy nie tylko z VAT

40 mld zł

O TYLE W CIĄGU TRZECH LAT WZROSŁY DOCHODY PAŃSTWA Z PODATKU VAT

nienie systemu podatkowego stało się faktem – zauważył Mateusz Morawiecki.

Rząd doprowadził do zwiększenia ściągальności VAT, m.in. poprzez wprowadzenie mechanizmu podzielonej płatności (tzw. split payment), a także wdrożenie jednolitego pliku kontrolnego (JPK). Dzięki temu poziom dochodów z VAT za 2018 r. ma wynieść aż 167 mld zł.

W wypowiedzi dla „Do Rzeczy” premier podkreślił również, że rząd dodatkowe pieniądze oddaje w ręce rodzin i dzieci.

– Nasze programy społeczne są jak deszcz na pustyni. Wygospodarowane fundusze przeznaczymy również m.in. na ochronę zdrowia, infrastrukturę, kwestie bezpieczeństwa kraju czy służby mundurowe. Lepsza jakość życia obywateli jest naszą ambicją. Naszych inwestycji nie realizujemy na kredyt, obarczając ich spłatą przyszłe pokolenia. W sposób odpowiedzialny podchodzimy do kwestii budżetu – powiedział „Do Rzeczy” szef polskiego rządu. (jap)

Afera GetBack: kolejne zatrzymania

Agenci z warszawskiej delegatury CBA zatrzymali dwie osoby, które sprzedawały akcje jednej ze spółek giełdowych firmie GetBack. Jak informuje CBA, spółka kupiła za ponad 207 mln zł akcje innej giełdowej spółki, których wartość była wielokrotnie zawyżona. Tymczasem operat szacunkowy wykazał, że były

one warte niecałe 28 mln zł. Funkcjonariusze CBA ustalili także, że nabyta przez GetBack spółka była obciążona zobowiązaniami wartymi ok. 80 mln zł, które należało spłacić wierzycielom do końca 2017 r. Tym samym straty GetBack tylko przy tej transakcji mogły wynieść 260 mln zł.

Zatrzymanym osobom za zarzucane im przestępstwa przeciwko obrotowi gospodarczemu grozi od roku do 10 lat więzienia. W śledztwie dotyczącym GetBacku zarzuty usłyszeli już m.in. były prezes Konrad K. oraz dyrektor Biura Zarządu spółki GetBack SA Katarzyna M. ©© (jap)

Kandydat Platformy na prezydenta stolicy zaprezentował swoje hasło wyborcze. I od razu został oskarżony o plagiat

Podczas porannej konferencji w ubiegły piątek (31 sierpnia) Rafał Trzaskowski pokazał swoje hasło wyborcze: „Warszawa dla wszystkich”.

Były burmistrz Ursynowa, który też startuje w wyborach w Warszawie, natychmiast oskarżył polityka PO o plagiat.

„Szanowni Państwo! Niestety Pan Trzaskowski ukradł moje hasło wyborcze! Jak widać na zrzucie z ekranu, ja to hasło opublikowałem już wczoraj o godz 14:10 na moim profilu na fb! Jeszcze wcześniej zamówiłem kampanię outdoor! »Warszawa dla wszystkich«, ale nie dla Partii Oszustów” – napisał na Twitterze Piotr Guział.

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER



Spór o hasło Trzaskowskiego

Trzaskowskiego próbowali bronić koledzy z Platformy Obywatelskiej. Cezary Tomczyk udawał, że Trzaskowski ma też domenę www.warszawadlowszyst-

kich.pl. Guział pokazał jednak, że ta została zarejestrowana w sieci już po tym, gdy on upublicznił własne hasło wyborcze. ©©

Łukasz Zboralski

FRASYNIUK UNIEWINNIONY

Sąd Rejonowy dla Warszawy-Śródmieścia uznał, że Władysław Frasyniuk nie wprowadził w błąd funkcjonariuszy policji w sprawie jego tożsamości.

Chodzi o wydarzenia z 10 kwietnia ubiegłego roku, gdy grupy ludzi próbowały przeszkodzić w obchodach miesięcznicy smoleńskiej. Wśród kontrmanifestantów był m.in. Frasyniuk. Gdy policjanci poprosili go o podanie imienia i nazwiska, odpowiedział: Jan Józef Grzyb. Został za to obwiniony o wprowadzenie funkcjonariuszy w błąd podczas próby legitymowania. Sędzia Łukasz Biliński uznał, że występowanie z oskarżeniem w tej sprawie „nie było celowe”. Jego zdaniem Frasyniuk w ogóle nie miał zamiaru wprowadzać policjantów w błąd, bo... funkcjonariusze nie mogli przecież uwierzyć w to, co im powiedział. (luz) ©©

Polskie Radio **24.pl**

Nowy portal informacyjny
Polskiego Radia

WWW.POLSKIERADIO24.PL

REKLAMA



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Czy papież traci wiarygodność?

*Niech na całym świecie wojna,
Byle polska wieś zacisza,
Byle polska wieś spokojna*
– powiada Dziennikarz w pierwszym akcie „Wesela”. Przychodzą te słowa na myśl, gdy obserwuje się poruszenie, które na świecie wywołał list abp. Carla Maria Viganó, byłego nuncjusza apostolskiego w USA (obszernie pisze o sprawie w tym numerze „Do Rzeczy” Tomasz P. Terlikowski), i porównuje się to z reakcją w Polsce. A właściwie jej brakiem, bo trudno za taką uznać kilka tekstów prasowych, z czego połowa w mediach stricte katolickich, napisana tak, żeby nie wywołać nadmiernego zainteresowania tematem.

Ukłony w stronę środowisk lewicowych, w tym homoseksualnych, wywołały nieprzychylną reakcję konserwatystów

Tymczasem mamy do czynienia z pogłębieniem kryzysu, który w gruncie rzeczy zaczął się wraz z odejściem Benedykta XVI i zastąpieniem go przez Franciszka. Nowy papież wywołał gigantyczne zamieszanie w niektórych dziedzinach nauczania Kościoła. Jego adhortacja „Amoris laetitia” jest wciąż przyczyną gwałtownych sporów. Jego ukłony w stronę środowisk lewicowych, w tym homoseksualnych, wywołały nieprzychylną reakcję konserwatystów. Jego niedawna

gwałtowna zmiana (bo, wbrew temu, co twierdzi lewica, była to zmiana gruntowna) nauczania w sprawie kary śmierci dopełniła obrazu. Jego niejasne, wieloznaczne wypowiedzi w sprawach o fundamentalnym znaczeniu, takich jak stosunek do osób homoseksualnych, wprowadzają zamęt. List abp. Viganó stawia zaś pod znakiem zapytania już samą wiarygodność Ojca Świętego. Oskarżenie, które wysuwa były nuncjusz, dotyczy bowiem sprawy być może najważniejszej dziś dla wizerunku Kościoła, zwłaszcza na Zachodzie, czyli walki z pedofilią.

Ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski słusznie wskazał, że reakcje na te oskarżenia są podobne jak w przypadku próby ujawnienia umocnienia dużej części polskiej hierarchii w kontakty z SB: ignorowanie (to robi Franciszek), udawanie, że problemu nie ma, próby dyskredytacji autora listu. To jednak nie sprawi, że sprawa zniknie. Również w naszym kraju, choć polski Kościół szczęśliwie skandalu pedofilskiego nie ma na koncie.

Nie da się chować dłużej głowę w piasek i udawać, że obecny pontyfikat nie sprowadził problemów, a papież poprzez swoje niefrasobliwe wypowiedzi podsycy konflikty, z których istnienia wydaje się nie zdawać sobie sprawy lub które lekceważy. Dotąd Franciszek mógł przynajmniej występować w glorii walczącego z najgorszymi zjawiskami w Kościele. Po liście Viganó nawet to budzi poważne wątpliwości. ©©



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wysokie standardy

W tym tygodniu po równo – o kampanii samorządowej i standardach dziennikarskich. Na początek cenna rada od doświadczonego docenta Jerzego Gątarza: „Będąc kandydatem, ogłosiłbym, że moje miasto powinno mieć takie metro jak Nowy Jork. Bo wycieczka do NYC jest ciekawsza niż do Sofii. A kanalizacja jak przy plaży w Rio de Janeiro”.

A że mądrych warto posłuchać, kamyczek do ogródka „wojen billboardowych” wrzuca Michał Majewski. „Trochę to wszystko toporne. Byłoby lepiej, gdyby te kampanie billboardowe poszły tropem łódzkiego dystansu. Np. »PiS myśli, że krosfit to leżenie krzyżem« i kontra »Platforma się przymila, a potem wyjada z miski«” – do przemyslenia, drogie sztaby. W końcu bawicie się za nasze.

Przy okazji ogłoszenia hasła kampanijnego Razemowców („Polska – wygodny dom dla wszystkich”) przypomniał o sobie Ryszard Kalisz. „Dlaczego partia Razem używa nazwy stowarzyszenia – Dom Wszystkich Polska?” – zapytała dawna nadzieja lewicy. „A dlaczego Pan używa nazwy miasta w nazwisku?” – odbił piłeczkę Łukasz Olszewski. I na tym się gra skończyła.

Teraz media. „Udało się zidentyfikować mutację, które najprawdopodobniej sprawiły, że mamuty przestały być wrażliwe na niską temperaturę” – podał portal TVP Info. „A odkryliście już mutację, która sprawiła, że zamiast informacji TVP serwuje propagandę?” – dociekała Eliza Michalik. Na kanwie tej wymiany uprzejmości Łukasz Pawłowski poruszył intrygujący wątek. „Ciekawe, jak się z panią Elizą ogląda filmy. »O zastrzelili go, zupełnie jak PiS polską konstytucję«”. „Patrz, ten mały chce zniszczyć pierścien. Zupełnie jak Kaczor Polskę». »No i tonie ten «Titanic», zupełnie jak...« itp. itd.”

„Dawni koledzy w RMF – pospadaliście na łby z tego Kopca Kościuszki? W imię czego tolerujecie na antenie gościa, który zeszmacił nie tylko swoje nazwisko – to jego problem – ale zawód, który kiedyś uprawiał” – tak z kolei Kamil Durczok słucha radia, a właściwie informacji o nowej audycji Krzysztofa Ziemia. I pomyśleć, że komentarz padł w tygodniu, w którym sąd orzekł, że jego zachowanie wobec podwładnych miało znamiona molestowania seksualnego. I jedną z nich zaprosił do domu po pracy, zdradzając, że pod dzinsami nie ma majtek. Ot, autorytety. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

Szklarnia Siemoniaka

Po ostatnim felietonie dręczą mnie wyrzuty sumienia. Pisząc, że Rafał Trzaskowski, będąc takim, jaki jest, i tak stanowi najlepszy „zasób kadrowy” PO, skrzywdziłem człowieka. Ten skrzywdzony to Tomasz Siemoniak. Może nie jest tak przystojny jak kolega, ale obdarzony tymi samymi przymiotami w nie mniejszym niż

jak gminą lub województwem albo obronnością.

Być może Tomasz Siemoniak przeczytał mój krzywdzący felieton i postanowił zwrócić na siebie uwagę. Oczywiście, jak przystało na członka PO, mocną wypowiedział przeciwko PiS.

„Zapowiedź ucieczki do europarlamentu najbardziej skompromitowanych działaczy PiS (marszałek Kuchciński, wicepremier Szydło, minister Zalewska) pokazuje brak wiary na szczytach PiS w dalsze rządy. Nigdy osoby na tak wysokich stanowiskach nie odchodziły z krajowej polityki do PE” – napisał w Internecie. Sprytnie jest to „do PE”, bo wiemy, że był polityk, który uciekł z najwyższego de facto krajowego stanowiska – premiera. Tyle że nie do PE, a na prestiżową, choć tylko dekoracyjną funkcję przewodniczącego Rady Europejskiej.

Siemoniak chciał więc przywalić PiS, a przywalił Tuskowi.

Bo „ucieczką” w obawie przed rozliczeniem nieudanych rządów trudno nazwać kandydowanie do PE. Żeby się tam dostać, trzeba wygrać wybory – na co „skompromitowany” polityk nie ma szans. Natomiast zmiana statusu bardzo już wtedy niepopularnego premiera na urzędnika unijnego była skutkiem uzgodnień i negocjacji zakulisowych, do ostatniej chwili utrzymywanych w tajemnicy (do dziś zresztą nie do końca wiadomo, czym Tusk za swą lukratywną fuchę europejskim przywódcom zapłacił). Naprawdę, fraza o ucieczce skompromitowanego polityka z wysokiego stanowiska z braku wiary w dalsze rządy zdecydowanie bardziej pasuje do byłego szefa PO.

Mawiali kiedyś mądrzy ludzie: „Kiedy mieszkasz w szklarni, to nie rzucaj kamieniami”. Jednak pan Siemoniak chyba tego powiedzonka nie zna. ©

Siemoniak chciał przywalić PiS, a przywalił Donaldowi Tuskowi

on stopniu. W partii od zawsze, przeszedł do niej wprost ze studiów, czyli nie zmarnował bodaj nawet jednego dnia na pracę poza polityką, sprawdzający się na każdym odcinku, na który go partia rzuci – równie dobrze pokieruje telewizją czy radiem

CZERWONE I CZARNE



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

Opozycja z mchu i paproci

Jedni chwalą – tak jak Borys Budka, który niedawno w rozmowie z „Do Rzeczy” cieszył się, że wyborcy na spotkaniu z nim domagali się, „by krwią podpisał” zobowiązanie do rozliczenia PiS – inni po cichu się skarżą, że na spotkaniach ciągle widzą te same twarze i słyszą te same pytania. A to, jak przyznają nieoficjalnie, oznacza, że ich ugrupowanie nie rozszerza swojego elektoratu.

To, co powoli dociera do bardziej kumatych posłów terenowych, do liderów PO dotrzeć nie może. Oto bowiem lider tej partii Grzegorz Schetyna w rozmowie z niszowym portalikiem CrowdMedia opowia-

da, co robi, gdy jego ugrupowanie wygra wybory. Primo – w referendum odsunie prezydenta Dudę, jeśli ten będzie PO rzucał kłody pod nogi. Klituś-bajduś, bo jakkolwiek Platforma regularnie pokazuje, że z szanowaniem demokratycznych mechanizmów ma problem, to jednak jej lider musi wiedzieć, iż takiej opcji w polskim systemie nie ma. Tokuje też Schetyna o tym, jak to jego partia wprowadzi procedurę impeachmentu, zmieniając konstytucję, na co de facto jego ugrupowanie ma taką szansę jak siostry Godlewskie na wygranie MTV Video Music Awards. A dalej gra tę samą melodię, którą nuci już od

trzech lat: o depisyzacji, Trybunale Stanu i sądach.

Monotonia tej powtarzanej do znudzenia, nieatrakcyjnej narracji powoduje, że PO nie tylko nie jest w stanie przyciągnąć młodych roczników wchodzących w wiek wyborczy, na których antypisizm nie działa, lecz także ubiera też partię Schetyny w szaty ugrupowania obciachowego w stylu kapeenów czy zetchaenów lat 90., nienadających za polityczną rzeczywistością. Opozycji coraz bardziej brakuje politycznego słuchu, a to oznacza, że – parafrazując Irzykowskiego – w polityce zamiast grać, będzie tylko tasować karty. ©

TAKI MĄŻ TO SKARB



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER

Pogodynka i prezenterka Paulina Sykut-Jeżyna podobno planuje przeprowadzkę. O czym poinformował jej mążzonek Piotr w rozmowie z „Faktem”. Zwierzył się też, że planują powiększenie rodziny (na razie mają jedno dziecko) i dlatego

potrzeba im więcej metrów kwadratowych. Obecnie cisną się na 200 mkw., więc sami rozumiecie, że tak się żyć nie da. – Mamy plany, aby przeprowadzić się do większego apartamentu lub ewentualnie domu. Już zaczynamy szukać i zobaczymy, jak to będzie – opowiada mąż pogodyni. – Mieszkało się w mniejszych mieszkaniach. By jednak miejsce spełniało wszystkie wymagania i można było się w nim na dobre zadomowić, nie może brakować pewnej przestrzeni – wskazuje. – Będzie większe mieszkanie, będziemy myśleć o dzieciach – zapowiada. Paulina Sykut-Jeżyna to jedna z bardziej popularnych, sympatycznych i lubianych gwiazd Polsatu. Jeszcze.

MODELKA I PODRĘCZNIK

Modelka Anja Rubik od jakiegoś czasu zaangażowała się w akcję krzewienia wśród Polaków edukacji seksualnej. Na początku akcja była tylko internetowa i polegała na tym, że jej koledzy celebryci wrzucali Rubik filmiki, w których przekonywali, że rozmowy o seksie są konieczne. Anja Rubik stwierdziła jednak, że to za mało i chce działać dalej. Oburzają ją np. podręczniki szkolne, które – jej zdaniem – nie uwzględniają tego, co powinien, jeśli chodzi o edukację seksualną młodzieży. – Stuosiemdziesięciostronicowy podręcznik, w którym słowo „seks” pojawia się kilka razy, i to w negatywnym kontekście, a jedyną metodą anty-koncepcji jest w nim kalendarzyk – krytykuje Rubik. Dlatego postanowiła opracować własny podręcznik wychowania seksualnego. – Przeprowadziłam wywiady z 13 edukatorami seksualnymi, zadając im pytania takie, jakie by zadała młodzież. Pytałam też o to, czego sama byłam ciekawa. Są rozdziały o pierwszym razie, jak nie zająć w ciąży, jak się zabezpieczyć. Dowiedziałam się np. o chusteczce lateksowej, to jedna z metod zabezpieczających. Nigdy też nie słyszałam wcześniej o prezerwatywach dla kobiet – mówi Anja. – Książka wychodzi we wrześniu. Mówię o niej: podręcznik, mimo że



FOT. PAMEŁ GROMADA

wiadomo, iż do szkół nie trafi, choć będziemy ją do nich wysyłać. Liczę, że rodzice kupią ją swoim dzieciom – zapowiada. Masowo będą kupować, na bank! Nie znamy rodzica, dla którego edukacja dzieci w temacie lateksowych chusteczek nie byłaby priorytetem. A wy znacie?!

ENERGIA MŁODOŚCI

Magda Gessler pokłóciła się z jedną z fanek na swoim Facebooku. Poszło nie o ocenę kulinarnych zdolności Gessler, a nawet nie o ocenę jej włosów (które budzą sporo emocji – kwestia tego, czy są naturalne, czy nie, spędza sen z powiek wielu plotkarskim portalom, serio!), lecz o twarz znanej celebrytki. „Ile już pani botoksiku w buzię wpompowała? Lubię »Kuchenne« i do pani też nic nie mam, ale widziałam zdjęcia z lat wcześniejszych” – napisała internautka. Komentarz pewnie przepadłby gdzieś w czeluściach Facebooka, gdyby nie to, że Magda Gessler dość emocjonalnie na niego zareagowała. – Zadziwia mnie pani, czytam wszystkie wasze komentarze. Blokuję... Ludzi zarażonych zawiścią... i głupich – odparowała Gessler. Na tym jednak nie skończyła. – Albo d...a, albo twarz. No cóż, do chudych nie należę, wybrałam twarz... ku pani rozczarowaniu, nie mam czasu nawet na regularny masaż (w wersji oryginalnej, pani Gessler napisała masaż przez „rz”, ale chcieliśmy państwu oszczędzić tego bólu oczu). – A gdzie tu godziny na gabinety zmian. Kocham to, co robię, kocham życie, ludzi. Może to ta energia jest tajemnicą ładnej twarzy? – odpowiedziała Magda Gessler. Wychodzi na to, że używanie botoksu jest większym powodem do wstydu niż wygadywanie bzdur o tym, iż od energii wygładzają się zmarszczki i powiększają usta. Witamy w show-biznesie!

GODNOŚĆ CZY BOTOKS?

A skoro już jesteśmy przy botoksie, to zgoda w innym kierunku postanowiła pójść znana aktorka Danuta Stenka, która w wywiadzie dla „Super Expressu” bez żadnego ściemniania stwierdziła, że botoks to fajna sprawa i nie ma nic przeciwko korzystaniu z możliwości, które daje medycyna estetyczna. – Myślę, że botoks to świetny wynalazek. Fantastyczna medycyna, która wyciągnęła rękę do kobiet i mężczyzn, bo oni też z tego korzystają. W momencie, kiedy człowiek przesuwają się na ławce na linii wieku coraz dalej, to pojawia się mniej propozycji zawodowych i to nie tylko u nas, bo mówią o tym wielkie gwiazdy za oceanem – uważa Stenka. – Oczywiście we wszystkim trzeba znać umiar. Ja nie mówię „nie”. Jeśli kiedykolwiek będę mogła swoją skórę wspomóc, to jak najbardziej będę ją wspomagać na różne sposoby, ale nie chciałabym, żeby moja twarz straciła charakter. Chciałabym, żeby się starzała z godnością – dodaje. Zaraz, zaraz, no to albo godność, albo botoks! Nie da się mieć wszystkiego. Niestety. © ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, stało się! Osobodzieci oraz osobomłdzież wracają do szkół, iżby ponownie przez 10 miesięcy poddawać się fashystoffskiej dyktaturze edukacji i to of kors edukacji w typowo polskim bogoojczyźnianym wydaniu :/ Jak wiecie, polska szkoła nie jest OSOM. Nie uczy się w niej przydatnych w życiu przedmiotów, a jedynie wciąż tych samych Mickiewiczów, Sienkiewiczów, tabliczki mnożenia, historii tego kraju w jedynej słusznej wersji czy wiedzy o społeczeństwie. Serio w tym kraju jest społeczeństwo, o którym warto się uczyć? My np., jeśli mielibyśmy wrócić do szkoły, chętnie pouczylibyśmy się o społeczeństwie europejskim, o historii II wojny z perspektywy Niemców i Judeosów i o roli, jaką odegrał w niej ich zdaniem ten kraj. Of kors pod warunkiem, iż nikt nie próbowałby nas oceniać i nie zlecał prac domowych, bo, sorry, w domu to mamy Netflix'a xD

Wspaniała wiadomość! Otóśh w pociągach Pendolino, które, jak wiecie, są symbolem rozkwitu i rozwoju tego kraju pod rządami PO, wreszcie będzie działać bezprzewodowy Internet. To oznacza, iż nie tylko dopędziliśmy Europę, lecz także podróżujemy z nią ramię w ramię!

Oczywiście nie dajcie się zwieść, że Internet zawita do Pendolino za rządów pisu. Jest to bowiem ewidentny sukces rządu PO i można to w prosty sposób udowodnić. Otóśh gdyby PO nie sprowadziła do tego kraju Pendolino, to teraz nie byłoby gdzie montować Wi-Fi. To kolejny przykład na to, jak poprzednie rządy dbały o rozwój tego kraju. Dodajmy: zrównoważony rozwój. Bo co by było, gdyby najpierw było Wi-Fi, a potem dopiero Pendolino?

Wiele osób w tym kraju ekscytuje się castingiem do serialu „Wiedźmin”.

To takie polskie, skoro polska firma zrobiła grę, to w takim razie wszyscy muszą się ekscytować, kto zagra główne role. Of kors polscy malkontenci nie chcieliby, aby to była osoba nieheteronormatywna, pigmentalnie uposażona, grawitacyjnie uposażona, transpłciowa lub inna, która kłóci się z ich wyobrażeniem Wiedźmina – Polaka xD

No bo pomyślcie sami (spoko, tak się tylko mówi), skoro twórcy wymyślili sobie, iż Wiedźmin będzie białym mężczyzną, to czy musimy poddawać się klasycznej wizji społeczeństwa, w którym superbohaterem jest biały mężczyzna w średnim wieku, w dodatku silny i mający powodzenie u heteronormatywnych wagiñosów? Mocno kibicujemy twórcom serialu, iżby mieli odwagę wyjść poza płciowe, społeczne i klasowe stereotypy, a ich Wiedźmin był postacią, o jakiej przeciętnemu januszowi w najbardziej pigmentalnie uposażoną noc się nie śniło xD ©©

REKLAMA

PRENUMERATA

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY

+ PAKIET DO KUCHNI:

SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W
SBL920 ORAZ BLENDER RĘCZNY
MANTA 700W HBL931

Cena: 299 zł

Oszczędność: 218 zł



MANTA
Polska firma. rodzinna.

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Skoro zbliżają się wybory samorządowe, to i my zaczniemy od dołu. Niektórych zelektryzowały słowa premiera Mateusza o utworzeniu nowego województwa – środkowopomorskiego. Słowa jak słowa. Elektryzować powinno coś innego. Otóż w kręgach rządowych dojrzewa myśl o skasowaniu ostatniej pokutującej jeszcze reformy Buzka. Najdiksze pomysły mówią nawet o likwidacji jednego ze szczebli samorządu. Szczerze? Nie będziemy tęsknić.

Dojrzała już za to w rządzie koncepcja, jak wybrnąć ze sprawy fregat. Będzie tak: ani ich ostatecznie od Australijczyków nie kupimy, ani nie ogłosimy, że ich ostatecznie nie kupujemy. Podpiszemy w zamian obszerny traktat z Australią o współpracy militarnej i gospodarczej, ze szczególnym uwzględnieniem zbrojeniowej. Dzięki tej eleganckiej formule i wilk będzie syty, i owca cała. Wilk to oczywiście polski przemysł stoczniowy. A owca zostanie w Australii. I dobrze. Przecież to tam hoduje się owce.

Jeszcze z rządu. W związku z żałobą, która zapanowała po odpadnięciu wszystkich polskich klubów piłki kopanej z europejskich pucharów już w rundzie superekstraprzędowej, szykuje się nowy program. Nie wiemy, jak się będzie nazywał, dlatego prywatnie ochrzciliśmy go Piłka Plus.

Jak wyznał raz jeden z jego kampanijnych współpracowników, Olechowskiego trudno było dobudzić przed południem

Rozmowy na ten temat trwają w trójkącie: premier Mateusz, wicek Gowin i minister Bańka. W sumie program już by nawet teraz był, ale rząd czeka, co najpierw dla futbolu ratowania zrobi Zibi Boniek.

Jest zabawnie. Cyngle z „GazWybu” jak dzieci dają się robić w konia byłemu kierownictwu CBA. Łykają jak pelikany a to opowieści o Falencie knującym z Kaczorem-Dyktatorem, by taśmami

dwaj panowie



FOT. ROBERT CARZINSKI

obalić Tuska, a to o skorumpowanym Suskim w stolicy PiS-owskiej ośmiornicy, czyli Radomiu. Prorokujemy: im bliżej będzie postawienia zarzutów byłemu kierownictwu Biura, tym częściej „GazWyb” będzie zasilany przez ludzi Pawła Wojtunika (ksywa Gazor) njusami wziętymi z... no, wziętymi stamtąd, skąd zwykle się bierze njusy – z dupy.

Głupia sprawa. Nieszczęsny z „GazWybu” nie znają chyba reguły obowiązującej od początku istnienia III RP. Brzmi ona: im bliżej wyborów samorządowych, tym więcej zawiadomień do służb, policji i prokuratury. Tak właśnie było, kiedy wszczynano sprawdzenie w sprawie Radomia. Co ciekawe, najwięcej zawiadomień piszą życzliwi nie z konkurencyjnych partii, ale sami towarzysze partyjni. Tak było, tak jest i tak będzie.

Jesienią uważajcie na drogach. Nigdy nie wiadomo, czy na lokalnych szosach nie spotkacie duetu Kaśka Lubnauer – Grzesiek Schetytna. Pomysł na kampanię KO-by (tak, chodzi nam o Koalicję Obywatelską) jest bowiem taki, że duet egzotyczny będzie jeździł wszędzie, gdzie się da, i agitował oraz

odgrywał rolę żywego symbolu braterstwa i współpracy. Jednocześnie po Polsce jeździć będą premier Mateusz i połowa rządowej ferajny znanych nazwisk z PiS. To tyle, jeśli chodzi o złudzenie, że wybory samorządowe to „starcie lokalnych liderów”.

Do Warszawy oczywiście nikt nie musi przyjeżdżać. Tutaj wszyscy mają znane nazwiska i są zarazem lokalnymi liderami. Aczkolwiek czasem czujemy się zagubieni. Na przykład Rafcio Trzaskowski ogłosił, że chce w Warszawie utwardzać. Oraz frezować. To jedna z dziwniejszych obietnic wyborczych, jakie słyszeliśmy. Być może wynika z rozmiękczenia.

Przypomniał nam się w związku z tym inny polityczny bohater ludności postępowej, europejskiej i warszawskiej, który też walczył kiedyś o fotel prezja Warszawy. Chodzi o Andrzeja Olechowskiego, niegdyś tenora z PeŁo. Jak wyznał raz jeden z jego kampanijnych współpracowników, Olechowskiego trudno było dobudzić przed południem, a kiedy ktoś próbował mu robić z tego powodu wyrzuty, Andrzej stwierdził oburzony, że gdyby chciał wstawać o szóstej rano, to zostałby mleczarzem. W nagrodę uzyskał w Warszawie całe 13,47 proc. głosów. Mamy nadzieję, że Rafcio zbliży się do tego rezultatu.

Cierpią też sztabowcy Jana Śpiewaka juniora. Jednak konkurent Rafcia sprawia im zupełnie inny kłopot. On, w odróżnieniu od Rafcia, jest nadaktywny. Lecz jest to specyficzny rodzaj aktywności, która kończy się często o porze, kiedy świtają tapety. I to jest główne zmartwienie sztabowców, którzy obawiają się, że jak go podczas nocnych maratonów entertejmentowych dopadną paparazzi, to kampania się rozsypie. Co ciekawe, najwięcej wiewiórek czyhających na jego potknięcie (i czekających na okazję, by zadzwonić do paparazzich) młody Śpiewak wyhodował w stowarzyszeniu Miasto Jest Nasze. Ale to zawistni ludzie. Kto by im tam wierzył, gdy opowiadają o ekscesach Śpiewaka juniora.

Niespodziewane ożywienie wśród czytelników naszej rubryki wywołały poszukiwania hymnu kampanii Rafcia Trzaskowskiego. Miły

czytelnik imieniem Tomasz (pozdrawiamy, e-mail znany redakcji) zarekomendował utwór grupy Nijak zatytułowany „Rafałek”. Zaczyna się tak: „Ujrzałem cię po raz pierwszy w życiu/ I serce me w ukryciu/ Cicho szepnęło: »To jest on«/ I nie wiem skąd, przecież jesteś obcy/ Są w mieście inni chłopcy/ Ciebie pamiętam z wszystkich stron”. Niestety, ciągu dalszego nie możemy podać, gdyż jesteśmy redakcją konserwatywną.

Tymczasem niektórzy ekscytują się możliwością powrotu naszych czerwonych braci z SLD do polityki małej, czyli samorządowej, oraz wielkiej, czyli sejmowej. Bo tak mówią sondaże. Nie rozumiemy tej ekscytacji. Przecież czerwoni bracia nie muszą wracać, oni nigdy nie odeszli. Na przykład taki Wojtek Olejniczak, kiedyś ostatnia nadzieja czerwonych, jest sobie ważnym dyrektorem w Alior Banku. No i co? Taka straszna ta dobra zmiana? I po co ją jeszcze zmieniać?

Zżycia gwiazd. Może i niektóre protestują nadal przeciw okrutnemu reżimowi kaczyzłowskiemu, ale

Niektórzy ekscytują się możliwością powrotu naszych czerwonych braci z SLD do polityki małej, czyli samorządowej, oraz wielkiej, czyli sejmowej.

Nie rozumiemy tej ekscytacji

ponieważ nadchodzi sylwester, znacznie więcej z nich stoi w ogonku do gabinetu prezesa TVP Kury-Kurskiego. Wszystko przez to, że szansoniści polscy wszyscy chcieliby być sławni i dobrze wynagradzani, tak jak Sławomir w ubiegłym roku. Rozumiemy dobrze rozumowanie gwiazd. Być może klucze do więzienia o nazwie Polska trzyma Kaczor-Dyktator, ale klucze do kasy trzyma Kura.

Nie tylko szansoniści przechodzą w okolicach gmachu Kury-Kurskiego głęboką przemianę. To samo dotyczy aktorów. Podczas prezentacji ramówki TVP zaobserwowaliśmy np., jak aktor

Tomasz Karolak frenetycznymi brawami powitał słowa Kury o tym, że narodowy skarb, czyli telewizja narodowa, jest pod nieustannym ostrzałem złych ludzi.

Mogło być gorzej. Podczas uroczystej premiery filmu „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” konferansjerką była Agnieszka Odorowicz, która bez mrugnienia okiem chwaliła twórców i produkcję za prawdę o historii i patriotyzm. Tak, ta sama Agnieszka Odorowicz, podczas której rządów w Polskim Instytucie Sztuki Filmowej łatwiej można było dostać kasę na film o patriotyzmie zaskrońców niż Polaków.

Zanotowaliśmy najciekawsze zdanie z wystąpienia Agnieszki Odorowicz. Oświadczyła, że film jest hołdem złożonym tym, którzy „walczyli z faszyzmem o demokratyczny wolny świat, w którym dziś żyjemy”. Nie do końca rozumiemy, czy oznacza to, że Dywizjon 303 walczył z dyktaturą PiS, czy też że świat pod rządami PiS jest jednak demokratyczny i wolny. Tak czy inaczej – szacun. ©©

REKLAMA

10-23 WRZEŚNIA 2018



MIĘDZYNARODOWY KONKURS MUZYCZNY im. KAROLA SZYMANOWSKIEGO KATOWICE 2018

KATEGORIE KONKURSOWE

FORTEPIAN

SKRZYPCE

ŚPIEW

KWARTET SMYCZKOWY

KOMPOZYCJE

szymanowski-competition.com

Organizator

Wsporganizatorzy



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Infrastruktura i Środowisko Dla rozwoju infrastruktury i środowiska | www.pois.gov.pl



Macierewicz

– biografia sfałszowana



Sławomir Cenckiewicz

O Antonim Macierewiczu można bezkarnie napisać każdą bzdurę. Sugerować mu agenturalność, odbierać zasługi. Świadomie wpisali się w tę modę Anna Giełewska i Marcin Dzierżanowski

Tylko z pozoru książka Giełewskiej i Dzierżanowskiego jest poważniejsza i bardziej rzetelna niż wcześniej wydany paszkwil Tomasza Piątka. Pod wieloma względami „Biografia nieautoryzowana” jest w swoim zamiarze książką totalną, bo jej intencją jest całościowa delegitimizacja Macierewicza – jego przodków, jego samego i jego rodziny. Język tej książki – nacechowany skrajnie negatywnymi emocjami i niemal zawsze stygmatyzujący bohatera – jest przemyślaną metodą delegi-

tymizacji. Macierewicz „sypie”, „obciąża”, „zasypuje”, „wie, że szkodzi”, „niszczy”, „szkodzi”, „bezwzględny”, „cyniczny”...

Mania deprecjacji Macierewicza jest tak silna, że faktycznie unieważnia wykorzystane w książce źródła. Fakty i prawda ustępują powziętej z góry tezie do tego stopnia, że autorzy dopuścili się nawet ordynarnych fałszerstw dokumentów i pochodzących z nich cytatów, decyzje i wybory pozbawili kontekstów, a świadkami historii uczynili wyłącznie krytyków Macierewicza. Pod-

czas lektury tego wszystkiego aż dziw bierze, że nieformalnym opiekunem naukowym „Biografii nieautoryzowanej” był prof. Andrzej Friszke, który publicznie nazwał tę książkę „skrupulatnym studium”. Skala fałszerstw jest tak ogromna, że powinno raczej powstać „skrupulatne studium” zawartych w niej kłamstw. I powstanie.

„TRZECH KUMPLI”

Punktem ciężkości całej książkowej i medialnej opowieści o Antonim Macierewiczu jest sprawa jego udziału w Mar-

cu ’68 i zachowania w śledztwie (i podczas aresztu) w okresie od 28 marca do 3 sierpnia 1968 r. Ma to się kłaść niejako cieniem na całym jego politycznym życiu. Nieprzypadkowo „Biografia nieautoryzowana” ma zaburzoną chronologię i otwiera ją właśnie opowieść o Marcu ’68. Już w pierwszym rozdziale Anna Giełewska i Marcin Dzierżanowski posłużyli się figurą zaczerpniętą z filmu dokumentalnego Ewy Stankiewicz „Trzech kumpli” o Bronisławie Wildsteinie, Stanisławie Pyjasie i jednym



zwykła nienawiść i fałsz. Nie trudno przejrzeć tę specyficzną logikę wywodu autorów, by się przekonać, na czym polega jego fałszywość. W tym intencjonalnym świecie sugestii i pomówień nie zgadzają się podstawowe fakty i chronologia.

ANATOMIA MANIPULACJI

Wszystko zaczęło się od książki Andrzeja Friszkego „Anatomia buntu” z 2010 r., w której znalazł się akapit poświęcony „obciążającym” samego siebie, Henryka Samsonowicza i Wojciecha Onyszkiewicza zeznaniom Macierewicza. Płytką, napisaną na podstawie kilku protokołów przesłuchań, stosunkowo łagodna interpretacja udziału Macierewicza w pomarcowym śledztwie. Friszke będzie ją później radykalnie „podkręcał” i w licznych wywiadach zacznie opowiadać o „zasypaniu” w śledztwie kilku przyjaciół. Skutkowało to publicznym określeniem ministra obrony narodowej mianem „kapusia”. Nie czas teraz, by opisywać wszystkie manipulacje źródłowe i medialne tej sprawy z udziałem Friszkego na przestrzeni lat 2010–2018, ale to on zainspirował autorów „Biografii nieautoryzowanej”. Koronnym argumentem na rzecz obciążenia winą Macierewicza mają być archiwalia i pisemne oświadczenie „bezpośrednio przez niego pokrzywdzonego” Onyszkiewicza z 2010 r.

Zajmijmy się najpierw oświadczeniem. Onyszkiewicz pomieścił w nim kilka istotnych myśli w następującej – co jest ważne dla sprawy – kolejności: 1) że ma „świadomość”, iż „być może” bez jego zeznań Macierewicz „nie zeznawałby w ogóle” na jego temat; 2) że „dokumenty, które przedstawił” mu Friszke, „nie zmieniły” jego „przekonania” i nadal uważa, że „występuje w tej historii w roli sprawcy dalszego ciągu wydarzeń”; 3) że Macierewicz zeznał za dużo (o czym wcześniej nie

wiedział) w kwestii nakładu kolportowanych ulotek i ich treści adresowanej do robotników; 4) że w swojej książce Friszke uchybił metodzie historycznej, pomijając treść zeznań Onyszkiewicza, co w rezultacie spowodowało, iż „mój obraz jest korzystniejszy niż w rzeczywistości”, a przecież to „może tylko pod ich wpływem Antoni Macierewicz podał ważne szczegóły dotyczące ulotek wzywających do strajku na uniwersytecie i powiedział o ulotkach do robotników”; 5) że pomimo tego Friszke „mógł zgodnie z regułami sztuki napisać”: „zeznania Macierewicza obciążały jego samego, ale też Onyszkiewicza, który nie przyznał się do rozkolportowania ulotek (twierdził, że je zniszczył)”; 6) że Macierewicz był i pozostaje dla niego „symbolem osoby niezłomnej” i „dzięki takim zachowaniom komunizm upadł, a my żyjemy w wolnym kraju”, zaś „wobec tego faktu to, czy ktoś (zwłaszcza jako niedoświadczony dwudziestolatek) zeznawał, czy nie zeznawał w śledztwie, ma niewielkie znaczenie”; 7) że ostrość sporu Macierewicza z Friszkiem powinna skutkować publikacją (przez Friszkego) dokumentów ze śledztwa.

Treść oświadczenia Onyszkiewicza została później ordynarnie zafałszowana przez Friszkego i autorów „Biografii nieautoryzowanej”. Gielewska z Dzierżanowskim w ogóle go nie cytują, za to przytaczają wywołaną później relację Onyszkiewicza i wyjątkowo stroniczną opinię Friszkego. O ile jednak Onyszkiewicz stwierdził, że nie ma pretensji do Macierewicza, bo to on – zeznając jego pierwszy – „uruchomił lawinę” (kilkadziesiąt stron dalej znajdujemy zaprzeczenie tej relacji przez samego Onyszkiewicza!), o tyle Friszke przypisał Macierewiczowi chęć „zemsty” na Onyszkiewiczu, zarzucając mu przy tym 50 lat kłamstwa („przedstawia się w oczach

z najważniejszych agentów SB ulokowanym w ruchu antykomunistycznym – Lesławie Maleszce. W nowej wersji „trzej kumple” to Wojciech Onyszkiewicz, Piotr Bachurzewski i Antoni Macierewicz, który robi w tym gronie za kopię Maleszki! Ten pełen złej woli zabieg i gwałt na prawdzie historycznej najlepiej zdradza niskie intencje autorów „Biografii nieautoryzowanej”. Nie ma tu mowy o ważeniu argumentów i jakiegokolwiek symetrii. Według nich Macierewicz to nowy TW „Return” i zdrajca

kolegów – Onyszkiewicza i Bachurzewskiego – których świadomie („musi jednak wiedzieć, że szkodzi”) „sypie” i „obciąża” w śledztwie, a potem przez pół wieku stroi się w piórka ich „ofiary” i bohatera.

I wszystko na pozór jest logiczne – są sygnatury akt IPN, są cytaty z dokumentów, relacje świadków, no i jest rozstrzygnięcie o precyzji wywodu opinia autorytetu z Polskiej Akademii Nauk: prof. Friszke. To jednak jedynie pozór naukowości i rzetelności, za którym kryją się źródłowe hochsztaplerstwo,

FOT. FLIP, BAZEŃSKI, KAZIEMIERZ POLSKI, FORUM

„przyjaciela jako jego ofiara”) i wzbudzenie poczucia winy u przyjaciela, który „w chwili próby nie zdał egzaminu” („dla mnie to moralnie obrzydliwe”).

„PIOTR”

Tak rozpoczyna się wstęp do prawdziwej jazdy bez trzymanki... Jazdy po Macierewiczu. Zaczniemy od zeznania Wojciecha Onyszkiewicza, które autorzy „Biografii nieautoryzowanej” ulokowali 1 maja 1968 r., podczas gdy składał on zeznania 29 kwietnia 1968 r. Opis tych zeznań jest lakoniczny i sprowadza się do stwierdzeń, że Onyszkiewicz zaprzeczał, nie mówił o szczegółach i wodził tym samym śledczych za nos, a dopiero Macierewicz „się łamał” i zaczął „sypać”. W rzeczywistości zeznanie Onyszkiewicza liczy cztery strony, dotyczy produkcji ulotek w mieszkaniu

konfrontacji z przywołanymi przez bezpiekę zeznaniami Onyszkiewicza (wcześniej Macierewicz wspominał Bachurzewskiego w zeznaniach z 23 i 26 kwietnia w kontekście dyskusji o ukryciu własnej maszyny do pisania i strajku na uniwersytecie) i w formie wcale nie tak jednoznacznej, jak możemy przeczytać o tym w książce. Wystarczy zacytować jedno zdanie (pominięte przez autorów) z protokołu przesłuchania Macierewicza, by przekonać się o kolejnej manipulacji: „Nie jest mi wiadomo, czy i kiedy Piotr Bachurzewski rozkolportował w/w ulotki. Nie przypominam sobie również, gdzie o tym z nim rozmawiałem”. W zeznaniach Macierewicza jest więcej tego typu uników i zasłaniania się niepamięcią, które przecież ostatecznie nie pozwalają bezpiece na aresztowanie ani

nie tylko manipulują wiedzą historyczną, kontekstami zdarzeń i wypowiedzi, lecz także nawet cytatami z dokumentów. Dobrym tego przykładem jest skandaliczny wręcz opis inwigilacji Macierewicza przez podstawionego do celi więziennej agenta „Krzysztofa”. Bez wchodzenia w naturę agentury celnej, jej specyficznej roli i znaczenia, z pominięciem tożsamości agenta, „krzyżowego” sprawdzania i weryfikacji przez SB wiedzy Macierewicza, ale i mocno artykułowanej także w obszernych donosach „Krzysztofa” gry, którą miał prowadzić 20-letni student w śledztwie, chodzi wyłącznie o obciążenie bohatera książki. W swoim pokrętnym i nielogicznym wywodzie Gielewska i Dzierżanowski przyznają wprawdzie, że donosy agentów celnych mogą zawierać konfabulacje (spisywał je oficer SB), po czym stwierdzają, iż akurat te dotyczące Macierewicza są „tak dokładne, że muszą być prawdziwe”. Jestem przekonany, że wspomniane donosy zawierają spory potencjał wiedzy i prawdy, ale wytyczając tyle ciężkich zarzutów dotyczących rzekomej zdrady kolegów, należy każdą ze swoich tez solidnie obronić.

Okazuje się, że nie jest to takie proste. Metodologia afirmacji wszystkiego, co może posłużyć do ataku na Macierewicza, okazuje się jednak niewystarczająca, więc autorzy książki postanowili „podrasować” dostępne źródła. I tak cytują donos „Krzysztofa” z 11 maja 1968 r., w którym jest mowa o „ujawnieniu” podczas przesłuchania osoby Bachurzewskiego, ale bez zaznaczenia dokonanego w cytacie cięcia i dalszego fragmentu, w którym jest mowa o tym, że funkcjonariuszka SB bezskutecznie żądała od Macierewicza „ujawnienia następnych osób biorących udział w tej sprawie” [kolportażu ulotek wzywających do strajku]. Powstaje

w ten sposób fałszywe wrażenie, że Macierewicz wydał bezpiece Bachurzewskiego, o którym śledczy wcześniej nic nie wiedzieli, po czym miał poczucie wyrządzonej mu krzywdy, z czego zwierzył się agentowi SB! W rzeczywistości jednak cały kontekst obszernego donosu „Krzysztofa” (dwie strony) dotyczy ukrycia przez Macierewicza pełnej wiedzy o produkcji i kolportażu ulotek, w tym o zaangażowanych w sprawę osobach (poza Onyszkiewiczem i Bachurzewskim, o których już wiedziała SB): „Macierewicz wspominał, że nie ujawnił tych osób, lecz było tam jeszcze dwóch kolegów, którzy ulotki wypisywali, ale ich nie kolportowali. [...] Macierewicz powiedział, iż zna on drogę ulotek (skierowanych do robotników) [...] od momentu ich powielenia (włącznie) do końca”.

„WOJTEK”

Jeszcze większych manipulacji dopuścili się autorzy „Biografii nieautoryzowanej” w przypadku opisu zeznań Macierewicza dotyczących Onyszkiewicza. Niemal każde zeznanie Macierewicza (bez akcentowania stałej cechy wszystkich jego zeznań, czyli wzięcia winy na siebie) staje się w tej specyficznej metodologii aktem oskarżenia. W tej drodze na skróty nie ma żadnych zasad. Nawet opis przesłuchania Macierewicza z 6 maja 1968 r., w którym jest mowa o 800 ulotkach adresowanych do robotników, które zdeponował u niego Onyszkiewicz, pozbawiony jest wszelkich cytatów, gdyż całość zeznania utkana jest odwołaniami do własnej niepamięci i niewiedzy mających chronić kolegę przed ewentualnym zarzutem prokuratorom. Z kolei kluczowy cytat mający potwierdzać tezę o „sypnięciu Onyszkiewicza” nie odpowiada oryginałowi! Gielewska z Dzierżanowskim niby cytują zeznanie Ma-

W przypadku opisu zeznań Macierewicza dotyczących Onyszkiewicza niemal każde (bez akcentowania stałej cechy jego zeznań, czyli wzięcia winy na siebie) staje się w tej specyficznej metodologii aktem oskarżenia

Macierewicza w dniu 20 marca i choć daleki jestem od jakiegokolwiek ich jednoznacznego osądu, to odnotować muszę, że w tym kontekście pojawia się po raz pierwszy postać Piotra Bachurzewskiego (jego ojczymem był Władysław Bartoszewski): „Z pobytam w tym mieszkaniu Macierewicza [20 marca] kojarzy mi się osoba kolegi Antka o imieniu Piotr”.

To istotny szczegół, konsekwentnie pomijany przez autorów książki, którzy jednocześnie przypisują Macierewiczowi wskazanie i „obciążenie” Bachurzewskiego (w zeznaniu z 2 maja 1968 r.): „W rzeczywistości wspomniane zeznanie Macierewicza na temat wizyty Bachurzewskiego i odebraniu ulotek pojawia się dopiero po

Onyszkiewicza, ani Bachurzewskiego (oba zostali na krótko zatrzymani) i przedstawienie im karnych zarzutów.

Warto dodać, że na egzemplarzu zeznania Macierewicza z 2 maja, przy słowach przesłuchiwanego, że „nie jest mu wiadomo, czy i kiedy Piotr Bachurzewski rozkolportował w/w ulotki”, widnieje jakże znamienne dopisek śledczych: „Bachurzewski jest od dawna ustalony”. A zatem cała konstrukcja autorów i ich patrona (Friszkego), których zdaniem to Macierewicz „obciążył” kolejną osobę” i „sypnął” Bachurzewskiego, nie polega na prawdzie!

„KRZYSZTOF”

Autorzy książki, chcąc dokopać Macierewiczowi,

cierewicza z 1 maja 1968 r., podając nawet sygnaturę teczki z archiwum IPN (pomylili przy tym numerację stron), ale robią to w skrajnie manipulatorski sposób: pomijając istotne fragmenty protokołu, przeinaczając niektóre słowa i zdania (w taki sposób, by usunąć z cytatu wszelkie odniesienia Macierewicza do własnej niepamięci, by osłabić materiał zebrany przez SB przeciwko Onyszkiewiczowi), zmyślając i dopisując treść, nie zaznaczając dokonanych cięć i skrótów, co całkowicie wypacza sens i treść zachowanego zeznania!

„EWA”

Niezależnie od zasygnalizowanych tutaj manipulacji, stwierdzić należy, że interpretacyjny spór (gdyby nawet odbywał się w oparciu o rzetelne zasady) wokół zachowania Macierewicza w pomarcowym śledztwie ma znaczenie drugorzędne. Porównując bowiem wiedzę zgromadzoną przez SB na temat Macierewicza, zanim jeszcze doszło do jego aresztowania 28 marca 1968 r., z materiałem „wywołanym” przez śledczych na przesłuchaniach kolejnych miesięcy, uznać należy, że nie dawał on bezpieczeństwa realnych podstaw do skutecznego oskarżenia współpracowników Macierewicza. 10 lipca 1968 r. z „braku dostatecznych dowodów winy” śledztwo wobec Onyszkiewicza zostało umorzone. Zresztą świadczą też o tym wcześniejsze notatki śledczych: „Brak jest chyba podstaw do postawienia W. Onyszkiewicza w stan oskarżenia, ostatecznie można tylko mu przypisać usiłowanie rozpowszechniania ulotek”. Znamienne, że kiedy na potrzeby rozpracowania Macierewicza po 1976 r. SB powróciła do akt śledztwa z Marca ’68, uznano, że nie ma w nich niczego, co można by wykorzystać do dyskredytacji „figuranta”. Ostatecznie przecież akt oskarżenia sformułowano właśnie wobec Macierewicza

(5 lipca 1968 r.), który spędził w więzieniu blisko pięć miesięcy – aż do umorzenia także jego sprawy w dniu 3 sierpnia (kilkanaście dni później stanął przed kolegium do spraw wykroczeń).

Technika operacyjna, różne zeznania złożone w śledztwie i naprowadzenia czy agenturalne doniesienia dość precyzyjnie odtwarzały aktywność Macierewicza i jego kręgu znajomych w Marcu ’68. Wystarczy przeanalizować doniesienie agenturalne pozyskanej 25 marca 1968 r. Wandy Łuczniczki (kontakt poufny ps. Ewa) na temat Macierewicza, by się przekonać, jak bogatym materiałem dowodowym na jego temat dysponowała SB przed decyzją o aresztowaniu. Przygotowanie protestów po 6 marca, produkcja ulotek, kolportaż, udział w wiecu i starciach z milicją (8–9 marca), organizacja strajku, kontakty i treść rozmów z Henrykiem Samsonowiczem, przyjaźń i współpraca z Wojciechem Onyszkiewiczem... to wszystko wiedziało bezpieka chociażby z dziewięciostronnicowego donosu „Ewy” z 25 marca 1968 r.

Autorzy książki chwalą się znajomością roli „Ewy” w inwigilacji Macierewicza, ale ponownie tak manipulują opisem (i cytatami) jej obszernego donosu, by nie wymienić osób i wydarzeń przez nią przybliżanych. Kluczowym przykładem jest tutaj sprawa kontaktów Macierewicza z Samsonowiczem, w szczegółach opisana przez „Ewę”: „Samsonowicza zna dość dobrze. Dzwonił do niego przy mnie i umawiał się z nim. Utrzymuje przez niego kontakty z [Stanisławem] Herbstem, jest pośrednikiem między swoimi kolegami a właśnie Samsonowiczem i innymi pracownikami naukowymi historii [...]”. Ten jeden cytat – skrzętnie pominięty przez autorów „Biografii nieautoryzowanej” – jest wystarczającym dowodem na absurdalność tezy o wskazaniu



Antoni Macierewicz jako szef MSW opracował listę polityków, którzy byli współpracownikami tajnych służb PRL. Na zdjęciu: 4 czerwca 1992 r. w Sejmie
FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOWA

i „obciążeniu” Samsonowicza przez Macierewicza podczas przesłuchań. Zresztą wiedza bezpieki o Samsonowiczu była dość rozległa (choćby dzięki informacjom pochodzącym od Henryka Szlajfera), co przecież tak szczegółowo opisał Friszke w „Anatomii buntu”.

KARYKATURY CIĄG DALSZY

Blisko 50-stronnicowy rozdział o Marcu ’68 ustawia w karykaturalnej formie niejako całą biografię Macierewicza, jego antenatów i bliskich. Od tego momentu wszystkie kolejne „ustalenia” Gielewskiej i Dzierżanowskiego mają przemawiać przeciwko bohaterowi książki. Mnożą się zatem kolejne insynuacje nacechowane złą wolą, brakiem czytania i wiedzy historycznej: na temat małozna-

czącej roli Adama Macierewicza (dziadka Antoniego) wśród Polaków w Rosji (podczas gdy opublikowano o nim sporo dokumentów, a jego działalność odnotowuje również wielu polityków i kronikarzy); rzekomego samobójstwa Zdzisława Macierewicza (ojca Antoniego), kreślone zresztą na podstawie jednej relacji (autorzy myślą podstawowe fakty z jego życia, nie znają akt z procesu Józefa Kwasiborskiego, a nawet publikowanych biogramów i wspomnień o tym znanym chemiku); aktywności małoletniego Antoniego w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (zamieniona później w marksistowski światopogląd oraz kult Fidela Castro, Che Guevary i Jasira Arafata, czego pozostałością do dzisiaj ma być zarost na twarzy!); relacyjne

brednie o jego nieobecności w harcerskiej „Czarnej Jedyńce” (z pominięciem praktycznie całej dostępnej literatury, nie mówiąc już o archiwaliach i świadkach); chętnie cytowane esbeckie opinie o problemach alkoholowych, kłótniach rodzinnych i wujku masonie.

Szczytem tej manipulacyjno-insynuacyjnej narracji jest próba obarczenia Adama Macierewicza zarzutem kolaboracji z hitlerowskimi Niemcami w dziedzinie przejmowania i handlu mieniem pożywkowym. Czytamy więc o publikowanych przez Adama ogłoszeniach handlowych w „Nowym Kurierze Warszawskim” (nie było decyzji Polskiego Państwa Podziemnego zakazującej publikacji ogłoszeń w prasie polskojęzycznej), które prowadzą nas z kolei do obszernych rozważań Jana Grabowskiego o Polakach jako beneficjentach Holokaustu, a na końcu tych wynurzeń znaj-

dujemy mikroskopijny przypis o tym, że „przytoczone cytaty nie dotyczą zatem działań Adama Macierewicza”!

INFLACJA BŁĘDÓW I OSKARŻEŃ

Takich nośnych i podprogowych chwytów manipulacyjnych jest w tej książce multum. Organizację protestu z 1976 r. przeciwko zapisowi w konstytucji PRL kierowniczej roli PZPR i sojuszu z ZSRS w przypadku Antoniego Macierewicza autorzy nazwali „obroną Konstytucji PRL-u” (sic!), zaś dokładnie tę samą aktywność, ale w wykonaniu Jacka Kuronia określono mianem „protestu przeciwko zmianom konstytucji”. Ta nieskrywana nienawiść gubi zresztą Gielewską i Dzierżanowskiego na tyle, że kompletnie przestali panować nad logiką i chronologią własnego wywodu, nie mówiąc już o zadziwiającej wręcz inflacji pomyłek i fak-

tograficznych błędów. Mamy więc Bogusława Borusewicza zamiast Bogdana Borusewicza, Halinę Mańkowską zamiast Haliny Manikowskiej, pomyłone daty, funkcje i nazwy instytucji, dorobek naukowy Macierewicza zredukowany do zaledwie dwóch tekstów (podczas gdy ich dodatkowo jeszcze sześć), rzekomo wywołany przez Macierewicza konflikt z lewicą KOR (sprawa jest opisana w literaturze, a nawet była przedmiotem otwartych polemik w latach 70.); sugestie bez pokrycia, że „samowolnie brał pieniądze z funduszu KOR-u” (polecam przy tej okazji materiały operacyjne SB na temat polityki finansowej Kuronia, Maleszki czy Woroszyńskiego w okresie KOR-owskim) i że w listopadzie 1982 r. wcale nie uciekł z internowania w Łupkowie, chociaż SB dokładnie w ten sposób kwalifikowała jego czyn („zbiegł

z internowania [podczas pobytu w szpitalu w Sanoku] i podjął nielegalną działalność pozostając w ukryciu”).

Ta ostatnia sprawa znalazła zresztą swoją kontynuację w postaci kolejnych oskarżeń – na pozór fundamentalnych. Brak elementarnej wiedzy historycznej spowodowała, że pochylając się nad lekturą notatki gen. Zdzisława Sarewicza z 4 września 1984 r. Gielewska z Dzierżanowskim doszukują się piętrowego spisku, a nawet i związków Macierewicza z komunistycznymi tajnymi służbami (w tym sowieckimi!). Zresztą w tej sprawie „fachowe” rozważania – bez jakichkolwiek podstaw źródłowych – prowadzi na przemian płk Jan Lesiak z SB („agentem nie był, ale działał na naszą korzyść”) i Andrzej Friszke z PAN („stratedzy w MSW mogli po prostu dojść do wniosku, że postawa Macierewicza jest dla nich

Fakty z życia Antoniego Macierewicza

- Antoni Macierewicz, urodził się 3 sierpnia 1948 r. w Warszawie jako syn Marii z domu Strączyńskiej i Zdzisława Macierewicza. Matka zdobyła tytuł doktora biologii, ojciec był docentem chemii, żołnierzem Armii Krajowej i działaczem chadecji (po wojnie był inwigilowany i najprawdopodobniej zamordowany przez Urząd Bezpieczeństwa w 1949 r.).
- W 1965 r. został relegowany z liceum, do którego uczęszczał, za odmowę potępienia na szkolnym apelu orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich („Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”). Po zdaniu matury aktywny w 1. Warszawskiej Drużynie Harcerskiej im. Romualda Traugutta „Czarna Jedyńka”, później instruktor harcerski i drużynowy.
- Od 1966 r. student historii na Uniwersytecie Warszawskim. Założyciel Ligi Niepodległościowej, w 1968 r. aktywnie włączył się w zbieranie podpisów pod listem do Sejmu PRL przeciwko zdjęciu ze sceny Teatru Narodowego „Dziadów” Adama Mickiewicza. Uczestnik protestów studenckich w marcu tego

samego roku, tymczasowo aresztowany i zawieszony w prawach studenta.

- W latach 70. aktywny naukowo w zakresie badań państwa Inków oraz historii ameryki południowej, bezskutecznie starał się o pracę w Polskiej Akademii Nauk, nie obronił doktoratu i nie wydał książki ze względu na blokadę polityczną. W 1976 r. m.in. wraz z Piotrem Naimskim, Wojciechem Onyszkiewiczem i Jackiem Kuroniem twórca Komitetu Obrony Robotników. Od 1977 r. do 1990 r. wydawca podziemnego miesięcznika opozycyjnego „Głos”.
- Od września 1980 r. kierownik Ośrodka Badań Społecznych NSZZ „Solidarność” oraz członek zespołu doradców Komisji Krajowej. 13 grudnia 1981 r. w dniu ogłoszenia stanu wojennego wszedł w skład komitetu strajkowego w Stoczni Gdańskiej, następnie przez rok był internowany.
- Po wyborach czerwcowych 1989 r. współtworzył albo działał w licznych partiach politycznych, m.in. Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, Wyborczej Akcji Katolickiej, Akcji Polskiej, Ruchu

dla Rzeczypospolitej, Ruchu Odbudowy Polski i Ruchu Patriotycznym.

- W latach 1991–1992 minister spraw wewnętrznych – w tym czasie ogłosił „listę Macierewicza”, ujawniając nazwiska znanych polityków (w tym Lecha Wałęsy), którzy mieli współpracować z SB. W 2004 r. dostał się do Parlamentu Europejskiego.
- W 2006 r. pełnił funkcję ministra obrony narodowej (gdzie zajmował się m.in. likwidacją Wojskowych Służb Informacyjnych), a następnie szefa Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Po katastrofie smoleńskiej od 20 lipca 2010 r. pełnił funkcję przewodniczącego zespołu parlamentarnego ds. wyjaśnienia przyczyn katastrofy rządowego samolotu Tu-154M w Smoleńsku, trzy lata później został jednym z wiceprzewodniczących Prawa i Sprawiedliwości. Od listopada 2015 r. do stycznia 2018 r. ponownie szef MON w rządzie Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Obecnie przewodniczący Podkomisji ds. Ponownego Zbadania Wypadku Lotniskowego pod Smoleńskiem. ©

oprac. Marcin Makowski

korzystna”). W każdym razie dyrektor Departamentu I MSW napisał w notatce, że Macierewicz nie jest ścigany listem gończym, a „za ucieczkę z internowania nie grożą [mu] żadne sankcje karne”. Nasi odkrywcy oddają głos Friszchemu, który – o zgrozo! – nazywa notatkę „certyfikatem bezpieczeństwa” wystawionym przez szefa wywiadu, zastanawia się, dlaczego właśnie wywiad interesował się Macierewiczem, i oznajmia, że nigdy nie spotkał się z podobnym dokumentem. W całej sprawie zarówno autorzy książki, jak i cytowany profesor historii nie wskazują na dwie fundamentalne kwestie: że dokument pochodzi z akt sprawy wywiadowczej o kryptonimie Chemex, wymierzonej w przyjaciela Macierewicza – Piotra Naimskiego, który przebywał w tym czasie w Stanach Zjednoczonych i był rozpracowywany przez Departament I (głównie za pośrednictwem André de Pourbaix, czyli agenta o pseudonimie Zores/Sato/Rota, co w szczegółach opisał kilka lat temu Witold Bagieński z IPN) oraz że informacja o niegroźnych Macierewiczowi sankcjach wynika wprost z przepisów amnestii ogłoszonej w dniu 21 lipca 1984 r.

Całą tę manipulację potwierdza w dodatku fakt, że autorzy „Biografii nieautoryzowanej” nie tylko znają akta sprawy „Chemex”, z której pochodzi wspomnianą notatką Sarewicz, lecz także nie informując o tym, nadają jej walor tajemniczości i wyjątkowości, nie łącząc jej wcale z rozpracowaniem kontaktów Macierewicza i Naimskiego. W rzeczywistości każda interakcja krajowego podziemia z agendami solidarnościowymi na Zachodzie pociągała za sobą aktywność wywiadu, który rozpracowywał wszystkie kanały łączące ludzi konspiracji w Polsce z organizatorami pomocy z Zachodu.

Tak wypaczony obraz, chaos i intencjonalność autorów po-

wodują, że dosłownie wszystko przemawia przeciwko Antoniemu Macierewiczowi. W hejterskim obłędzie liczy się każdy zarzut – nawet pisemne odwołanie (odpowiednio przerobione pod tezę) Macierewicza od negatywnej decyzji w sprawie odmowy paszportu z 1988 r. adresowane do gen. Czesława Kiszczaka nazywane jest „listem” i określane jest mianem „kontaktowania się z szefem PRL-owskiego aparatu represji” (dobrze, że autorzy nie znają korespondencji paszportowej Władysława Bartoszewskiego z szefem MSW...). Pojawiają się nawet sprzeczne ze sobą „wrzutki” o Macierewiczu, który raz zna języki hiszpański, angielski i keczua, a innym razem ich nie zna.

Zarzutami są jest antykomunizm i kontestacja Okrągłego Stołu, lustracja i dowiedziona empirycznie przez historyków agenturalność Wałęsy i Chrzastowskiego (o której w książce nie ma ani słowa!), w kółko powracająca sprawa Roberta Luśni i rzekomo projektowany sojusz z LWP w podziemiu, przerwanie wątpliwej gry UOP z Rosjanami i Markiem Zielińskim, dobór znajomych i współpracowników, likwidacja WSI (oglądana przez pryzmat dekonspiracji działalności biznesowej płk. Aleksandra Makowskiego), lektury i interpretacje historyczne (fascynacja Anatolijem Golicynem). Wszystko! Za to w tej opowieści każdy krytyk Macierewicza jest wiarygodny – im bardziej z nim skonfliktowany, tym bardziej wiarygodny jako świadek.

Anna Gielewska i Marcin Dzierżanowski, odmawiając Antoniemu Macierewiczowi zasług i jakiegokolwiek dobra, popadli w konflikt z prawdą. I przegrali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**SZCZEGÓŁOWA ANALIZA BŁĘDÓW
ZAWARTYCH W „BIOGRAFII
NIEAUTORYZOWANEJ” WKRÓTCE
NA DORZECZY.PL**

**JESTEM POLSKIM MUZYKIEM ZALEŻY
MI NA NIEZALEŻNOŚCI POLSKIEJ SZTUKI
PROSZĘ O OCHRONĘ POLSKIEJ TWÓRCZOŚCI
JESTEM POLSKIM PRODUCENTEM ZALEŻY
MI NA RÓWNYCH SZANSACH W INTERNECIE
PROSZĘ O PRYZNANIE KULTURZE PRAWA
DO UCZCIWEGO TRAKTOWANIA JESTEM
POLSKIM WYKONAWCĄ PROSZĘ O RÓWNOŚĆ
WYPOWIEDZI ARTYSTYCZNEJ ZALEŻY MI NA
CYFROWEJ PRZYSZŁOŚCI POLSKIEJ MUZYKI
JESTEM POLSKIM AUTOREM ZALEŻY MI NA
NIEZALEŻNOŚCI POLSKIEJ SZTUKI**

**#ZAPRAWO
#KULTURZE**

#valuegap

**PROSZĘ POLSKICH
EUROPARLAMENTARZYSTÓW
O POPARCIE DYREKTYWY
W SPRAWIE PRAW
AUTORSKICH
NA JEDNOLITYM RYNKU
CYFROWYM**

MATEUSZ "MANDEE" ANDRZEJEWSKI

MICHAŁ BAJOR

TULIA BICZAK TULIA

MARCIN CIEMPIEL WILKI

CLEO

MIKIS CUPAS WILKI

JOANNA DARK

MAREK DUTKIEWICZ

MARTA GAŁUSZEWSKA

HUBERT GASIUL WILKI

BENIAMIN GAWLIŃSKI WILKI

ROBERT GAWLIŃSKI WILKI

MACIEK GŁADYSZ WILKI

RENI JUSIS

KRZYSZTOF KALWAT KALWI & REMI

TOMASZ KAROLAK PĄCZKI W TŁUSZCZU

PATRYK KUMÓR

LANBERRY

MONIKA LEWCZUK

ROMUALD LIPKO

ALICJA MAJEWSKA

DAREK MALEJONEK

MACIEJ MALENCZUK

BARTOSZ MIECZNIKOWSKI PĄCZKI W TŁUSZCZU

KRZYSZTOF NAPIÓRKOWSKI

PATRYCJA NOWICKA TULIA

NATALIA NYKIEL

ANDRZEJ PIASECZNY

SIDNEY POLAK

REMIGIUSZ POŚPIECH KALWI & REMI

RED

POLA RISE

PAWEŁ ROSAK

SARSA

SASZAN

DOMINIKA SIEPKA TULIA

JOANNA SINKIEWICZ TULIA

STANISŁAW SOYKA

JACEK STACHURSKY

MUNIEK STASZCZYK

MICHAŁ SZPAK

IZABELA TROJANOWSKA

ANIA WYSZKONI

ZAGI

DARIA ZAWIAŁOW



**Z dr. hab. Jarosławem Flisem,
socjologiem**
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: PiS może wygrać wybory w 10 z 16 sejmików wojewódzkich. Pytanie tylko, czy największa liczba radnych będzie oznaczać realne zwycięstwo?

DR HAB. JAROSŁAW FLIS: W ostatnich wyborach w Małopolsce PiS wygrał, ale władzy nie przejął. Najbardziej optymistyczne dla tej partii sondaże dają jej większość w czterech województwach. W pozostałych potrzebne będzie porozumienie, a PiS nie ma zdolności koalicyjnej. Złożyły się na to wydarzenia ostatnich trzech lat. W tym czasie PiS zrobił wszystko, żeby tylko ktoś przez przypadek nie zawarł z nim koalicji. Partia Kaczyńskiego woli podgrzewać konflikty, niż je łagodzić. Dlatego wszystko wskazuje na to, że sytuacja będzie przypominać tę z 2014 r., kiedy to PiS w żadnym z czterech województw, w których wygrał, lecz nie zdobył większości mandatów, nie znalazł koalicjanta – został z niczym. PSL, które jeszcze w 2006 r. się wahało i w wielu miejscach zawierało koalicję z PiS, dziś już z pewnością będzie unikać jak ognia jakiegokolwiek układu z tym ugrupowaniem. Wygrana bez większości i bez zdolności koalicyjnych to pyrrusowe zwycięstwo. W samorządach, w których dojdzie do takiej sytuacji, PiS będzie po prostu największą partią opozycyjną.

Wydaje się, że dziś głównym ideowym wrogiem PiS nie jest lewica postkomunistyczna, tylko koalicja PO i Nowoczesnej. Może więc w niektórych miejscach dojdzie do porozumienia z pragmatycznym SLD?

Wydaje się to bardzo wątpliwe. To byłby sojusz niezrozumiały dla wyborców obu stron. SLD jest zdecydowanie najdalej od PiS, gdy spojrzeć na samookreślenia wyborców. Już nawet PO-PiS w samorządach byłby z takiego punktu widzenia łatwiejszy. Oskarżenie o postkomunizm wciąż jest przecież najcięższą obelgą w arsenale PiS. SLD byłby raczej wymarzoną przeciwnikiem, ale to nierealne, bo partia Czarzastego jest dziś zbyt słaba w sondażach, by PiS w kontrze do niej ustawiało swoją kampanię. Ideowo i społecznie najłatwiej byłoby mu dogadać się z PSL. W obecnych warunkach taki sojusz to oczywiście political fiction. PiS swoją agresywną retoryką na siłę wypycha PSL w ramiona pozostałych partii opozycyjnych, wbrew woli samych ludowców. W końcu jednak przekonał ich swoją agresywną polityką, że lepiej współpracować z PO i Nowoczesną. Jak pokazują liczne analizy sondaży i wyników głosowania, PSL jest partią najbliższą ideowo PiS. Jednak również z tego powodu PiS

FOT. KRZYSZTOF ŻULCZOWSKI/REDA

traktuje PSL-owców jako głównego wroga w walce o wyborców z mniejszych miejscowości, wroga groźniejszego nawet niż PO. Gdy w 2007 r. Platforma wygrała wybory samorządowe, w paru województwach doszło do odwrócenia sojuszy. PSL rezygnowało ze współpracy z ugrupowaniem Kaczyńskiego i zawarło koalicję z PO – podobnie na Lubelszczyźnie rozpadł się PO-PiS, zastąpiony koalicją PO-PSL. W Małopolsce już wcześniej, po odejściu z PiS grupy Marka Nawary, ludowcy zmienili koalicjanta na PO. Z kolei po podwójnym zwycięstwie w 2015 r. PiS nie był w stanie zrobić tego samego i przeciągnąć pragmatycznych PSL-owców na stronę partii władzy. Nigdzie nie udało się rozbić dotychczasowej koalicji. Myślę, że ten brak zdolności

Jednak PiS nigdy nie obiecywał decentralizacji. Stawianie interesu ogólnopolskiego ponad interesem lokalnym to wręcz część filozofii tej partii.

Zgadza się, ale nawet jeśli taka filozofia zyskuje szeroki aplauz we własnych szeregach, to jednak zupełnie różni się z odczuciami większości Polaków. Władze samorządowe są oceniane znacznie lepiej niż władze centralne. Wbrew narracji PiS wyborcy z reguły skutecznie weryfikują wójtów, burmistrzów i prezydentów – dobrych zostawiają, złych odsyłają na zieloną trawkę. U władzy pozostaje tylko 60–70 proc. starych włodarzy – to sporo, lecz to oznacza także, że ryzyko niepowodzenia jest spore i bez wysiłku się nie wygrywa. Brak zaufania do samorządów skutkuje reakcją symetryczną. PiS w samorządach ma bowiem najsłabsze przełożenie

Inicjatywy dotyczące rolników podejmowane są na szczeblu centralnym i propagowane głównie w mediach ogólnopolskich. Nie musi to więc mieć prostego przełożenia na wybory samorządowe. Natomiast główny problem PiS na wsi to problem kadrowy. Z uwagi na scentralizowaną strukturę wewnętrzną ugrupowanie to ma problem z przyciąganiem ludzi aktywnych lokalnie. Z kolei PSL jest partią bardzo demokratyczną, jeśli chodzi o lokalne struktury. Jak to opisał kiedyś wójt jednej z gmin, ludowcy, tak jak w innych partiach, też się wygryzają, ale się nie zagryzają. Czyli jeśli powstają jakieś wewnętrzne konflikty, to oczywiście zawsze ktoś wygrywa, ale nie jest tak, że przegrany jest usuwany z partii, jak to się dzieje w PiS czy PO. Partia troszczy się o niego, daje mu jakąś nagrodę pociesze-

PiS może wygrać i nie przejąć władzy

do zawierania sojuszy jest dla tego ugrupowania nawet większym problemem niż spory wokół sądownictwa. To efekt bezkompromisowej retoryki i wrzucania wszystkich do worka z napisem: „Wrogowie polityczni”. PiS lubi stawiać wszystko na ostrzu noża. I dlatego w samorządach jest po tej stronie ostrza, po której władzy nie ma. To o tyle istotne, że właśnie zaczyna się wielki maraton wyborczy – w ciągu dwóch lat wybory samorządowe, europejskie, parlamentarne, prezydenckie... Potknięcie na starcie może tu wiele kosztować. Tymczasem PiS zaczyna cierpieć na tę samą chorobę, na którą zapadła Platforma w 2010 r. – czyli wydaje mu się, że jak ma w rękach wszystkie ośrodki władzy centralnej, to wystarczy wyrównać szeregi i podporządkować samorządy ogólnopolskiemu, partyjnemu interesowi. W 2010 r. PO bardzo boleśnie przekonała się, że to nie działa, że wybory samorządowe kierują się zupełnie inną logiką.

liczby zdobywanych głosów na zdobywaną władzę. Ta tendencja panuje na każdym szczeblu – w sejmikach, zarządach, radach miast, gmin, powiatów. PiS jest zadziorny, dlatego całkiem dobrze mu idzie zdobywanie władzy tu i ówdzie, wcale nie gorzej niż w przypadku PO, natomiast już znacznie gorzej jest z utrzymaniem władzy. Na niezadowoleni da się wygrać, ale nie da się za jego pomocą rządzić. Dlatego zdarza się, że kandydat PiS pokonuje słabego i niepopularnego włodarza, ale z reguły w następnych wyborach już przegrywa, bo zawsze pojawi się jakiś nowy działacz, który będzie potrafił przekonać, że będzie jednak lepszy.

„PSL powstrzyma PiS, który jest fałszywym obrońcą polskiej wsi” – zapowiada Władysław Kosiniak-Kamysz. PiS ostatnio coraz bardziej kolkietuje elektorat wiejski. Na stanowisku ministra rolnictwa nie lubianego Krzysztofa Jurgieła zastąpił rolnikiem Krzysztofem Ardanowskim. Co i rusz proponuje nowe rozwiązania dla wsi. Myśli pan, że te ruchy przekonają wyborców PSL do PiS?

nia, załatwia mu pracę, żeby miał z czego żyć... PSL jest silnie oddolnie. W niektórych miejscach to rzeczywiście prowadzi do patologii, ale generalnie ludowcy dzięki takim praktykom mają silną sieć kontaktów. Pojawia się pytanie, na ile przez osiem lat władzy ta partia się rozleniwiła, na ile samorządowcy PSL stali się „tłustymi kotami”, które nie będą już w stanie polować...

No właśnie, na ile?

PSL zbudowało sobie dużą sieć kontaktów, ale jednak obecnie to PiS swoich lokalnych działaczy „utuczył” na spółkach Skarbu Państwa. Nie na darmo przecież prezes Kaczyński zapowiedział, że ci, którzy dużo zarabiają w tych spółkach, nie będą kandydować. Tyle że władze partii ostatecznie ustaliły, ile to jest dużo – powyżej 15 tys. zł miesięcznie. Ci, którzy zarabiają trochę mniej, samorządowcami mogą zostać. Taka granica, jeśli porównać to z 6,5 tys. wicepremier Bieńkowskiej, to piękny samobój, aż dziw, że opozycja

■ tego nie wykorzystuje. Tak czy inaczej faktem jest, że bardzo wielu lokalnych działaczy PiS ulokowało się w spółkach Skarbu Państwa, do których przecież już od dawna PSL nie ma dostępu. Stare porzekadło mówi: „Dlaczego zając biegnie szybciej od lisa? Bo lis biegnie po obiad, a zając po życie”. Dlatego też w kampanii wyborczej to właśnie politykom PiS będzie trudniej się zmobilizować. Nie wyobrażam sobie, by wstawali o godz. 6 rano, by pędzić np. na dworzec rozdawać ulotki. PSL-owcy nie będą mieli wyjścia. Z moich obserwacji kolejnych kampanii wyborczych wynika, że za każdym razem partii premiera było niezwykle trudno zmobilizować się do walki o głosy w samorządach. Dodatkowo bardzo ważnym czynnikiem jest to, że jednak ludowcy są partią centrową, przez co dużo łatwiej jest im skupiać wokół siebie zarówno kandydatów, jak i wyborców generalnie niezaangażowanych politycznie. W wyborach samorządowych głosuje zazwyczaj ponad milion wyborców, którzy nie uczestniczą w wyborach ogólnopolskich. I odwrotnie: ok. 2 mln wyborców ogólnopolskich nie bierze udziału w wyborach samorządowych. Dlatego PiS i PO, a więc te partie, które skupiają na sobie największą uwagę ogólnopolskich mediów, dużo gorzej wypadają na szczeblu samorządowym. Z kolei w przypadku PSL jest odwrotnie – centrowość i zrównoważenie ludowców procentują na szczeblu lokalnym. To się oczywiście może zmienić, ale ja się raczej spodziewam, że mniej więcej taki wzór powtórzy się w bieżących wyborach samorządowych.

Twierdzi pan, że ogólnopolskie inicjatywy PiS związane z rolnictwem nie pomogą znacząco w konkurencji z PSL. A co z polityką socjalną? Takie programy jak „500+” czy „300+” nie przekonają mieszkańców małych miejscowości do przetrwania swoich głosów na PiS?

Raczej nie, bo w tej sprawie PSL ma takie samo zdanie. To mogłoby mieć znaczenie, gdyby PSL opowiadało się przeciwko „500+”.

PSL może się opowiadać za lub przeciw, ale program ten wprowadził PiS.

To prawda, ale tak samo wydawało się, że skoro Platforma budowała autostrady, to powinna liczyć na wdzięczność wyborców. Ci jednak uznali, że to nie się po prostu należało, że to nie jest żadna zasługa partii wówczas rządzącej. Tak jak było wiadomo, że po odsunięciu PO od władzy nikt nie zburzy autostrad, tak teraz wiadomo, że nikt nie zlikwiduje

„500+”. Z kolei to, że PiS jedne rzeczy robi dobrze, nie oznacza, że wyborcy zapomną o rzeczach złych. Podgrzewając konflikty społeczne, PiS sprzyja jednocześnie mobilizacji swoich przeciwników. Z amerykańskich doświadczeń wiadomo, że podczas tzw. midterms, czyli wyborów odbywających się w połowie kadencji władzy centralnej, z reguły przeciwnicy tej władzy mobilizują się bardziej niż zwolennicy. Widać to również na przykładzie polskiej polityki. W wyborach samorządowych podczas rządów PO mocna była antyrządowa opozycja. Podobnie jeśli w środku kadencji władza popełni jakiś wielki błąd i próbuje go naprawić na ostatnią chwilę, to zazwyczaj to się nie udaje. Tak było z Platformą w 2015 r.

„Jednocyfrowy wynik ludowców w wyborach samorządowych może ich tak osłabić, że po raz pierwszy nie przekroczą progu wyborczego do Sejmu” – mówił w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” ponoć jeden z doradców Kaczyńskiego. Jak pan prognozuje? Nadzieje PiS się spełnią?

Trudno powiedzieć. Bez dwóch zdań są to dla PSL bardzo ważne wybory. Jednak warto pamiętać, że w 2006 r. ta partia miała jeszcze większe sondażowe problemy i jakoś z nich wyszła. Widać też, że zbyt duża temperatura sporu politycznego na poziomie ogólnopolskim może działać na rzecz PSL, które w tej sytuacji może okazać się deską ratunkową dla wyborców o konserwatywnych poglądach, którzy zgadzają się ideowo z PiS, ale są zrażeni stylem rządzenia tej partii.

Mówił pan, że dla Kukiza wybory samorządowe to „za wysokie progi”... W ostatniej chwili ogłosił swojego kandydata w walce o Warszawę. Niektórzy ironizowali, że dobrze, iż przed wyborami, a nie po nich... Kukiz przegra tę kampanię z kretesem?

Byłoby dużym zaskoczeniem, gdyby w tej kampanii ruch Kukiza odegrał jakąkolwiek rolę. A to dlatego, że karta bezpartyjności, którą umiejętnie grał w wyborach ogólnopolskich, w wyborach samorządowych nie tylko nie jest niczym niezwykłym, lecz także jest wręcz permanentnie używana przez bardzo mocnych kandydatów lokalnych. Gdyby w 2015 r. Kukiz nie postawił na narodowców, tylko na bezpartyjnych samorządowców, mógłby wygrać w paru miastach. Byłby sensacją jak Beppe Grillo we Włoszech. Kandydaci Ruchu Pięciu Gwiazd zwyciężyli w Turynie i w Rzymie. Analogiczny sukces Kukiza np. w Warszawie i Poznaniu byłby niewyobrażalną sensacją.

Przejdźmy do Warszawy... Niektórzy walkę o stolicę porównują z wyborami prezydenckimi z 2015 r. Czyli młody, rzutki i ambitny kandydat PiS versus starszy, niemrawy i nazbyt pewny siebie kandydat PO, który zalicza wpadkę za wpadką. Zasadna analogia?

Wpadki zdarzają się obu kandydatom. Różnica pomiędzy Komorowskim a Trzaskowskim jest jednak kolosalna. Komorowski był urzędującym prezydentem i wydawało mu się, że nic nie musi robić. Dodatkowo Warszawa dla PiS to bardzo trudny teren. Proszę pamiętać, że w 2006 r. o Warszawę walczył Marcinkiewicz, który wówczas był u szczytu popularności, PiS był wtedy na fali, prowadził w sondażach, zupełnie tak jak dzisiaj... Jego przeciwniczką była Hanna Gronkiewicz-Waltz, która, podobnie jak Komorowski, mistrzynią kampanii wyborczych nigdy nie była. Marcinkiewicz nawet wygrał w pierwszej turze. Jednak już w drugiej od osobistych przymiotów kandydatów ważniejszym czynnikiem okazała się niechęć warszawiaków do PiS. Inna sprawa, że Platforma rządzi w stolicy już długo i jest władzą widocznie znużona. Uważam jednak, że ewentualne zwycięstwo kandydata PiS byłoby sporym zaskoczeniem. Tym bardziej że jeśli już wracać do analogii z 2015 r., to Andrzej Duda przerasta Patryka Jakiego politycznie i intelektualnie, a wybory w samej Warszawie przegrał. A przecież Jakiemu zdarzyło się dużo więcej wpadek niż Dudzie trzy lata temu.

A jak na wyniki wpłynie „wojna” na billboardy pomiędzy PiS a PO?

Celem kampanii billboardowej jest mobilizacja twardego, negatywnego elektoratu, który tak naprawdę nie tyle kocha swoją partię, ile nienawidzi jej przeciwników. W wyborach samorządowych to nie ma sensu. Łatwo na tym stracić. A zyskać może – powtarzam – wyważone i centrowe PSL. Poza tym rozumiem, że opozycja stosuje kampanię negatywną, opartą na tematach ogólnopolskich, a nie samorządowych. Najwidoczniej nie mają lepszego pomysłu. Jednak dlaczego robi to PiS? Partia rządząca powinna raczej pokazać pozytywne przykłady z miejscowości, w których rządzi, przekonywać wyborców, że w rządzonych przez PiS Łomży czy Nowym Sączu nie ma afer, ludziom żyje się dobrze i wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Jak widać, atakowanie przeciwnika jest łatwiejsze niż eksponowanie własnych sukcesów. Jednak na pewno nie jest skuteczniejsze.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wybór kandydatów do izb Sądu Najwyższego ruszył z dużym opóźnieniem, bo salę zablokowali działacze Obywateli RP. FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

Najwyższy problem



Wojciech Wybranowski

Z jednej strony liczne protesty i szykany wobec kandydatów, a z drugiej – polityczne wsparcie dla przyszłych sędziów, utajnione i powtarzane głosowania. Tak wybierano kandydatów na sędziów Sądu Najwyższego

Zanim w siedzibie Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie rozpoczęło się w ubiegłym tygodniu posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa poświęcone wyborowi kandydatów na sędziów Sądu Najwyższego, do budynku weszli

działacze ruchu Obywateli RP. Rozwinęli transparenty, wznosili hasła. Nie wpuszczali do pomieszczeń członków KRS ani kandydatów, którzy przybyli tam, by przedstawić swoje kompetencje i ubiegać się o nominacje. Aktywiści przekonywali, że sprzeciwiają się łamaniu konstytucji,

a wybory kandydatów na sędziów SN ich zdaniem będą sprzeczne z ustawą zasadniczą.

Po czterech godzinach rektor uczelni, która podnajęła salę KRS, zgodził się na interwencję policji. Ta wyniosła demonstrantów z budynku. KRS rozpoczęła prace z wielogodzinnym poślizgiem. – Rozumiem protesty, happeningi, demonstracje, są one przecież immanentną częścią demokracji. Natomiast nie może dochodzić do anarchii i łamania prawa, zakłócania przez protestujących prac konstytucyjnego organu państwa – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” sędzia dr Maciej Mitera, rzecznik KRS. A znany prawnik, sędzia Wiesław

■ Johann, wiceprzewodniczący KRS, przekonuje, że protest nie miał większego społecznie znaczenia. – Muszę powiedzieć starym porzekadłem: „Psy szczekają, karawana jedzie dalej”. Rok temu zostały uchwalone określone ustawy, które tworzą to, co określamy mianem reformy wymiaru sprawiedliwości. Była potrzeba wyłonienia kandydatów do nowo utworzonych izb SN i uzupełnienia wakatów, te zadania wykonujemy – mówi sędzia Johann.

Z DUŻEJ CHMURY WIELKI DESZCZ

W lipcu 2017 r. Sejm, gdy przyjmował trzy budzące spore protesty opozycji i części środowisk prawniczych ustawy: o ustroju sądów, Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa, opozycja wyprowadziła ludzi na ulice. Przed budynkami sądów odbywały się protesty organizowane pod pretekstem „sprzeciwu wobec niszczenia niezależnego sądownictwa”.

PiS odpowiadał argumentami o konieczności naprawy sądów w Polsce, usunięcia skorumpowanych nieudolnych sędziów, transparentności funkcjonowania i usprawnienia Sądu Najwyższego. Jednak prezydent Andrzej Duda, pod naciskiem środowisk prawniczych, zawetował dwie najważniejsze z punktu wi-

stwa, która wskazywać ma kandydatów do Sądu Najwyższego, wybierana będzie od teraz przez Sejm, a nie jak wcześniej przez środowiska sędziowskie; ustawa o Sądzie Najwyższym tworzy zaś dwie nowe Izby Sądu Najwyższego: Izbę Dyscyplinarną SN i Kontroli Nadzwyczajnej. Skrócił się też wiek przechodzenia sędziów w stan spoczynku z 70. roku życia do 65.

Ten ostatni zapis spowodował, że stanowisko prezesa SN latem tego roku musiała opuścić dotychczasowa prezes SN, zaangażowana w opozycyjne protesty prof. Małgorzata Gersdorf.

Środowiska opozycyjne właśnie jako koronny argument niezgodności z konstytucją ustaw sądowych wskazują obniżenie wieku emerytalnego sędziów SN ustawą. Obóz Zjednoczonej Prawicy odpowiada, że właśnie konstytucja pozwala na zmianę czasu przejścia sędziów w stan spoczynku ustawą. Wśród prawników i samych sędziów zdania na ten temat są podzielone.

– Wiek emerytalny sędziów reguluje ustawa. Wszyscy więc ci, którzy mówią o tym, że przesuwanie sędziów na wcześniejszą emeryturę jest łamaniem konstytucji, najpewniej nie przeczytali artykułu mówiącego o tym, iż wiek emerytalny sędziego określa ustawa – mówi-

stowarzyszeń sędziowskich krytykujących reformę wymiaru sprawiedliwości i zaangażowanych w opozycyjne protesty, m.in. Iustitia, zaapelowała do sędziów, by nie kandydowali w wyborach. Ci, którzy apeli nie słuchali, byli zastraszeni, pod ich domami rozwieszane były atakujące ich billboardy, rozdawano ulotki, niektórzy odbierali anonimowe wiadomości z pogrózkami.

Wezwania do bojkotu nie przyniosły jednak skutku i pod koniec marca Sejm wybrał nową Krajową Radę Sądownictwa. Ta zaczęła przymierzać się do wyboru nowych sędziów SN, szczególnie do izb, które powołano ustawą o SN, a które wciąż nie zaczęły funkcjonować. Jeszcze pod koniec lipca, gdy rozmawialiśmy z rzecznikiem KRS sędzią Miterą, mówił „Do Rzeczy”, że Rada zacznie wyłaniać kandydatów dopiero we wrześniu.

Jednak w połowie sierpnia nastąpiło gwałtowne przyspieszenie. Dlaczego? – Nie było już na co czekać. Mamy dwie izby Sądu Najwyższego, bardzo istotne, które nie funkcjonują, bo nie wybrano do nich dotąd sędziów. Przewodniczący podjął decyzję, że skoro możemy już pracować nad wyłonieniem kandydatów, to trzeba to zrobić, nie ma co w tej sprawie doszukiwać się drugiego dna – mówi nam Mitera.

I znów, podobnie jak w przypadku wyłaniania kandydatów do KRS, część aktywistów nieformalnych organizacji opozycyjnych oraz niektóre środowiska sędziowskie i prawnicze próbowały zastraszać chętnych do kandydowania do SN i zmusić ich do wycofania się z wyborów. Stowarzyszenie sędziów Iustitia wydało oświadczenie, w którym przekonuje, że wybory do SN będą... nieważne. „Kolejne zmiany ustaw ustrojowych praktycznie nie pozwalają na merytoryczną ocenę kandydatów do Sądu Najwyższego, a sama procedura konkursowa jest w coraz większym stopniu niekonstytucyjna” – stwierdzono w oświadczeniu stowarzyszenia. Jeszcze dalej poszło marginalne stowarzyszenie sędziów Themis, które zaatakowało kandydujących do SN. „[...] nazwiska osób aspirujących do Sądu Najwyższego w warunkach stworzonego obecnie ustawowego bezprawia staną się synonimem służalczości wobec systemu niszczącego państwo prawa [...]” – napisano w oświadczeniu.

Na niepokornych spadają szykany. Jak? Na przykład do Okręgowej Rady

Na sędziów, którzy zdecydowali się kandydować do Sądu Najwyższego i nie ulegli presji środowiska, spadają szykany

dzenia partii Kaczyńskiego ustawy: o SN i KRS, zapowiadając zgłoszenie własnych propozycji. Wakacyjny okres ubiegłego roku był czasem mocnego przesilenia między Nowogrodzką a dużym pałacem i podjazdowej wojny między ludźmi Ziobry oraz ekipą prezydenta. – Był to tak naprawdę pierwszy bardzo poważny kryzys polityczny w naszym środowisku. Proszę zwrócić uwagę, że wówczas pojawiły się po raz pierwszy głosy, iż Duda nie dostanie poparcia naszego ugrupowania w walce o reelekcję. To środowisko kwestionujące Dudę przycichło, ale kuluarowo nadal jest aktywne – mówi nam jeden ze znanych posłów PiS, częsty bywalec Nowogrodzkiej.

Wreszcie jesienią ubiegłego roku Sejm przyjął ostateczne wersje ustaw o KRS. Zgodnie z nimi Krajowa Rada Sądownic-

ła w wywiadzie dla „Do Rzeczy” sędzia Barbara Piwnik. I tłumaczyła: – Trudno mówić o złamaniu konstytucji, gdy tak jak w przeszłości ustawa reguluje możliwość dalszego orzekania po osiągnięciu wieku emerytalnego.

Jednak opozycja znów wyprowadziła ludzi na ulice. Wiosną tego roku protesty były znacznie mniejsze niż wcześniej. Przy okazji okazało się, że wśród dotychczasowych sędziów SN nadal są też i tacy, którzy – tak jak wiceprezes SN Józef Iwulski – wydawali wyroki w stanie wojennym w procesach opozycjonistów.

JAK ZASTRASZYĆ SĘDZIÓW

W marcu Sejm przystąpił do wyboru członków Krajowej Rady Sądownictwa – tych, którzy mają decydować o wyłonieniu kandydatów na sędziów SN. Część

Adwokackiej w Warszawie wpłynął wniosek o wszczęcie postępowania dyscyplinarnych w stosunku do ośmiu adwokatów kandydujących do SN, a ta odwołała już ze stanowiska przewodniczącego Zespołu Wizytatorów kandydującego do SN Sławomira Zdunka. Z kolei Okręgowa Rada Adwokacka w Bydgoszczy wyrzuciła ze stanowiska kierownika szkolenia aplikantów adwokackich oraz wykładowcy prawa karnego procesowego adwokata Grzegorza Hawrylkiewicza.

– Dla mnie to skandalicznie żenująca sytuacja. Odbiera się adwokatom prawo do decydowania o swojej karierze, o swoim losie. Nigdzie w żadnym kodeksie zasad etyki adwokackiej nie jest wpisane, że adwokatom nie wolno zgłaszać się do SN – komentuje Wiesław Johann, wiceprzewodniczący KRS.

Ostatecznie 11 sędziów wycofało swoje kandydatury do Sądu Najwyższego.

Do prezydenta Andrzeja Dudy zwrócił się też promotor jego pracy doktorskiej prof. Jan Zimmerman z UJ, apelując o wstrzymanie się z powoływaniem nowych sędziów SN do czasu, gdy rozpatrzone zostaną odwołania kandydatów zaopiniowanych negatywnie.

PROBLEMY I WĄTPLIWOŚCI

Ostatecznie, w minionym tygodniu, KRS wybrała kandydatów na wakujące miejsca w Sądzie Najwyższym. Pracom Rady codziennie towarzyszyły demonstracje i rozróbę grupy aktywistów organizacji Obywatele RP.

– Zarówno ze względu na prestiż KRS, jak i na bezpieczeństwo Rady w nowym budżecie państwa powinny zostać zabezpieczone środki na własną siedzibę dla KRS. W innej sytuacji prace konstytucyjnego organu będą ciągle zagrożone przez dowolne grupy protestujących – mówi „Do Rzeczy” poseł prof. Krystyna Pawłowicz, członek KRS. I przekonuje: – KRS przecież należy się podobne zabezpieczenie, z których korzystają inne organy konstytucyjne: własna ochrona wewnątrz budynku, ochrona korespondencji czy kontrola kontrwywiadowcza.

Akcja opozycjonistów w budynku, w którym obradowała Rada, i wokół niego to jednak niejedyny problem, z którymi musiała się ona zmierzyć. Nie udało się wyłonić wszystkich kandydatów do Izby Dyscyplinarnej SN, co oznacza, że będzie potrzebna organizacja jeszcze jednego konkursu. Z 12 (jest 16 miejsc) wyłonionych dotąd kandydatów sześciu jest

prokuratorami. Media bliskie opozycji twierdzą, że to dowód na upolitycznianie SN, a także niebezpieczeństwo, że Izba Dyscyplinarna może stać się „batem” na „niepokornych sędziów”.

„Polityczny Sąd Najwyższy i pozbawiony kompetencji staje się faktem. I to wszystko dzieje się w Polsce... na naszych oczach...” – bulwersował się na Twitterze sędzia Waldemar Żurek, były już rzecznik KRS. To jeden z tych sędziów, którzy

tuje pogląd na temat art. 18 konstytucji, sprzeczny z utrwaloną doktryną i orzecznictwem, propagujący małżeństwa jednopłciowe, nie oznacza, że powinien orzekać akurat w Izbie Cywilnej SN.

Parlamentarzystka przekonuje też, że nie doszło – wbrew informacjom mediów – do awantury z opowiadającym się po stronie Zaradkiewicza ministrem Ziobrą. Zdaniem posłanki była to merytoryczna wymiana argumentów.

Poprzedni Sąd Najwyższy zawiesił ustawę dotyczącą wieku emerytalnego sędziów. Nie wiadomo jednak, czy mógł to zrobić

najostrzej sprzeciwiają się zmianie w wymiarze sprawiedliwości. Na Twitterze pisze m.in. o „uzurpatorach”, a wybranym kandydatom do SN zarzuca, że „zgodzili się brać udział w łamaniu konstytucji i niszczeniu Sądu Najwyższego”.

Spore zastrzeżenia wśród komentujących wybory internautów wzbudziło to, że na wniosek członków KRS głosowanie utajniono. Ustawa o KRS nakazuje transmisje obrad w Internecie, jednak zostawia furtkę pozwalającą na wyłączenie jawności głosowań personalnych.

Krajowa Rada Sądownictwa wybrała już 20 kandydatów na sędziów w Izbie Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych. – W pracach tego zespołu, który oceniał kandydatów do Izby Kontroli Nadzwyczajnej, staraliśmy się rzeczywiście rozmawiać, nie odpytywać, ale rozmawiać. Poziom kandydatów był wysoki, byłem pozytywnie zaskoczony ich przygotowaniem – informuje sędzia Johann.

Wyłoniono również siedmiu kandydatów do Izby Cywilnej Sądu Najwyższego. Tutaj doszło do największych kontrowersji. Uczestnicząca w obradach poseł Krystyna Pawłowicz sprzeciwiła się kandydaturze dr. Konrada Zaradkiewicza. Wskazywała, że miał on wcześniej wielokrotnie popierać możliwość uznawania za małżeństwa związków osób tej samej płci. – Moje zarzuty sformułowane dziś w KRS nie dotyczą prywatnych spraw pana Zaradkiewicza, lecz jego poglądów na sprawy fundamentalne w Polsce, konstytucyjnie chronione, to jest instytucję małżeństwa – tłumaczy prof. Pawłowicz. – Fakt, że jest on ekspertem od nieruchomości, a równocześnie jednak prezen-

W pierwszym głosowaniu Zaradkiewicz nie został zarekomendowany, nominację uzyskał dopiero w powtórzonym głosowaniu.

CO DALEJ Z SĄDEM NAJWYŻSZYM?

W ubiegłym tygodniu w „Monitorze Polskim” ukazało się obwieszczenie prezydenta Andrzeja Dudy o „wolnych stanowiskach sędziów” w Sądzie Najwyższym oraz NSA. Chodzi o wakaty po sędziach, którzy stracili posady po wejściu w życie nowej ustawy o SN zmieniającej wiek emerytalny.

Tymczasem kilka tygodni temu grupa sędziów SN skierowała do Trybunału Sprawiedliwości UE wiele „pytań prejudycjalnych”, dotyczących m.in. zakazu dyskryminacji ze względu na wiek. Jednocześnie poprzedni SN zawiesił stosowanie tych przepisów ustawy, które odsyłają sędziów w stan spoczynku po ukończeniu 65. roku życia.

Są jednak poważne wątpliwości dotyczące tego, czy SN ma prawo zawieszać funkcjonowanie jakiejkolwiek ustawy i czy nie przekroczył swoich kompetencji.

TSUE już zapowiedział, że sprawą się zajmie. Jednak nawet ostrożne szacowanie tempa prac Trybunału wskazuje, że werdykt poznamy nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Na pewno będzie towarzyszyć mu też kolejna polityczna burza. Tę już wywołał wywiad wicepremiera Jarosława Gowina dla „Do Rzeczy”, w którym zasugerował on, iż jeśli TSUE przyzna sobie prawo zawieszenia polskiej ustawy, to rząd może takie orzeczenie zignorować.



List Konserwatysty Zmiany do Konserwatysty Umiaru



Piotr Semka

Po raz pierwszy jedno ze środowisk Konserwatyzmu Umiaru opuściło obszar pracy eksperckiej, dokonując swego debiutu na scenie politycznej. Co z tego wyniknie?

W pierwszych słowach mego listu wypada mi pogratulować pierwszego politycznego sukcesu obozowi Konserwatystów Umiaru. Akcja protestu przeciwko reformie ordynacji do Parlamentu Europejskiego przeprowadzona przez Klub Jagielloński przyczyniła się do weta prezydenta RP, które skutecznie zamknęło inicjatywę PiS. Piotr Trudnowski z Klubu Jagiellońskiego nie krył satysfakcji z powodzenia swojej akcji politycznej, w której kooperował z PSL, SLD, Kukiz'15 i Partią Razem. Inicjatywa Klubu zbiegła się z listem rzecznika Konferencji Episkopatu Polski krytykującego projekt nowej ordynacji.

„Próba zmiany ordynacji wyborczej miała dużą wagę polityczną” – pisał

Trudnowski z wyraźną satysfakcją. Co ciekawe, wydarzenie to odbiło się stosunkowo niewielkim echem w mediach. A jednak mieliśmy do czynienia ze swym debiutem na politycznej scenie.

Po raz pierwszy jedno ze środowisk Konserwatyzmu Umiaru opuściło obszar pracy eksperckiej i koncepcyjnej i wkroczyło na obszar realnej polityki. Pora więc dokonać próby oceny zamierzeń i wizji środowiska, którego jedna z najważniejszych grup zaczęła robić politykę, a nie tylko o niej pisać.

RÓŻNE SPOJRZENIE

No, ale skoro ma być to list Konserwatysty Zmiany do Konserwatystów Umiaru, to na początek uporządkujmy pojęcia.

Konserwatysty Zmiany to ci Polacy, którzy uważają, że podwójna wygrana prezydencka i parlamentarna PiS w 2015 r. to trudna do przecenienia okazja do konserwatywnej rewolucji. Określenie to budzi sprzeciw wielu osób po prawej stronie. Przecież konserwatyzm kojarzyć się ma z szacunkiem dla instytucji i unikaniem zmian, tam gdzie tylko jest to możliwe. Ten paradoks jest dyskutowany już od ponad 28 lat. W 1990 r. Aleksander Hall, właśnie powołując się na swój konserwatyzm, sprzeciwiał się

hasłom przyśpieszenia rzucanym przez obóz Lecha Wałęsy. W tym samym czasie młoda generacja wychowanków Halla z tygodnika „Młoda Polska” wskazywała, że z pozostałości PRL nie da się inaczej wyjść, jak drogą rewolucyjnych zmian, a wszelkie powoływanie się na ciągłość instytucji preferuje i umacnia siłę ludzi, którzy zamienili marksizm na liberalizm, ale na swoich specyficznych zasadach. Ten problem – nierozwiązany do końca wtedy, na początku lat 90., teraz wraca w kolejnej odsłonie. Konserwatysty Zmiany uważają, że bez wykorzystania większości parlamentarnej, którą uzyskał PiS, nie da się dokonać zmian, które faktycznie zerwą ze zjawiskiem demokracji bezalternatywnej. Tym mianem określa się sytuację, w której przewaga – niegdyś w biznesie, a także w mediach i w systemie sądowym – spektrum partii od PO poprzez PSL do SLD w dużej mierze neutralizuje decyzje wyborcze i faktycznie prowadzi do rządów wciąż tej samej grupy polityków.

Rewolucje konserwatywne przeprowadzali Margaret Thatcher i Ronald Reagan. Działo się to jednak przed epoką niebywałych postępów „pozytywizmu prawniczego”, szczególnie w Unii Europejskiej. Dzisiaj europejskie trybunały z pewnością zablokowałyby sztandarowy



Od lewej: Paweł Kukiz (Kukiz'15), Krzysztof Kawecki (Prawica RP), Julia Zimmermann (Razem), Piotr Trudnowski (Klub Jagielloński) i Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL) podczas briefingu prasowego sygnatariuszy listu do prezydenta RP w sprawie ordynacji do Parlamentu Europejskiego

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ/AGENCJA GAZETA

dla thatcheryzmu program restrukturyzacji górnictwa, a Reagan znacznie silniej byłby obiektem nienawiści i delegitymizacji lewicy.

Także medialno-społeczny front głoszący hasło „It's not my president” byłby nieporównywalnie silniejszy.

PiS ma pecha, że swoją rewolucję robi nie tylko w epoce wzrostu siły politycznej i medialnej liberalnej lewicy i wzmacniania władzy Komisji Europejskiej nad Unią. Jednak odwaga zmian jest taka sama jak w wypadku Thatcher i Reagana.

Poszczególne reformy PiS można i nawet trzeba oceniać bez taryfy ulgowej, ale Konserwatyści Zmiany uznają ich zasadniczą celowość i niezbędność. A także cenią polityczną koniunkturę, jaką daje posiadanie przez obóz dobrej zmiany stanowiska prezydenta przy jednoczesnym dysponowaniu większością w obu izbach polskiego parlamentu.

Skoro już zdefiniowaliśmy obóz Konserwatyizmu Zmiany, to spróbujmy pokusić się o definicję obozu Konserwatyizmu Umiaru. To dość luźna koalicja partii, środowisk politycznych i wreszcie pojedynczych publicystów. Elementy typowe dla Konserwatyizmu Umiaru, choć różne, znajdujemy u Kukiz'15 i Prawicy Rzeczypospolitej Marka Jurka. Dalej to wspomniane już dwa silne śro-

dowiska portalu Jagielloński24 i Nowej Konfederacji. Wreszcie to cały szereg publicystów, którzy w potocznym języku polskiej debaty po 2015 r. uzyskali miano „symetrystów”. Oczywiście chodzi o symetrystów z prawa. Symetryści z lewa to znacznie słabsza grupa, najbardziej znana w osobie Rafała Wosia. W praktyce dominują symetryści z prawej. Całkiem niespodziewanie dla siebie znaleźli oni pierwszy raz oparcie dla swych opinii w prezydencie Andrzej Dudzie w lipcu 2017 r., gdy zawetował on pakiet ustaw o reformie sądownictwa. Mało kto dziś pamięta, że wywołało to publicystyczne spekulacje na temat powstania „partii prezydenckiej”, do której „zapisywano” oprócz Kukiz'15 także środowiska portalu Jagielloński24 i Nowej Konfederacji. Z tych planów niewiele wyszło, ale cichy alians głowy państwa z Konserwatystami Umiaru powrócił w praktyce w czasie debaty nad zmianami w ordynacji wyborczej do Parlamentu Europejskiego.

W większości są to ludzie, którzy z różnych powodów nie potrafili znaleźć się w obozie PiS. Nie pasowali do trzymanej twardą ręką przez Jarosława Kaczyńskiego struktury władzy w partii. Bardzo często zaczynali w ugrupowaniu Janusza Korwin-Mikkego, co powoduje, że Konserwatyzm Umiaru miewa bardzo często rys krytycyzmu wobec PiS jako „socjalistów udających prawicę”, „poświeconych socjalistów”, „populistów” lub „grupy rekonstrukcyjnej sanacji”. Do Konserwatyizmu Umiaru chętnie dołączają politycy, których wypchnięto z PiS, tacy jak Ludwik Dorn, Paweł Kowal, Kazimierz Michał Ujazdowski czy Marek Jurek. Wchodzili oni w spór z Jarosławem Kaczyńskim z różnych powodów. Dorn nie mógł znieść sytuacji, w której o wszystkim w partii decydowali dwaj bracia, Kowal i Ujazdowski nie kryli, że rewolucja PiS-owska w zbytnim stopniu niszczy instytucje polityczne. A Marek Jurek nie mógł zaakceptować zgody Jarosława Kaczyńskiego na kompromis aborcyjny.

Jednak na pierwszy plan w obozie Konserwatyizmu Umiaru z czasem wysunęły się wspomniane środowiska Jagielloński24 i Nowej Konfederacji. Niewykluczone, że czynnikiem, który odepchnął ich od PiS, był okres ponad pięciu lat, gdy w głównej partii opozycyjnej tematem nr 1 był Smoleńsk. Mit smoleński skonsolidował partię Jarosława Kaczyńskiego, ale odsunął od niej część

młodej generacji, która czuła, że nikt na nią nie czeka w obłożonej PiS-owskiej twierdzy. Pisałem już parę razy, że PiS na wejściu do obozu zmian nie potrafił wyłuskać z tego środowiska zdolnych analityków i wykorzystać ich do swoich planów modernizacyjnych. Wydaje się, że minął jednak czas na akces do obozu zmian i młodzi Konserwatyści Umiaru są już dziś bardzo daleko emocjonalnie od Prawa i Sprawiedliwości.

Co ciekawe, niezwykle rzadkie były dotąd rzeczowe polemiki pomiędzy tymi obozami. Ludwik Dorn czy Paweł Kowal występują w TVN nie jako Konserwatyści Zmiany, ale jako byli politycy PiS. Z kolei Jagielloński24 czy Nowa Konfederacja unikały jak dotąd jakiegoś wyraźnego definiowania się jako zaczątek pewnego nurtu politycznego. Chociaż oczywiście próby takiej autodefinicji zdarzały się. Padały określenia „prawica republikańska” czy „biała prawica”. Jak już wspomniałem, marzono rok temu o „partii prezydenckiej”. Zdarzało się to jednak stosunkowo rzadko. Bardziej w tamtym obozie lubiano określenie „symetryzm”, który kojarzył się z chłodną pozą ekspercką.

W ciągu ostatnich dwóch lat powstały już dwie książki, które można określić jako próby manifestu w tych kręgach. To „Żadna zmiana” Stefana Sękowskiego oraz „Wyjście awaryjne. O zmianie wyobraźni politycznej” pióra Rafała Matyi. Obie pozycje nie stały się obiektem jakiejś rzeczowej polemiki między obozami Konserwatyizmu Zmiany a Konserwatyizmu Umiaru. Wynikało to z tego, że duża część publicystów popierających dobrą zmianę została wchłonięta przez zdominowane przez PiS media publiczne i po prostu nowe zjawiska zignorowała. Tak naprawdę ogólnikową polemikę z symetrystami podejmowali tylko bracia Karnowscy, a i to głównie na portalu wPolityce. Oczywiście krytykę symetryzmu – i to często bezpardonową – przeprowadzali pojedynczy blogerzy, głównie na Twitterze. Konserwatyści Umiaru lubili pokazywać najbardziej drastyczne wypowiedzi jako dowód na to, że są oni ofiarami ataku „PiS-owskiego betonu”. Były to jednak głosy spontaniczne, zazwyczaj nieformułowane pod nazwiskiem i sprowadzane do krótkich tweetów. O bardziej szczegółowej dyskusji raczej nie było mowy.

Przepraszam za ten przydługi wstęp, ale tłumaczy on, dlaczego podejmując

■ ten temat, mam poczucie, że wkraczam na dziewiczy teren.

DOGMATY KONSERWATYSTÓW UMIARU

A teraz parę uwag, co w mojej opinii jest słabością myślenia Konserwatystów Umiaru.

1. Trudno już zliczyć, ile razy w ciągu trzech lat odrzeczano stereotyp wojny na niby. W myśl tej optyki PiS i PO toczą wojnę, w której chodzi o czystą władzę, a nie o jakiegokolwiek reformowanie państwa. Wynika z tego dalsza teza, że rządy PiS są „żadną zmianą”, jak zdefiniował to w tytule swojej książki Stefan Sękowski. Inną wersją tej ideologii jest teza, że PiS, owszem, zlikwidował III RP, ale nie zbudował w to miejsce nic nowego. Według tego sposobu myślenia PiS wymienił „miernych, biernych, ale wiernych” z układu okrągłostołowego na swoich ludzi, ale niewiele to zmienia. W mojej opinii takie spojrzenia z boku lekceważą, po pierwsze, skalę zmian – niezależnie jak je oceniać – po drugie – nie potrafią wyjaśnić, dlaczego tak dużo Polaków żywo utożsamia się z jedną albo z drugą stroną. Można oczywiście twierdzić, że PiS i PO po prostu genialnie manipulują emocjami i napuszczają ludzi na siebie, ale od takich opinii niedaleko już do traktowania wyborów milionów Polaków jako efektu czystej socjotechniki.

Bliska temu myśleniu jest inna teza – że PiS rządzi w sumie kiepsko, ale utrzymuje się na czele sondaży, bo opozycja jest na fatalnym poziomie.

Ta logika – „jedni drugich warci” – wraca bardzo często w publicystyce Konserwatystów Umiaru.

2. Kolejny dogmat, który bardzo dobrze pasuje Konserwatystom Umiaru, to teza o generacyjnym charakterze sporu. W myśl tej tezy wojna PO z PiS to konflikt polityków z epoki lat 80., którzy sztucznie przedłużają swoją dominację na scenie politycznej, blokując drogę pokoleniu 40-latków. Teza efektowna i budująca tożsamość pokoleniową „Generation Next”, ale rzeczywistość coraz bardziej jej przeczy. Dojście do władzy Andrzeja Dudy i Mateusza Morawieckiego, znaczące odmłodzenie rządu, styka się po drugiej stronie z coraz wyraźniejszym awansem młodszego pokolenia w PO. Owszem, młodzi platformersi są często niespecjalnie dojrzały, jak to bywa w wypadku choćby Sławomira Nitrasa, Agnieszki Pomaszkiej czy Borysa Budki, ale na pewno nie jest to pokolenie stanu wojennego. Zresztą na naszych oczach Małgorzata Wassermann

(rocznik 1978), Patryk Jaki (rocznik 1985) czy Kacper Płażyński (rocznik 1989) pokazują, że droga do politycznej kariery jest otwarta dla ludzi, którzy weszli w dorosłe życie już długo po upadku PRL.

3. Konserwatyści Umiaru, szczególnie jego korpus publicystyczny, zapominają, że między ocenianiem i diagnozowaniem najlepszych rozwiązań a prowadzeniem realnej i skutecznej polityki jest ogromna różnica. Wiem, że to ryzykowne porównanie, ale to trochę tak jak różnica między pisaniem wierszy miłosnych a skutecznym poderwaniem dziewczyny. W świecie postulatów wszystko jest łatwe. W świecie realnej polityki płaci się cenę za każdy nietrafiony postulat i za każdą oderwaną od rzeczywistości ideą. Można zadać pytanie, czy Konserwatyzm Umiaru będzie

Symetryści z prawej mogą w przyszłości nie wyjść poza formułę publicystyki. Jeśli jednak zaczną coraz silniej wchodzić w politykę, to zderzą się z koniecznością odpowiadania na pytania, na które dziś nie mają obowiązku odpowiadać

kiedys w stanie powołać silną formację. Jak na razie nieliczne próby wejścia w realną politykę nie wskazują na sukcesy. Znamienny jest przykład Kazimierza Michała Ujazdowskiego, który chciał zapoczątkować nurt konserwatyzmu odrzucającego rewolucyjność PiS w imię wspomnianego już „szacunku dla instytucji”. Kampania KMu na prezydenta Wrocławia potrwała półtora miesiąca i zakończyła się efektowną klapą. Nie skłoniło to Ujazdowskiego do żadnej głębszej refleksji, a jedynie do zaakceptowania dalszego udziału we froncie sprzeciwu wobec PiS.

4. Konserwatystom Umiaru wydaje się umykać jeszcze jeden szczegół. Konflikt polityczny, który kojarzy się z 28 latami aktywności Jarosława Kaczyńskiego, nie zniknie nawet wtedy, gdy zdrowie czy wiek zmuszą go do odejścia z funkcji lidera PiS. Ta tradycja wzmocniona pamięcią o wojnie polsko-polskiej będzie istotna za dekadę czy za półtorej. Rozumiem, że młodzi publicyści, chcąc wejść na rynek idei ze swoim własnym głosem, nie muszą tej tradycji lubić. Jeśli jednak myślą o poli-

tycznej przyszłości za pięć czy za 10 lat, to nie powinni uważać jej za jakąś efemerydę, za jakiś okres zaczadzenia zupełnie wydumany konflikt.

5. I jeszcze jedno. Z uwagą przyjąłem projekt wymiany tekstów pomiędzy redakcjami portali Jagielloński24 i Nowej Konfederacji z jednej strony a redakcjami Krytyki Politycznej, Kultury Liberalnej i katowickiego Kontakt z drugiej. Idea tej wymiany opinii jest szczytna. Jak zrozumiałem z wypowiedzi szefów wszystkich tych tytułów, chodzi o podtrzymanie umiejętności dyskusji o sprawach publicznych i „przebijanie baniek społecznościowych”. Jak dotąd wszystkie redakcje zaangażowane w projekt „Śpięcia” zajęły się kwestią nowej ustawy zasadniczej i reformy szkolnictwa. Nie odmawiam tekstom z obu stron wielu trafnych ocen. Jednak nie jestem w stanie nie zauważyć, że w wypadku szkolnictwa w imię kultu merytoryczności spycha się na margines silne różnice ideologiczne. Autorzy tekstu z Krytyki Politycznej melancholijnie uznają, że nie da się przeprowadzić w krótkim czasie świeckości szkoły, ale chcą to zrównoważyć taką samą liczbą psychologów i higienistów co katechetów. Jako oczywistość uznają wprowadzenie edukacji seksualnej, osłabiając jedynie ten postulat podkreślaniami, że chodzi o fachowców. W koreferatach Jagiellońskiego24 i Nowej Konfederacji nie znalazłem żadnej polemiki z tymi bardzo wyważonymi postulatami lewicy. Co więcej, można mieć wątpliwości, czy partie lewicy, takie jak Razem czy SLD, w odróżnieniu od autorów tekstu z Krytyki Politycznej, byłyby skłonne zrezygnować np. z hasła usunięcia religii ze szkół.

CO OPRÓCZ PUBLICYSTYKI?

Oczywiście symetryści z prawej mogą w przyszłości nie wyjść poza formułę publicystyki. Jeśli jednak zaczną coraz silniej wchodzić w politykę, zderzą się z koniecznością odpowiadania na pytania, na które dziś nie mają obowiązku odpowiadać. Może rozsądnie byłoby nad pewnymi kwestiami jeszcze się zastanowić, zanim praktyczna polityka zastuka do ich drzwi.

Może też być tak jak z Krytyką Polityczną. Jeszcze dekadę temu widziano w niej bezpośrednie zaplecze jakiejś nowej lewicy na trupie SLD. Czas minął, a pismo Sławomira Sierakowskiego nie wyszło zbyt daleko z kokonu politycznej abstrakcji. Czy tak samo będzie z Konserwatystami Umiaru? Sam jestem tego bardzo ciekaw.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pij polskie soki!



Owoc pracy polskich sadowników teraz na wyciągnięcie ręki.

Bogata oferta smacznych, naturalnych soków!

Dla tych, którzy są spragnieni polskich smaków, kierunek jest jeden.

Kierunek ORLEN.

#polskiesoki



ORLEN



Łukasz Warzecha

Chociaż nasz kraj jest jednym z najbardziej rozbrojonych w Europie, to nie możemy się doczekać nowej, oderwanej od komunistycznych korzeni ustawy o broni i amunicji

Pod koniec pierwszej połowy sierpnia środowisko strzeleckie zelektryzował projekt ustawy „o wykonywaniu działalności gospodarczej w zakresie wytwarzania i obrotu materiałami wybuchowymi, bronią, amunicją oraz wyrobami i technologią o przeznaczeniu wojskowym lub policyjnym”. Normalnie nie byłaby to ustawa bezpośrednio wpływająca na strzelców, bo dotyczy przede wszystkim firm handlujących bronią czy rusznikarzy. Osoby strzelające obejmuje, jeśli same zajmują się np. elaboracją amunicji, czyli produkcją lub przerabianiem jej na własny użytek – da się to robić w warunkach domowych. Dzięki temu można wytworzyć

Dotyczyły np. zakazu noszenia broni załadowanej poza tą przeznaczoną do ochrony osobistej, przez co każdy strzelec sportowy czy kolekcjoner broni, transportujący swój arsenał, stawałby się łatwym celem dla bandytów. Zabraniano też posiadania niektórych rodzajów broni, którą dyrektywa dopuszcza. Nakazywano „zwrócić” na policję magazynki o pojemności większej niż dopuszczona przez dyrektywę bez żadnego odszkodowania – tak jakby strzelcy dostali je od policji, a nie kupili za własne pieniądze. Wprowadzano rejestrację broni czarnoprowchowej, dziś kupowanej w Polsce bez zezwolenia i rejestracji. I tak dalej. Było to horrendum nie tylko z punktu widzenia alternatywnych

Strzelanie w zaścianku

naboje o lepszych parametrach lub tańsze niż w sklepie.

Projekt zmienionej ustawy o obrocie bronią i materiałami wybuchowymi nie był sam w sobie nowością. Tyle że kompletnie nieoczekiwanie w jego sierpniowej wersji, opublikowanej na stronach MSWiA, w przepisach przejściowych pojawiły się artykuły wywracające do góry nogami obecną ustawę o broni i amunicji. To tak, jakby w ustawie o handlu paliwami mimochodem zmieniono ruch z prawostronnego na lewostronny. Nawet pobieżna lektura proponowanych zmian prowadziła do wniosku, że nie chodzi tu jedynie o wdrożenie unijnej dyrektywy o broni, której Polska wciąż nie implementowała. Obostrzenia sięgały dużo, dużo dalej.

propozycji strzeleckiego środowiska, lecz także nawet obecnych przepisów.

LOBBY MILICYJNE?

W Internecie wśród strzelców zawrzało. Pod wpływem awantury w MSWiA zwołano naradę z udziałem ministra Brudzińskiego, której przebieg był ponoć dość burzliwy – nikt nie chciał przyznać się do autorstwa przepisów, zmieniających ustawę o broni. Minister miał zarządzić, aby zmiany ograniczyć wyłącznie do tego, co bezpośrednio wynika z dyrektywy. Pojawiły się więc informacje, że MSWiA wycofuje się ze wszystkich kontrowersyjnych zapisów.

Pytanie, na które nie usłyszeliśmy odpowiedzi, brzmi jednak: Jak to możliwe, że propozycje tak radykalnych zmian w ogóle

w projekcie całkiem innej ustawy się pojawiły, w dodatku w środku wakacji, zaś zainteresowanym dano 10 dni na przedstawienie uwag? Czy znowu widzieliśmy w akcji środowisko, nazywane wśród strzelców „lobby milicyjnym”?

Skąd takie określenie? Obecna ustawa o broni i amunicji, choć wielokrotnie nowelizowana, opiera się na szkielecie stworzonym w 1961 r. Jego podstawowym założeniem było, że dostęp do broni mają jedynie osoby uprzywilejowane – i ustawa jest nadal zbudowana w taki sposób. W dodatku posługuje się nielogicznym, absurdalnym i niekompatybilnym z dyrektywą UE podziałem broni pod względem celu, któremu ma służyć, a nie pod względem rodzaju broni. Najważniejsza nowelizacja



FOT. FOTOLIA

ustawy miała miejsce w 2011 r. Usunięto z niej wtedy podstawę dla uznaniowości policji przy wydawaniu pozwoleń na broń do celów innych niż ochrona osobista. Jednak przez kilka kolejnych lat policja w gruncie rzeczy nie przyjmowała tej zmiany do wiadomości, utrudniając prawem kaduka, jak się da, uzyskiwanie pozwoleń. Zmieniło się to dopiero ok. trzech-czterech lat temu.

Określenie „lobby milicyjne” wskazuje jednak nie tylko na określony sposób myślenia o posiadaczach broni, mający korzenie w głębokim PRL, lecz także na to, że za kwestie broni przez lata odpowiadał w Komendzie Głównej Policji funkcjonariusze ze starego postkomunistycznego układu. A potem ich wychowankowie. W kształcie nieszczęsnej nowelizacji można było rozpoznać ich rękę.

Nie była to pierwsza dziwna sytuacja w ostatnich miesiącach. Wcześniej mieliśmy bowiem aferę z projektem widmo ustawy o broni. Oto na początku 2018 r. zaczęły się pojawiać informacje, że w MSWiA trwają prace nad całkiem nową regulacją dotyczącą broni i amunicji. Były to wieści bardzo niepokojące – wydawało się, że powtarza się doskonale znany scenariusz: najpierw spotkania w ministerstwie z udziałem wszystkich zainteresowanych, czyli również przedstawicieli samych strzelców, pozorna zgoda rządu na część ich postulatów, potem zamarcie kontaktów, a na koniec zaprezentowanie fatalnego ostatecznego projektu zmian, nieuwzględniającego żadnych poczynionych wcześniej ustaleń. Gdy kilka miesięcy temu spotkałem się z jednym z ministrów, prywatnie przychylnym sprawie strzeleckiej, i wspominałem o tajemniczych pracach nad nowym projektem ustawy, usłyszałem: „Miejmy nadzieję, że skończy się tak, jak się u nas często kończy, czyli sprawa gdzieś utknie”.

Działacze Ruchu Obywatelskiego Miłośników Broni (ROMB) zaczęli drążyć, korzystając ze swoich kontaktów. Ostatecznie dotarli do tajemniczego projektu w postaci roboczej. Prezes ROMB, mec. Andrzej Turczyn, przesłał wówczas do MSWiA pytanie, czy jakiegokolwiek prace nad nową ustawą są prowadzone, a gdy otrzymał oficjalną odpowiedź przeczącą, opublikował widmowy „projekt, którego nie ma”. Projekt, jak łatwo było przewidzieć, fatalny. Do którego znów oczywiście nikt się nie przyznawał.

Ta historia pokazuje, w jak niejasnych okolicznościach próbuje się manipulo-

wać sytuacją polskich posiadaczy broni. Powstaje pytanie, czy kierownictwo MSWiA ma nad tymi ruchami jakąkolwiek kontrolę, skoro proponowanymi ostatnio zmianami zaskoczony był sam Joachim Brudziński.

KONIEC PUDROWANIA

Jednak nawet wycofanie się MSWiA z najgorszych spośród proponowanych ostatnio zmian nie rozwiązuje problemu, bo nadal mamy do czynienia tylko z pudrowaniem komunistycznej w swej istocie ustawy. Tymczasem w Sejmie leży alternatywny, całkiem nowy projekt, wniesiony w 2017 r. przez grupę posłów (głównie Kukiz'15), przygotowany w środowisku ROMB. I choć uwzględni on całkowicie dyrektywę UE, to nie jest to jednak projekt PiS i mimo poparcia, wyrażanego po cichu przez niektórych posłów partii rządzącej, nie zapadła decyzja o jego procedowaniu.

Dziwaczne ruchy na rzecz przykreślenia śruby strzelcom zmobilizowały jednak środowisko do działania. Powszechne jest w nim przekonanie, że dalsze łatanie PRL-owskiej ustawy nie ma sensu, zwłaszcza wobec jej strukturalnej niezgodności z dyrektywą UE. Potrzebna jest nowa ustawa, zwłaszcza że Polska najpóźniej w 2019 r. musi implementować unijną dyrektywę o broni, w przeciwnym wypadku Unia nałoży na nas karę.

Taki jest cel powołanej w sierpniu nieformalnej Narodowej Rady Strzeleckiej (NRS), w której składzie znaleźli się przedstawiciele Polskiego Związku Łowieckiego, Polskiego Związku Strzelectwa Sportowego, Ligi Obrony Kraju, ROMB, Fundacji Rozwoju Strzelectwa w Polsce oraz przedstawiciele przedsiębiorców. To wydarzenie bez precedensu – dotąd nie było sytuacji, gdy wszystkie te organizacje zadziałyby razem. A to jest już siła, z którą rządzący muszą się liczyć.

NRS uważa, że, owszem, poselski projekt nowej ustawy o broni wymaga poprawek, ale to on powinien być podstawą nowej regulacji. W ramach rady trwa praca nad uzgodnieniem wspólnego szczegółowego stanowiska w tej sprawie.

W gruncie rzeczy to przygotowywanie prezentu dla rządu – całkiem nowego, rozsądnego rozwiązania, zgodnego z regulacjami UE. Wystarczy tylko wyrwać się z kręgu wpływów „milicyjnego lobby”. Nowa ustawa nie ma na celu – jak przerażeni powtarzają przeciwnicy posiadania broni – zliberalizowania dostępu do broni,

ale jego zracjonalizowanie i podniesienie poziomu bezpieczeństwa, którego obecne przepisy wbrew pozorom nie zapewniają. Nie ma w nich np. rozwiązania zapewniającego, że osobie chorej psychicznie zostanie cofnięte pozwolenie. Tymczasem projekt, który ma stanowić podstawę nowej ustawy, przewidywał, że lekarz miałby obowiązek skierować do organu zajmującego się pozwoleńiami odpowiednią informację, oczywiście z zachowaniem wymaganych standardów tajemnicy lekarskiej.

ŚMIESZNE LAMENTY

Gdyby nowa ustawa weszła w życie, Polska wreszcie miałaby szansę przestać być strzeleckim zaścianiem. Pozwoleń na broń pod koniec 2017 r. było w Polsce 206 tys., ale jako że pozwolenia dzielą się ze względu na cel posiadania broni, wielu strzelców ma ich po kilka. Ostrożne szacunki byłyby takie, że w naszym kraju na tysiąc osób broń ma może pięć. W Czechach, Niemczech i na Słowacji jest ich ok. 40.

Najbardziej miarodajnym badaniem o liczbie broni na świecie jest Small Arms Survey. Wynika z niego, że w Polsce jest 2,51 egzemplarza broni na 100 mieszkańców. Skoro jednak wielu posiadaczy broni ma jej po kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt sztuk, to wskaźnik ten nie odzwierciedla liczby osób posiadających broń. Ta jest w Polsce, jako się rzekło, znacznie niższa, nawet uwzględniając ok. 200 tys. sztuk broni czarnoprowowej, dziś niepodlegającej rejestracji.

Uznajmy jednak, że mimo wszystko jest to statystyka mówiąca coś o podejściu danego kraju do uzbrojenia swoich obywateli. Jak tu Polska wygląda na tle innych państw europejskich? Odpowiedź jest prosta: żałośnie. Oto liczba sztuk broni na 100 mieszkańców w niektórych krajach Starego Kontynentu: Holandia – 2,6; Rumunia – 2,63; Anglia i Walia (gdzie polityka rozbrajania obywateli osiągnęła poziom paranoiczny) – 4,64; Czechy – 12,53; Litwa – 13,59; Francja – 19,61; Niemcy – 19,62; Szwecja – 23,14; Szwajcaria – 27,58; Norwegia – 28,82; Austria – 29,99; Finlandia – 32,36.

Na tle tej statystyki lamente hoplofobów, że jakiegokolwiek zwiększenie liczby sztuk broni w rękach Polaków doprowadzi do masaker i strzelanin, stają się śmieszne. Chyba że uznamy, iż nasi obywatele są w jakiś sposób upośledzeni w stosunku do innych narodów Europy.



FOT. WOJCIECH SZANKA/EAST NEWS

Nowe szaty Biedronia



Kamila Baranowska

Te same środowiska, które widziały w Robercie Biedroniu nadzieję polskiej lewicy i lidera całej opozycji, dziś nie zostawiają na nim suchej nitki, traktując go niemal jak zdrajcę. Wrogiem jest każdy, kto zagraża jedności opozycji

Robert Biedroń zdrajcą został w momencie, gdy na jaw zaczęły wychodzić jego plany dotyczące własnej partii. W wizji „Gazety Wyborczej” czy „Newsweeka” obecny prezydent Słupska miał być elementem wielkiej koalicji opozycyjnej, która odsunie PiS od władzy. Pokutuje tam myślenie, że tylko jedność wszystkich podmiotów

może doprowadzić do przegranej Kaczyńskiego w wyborach parlamentarnych w 2019 r. Potrzebna jest zatem wielka mobilizacja wokół Koalicji Obywatelskiej, jak nazwali swój komitet wyborczy Platforma i Nowoczesna.

A skoro Biedroń postanowił wyrwać się z tego szeregu, to stał się wrogiem, a nawet „sojusznikiem PiS”, jak o nim piszą i mówią

ci sami, którzy do niedawna nie szczędzili mu pochlebstw.

DAWNIEJ POLSKI MACRON, A DZIŚ...

„Robert Biedroń odbiega od średniego poziomu polskich polityków. Jest self-made manem, swoją pozycję zawdzięcza sobie” – rozpytywał się dwa lata temu publicysta „Wyborczej” Witold Gadomski, podkreślając, jak dobrze Biedroń radzi sobie w Słupsku. Chwalił go za rozwój programu mieszkań komunalnych i za dobór współpracowników z różnych środowisk politycznych. „Z jednej strony jest politykiem o jasno określonej ideologii [...], z drugiej strony jest człowiekiem kompromisu” – zachwalał. Dzisiaj ten sam Gadomski pisze, że Biedroń okazał się celebrytą, który wykorzystuje Słupsk do budowy swojego wizerunku, iż zamiast zarządzać miastem, jeździł w podróże służbowe, i trudno wymienić jego sukcesy jako prezydenta miasta. „Nie wiemy, jakie są jego osiągnięcia, silne i słabe strony. Jest znany przede wszystkim z tego, że jest znany” – pisze Gadomski. „Dawniej prostolinijny prezydent Słupska szybko wchodzi w buty przeciętnego polskiego polityka krętacza” – nie szczędzi złośliwości publicysta.

Biedroń przestał się podobać „Wyborczej” z prostego powodu. „Jego ruch przyczyni się do rozbicia opozycji” – stwierdza Gadomski. „[...] w koalicję demokratyczną będzie walił, osłabiając (mam nadzieję, że nieznacznie) jej potencjał. Jego wejście na scenę ogólnopolską raczej zaszkodzi, niż pomoże ugrupowaniom demokratycznym, zwiększając chaos, szum informacyjny” – dodaje.

Kiedy po mediach rozlała się plotka, że Robert Biedroń prawdopodobnie nie wystartuje w wyborach na prezydenta Słupska, bo myśli o powrocie do polityki krajowej, dla wielu było to zaskoczenie. Tym większe, że kolejne informacje mówiły nie o wsparciu, którego Biedroń chce udzielić Platformie i Nowoczesnej, lecz o własnej formacji. Biedroń celuje w wybory do Parlamentu Europejskiego, potem parlamentarne i prezydenckie. Będzie patrzył, co się po drodze wydarzy, z kim będzie mu się opłacało wchodzić w koalicję, a z kim nie. Jedno jest pewne: opozycja nie doceniła Biedronia, który – jak się okazało – nie ma ochoty skakać w rytm muzyki granej przez Schetynę i „Gazetę Wyborczą”. Czekał na odpowiedni moment powrotu na własnych warunkach i uznał, że ten będzie dobry. Tyle tylko, że ci, którzy

pokładali w nim nadzieje, nazywając go „polskim Macronem” i przyszłym liderem opozycji, są innego zdania.

„Jeżeli słusznie piętnujemy pedofilię w Kościele, to nie możemy milczeć w sytuacji, gdy władze miasta Słupsk zlekceważyły informacje o działającym w strukturach miejskich pedofilu” – zagrzynał na Twitterze powiązany z politykami PO Roman Giertych w reakcji na ostatnią publikację tygodnika „Newsweek”, w którym opisano znaną już z mediów sprawę afery pedofilskiej w słupskim ośrodku kultury (dwa tygodnie temu pisaliśmy o tym w „Do Rzeczy”, wcześniej podjęła ten temat „Polityka”). Ilustracją do artykułu było duże zdjęcie Biedronia.

Po stronie liberalno-lewicowej natychmiast ruszyła lawina komentarzy i interpretacji, zarówno co do oceny samego tekstu, jak i motywacji, która mogła towarzyszyć jego powstaniu. Pojawiły się głosy, że publikacja ma na celu utopienie nowej inicjatywy politycznej Biedronia, co leży w interesie dzisiejszej opozycji.

Najostrzej wypowiedziała się redakcja „Krytyki Politycznej”, piórem Michała Sutowskiego, który pisze, że artykuł w „Newsweeku” to „upiorna instrumentalizacja bólu i traumy nieletnich ofiar oraz ich rodziców na rzecz jednej centralnej aluzji: o rzekomym zamieszkaniu Biedronia w sprawę”. I tłumaczy to tak: „Wyobraźmy sobie zatem obóz polityczny, a może tylko opiniotwórczą bańkę, która ma trochę wyznawców, sporo zrezygnowanych stronników, ale nijak nie potrafi przekonać do siebie większości wyborców. Próbuje więc ich straszyć, a także szantażować moralnie – na nic, dalej nie działa. Może więc jeszcze spróbować – zwyczajnym kłamstwem, czasem tylko brudną manipulacją – zohydzić każdą, choćby tylko potencjalną dla siebie alternatywę, licząc, że na wielkim bezrybiu lud uda się zmobilizować pod jednym, choćby wąskim i dziurawym dachem Zjednoczonej Opozycji” – pisze Sutowski.

Agata Szczęśniak z OKO.press podkreślała, że „Newsweek” na siłę próbuje „dokleić Biedronia do afery”, co w podobnym tonie krytykuje też Magdalena Środa w swoim gościnnym felietonie w „Wyborczej”. „Robert Biedroń, nim jeszcze wszedł do krajowej polityki, już jest traktowany jako niewygodny konkurent dla wiodących sił opozycyjnych wspieranych przez prodemokratyczne media. Ich naczelnym chodzi zapewne o to, by wzmacniać jedyną siłę zdolną pokonać PiS, czyli Platformę,

i uderzać w tych, którzy mają ambicje konkurować ze Schetyną. Bo rozproszenie opozycji może pogрузić nas wszystkich. Cel być może słuszny, metody – mniej” – pisze Środa.

Przekonanie, że rozproszenie opozycji będzie oznaczać zwycięstwo PiS, stało się niemal dogmatem szeroko rozumianego obozu anty-PiS. Celem jest wzmacnianie Platformy, która jawi się jako ta partia, pod której skrzydłami mają się schronić pozostałe opozycyjne podmioty. Z tego zaś wyciągany jest wniosek, że Platformy nie wolno krytykować, bo każda próba rozliczania z ośmioletnich rządów, każdy atak na Donalda Tuska czy innego polityka PO i Nowoczesnej osłabiają całą opozycję i zmniejszają jej szanse wyborcze. Dlatego tym większa wściekłość na Biedronia, który nie tylko chce politycznej samodzielności, lecz także na dodatek chodzi i opowiada, że PO i PiS to takie samo zło i należy skończyć z duopolem. Podobne emocje budzą zresztą Włodzimierz Czarzasty i Adrian Zandberg, choć w przypadku Biedronia są one jednak większe. Może to kwestia bolesnego rozczarowania i zawiedzionych nadziei? Przecież jeszcze niedawno Biedroń wraz ze swoim partnerem wystąpili na okładce „Newsweeka”, opowiadając, jak żyje im się w Polsce. A może chodzi o to, że Biedroń stanowi większe zagrożenie niż SLD czy Razem. W kilku sondażach prezydenckich był na trzecim miejscu za Andrzejem Dudą i Donaldem Tuskiem. Ewentualny start Biedronia w momencie, gdy startowałyby także Tusk, osłabiłby szanse tego ostatniego. Wcześniej są wybory parlamentarne i tu także partia Biedronia może pomieszać Platformie szyki (w niedawnym sondażu Pollster dla OKO.press przekracza pięcioprocentowy próg wyborczy). Wszystko to budzi obawy po stronie opozycji.

Cała historia z Biedroniem przypomina walkę zwolenników Platformy z tzw. symetrystami, którzy są oskarżani o to, że nie potępiają obecnego rządu wystarczająco mocno i regularnie nazywani „PiS-owcami” albo „pożytecznymi idiotami PiS”. Gdy ostatnio Rafał Woś napisał prowokacyjny tekst o tym, że lewica powinna zastanowić się nad współpracą z PiS, w Internecie pojawiły się głosy, że powinien zostać natychmiast zwolniony z „Polityki”, w której publikuje. Redakcja pisma też odcięła się od swojego autora w mało elegancki sposób, oświadczając, że to nie on wyznacza linię polityczną redakcji.

I w przypadku symetrystów, i w przypadku Biedronia zastosowanie ma ta sama

zasada: „Kto nie z nami, ten przeciwko nam, czyli za PiS”.

Ten, kto chciałby walczyć z PO jako tą najważniejszą, najsilniejszą i najbardziej stabilną strukturą opozycji, pomaga PiS. Staje po drugiej stronie – tak inicjatywę Biedronia skomentował Andrzej Halicki z PO w radiowej Trójce.

O tym, jak błędne jest takie myślenie, zwłaszcza w odniesieniu do polityków, mówił jakiś czas temu w wywiadzie dla „Do Rzeczy” lider SLD Włodzimierz Czarzasty, który regularnie spotyka się z podobnym zarzutem. – Jeżeli będą dwa bloki i PiS weźmie 35 proc., PO 30 proc., a Kukiz weźmie 9 proc., to Polską będzie rządził Kaczyński z grajkami. Gdzie tu jest odpowiedzialność? – pytał. – Ci, którzy powtarzają w kółko, że każdy, kto ma szansę wziąć jakąś część sceny politycznej, jest zły, bo odbierając głosy Platformie, pomaga PiS, są zwykłymi propagandzistami partyjnymi służącymi złej sprawie – przekonywał.

SPRZECZNOŚĆ INTERESÓW

Trudno przewidzieć, jak potoczą się polityczne losy Roberta Biedronia. Na razie jeździ po Polsce, spotyka się z ludźmi i wydaje się być pewny swego. Pytanie, czy wytrzyma presję, która będzie na niego wywierana. Tym mocniej, im bliżej decydującego roku 2019. Czy Biedronia, który uwielbia błysk fleszy i którego próżność była dotąd teatnata przez wszystkie liberalne media, nie przerazi perspektywa bycia obiektem drwin, kpín i ataków tych samych tytułów.

„Nie dam się przekonać, że o Biedroniu można pisać tylko na kolanach” – przekonuje autorka tekstu w „Newsweeku” Renata Grochal, zarzucając obrońcom Biedronia hipokryzję. Gdy do przypadków pedofilii dochodzi w Kościele katolickim, lewica jako pierwsza zarzuca kościelnym hierarchom bierność i zamykanie sprawy pod dywan. Tymczasem Biedronia ta sama lewica chciałaby traktować jak świętą krowę, której nie obciążają winy podwładnych i najbliższych współpracowników. Tylko dlatego, że uważa go za swojego? – pyta.

Nie przesądzając tego, jakie były rzeczywiste intencje redakcji „Newsweeka”, bo nie sposób ich dowiedzieć, reakcje na tekst o Biedroniu ukazały cały wachlarz napięć i konfliktów interesów, występujących po opozycyjnej stronie. Jeśli emocje z nimi związane będą wybuchać z taką mocą w przededniu wyborów, to Jarosław Kaczyński może spać całkiem spokojnie.



Rafał A. Ziemkiewicz

PiS miał skończyć z „imposybilizmem”. Sprawa Ubera pokazuje jednak jego pierdołowatość

Jedna ze spraw zauważanych tylko w konkretnym środowisku zawodowym, dla ogółu mało ważna, ale wiele mówiąca o stanie państwa: korporacja taksówkowa Uber. Już słyszę protesty, że

Różnica jest taka, że korporacje taksówkowe i kierowcy taksówek muszą spełnić wiele wymagań: licencje, egzaminy, ubezpieczenie, kasy fiskalne itd. Natomiast w ramach Ubera może wozić ludzi i kasować za to każdy, dzieląc się zarobkiem wyłącznie z samym Uberem.

Z punktu widzenia klienta – moim skromnym zdaniem – trzeba być naiwnym, żeby do takiego Ubera wsiadać. Bóg jeden raczy wiedzieć, czy osobnik za kierowcę ma w ogóle honorowane w Polsce prawo jazdy, o znajomości miasta i innych bardziej wyszukanych umiejętnościach nie wspominając. Jeśli taksówkarz wpakuje mnie na drzewo,

szybkością dojazdu. Śmieciowe jedzenie z McDonald's też jest tańsze i podawane szybciej, i – cokolwiek o tym sądzić – większość ludzi na tyle nie ma smaku oraz wyobraźni, że to w ich wypadku rozstrzyga.

@

Jednak mniejsza o punkt widzenia klienta, popatrzmy na to jako obywatela. Można do sprawy podejść wolnościowo: każdy ma prawo ryzykować swoje zdrowie, jeżdżąc, z kim chce, i oceniając jako wolna jednostka stosunek ceny do ryzyka. I państwo nie powinno w to się wchrzaniać. W takim razie państwo



Na przykład Uber

to nie żadna korporacja, tylko internetowa platforma pozwalająca każdemu kierowcy, który akurat ma „pusty przelot”, umawiać się z internetowym autostopowiczem i „podrzucić go” za tzw. drobną grzecznością. Taka jest teoria, ale w praktyce jest to, owszem, po prostu jeszcze jedna korporacja, w której kierowcy zarabiają na wożeniu – jak to się kiedyś nazywało – „łeboli” i dzielą się tym zarobkiem z organizatorem całego przedsięwzięcia.

to ubezpieczalnia będzie zobowiązana pokryć mi koszty leczenia i rehabilitacji albo przynajmniej wypłacić parę groszy wdowie. Jeśli to samo zrobi jakiś uber-man, to radź se sam, frajerze, było do niego nie wsiadać.

Oczywiście, Uber jest tańszy, a ponieważ wobec wspomnianej nierówności chętni do dorabiania sobie w ten sposób mnożą się jak króliki, również coraz bardziej wygrywa z taksówkami

powinno czym prędzej wycofać się z licencjonowania taksówek, narzucania im wymogów bezpieczeństwa, o podatku nie mówiąc.

Gwoli uczciwości trzeba zaznaczyć, że tego wolnościowego podejścia nigdzie na świecie nie zastosowano. Zapewne dlatego, że wytworzyłoby to groźny precedens, wyłom w obowiązującym w cywilizacji posteuropiejskiej politycznym dogmacie, iż państwo musi zadbać

o obywatela, by nie zrobił sobie krzywdy, bo on sam jest na to, by o siebie zadbać, za głupi i zbyt nieporadny. Gdyby otwarcie przyznać, że państwo nie musi dbać o obywateli w dziedzinie bezpieczeństwa komunikacji, pojawiłoby się pytanie: Dlaczego musi zajmować się wysłaniem go w porę do lekarza albo dopilnowywaniem, by odkładał na starość? Oczywiście odpowiedź na to pytanie brzmi: „Nie musi” i dlatego lepiej nie dopuszczać, by wyborcy je sobie zadawali.

W takim razie skoro wariant wolnościowy jest wyżej podanego powodu nie do przyjęcia, trzeba być konsekwentnym w stosowaniu wariantu etatystyczno-socjalistycznego. I to jest grane na całym świecie. Poza konsekwencją w egzekwowaniu wymogów bezpieczeństwa, argumentem na rzecz „ucywilizowania” Ubera jest też pesymistyczne założenie co do stanu świadomości wychowanych w opiekuńczym socjalizmie konsumentów. Większość z nich – idę o zakład, niech zrobią państwo ankietę wśród znajomych – nie zdaje sobie zapewne sprawy, czym taniość Ubera jest opłacona, bo skoro wzywają samochód tak samo jak taksówkę i płacą za niego tak jak za taksówkę, to myślą, że jadą taksówką, tylko tacy są sprytni, iż znaleźli dużo tańszą. To co prawda tak, jak mylić „chwilówki” z parabanków z normalnym kredytem bankowym, ale, proszę mi wierzyć, ludzi, którzy nie widzą między nimi różnicy, też nie brakuje.

W większości krajów organizowany przez Ubera proceder e-łobolstwa poddano różnym restrykcjom, a w niektórych w ogóle Uberowi działalności zakazano. Do tych ostatnich, warto zauważyć, należą Węgry, będące oficjalnie dla naszej władzy wzorem i natchnieniem.

Mając do wyboru te dwa wzorce, nasza władza nie wybiera żadnego. Po prostu udaje, że nie widzi sprawy, kolejne protesty i deputacje coraz cieniej sprzedających taksówkarzy, spuszczając na przysłowiowy bambus. Jest to zgodne z tradycją III Rzeczypospolitej, co prawda – tradycją, z którą PiS obiecywał zerwać i którą sam nazywał „imposybilizmem”. Jednak jak na razie obietnica ta okazała się być stosowana mocno wybiórczo.

Piszę o Uberze, bo za władzy poprzedniej zwracałem uwagę na istny „kwadratowy trójkąt” analogicznego problemu „przewozu osób”. Przez 20 lat państwo polskie nie było w stanie poradzić sobie z dwoistością udzielania zezwoleń jednym

na taksówki, a drugim na „przewóz osób”, co powodowało liczne spory, nieuczciwą konkurencję na rynku i rozmaite biurokratyczne kołomyjki. Wreszcie, za sprawą pojawienia się Ubera, problem stał się nieaktualny. I może to właśnie stanowi natchnienie dla obecnej ekipy? Jak się wystarczająco długo trzyma sprawę, jak to mówił Nikodem Dyżma, „w załatwianiu”, to może się kiedyś załatwi sama. Albo nas przeniosą na inne stanowisko i będziemy mogli tam powiedzieć, że skoro dopiero przyszliśmy, to nie można od nas wymagać, żebyśmy tak od razu pozałatwiali sprawy niezałatwione od lat przez naszego poprzednika – a o naszych niezałatwionych sprawach to samo będzie mógł powiedzieć nasz następca.

Gdyby dalej rządziła PO, sprawa byłaby jasna: po prostu organizator e-łobolstwa, by móc czerpać z taksówkowej „wolno-amerykanki” profity jak najdłużej, skompromował zdeprawowane, złodziejskie elity władzy – z opcją, że poza łapówkami cały ten Uber kontrolowany jest przez byłych oficerów WSI i przynosi zyski resortowym dzieciom etc.

Jednak od trzech lat rządzi PiS, więc oczywiście to najprostsze wyjaśnienie odpada. Przynajmniej tak chcemy wierzyć. Pozostaje więc, przepraszam za słowo, pierdołowatość.

@

Odpowiedzią PiS na „imposybilizm” miały być – pozwolę sobie przypomnieć – silna wola i zdecydowanie Komendanta. Od samego początku pisałem i przestrzegałem (ale kto by tam zwracał uwagę na przestrogi ludzi, od których elektorat wymaga tylko, aby byli doboszami?), że to słaba nadzieja. Państwo jest po prostu zbyt duże i zbyt skomplikowane, żeby Komendant mógł zająć się wszystkim. A nadzieja, że będzie interweniował tylko tam, gdzie to będzie naprawdę niezbędne, podczas gdy z pomniejszych sprawami na bieżąco radzić sobie będą jego wierni, sprawdzeni leguni, jest złudna. To tak nie działa i nigdy nigdzie nie działało. Gdyby tak liczni w naszym kraju wielbicieli legendy Marszałka zamiast ograniczać się do doznawania rozkosznych spasmów przed jego konnymi portretami, zechcieli się zainteresować historią i doświadczeniami jego pomajowych rządów, oszczędzilibyśmy sobie wielu rozczarowań. „No, ale co tam marzyć o tem” – jak mawiał powieściowy Stary Subiekt.

Samo istnienie punktu decyzyjnego przy Nowogrodzkiej (czy gdziekolwiek indziej) wymusza bierność i beład wszędzie indziej. Niestety tak-sówkarzy jest tylko jednym z wielu przykładów spraw, która ma wszelkie dane pozostawać „w załatwianiu” w nieskończoność, bo po prostu jest uważana za zbyt mało istotną i pilną, żeby Komendant poświęcił jej uwagę. Wątpię, żeby przyjął prośbę o decyzję ministra Adamczyka, nawet gdyby ten sam ośmielił mu się zwracać głowę. A z kolei bez decyzji Komendanta lepiej niczego nie ruszać. Zdecydujesz na korzyść Ubera, a potem się okaże, że wsparłeś ekspansję obcego kapitału... Z drugiej strony, zdecydujesz na rzecz rodzimych taksówkarzy, a okaże się, że są z Układu? Już tam zawistni rywale zadbają, żeby dotrzeć do Komendanta z donosem.

Pozostaje czekać na jakieś spektakularne nieszczęście. Tylko wtedy nasze państwo zrywa się do działania. Jeśli, powiedzmy, jakiś uberman z braku elementarnych umiejętności albo z brawury rozwali klienta i wtedy dopiero okaże się, że nie przysługuje mu leczenie ani odszkodowanie, albo, powiedzmy, wywiezie do lasu i zgwałci klientkę albo okradnie, albo co – to wtedy medialne wzmożenie wokół sprawy wygeneruje na samej górze impulsy mocy, która, schodząc w dół, pobudzi podwładnych do aktywności, odpowiednio intensywnej, aby wykazać się przed naczalstwem, że zaniedbań poprzednich lat absolutnie nie jestem winny ja. Wtedy pojawią się liczne pomysły, inicjatywy, projekty ustaw, zarządzenia i środki nadzwyczajne. Niektóre może nawet zdążą się ucieleśnić, zanim wzmożenie minie.

Ile razy to już wiedzieliśmy... Dopalacze, inspekcje przeciwpożarowe po pożarze, dachowe po zawaleniu się dachu pod śniegiem, intensywne sprawdzanie instalacji gazowych po wybuchu gazu. Inicjatywy ustawodawcze, pisane na kolanach po latach bezczynności i potem zdychające cicho w trybach biurokratycznej maszyny. Tak właśnie, zrywami, działają państwa niedocywilizowane i tak niestety działa od lat nasze państwo.

Co prawda obecna władza miała to zmienić, ale to wymaga czasu, a ona rządzi za ledwie od trzech lat i zanim cokolwiek w państwie naprawi, musi je oczyścić ze złogów poprzedników.

Urlop prezesa



Agnieszka Niewińska

Obiecał Polakom, że będzie ich stać na wyjazdy do Egiptu czy Tunezji, ale sam od lat wypoczywa w Polsce. Wakacyjny wyjazd Jarosława Kaczyńskiego i w tym roku wzbudził duże zainteresowanie mediów



FOT. JOACHIM BRUDZIŃSKI/TWITTER

Prezes zrobił pranie... i pojechał na urlop – donosił pod koniec sierpnia na pierwszej stronie „Super Express”, pokazując rzekomy żoliborski balkon prezesa PiS z suszącymi się swetrami i bielizną. Obok tabloid zamieścił zdjęcia z wakacji, które na Twitterze opublikował szef MSWiA Joachim Brudziński, od kilku lat towarzyszący Jarosławowi Kaczyńskiemu w urlopowach.

Tego lata Jarosław Kaczyński po raz kolejny wybrał się w Beskid Sądecki,

co u wielu obserwatorów wzbudziło zdziwienie właśnie ze względu na to, że niedawno leczył w szpitalu chore kolano. Jeszcze pod koniec lipca na ślubie bratanicy pojawił się z kulami. Na zdjęciach Brudzińskiego nie widać jednak kul, ale nie ma tam także forsownych górskich tras, raczej spacerów po polanach.

W ubiegłym roku natomiast Brudziński pochwalił się zdjęciem ze zdobycia Koziarza (943 m n.p.m.) – beskidzkiego szczytu w Paśmie Radziejowej. Jednak

to nie cel górskiej wędrowki wzbudził wówczas największe zainteresowanie, ale patriotyczne deszczowe peleryny, w które byli ubrani prezes i jego towarzysze. Ceny podobnych peleryn na rynku od razu podskoczyły, a sklepy nie nadążały z uzupełnianiem magazynów.

W tym roku strój prezesa także wywołał polemiki. A to za sprawą posta opozycji Michała Szcherby, który sugerował, że zdjęcie prezesa jest fotomontażem, bo ma na sobie taką samą koszulę, granatową kamizelkę i czapkę z daszkiem, które miał podczas jednego z poprzednich wyjazdów wakacyjnych. „Ale wysyp specjalistów od photoshopa dzisiaj na TT” – odpowiadał Brudziński. „Dam wam dobrą radę (chłoptasiowi, specjaliście od wejść bez kolejki do WC również), dajcie spokój. Gdybyście zjedli tysiąc kotletów i wezwali na pomoc Komisję UE, to na nic wasze popiskiwanie i zaklinanie rzeczywistości”.

SEZON NA SZCZUPAKI

Prezes PiS, choć niemal dekadę temu w kampanii wyborczej obiecywał, że Polacy będą jeździć na plaże Egiptu i Tunezji, sam przyzwyczaił nas już do tego, że wakacje spędza w kraju. Jarosław Brudziński dba, by o wypoczynku prezesa informować opinię publiczną – przy okazji pokazując się jako najbliższy współpracownik Kaczyńskiego. Oprócz wędrowek po Beskidach szef partii wraz z politykami PiS z Pomorza pływał łódką. „Prezes przejął ster! Męskie wakacje Jarosława Kaczyńskiego nad Zalewem Szczecińskim” – ekscytował się w ubiegłym roku „Super Express”. Opisywał także, że szef PiS z sukcesem zarzucił wędkę na okonie.

Podczas ubiegłorocznej majówki zainaugurował sezon na szczupaki, czym na Twitterze pochwalił się europoseł PiS Czesław Hoc. Media wielokrotnie pisały o tym, że Jarosław Kaczyński za wyjazdami zagranicznymi po prostu nie przepada. – Prezes zawsze lubił spędzać urlop w kraju, bo Polska jest po prostu piękna. Mamy wszystko – góry, morze, jeziora, lasy. Prezes Kaczyński ma wiele ulubionych zakątków Polski, które chętnie odwiedza. Wiem, że lubi wracać np. na Podlasie, ale nie zawsze zdjęcia z wakacyjnych wyjazdów trafiają później do opinii publicznej – mówi europoseł PiS Karol Karski.

Dawni urzędnicy Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego wspominają, że Jarosław Kaczyński chętnie odwiedzał

brata w prezydenckiej rezydencji na Helu. – Bracia Kaczyńscy wypoczywali tam aktywnie. Chodzili na spacer, ale uwielbiali też jazdę rowerem. Teren jest ogromny, można tam swobodnie jeździć leśnymi ścieżkami, zejść nad brzeg morza – opowiada jeden z byłych współpracowników Lecha Kaczyńskiego.

Jarosław Kaczyński podczas pobytów w prezydenckiej rezydencji wybierał również nieco bardziej ekstremalne aktywności. W czasach, kiedy był premierem, jego rzecznik Jan Dziedzicak zdradził, że jeździł po lesie quadem, a nawet mknął po Bałtyku skuterką wodną. Zdjęć ówczesnego premiera na quadzie i skutercie wodnym nie opublikowano.

WYPRAWY ŚCIŚLE TAJNE

Szczegóły ostatnich wakacyjnych wypraw Kaczyńskiego w góry czy na połów szczupaków to dziś pilnie strzeżona tajemnica. – W tym temacie wolałbym się nie wypowiadać. Nie jestem wystarczająco wytrawnym politykiem – ucina rozmowę jeden z częstych bywalców wakacji z prezesem. Inny, kiedy pytamy o urlop prezesa, od razu wykręca się od rozmowy brakiem czasu.

– Nikt nie chce się narazić prezesowi przed wyborami niezgrabną wypowiedzią – śmieje się nasz rozmówca znający sytuację w partii. I dodaje: – Poza tym wypowiedzi polityków PiS na temat zdrowia prezesa narobiły sporego zamieszania. Każdy chciał się popisać w mediach, że coś wie, i z tego zrodziło się wiele szkodliwych dla partii plotek. W końcu Joachim tupnął nogą, w klubie była dyskusja o tym, że każdy ma się zająć sobą, a nie mówieniem o prezesie.

Utarło się, że to właśnie Brudziński jest organizatorem wakacyjnych wypraw prezesa. – Sprawnie je organizuje, proponuje miejsca, w których szef partii nie jest nękany przez media, nie krążą za nim paparazzi – mówi nam osoba zbliżona do partii. Dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku politycznego, autor książki „Drzewo kampanii wyborczej”: – To, że wakacje prezesa Kaczyńskiego są starannie zaplanowane i spędza je z dala od mediów oraz fotoreporterów, sprawia, iż to jego najbliżsi współpracownicy mają kontrolę nad przekazem. Joachim Brudziński, publikując na Twitterze zdjęcia, wybiera tylko te, które sam chce pokazać. Dzięki temu można uniknąć wpadek –

mówi dr Trzeciak. I przypomina Angelę Merkel sfotografowaną na plaży kolejny rok z rządu w tej samej koszuli oraz senatora PiS Jana Marię Jackowskiego, który zażywał morskich kąpiei nago, co uwiecznił fotoreporter tabloidu.

Podkreśla, że tego, gdzie najważniejsi politycy spędzają wakacje, nie można pozostawić przypadkowi. – To istotny element mający wpływ na wizerunek. Dotyczy to zarówno Angeli Merkel, jak i Jarosława Kaczyńskiego – mówi dr Trzeciak. – Dobrze widziane jest, jeśli premierzy czy ministrowie spędzają urlop w kraju. Pokazują w ten sposób, że doceniają jego walory, wspierają lokalną gospodarkę. To też wyraz skromności, a oczekujemy, by politycy wypoczywali bez luksusów, wybierali lokalne kurorty zamiast meksykańskich plaż. Korzystny dla wizerunku jest także aktywny wypoczynek polityka – zamiast leżenia na plaży wędrówki po górach, sport, zwiedzanie. Jeśli jednak polityk chciałby podczas urlopu mieć trochę prywatności i czas dla siebie, to zapewne lepszym rozwiązaniem jest wyprawa za granicę, w miejsca, które nie są szczególnie popularne wśród rodaków.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PRENUMERATA

**PÓŁROCZNA
PRENUMERATA**

TYGODNIKA DO RZECZY

**+ PAKIET KSIĄŻEK
MAI LIDII KOSSAKOWSKIEJ
„BRAMY ŚWIATŁOŚCI” TOM I I II**

Cena: 144 zł

Oszczędność: 119 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa



WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl



Z dr. Tymoteuszem Zychem
z zarządu Ordo Iuris
rozmawia Małgorzata Rostowska

Polacy nie chcą żłobków

MAŁGORZATA ROSTOWSKA: Wniosek płynący z raportu opracowanego przez Instytut Ordo Iuris we współpracy z innymi organizacjami działającymi na rzecz rodzin jest jasny: większość Polaków wcale nie chce posyłać swoich dzieci do żłobka.

DR TYMOTEUSZ ZYCH: Rzeczywiście, takie są wyniki badań dotyczące preferencji polskich rodziców w zakresie opieki nad dziećmi do trzeciego roku życia: ponad połowa z nich w ogóle nie bierze pod uwagę wyboru żłobka, a aż 85 proc. matek jako najlepszą formę wybrałoby osobistą opiekę lub powierzenie dzieci

komuś z rodziny. Te dane nie odbiegają zresztą od preferencji rodziców w innych krajach, takich jak Francja, Czechy czy Kanada.

Dlaczego tak jest?

Odpowiedzi należy szukać w kilku źródłach. Po pierwsze, rodzice chcą sami sprawować opiekę nad dzieckiem, zwłaszcza gdy wymaga ono szczególnie intensywnej uwagi, bo są przekonani, że nikt nie zrobi tego lepiej niż oni sami lub wybrana przez nich opiekunka, a dla

dziecka bardzo ważne są w tym czasie stabilne więzi. Po drugie, dobrze wiedzą, że żłobek najczęściej nie spełnia swojej roli: z badań wynika, że w ciągu roku dziecko przebywa w nim niecałe 60 proc. tego czasu, który z założenia powinno tam spędzać. Powodem są oczywiście infekcje. Wielu rodziców nie chce narażać dziecka, którego układ immunologiczny jest niedojrzały, na choroby zakaźne.

W poprzednim raporcie poświęconym macierzyństwu mówicie wprost: badania potwierdzają,

wątpliwości, że długotrwałe przebywanie dziecka z dala od najbliższych może mieć negatywny wpływ na jego rozwój, m.in. w zakresie budowania więzi międzyludzkich, a im dłużej trwa rozłąka, tym większe prawdopodobieństwo wystąpienia różnego rodzaju dysfunkcji czy zaburzeń w przyszłości.

Wiele osób zapewne zakrzyknęłoby z oburzeniem: A co z zaletami kolektywnej opieki? Przecież w żłobku i przedszkolu dzieci mają kontakt z rówieśnikami, uczą się zachowań społecznych itd.

Owszem, w wieku przedszkolnym zaspokojenie takich potrzeb staje się istotne, ale wcześniej ma bardzo małe znaczenie. Potrzeba socjalizacji pojawia się w wieku 2,5–3 lat. Oczywiście jest grupa rodziców, którzy świadomie wybierają żłobek, ale jest w mniejszości. Tymczasem tylko ona może liczyć na wsparcie państwa.

Jednym słowem: rodzice nie chcą posyłać dzieci do żłobka, a ze środków publicznych dofinansowuje się tylko tę formę opieki nad dziećmi. Polityka prorodzinna trafia w potrzeby jak kulą w płot?

Nie oceniałbym obecnej polityki rodzinnej tak radykalnie. Żłobki to jeden z najważniejszych, ale nie jedyny element strategii prorodzinnej państwa. W ostatnich latach dużo się zmieniło na lepsze w innych kwestiach. Jednak w przypadku opieki nad najmłodszymi dziećmi wciąż jest wiele do zrobienia.

Dlaczego zatem w kwestii żłobków wciąż utrzymuje się ten kierunek polityki prorodzinnej?

Jest ona efektem bezrefleksyjnego powielania modelu rozwiązań rodem z PRL, ale częściowo wynika również z rekomendacji zawartych w unijnych dokumentach, takich jak cele barcelońskie, które zakładają, że opieką w żłobkach powinno być objętych 30 proc. dzieci. Większość tych wytycznych odkłada na bok dobro dziecka czy nawet rozwój demograficzny, a koncentruje się tylko na aktywizacji zarobkowej. Na szczęście żaden z tych dokumentów, które tworzy Unia, nie mając co do tego żadnych kompetencji, nie jest wiążący i wiele krajów je ignoruje. Na przykład w Czechach w 2012 r. funkcjonowały zaledwie 44 państwowe żłobki.

No właśnie. Czy na Zachodzie jest inaczej?

Nie tylko na Zachodzie. Polska ze swoim modelem etatystycznym opieki nad małym dzieckiem w coraz większym

stopniu staje się ewenementem w skali europejskiej. Drugim krajem, który inwestuje właściwie tylko w żłobki, są Niemcy. To też bardzo znamienne, bo to państwo, w którym polityka prorodzinna uznawana jest za skrajnie nieefektywną i w którym mimo zamożności obywateli i dużych nakładów odnotowuje się jeden z najniższych współczynników dzietności. Z drugiej strony jest przykład Węgry, którzy mimo rozbudowania sieci żłobków inwestują też w inne rozwiązania. Zależność jest wyraźna – tam, gdzie rodzice mają do wyboru również inne formy opieki dofinansowywane przez państwo, wzrasta dzietność. Tak stało się m.in. w Finlandii czy we Francji.

Jednak czy danych dotyczących Francji nie zaburza wysoki współczynnik dzietności w rodzinach muzułmańskich?

We Francji nie prowadzi się statystyk, które pozwalałyby na ocenę współczynnika dzietności ze względu na kryteria religijne czy kulturowe, które oczywiście mogą mieć duży wpływ na współczynnik dzietności. Dostępne dane potwierdzają, że matki urodzone poza Francją mają średnio więcej dzieci niż urodzone w kraju, ale nawet w tej ostatniej grupie dzietność jest wyraźnie wyższa niż średnio w Europie. Natomiast nie zmienia to faktu, że przecież w Niemczech również mamy do czynienia z wysoką imigracją. Zestawienie podejścia do opieki nad małymi dziećmi oraz faktycznych decyzji prokreacyjnych w tych dwóch państwach daje do myślenia.

Wróćmy do Polski. A może jest tak, że po prostu nie znamy alternatywy dla żłobków? Co mamy do wyboru?

W krajach, które dają rodzicom szerszy wybór niż w Polsce, funkcjonują takie konstrukcje jak np. bon wychowawczy. Przy takim rozwiązaniu pieniądze trafiają bezpośrednio do rodziców i to oni decydują, na jaką formę opieki zostaną wydane. Mogą pobrać je sami jako wynagrodzenie, mogą też trafić do opiekujących się dziećmi członków rodziny, niani albo być przeznaczone np. na punkty opieki dziennej organizowane w mieszkaniu przez sąsiadów, miniżłobki czy kluby malucha. Wszystkie te formy do tej pory nie miały sprzyjających warunków do rozwoju z powodu nadmiernie wyśrubowanych wymogów, które na szczęście w ubiegłym roku zmieniono. Chociaż samorządy teoretycznie mogą wspierać inne rozwiązania niż żłobki, to w praktyce nic z tego nie wychodzi.

że przebywanie w żłobku niekorzystnie wpływa na rozwój tak małych dzieci.

Może to mieć miejsce, zwłaszcza jeśli małe dzieci spędzają w żłobku tak dużą liczbę godzin, jak to się dzieje w naszym kraju. W Polsce, podobnie jak w Portugalii, dzieci przebywają w żłobkach znacznie dłużej niż ich rówieśnicy w innych państwach. W skali tygodnia to średnio aż 39 godzin, to prawie cały etat! W skali całej Europy średnia wynosi ok. 26,4 godziny, a w większości państw zachodnich znacznie mniej. Psychologowie nie mają

Dla gminy znacznie łatwiejsze jest rozpisanie konkursu na opiekę żłobkową niż indywidualne kontakty z licznymi opiekunami. Od kilku lat również osoby zatrudniające nianię mogą liczyć na symboliczną pomoc w postaci opłacenia części składek ZUS, ale jest to wsparcie nieproporcjonalne do potrzeb i objęte obostrzeniami. Trudno zrozumieć np., że z dofinansowania niani – nawet dla starszego dziecka – nie może skorzystać mama, która przebywa na urlopie rodzicielskim. Dlatego korzysta z niego jedynie ok. 8,5 tys. osób.

Porozmawiajmy o pieniądzu. Średni koszt utrzymania dziecka w warszawskim żłobku to ok. 1,6 tys. zł. Lwia część, bo ponad 1,3 tys. zł, to dofinansowanie z publicznej puli. Jak te wydatki kształtowałyby się w przypadku innych form?

Bardzo podobnie. Musimy pamiętać, że mitem jest przekonanie, iż opieka kolektywna w żłobkach jest tańsza niż inne formy. I tu, i tu muszą być zatrudnieni opiekunowie, do tego dochodzą koszty wynajęcia i utrzymania budynku oraz wiele innych wydatków. Opieka domowa lub zbliżona do domowej nie niesie ze sobą tego typu nakładów. Gdy porównamy wynagrodzenie minimalne z 2016 r., które wówczas wynosiło 1350 zł netto, okaże się, że łączny koszt miesięcznego pobytu w żłobku bywa wyższy niż pensja wielu opiekunek. A to oznacza, że inna forma wcale nie jest droższa od opieki instytucjonalnej.

Jak miałyby to wyglądać w praktyce? Państwo może przewidzieć wydatki – wsparcie kosztuje tyle i tyle, bo tyle jest miejsc w żłobkach. Gdyby dofinansować inne formy, liczba osób korzystających ze wsparcia państwowego radykalnie by wzrosła.

Rzeczywiście, założenie jest takie, by bony miały charakter powszechny, ale w ramach obecnych możliwości można stworzyć system preferencji i takim wsparciem w pierwszej kolejności objąć rodziców dwojga czy nawet trojga dzieci. Gdyby ustalić wysokość bonu np. na 500 zł, co stanowi nieco mniej niż połowę dofinansowania jednego miejsca żłobkowego w większych miastach, oraz na początku ograniczyć świadczenie do rodzin, w których urodziło się trzecie i kolejne dziecko, to koszt wynosiłby ok. 700 mln zł, czyli znacznie mniej niż obecne wydatki na system żłobkowy. Jeżeli bonem objęte byłyby tylko osoby, które nie zapisały dziecka do żłobka, to koszty byłyby jeszcze niższe.

Jednak 500 zł to za mało, by móc nie pracować zawodowo albo zatrudnić nianię...

Tak, na początku nie byłaby to oczekiwana stuprocentowa rekompensata utrzymania dziecka w żłobku ani ekwiwalent kosztów wynagrodzenia pracownika, ale na pewno byłby to krok w dobrą stronę. Poza tym gdyby nastąpiła kumulacja świadczeń z „500+”, to takie wsparcie sięgałoby już 1 tys. zł. Warto przyrzeć się doświadczeniom np. we Francji. Tam również dofinansowanie żłobka jest wyższe niż alternatywne świadczenie trafiające bezpośrednio do rodziców, a mimo to i tak większość Francuzów wybiera opiekę bezpośrednią czy rodzinną. Bezsporny jest wpływ takich rozwiązań na dobro dziecka.

Opublikowanie raportu niemal zbiegło się w czasie z konferencją prasową minister Rafalskiej, która zapowiadała dalszy, dość intensywny rozwój sieci żłobków.

To, co pozytywnie wybrzmiało w wypowiedzi pani minister, to fakt, że resort przyznał, iż jego celem nie jest, by wszystkie dzieci znalazły się w żłobkach, ale jako priorytet traktuje się wolę samych rodziców. Trudno podważać, że jest grupa Polaków, którzy chcą korzystać z opieki instytucjonalnej, i ich na pewno ucieszą plany jej rozwoju. Jednak ta kluczowa

Koszt miesięcznego pobytu w żłobku bywa wyższy niż pensja opiekunek. Czyli inna forma wcale nie jest droższa od opieki instytucjonalnej

konkluzja minister Rafalskiej to dobry znak. Czas pomyśleć też o innych rodzinach, którzy stanowią większość. Byłby to krok w kierunku reorientacji polityki rodzinnej w duchu tzw. podejścia rodziny mainstreaming, w którym rodzic jest podmiotem polityki, a nie jej przedmiotem.

Z raportu płynie wniosek, że szczególnie dyskryminowane w Polsce są rodziny wielodzietne.

Mamy na myśli nie tylko dofinansowanie żłobków, lecz także inne kwestie, np. zabezpieczenie emerytalne kobiet, które poświęciły się wychowywaniu dzieci. Aktualnie procedowany jest wreszcie projekt zmiany tej skandalicznej sytuacji, w której matka rodzin wielodzietnych pozbawiona są prawa do emerytury, choć ich kilkoro czy nawet kilkanaścioro dzieci pracuje na

emerytury innych obywateli. To rażąca niesprawiedliwość.

Jednak dyskryminacja wyraża się też w tworzeniu niesprawiedliwych konstrukcji polityki społecznej, które demotywią do rodzicielskich ról. Widać to choćby na poziomie języka ustaw, poczynając od sformułowania „urlop macierzyński”. Każdy, kto miał do czynienia z małym dzieckiem, wie doskonale, że taka opieka nie ma nic wspólnego z urlopem. Takich sformułowań jest więcej. Choćby „aktywizacja kobiet” czy „pójście do pracy”, które stwarzają wrażenie, że kobieta zajmująca się dzieckiem i domem jest nieaktywna, bierna.

No właśnie, raport ma też ambicję zmienić wizerunek matki zajmującej się dzieckiem. Marksizm wpoił nam przekonanie, że praca na rzecz rodziny jest mniej wartościowa niż zawodowa. Kobiety same o sobie mówią pogardliwie „kury domowe”.

To skutek ideologii marksistowskiej. Engels, który ma status współtwórcy marksizmu, postawił instytucji małżeństwa te same zarzuty co własności, uważając, że zniesienie ról płciowych miało by przysłużyć się osiągnięciu wolności. Warunkiem samorealizacji człowieka miałyby być likwidacja rodziny opartej na monogamicznym małżeństwie. To fałszywy, aprioryczny obraz rzeczywistości, oparty na założeniach, do których dopasowywane są fakty. Pochodną jest tak powszechna dzisiaj – szczególnie w kulturze masowej – deprecjacja ról związanych z rodziną i macierzyństwem oraz postrzeganie ich jako porażki życiowej, bezproduktywnego działania.

W jaki sposób można by zmienić to przekonanie?

Potrzeba rozwiązań, które będą dowartościowywały te role na różnych poziomach – społecznym, językowym, kulturowym i ekonomicznym. Skoro praca w domu jest inwestycją, bez której żadne społeczeństwo nie może istnieć, to trzeba zacząć ją doceniać. Dzisiaj jest tak, że zatrudnienie w charakterze przedszkolanki jest traktowane jako kariera zawodowa, a te same zadania wykonywane przez rodzica nie są uznawane za pracę. To podejście nie tylko absurdalne, lecz także wrogie wobec rodziców, a szczególnie matek. Oczywiście nasze postulaty nie mają na celu narzucania komukolwiek jakichkolwiek ról, ale danie wyboru rodzicom. Pora zacząć traktować ich poważnie i w zgodzie z konstytucją, która podchodzi do rodziny podmiotowo.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

NIEZAPOMNIANY KONCERT

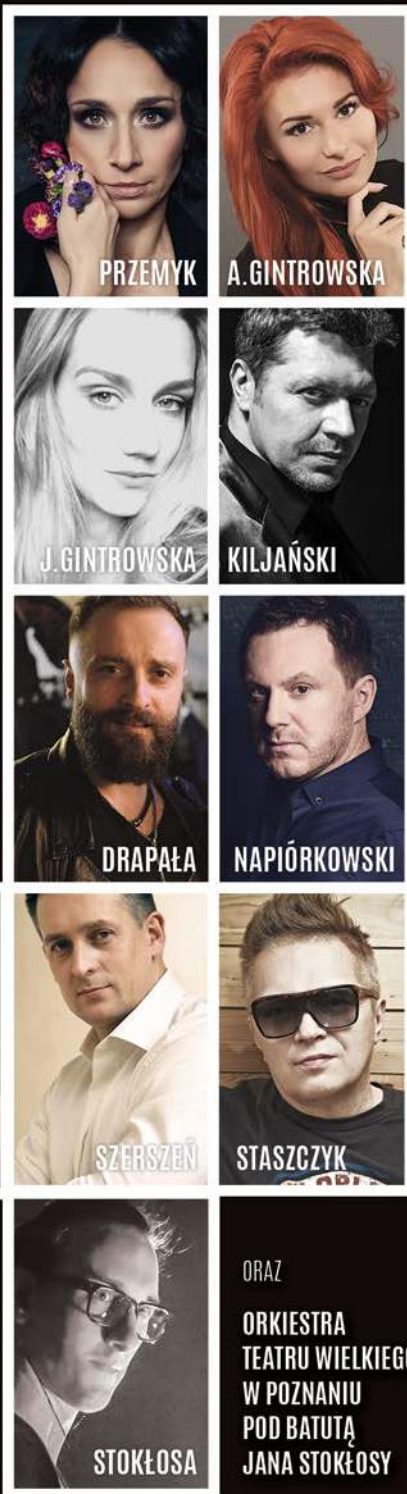
Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...
2018 rokiem Zbigniewa Herberta

12 WRZEŚNIA
POZNAŃ
GODZ. 20.00

TEATR WIELKI IM. STANISŁAWA MONIUSZKI

BILETY JUŻ W SPRZEDAŻY: BILETY24.PL

ORAZ W KASACH TEATRU PRZY UL. FREDRY 9
KASY/REZERWACJA TEL. 61 65 90 231



PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

MECENAS KONCERTU

PARTNERZY



WSPÓŁORGANIZATOR



niepodległa

POLSKA
KULTURA
ODZYSKANIA
NIEPODLEGŁOŚCI

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



PATRONI MEDIALNI

wprost

szczęść

TVP

ELOS
WIELKOPOLSKO

eprasa.pl 8c241e37a6



Wiesław Chelminiak

Czarno-białe fotografie i kolorowane pocztówki – tylko tyle pozostało po Konstantynopolu

Jesienią minie setna rocznica upadku imperium osmańskiego. Turcja zdołała przekuć tę katastrofę w sukces i dziś nikt już nie nazywa jej „chorym człowiekiem Europy”. O bagażu, z którym dawny rywal Polski wszedł w nowoczesność, przypomina wystawa „Stambuł. Dwa światy, jedno miasto” w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie.

Od czasów Lelewela szlachecką Rzeczpospolitą zwykło się porównywać z Hiszpanią, lecz więcej łączyło ją z Turcją: wieloetniczność, anachroniczny ustrój, niedorozwój aparatu państwowego, zapatrzenie we wspaniałą przyszłość, wszechobecna korupcja, pustki w skarbcu i postępujący rozkład armii, przed którą niegdyś drżeli sąsiedzi. Pierwsze próby wprowadzania reform na zachodnią modłę pod koniec XVIII w. zostały zablokowane przez konserwatystów i płatnych agentów ościennych mocarstw. Następne stulecie upłynęło nad Bosforem pod znakiem zmagania o reformy i konstytucję. Ostatecznie wygrali zwolennicy zmian, ale państwo stanęło na krawędzi zagłady.

Podobnie jak w polskim przypadku pretekstem do obcej interwencji były kwestie religijne. Jako gwarantka praw dla innowierców, przede wszystkim prawosławnych, występowała Rosja. Carycy Katarzynie II marzyło się odtworzenie cesarstwa bizantyjskiego pod berłem jej wnuka. Plan miał racjonalne podstawy: w Konstantynopolu (turecka nazwa „Stambuł” weszła do użycia dopiero w XX w.) wyznawcy islamu wciąż stanowili mniejszość.

O ile los Rzeczypospolitej był Zachodowi doskonale obojętny, o tyle państwo osmańskie znalazło obrońców przed apetytem carów. Jednak nie ma nic za darmo – słabnące imperium musiało pogodzić się z rolą gospodarczej półkolonii, potulnie ulegającej naciskom „przyjaciół”. Budowane nad Bosforem ambasady Wielkiej Brytanii, Francji czy Niemiec wspaniałością niewiele ustępowały sułtańskim pałacom. In ten prosty



Atlantyda znad

sposób dawano światu do zrozumienia, kto tu naprawdę rządzi.

MUZUŁMANOM DZIĘKUJEMY

Turcja, postrzegana jako brama do egzotycznego Wschodu, fascynowała podróżników, pisarzy i artystów. W utrwalaniu orientalnego stereotypu udział mieli też nasi malarze: Stanisław Chlebowski i Tadeusz Ajdukiewicz, afilowani przy sułtańskim dworze. Fascyna-

cja działała w obie strony. Gdy w Paryżu i Londynie damy wdziewały haremowe stroje, sułtan Mahmud II, wielbiciel zachodniej muzyki klasycznej, wprowadził obowiązek noszenia przez mężczyzn spodni, marynarek i czerwonych fezów. Jego następca Abdülmecid I, sprawił sobie rezydencję wzorowaną na Luwrze i pałacu Buckingham.

Turecki rząd nie miał jednak w Europie dobrej prasy. Liberalowie pomsto-

Koszary artylerii i meczet w dzielnicy Tophane w Stambule. Fotografia z 1885 r.
FOT. MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY W KRAKOWIE



Bosforu

wali na zacofany i despotyczny reżim. Naigrywano się z nieudolności sułtanów, choć nawet polityczny geniusz miałby problemy z kierowaniem strukturą tak anachroniczną jak Wysoka Porta. Jak wiadomo, najbardziej niebezpieczny moment dla każdego państwa to ten, w którym próbuje się ono zmienić. Reformy, suflowane tureckim władcom przez cudzoziemców, tylko pogarszały sytuację. Centralizacyjne zapędy,

rozbudowa administracji oraz aparatu fiskalnego wzmacniały ruchy odśrodkowe. Reformy oświaty pogłębiały właśnie na tle narodowym.

W dawnym, pamiętającym czasy średniowiecza, systemie każda nacja miała swoje miejsce. Muzułmanie uprawiali ziemię, służyli w armii, ale panowało powszechne przekonanie, że na inżynierów, lekarzy, pracowników banku, poczty czy kolei się nie nadają. Prawie wszystkie sklepy, kawiarnie, restauracje, hotele i zakłady fotograficzne w Konstantynopolu należały do innowierców. Na gospodarczym boomie przełomu XIX i XX w. skorzystali głównie Grecy, Żydzi i Ormianie. Podobnie wyglądało to nad Wisłą: beneficjentami rewolucji przemysłowej okazali się w pierwszym rzędzie Niemcy i żydowscy przedsiębiorcy oraz przekupni rosyjscy urzędnicy. Polacy byli – tak jak Turcy – tanią siłą roboczą.

POSTĘP NA GROBACH

W oczach Europejczyków Konstantynopol był kwintesencją Orientu. Zwłaszcza jego najstarsza część, położona na lewym brzegu Złotego Rogu, w obrębie murów wzniesionych jeszcze przez rzymskich cesarzy. Tam znajdowały się najśłynniejsze zabytki: Hagia Sophia, Topkapı i meczety, fundowane przez sułtanów „wielkiego stulecia”. Otaczały je drewniane domy regularnie padające pastwą pożarów (zakazywano używania kamienia, by ograniczyć liczbę ofiar, gdyż miasto regularnie nawiedzały trzęsienia ziemi).

W labiryncie wąskich uliczek, zaludnionych przez ubogich wyznawców islamu, turyści zaspokajali głód egzotyki. Przy okazji mogli się, tak jak Henryk Sienkiewicz, dowartościować kosztem tubylców. Polski pisarz jesienią 1886 r., udając się do Aten, zahaczył o turecką stolicę, by ujrzeć to, co chciał zobaczyć: godną pogardy antytezę Zachodu.

Miasto przywitało pisarza deszczem. Bolały go zęby, w dodatku przez 10 dni nie mógł zejść na ląd z powodu zagrożenia epidemią cholery. Gdy kwarantanna dobiegła końca, odkrył, że Konstantynopol przypomina „nie Kraków, nie Lwów, nie Tarnopol, ale jakiś niechlujny Pacanów czy Baranów”. Romantyków w stylu Jana Potockiego orientalna metropolia fascynowała, w nim wzbudzała jedynie obrzydzenie. „To rojenie się azjatyckie ma w sobie coś z rojenia

się robactwa. Takie masy, takie nieprzeliczone tysiące gnieźdzą się, żyją, płodzą i umierają w tych brudach” – narzekał w liście do znajomej. Przestało padać dopiero w dniu pożegnania Sienkiewicza z Konstantynopolem. Odpywając, ujrzał w świetle zachodzącego słońca panoramę miasta podziwianą przez przybyszów jeszcze w czasach, gdy Wysoka Porta była potęgą.

Autor „Trylogii” zignorował dzielnicę położoną na prawym brzegu Złotego Rogu, bo ich rozwój podważał aksjomat o azjatyckim zacofaniu. Tutaj nie modlono się, lecz robiono interesy. Wznoszono gmachy i galerie handlowe, których nie powstydzilyby się Petersburg i Wiedeń. W miejscu dawnych cmentarzy pojawiały się parki. Korzystając z pożarów, wytyczano szerokie i proste ulice. Najważniejsza z nich, nazywana z francuska Grande Rue, cieszyła się sławą Pół Elizejskich Orientu.

DRUGA ŚMIERĆ BIZANCJUM

Sienkiewicz przyплыł statkiem z Warny, tymczasem już od trzech lat turyści mogli korzystać z usług słynnego Orient Expressu. Kolej była wówczas synonimem postępu. Uruchomienie połączenia z Calais ze stolicą osmańskiego imperium uznano wręcz za „aneksję Konstantynopola przez świat zachodni”. Nowe wypierało stare. Aby pociągi mogły dotrzeć do Złotego Rogu, zdemolowano tarasowe ogrody Topkapı.

Sześć lat po wizycie polskiego pisarza swe podwoje otworzył hotel Pera Palace, wyposażony w kaloryfery, prysznice i światło elektryczne. Winda wykonana z drewna i stali była drugą taką w Europie (pierwsza wjeżdżała na szczyt paryskiej wieży Eiffla). Personel obowiązywały standardy rodem z Monte Carlo i Nicei.

Na początku XX w. westernizacja Konstantynopola nabrała przyspieszenia. Miasto miało już prawie milion mieszkańców. Mogło pochwalić się tramwajami, klubami piłkarskimi, wodociągami, latarniami gazowymi, muzeami, teatrami, a nawet operą.

Pionierami nowoczesności wciąż byli cudzoziemcy: to oni modernizowali armię. Dzięki działalności zagranicznych instruktorów najbardziej europeizowanym środowiskiem stali się młodzi ludzie w mundurach. Radykalni oficerowie nie chcieli czekać, aż rząd zdecyduje się zrzucić gorset tradycji. Zamach stanu i związane z nim zamieszanie

■ sąsiedzi wykorzystali, by rozdrapać resztki bałkańskich posiadłości sułtana. Perspektywa ostatecznego załamania imperium nie pomagała liberałom, za to napędzała wiatr w żagle zwolennikom panturkizmu i panislamizmu. Po krótkim epizodzie demokratycznym do władzy doszli nacjonaliści.

Gdyby w przededniu I wojny światowej „chory człowiek Europy” nie zdecydował się na sojusz z Niemcami, mógłby jeszcze trochę pożyć. Jesienią 1918 r. przyszła kapitulacja, a z nią upokorzenie. Przywódcy alianckich wojsk, okupujących Konstantynopol, uroili sobie, że wyzwalają ludność spod azjatyckiej tyranii. Zapalono zielone światło Grekom, którym marzyła się odbudowa bizantyjskiego imperium.

Turcy w tej walce o przetrwanie wykazali się jednak jeszcze większą determinacją niż Polacy pod wodzą Piłsudskiego. Grecka ofensywa zamieniła się w paniczną ucieczkę. Zachodni Europejczycy nie chcieli umierać za Konstantynopol i Turcja, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z państwa upadłego stała się pożądanym politycznym partnerem.

POŻEGNANIE Z FEZEM

Chrześcijanie znad Bosforu, splamieni kolaboracją z okupantami, nie mogli oczekiwać niczego dobrego od nacjonalistów Mustafy Kemala Paszy. W przededniu utworzenia republiki w mieście ukazywało się siedem gazet w języku greckim, pięć w ormiańskim, cztery w ladino i innych językach miejscowych Żydów oraz jedna angielska. Jeżeli ich czytelników nie wysiedlono od razu, to tylko dlatego, że władze obawiały się gospodarczego paraliżu.

Siedzibę rządu przeniesiono do Ankarę, oficjalnie z powodów strategicznych. Kemal wzorował się na Leninie, który wolał Moskwę od kosmopolitycznego Petersburga. Konstantynopol, ze swoimi chrześcijańskimi i osmańskimi tradycjami, nie nadawał się na stolicę państwa narodowego. W mieście rozlepiono afisze: „Obywatelu, rozmawiaj po turecku!”. Podczas akcji nadawania nazwisk odmawiano rejestracji takich, które kończyły się na „-pulos” (Grecy), „-ian” (Ormanie), „-icz”, „-ow” (Słowianie).

Konstytucja gwarantowała równość wszystkim obywatelom, bez względu na płeć, pochodzenie i wyznanie. Praktyka była jednak inna. Nowa władza mogła

dystansować się od religii, lecz i tak opierała się na Turkach – wyznawcach islamu. Poparcie dla nacjonalistów wynikało z pobudek wzniosłych i przyziemnych. Nadarzała się bowiem okazja do przejęcia majątków i pozycji zabitych, aresztowanych lub zmuszonych do wyjazdu niemuzułmanów. Rząd konfiskował domy innowierców, którzy zgrzeszyli nieolojalnością lub wyjechali z miasta z obawy o własne bezpieczeństwo. Do tej ostatniej kategorii należał grecki właściciel Pera Palace. Teraz już były właściciel. Represje, szykany i nieprzychylna władza zrobiły swoje. Przesiedleńcom pozostawał w ręku tylko kwitek z listą utraconych dóbr, za które nigdy nie doczekali się godziwego zadośćuczynienia. Skąd my to znamy?

„Repatriacja”, która dotknęła na równi muzułmanów z Bałkanów i chrześcijan z Azji Mniejszej, zakończyła epokę multi-kulti, korzeniami sięgającą starożytności. W 1955 r. następcy Kemala jeszcze raz zagrali „narodową” kartę. Na prawym brzegu Złotego Rogu doszło do pogromu. Motłoch demolował i rozkradał sklepy przy dawnej Grand Rue, przechrzczonej na İstiklâl Caddesi, czyli aleję Niepodległości. Już wcześniej z ulic zniknęły hidżaby i fezy, uznane za symbol wsteczniactwa. Lata zaczęto liczyć od narodzin Chrystusa zamiast od ucieczki Mahometa do Medyny, zaś alfabet arabski zastąpiono łacińskim. Nawiasem mówiąc, na pomysł ten wpadł jeszcze w połowie XIX w. Konstanty Borzęcki, w Turcji znany jako Mustafa Celaledin Pasza.

FERALNE STULECIE

Kemaliści wydali na Konstantynopol wyrok śmierci. Na zlecenie rządu francuski architekt modernista przedstawił plan przewidujący zrównanie z ziemią Wielkiego Bazaru i większości zabudowy Grand Rue. Nad Złotym Rogiem miała wyrosnąć dzielnica przemysłowa, nad morzem Marmara – wieżowce mieszkalne. Z różnych powodów do realizacji tego projektu nie doszło, lecz jego idea zawładnęła umysłami tureckich notabli i urbanistów. W krajobrazie Stambułu dominują dziś nowoczesne, stalowo-betonowe konstrukcje. Buldożery omijają jedynie meczety i emblematyczne budowle, bardziej na użytek turystów niż miejscowych. Resztę sukcesywnie się wyburza.

Jak widać, nie trzeba wojny, by radykalnie zmienić oblicze miasta. Z 14 mln mieszkańców Stambułu jedynie niewielki procent żyje tu z dziada pradziada. Pozo-

stali to potomkowie uchodźców z utraconych przez Turcję prowincji i wieśniaków przybyłych z Anatolii. Prawie jak w Warszawie.

Kemal bolszewickimi metodami chciał zmienić mentalność rodaków, wyrwać z korzeniami wpływy arabskie i perskie. Tańczący derwisze mogli przetrwać jedynie jako atrakcja dla turystów, serwowana między koncertem kapeli janczarskiej a tańcem brzucha. Charakterystyczne, że symbolem cywilizacyjnego skoku stało się zwycięstwo Turczyni w konkursie Miss Universe w 1932 r.

Ile było w tym państwowego przymusu, ile szczerzej chęci odcięcia się od przeszłości, trudno dziś ocenić. Z czasem okazało się, że nie można liczącej kilka wieków tradycji bezkarnie wyrzucić do kosza. Amputacja historycznej pamięci jest zabiegiem bolesnym i – na dłuższą metę – skazanym na porażkę. Polacy nie mieli swojego Kemala, modernizację zaaplikowała nam władza z obcego nadania. Z zazdrością patrzyliśmy na integrację Turcji z gospodarką europejską i jej sojusz wojskowy z USA.

Dzisiaj republika po raz kolejny zmienia skórę. Eksperyment, polegający na ścisłym oddzieleniu islamu od państwa, zdaje się dobiegać końca, słabnie też ułomna turecka demokracja. Dzieło Kemala może nie przetrwać następnej dekady, gdy armia, która zawsze stała na straży realizacji jego testamentu politycznego, straci resztę wpływów. Politycznej zawierusze towarzyszy pełzająca rehabilitacja osmańskiej przeszłości. Sukces serialu „Wspaniałe stulecie” wydobyl na światło dzienne wstydliwie skrywaną prawdę: Turcy mają ochotę na powrót do korzeni.

Nostalgia za dawnymi czasami trawi też elity. „Stambuł z kosmopolitycznej, bogatej i zwycięskiej metropolii przemienił się w pustą, cichą, czarno-białą miasteczkę, w której mówi się jednym językiem, życie jest monotonne, a wszystko wokół powoli ulega bezlitosnemu działaniu czasu” – czytamy w jednej z książek Orhana Pamuka, ilustrowanej zdjęciami bardzo podobnymi do tych, które można oglądać w Krakowie. O pięć lat młodszy od noblisty Mario Levi napisał zaś powieść pod znamienitym tytułem: „Stambuł był baśnią”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Stambuł. Dwa światy, jedno miasto” w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie była otwarta do 2 września.

> **10** LAT
na rynku

> **15**
inwestycji w portfolio,
w tym 4 w realizacji

> **100** MLN PLN
czynszów najmu
wyświadczonych nabywcom
pokoi i apartamentów

> **1000**
pracowników

> **1250**
pokoi i apartamentów

*„W biznesie nie ma gwarancji zysku.
Nie wierz w zawyżone stopy zwrotu.
Wybierz sprawdzonego partnera.”*

Zdrojowa Invest & Hotels to twórca
i lider rynku condo hoteli w Polsce.
Condo hotele mają rozbudowane usługi
hotelowe zapewniające wysokie obłożenie,
czym różnią się od mieszkań na wynajem.
Jedyni obsługujemy rynek wtórny, więc
zwiększamy płynność lokali condo.

 **ZDROJOWA®**
INVEST & HOTELS

CONDO HOTELE &
APARTAMENTY WAKACYJNE

Lider rynku
dochodowych pokoi
i apartamentów.
Największa sieć
hotelii w polskich
kurortach.

MARINE® HOTEL & ULTRA
MARINE®

 DUNE
HOTEL
RESORT

sand hotel ****®

 JANTAR
HOTEL & SPA

Ustka
BOULEVARD
by RESIDENCE

 Baltic Park®
MOJO apartments

 CRISTAL RESORT®
SZKLARSKA PORĘBA

 Radisson BLU

OPERATOR
Zdrojowa Hotels Central Pomerania

Polak chce, Anglik



Piotr Gociek

Polski „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” to film równie niepełny jak brytyjski „303. Bitwa o Anglie”. Tyle że z innych powodów

Robert Gliński, reżyser z dorobkiem i talentem, narzekał niedawno w wywiadzie dla „Gazety Polskiej” na wotum nieufności pod adresem polskich twórców, jakim jest pokładanie wiary w to, że o polskiej historii lepiej od nas opowiedzą specje z zagranicy. Marzy mi się, by Gliński, którego cenię i z którym wadzić się jest ciekawie, obejrzał za jednym zamachem obydwa filmy o Dywizjonie 303, które weszły na nasze ekrany, i by po tym doświadczeniu założył wór pokutny. Nie w imieniu własnym, ale kolegów po fachu, którzy wciąż tkwią mentalnie w latach 90. XX stulecia, kiedy to można było produkty filmopodobne opakować w sreberko i sprzedawać wycieczkom szkolnym jako „polskie superprodukcje”.

Poczucie niepotrzebnej podróży w czasie towarzyszyło mi nieustannie podczas projekcji filmu Denisa Delicia „Dywizjon 303. Historia prawdziwa”. Filmu, w którym zbyt wiele rzeczy jest nieprawdziwych. I nie chodzi mi o wierność faktom historycznym, lecz o chorobę toczącą polską rozrywkę kinową III RP. Tak samo jak brak profesjonalistów szkodzi jej brak prawdziwych emocji. Zresztą drugie wynika z pierwszego. Jednak po kolei. O brytyjsko-polskim filmie Davida Blaira „303. Bitwa o Anglie” pisałem w „Do Rzeczy” dwa tygodnie temu, chwając obsadę i niezły scenariusz, krytykując słabe

sceny walk powietrznych, nudne jak gra na starych komputerowych symulatorach lotu. W konkurencyjnym polskim (i sklejanym przez niemal dekadę) filmie „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” powietrzne pojedyńki wyszły o niebo lepiej, jest ruch, jest rozmach, jest ciekawsza inscenizacja i serce faktycznie przyspiesza.

PIĘTNO WIELU STERNIKÓW

Z innymi sprawami jest za to kłopot. Wiele razy zmieniali się sternicy tego projektu, najpierw w prasie pojawiały się doniesienia, że będą to Władysław Pasikowski albo Jerzy Skolimowski. Potem w produkcję zaangażował się Łukasz Palkowski, w wywiadzie dla „Newsweeka” nawet zwierzał się ze swych rozterek (jak szerokie powinny być ramy czasowe opowieści, czy skupiać się tylko na bitwie o Anglie). Miał powstać od razu cztero-odcinkowy serial, z akcją rozpoczynającą się jeszcze w Szkole Orłąt w Dęblinie, grubo przed 1939 r. Czas płynął, pieniędzy brakowało, spadały kolejne ciosy: Wiesław Saniewski wkrótce po tym, jak został reżyserem, doznał udaru i wylądował w szpitalu, ostatecznie rzecz dokończył Denis Delić.

Te kłopoty odcisnęły swoje piętno na filmie i widać je trochę na ekranie. W odróżnieniu od filmu Davida Blaira kuleje konstrukcja i jest kłopot z prowadzeniem

głównych postaci, które nie przechodzą żadnej ewolucji. Ot, dostajemy od razu grupę herosów bez skazy i takich samych zegnamy w finale. Główne punkty zwrotne fabuły musiały być podobne, bo podobny jest materiał źródłowy. Oglądamy więc niechęć Brytyjczyków, oblatywanie nowego sprzętu, niespodziewany sukces bojowy, cenny wymiar propagandowy dokonania dywizjonu, śmierć pierwszych kolegów.

Pozostałościami po marzeniach o jeszcze większym fresku historycznym są nieliczne sceny rozgrywane się w Polsce przed wojną, moim zdaniem zupełnie niepotrzebne i nic niewnoszące do opowiedzianej historii (szkoda, bo potencjał był ogromny). Mieszane uczucia wywołał we mnie także wklejony na siłę wątek niemiecki z politycznie poprawną konstrukcją „zły Niemiec” i „dobry Niemiec” (pierwszy to pilot bombardujący szpital, drugi to as pilotażu nieprzepadający za Hitlerem). Hitlerowcy nazbyt są tu operetkowi, niemal jak w parodystycznych scenach „Superprodukcji” Juliusza Machulskiego. Jest i nadmiernie operetkowy Hermann Göring grany przez producenta filmu, Jacka Samojłowicza.

Niespodziewanie jeszcze większymi świniami (przynajmniej od „dobrego Niemca”) okazują się Brytyjczycy, cynicznie wykorzystujący Polaków do własnych

potrafi



FOTO: B. WROZDOWSKI/MATERIAŁY PRASOWE

celów i uruchamiający przeciw nim obyczajową intrygę. W dodatku też dostali do zagrania parę dialogów, które brzmią kabaretowo („Ty tu sobie stopy ogrzewasz, a Anglia ginie” czy coś w tym stylu, przepraszam, że cytuję niedokładnie).

Teraz dobra wiadomość: zdecydowanie widać, że polski „Dywizjon 303. Historia prawdziwa” to duży film kinowy, większe są plany, więcej zainwestowano w scenografię i kostiumy, niektóre sceny przypominają czasy, kiedy polska kinematografia potrafiła wziąć na barki zadania większe niż sfilmowanie dialogu dwóch gadających głów. Myślę jednak, że w niektórych przypadkach pieniądze można było wydać lepiej, zamiast girłasek w paryskim kabarecie pokazać więcej Anglii pod okupacją albo po prostu wynająć dobrego specja od dialogów, bo te bywają drewniane. Raz jeszcze zapraszam do porównania obydwu filmów o polskich lotnikach. W brytyjskim, który wygląda ubogo, każda scena, każdy dialog, popycha pięknie akcję do przodu i mówi nam coś ważnego o czasach i bohaterach. W polskim za wiele jest gadania dla gadania.

PARADA PRZEKARMIONYCH GWIAZDEK

Spójrzmy na obsadę. Iwan Rheon jako zuchowaty Jan Zumbach był bardzo

dobry, Maciej Zakościelny w tej roli jest ledwie poprawny. Marcin Dorociński w roli Witolda Urbanowicza miał klasę i budził respekt. Piotr Adamczyk wydaje się w porównaniu z nim ciamajdowaty. Oglądając brytyjską produkcję, od razu poczułem nić sympatii z głównymi bohaterami, przypomnę fragment tekstu sprzed dwóch tygodni: „Od początku do końca nie mamy wątpliwości, że polscy lotnicy to nieco szalona, lecz heroiczna ferajna, do której trudno nie czuć i sympatii, i podziwu”. W polskiej produkcji parada przekarmionych gwiazdek z Zakościelnym na czele (ale oczywiście musiał być i Jan Wieczorkowski, i Antoni Królikowski) częściej deklamuje, niż gra. Zaś kreowani przez nich bohaterzy miesza mi się w głowie częściej niż lepiej naszkicowane postacie u Davida Blaira. Twórcy angielskiego „Dywizjonu” świetnie poprowadzili ważny dla historii jednostki wątek czeskiego pilota Josefa Františka, w polskim filmie jest scena, w której robi się z niego czeskiego głupka. Za to porównywalnie wypadły piękne panie: Cara Theobold, znana z „Down-

ton Abbey”, gra i prezentuje się w polskiej produkcji równie dobrze jak Stefanie Martini w produkcji brytyjskiej.

„Dywizjon 303. Historia prawdziwa” to film, w którym widać potencjał na wielkość, na kapitalną, porywającą fabułę zrozumiałą pod każdą szerokością geograficzną. (Taka zresztą naprawdę była historia polskiej jednostki). Ten potencjał nie został jednak wyzyskany. Skromny filmik Davida Blaira ma moim zdaniem większą szansę na rozpropagowanie w świecie polskiego punktu widzenia, zagraniczny widz, oglądając polską superprodukcję, poczuje się zapewne lekko zagubiony. Nie zrozumie, dlaczego nagle polscy piloci śpiewają hymn, nie będzie wiedział, kim jest polski dziennikarz przeprowadzający wywiady z lotnikami i po co to robi (tak, my wiemy, że to Arkady Fiedler i że powstała z tego słynna książka). Robert Ryan i Alastair Galbraith okazali się lepszymi scenarzystami i dużo lepszymi twórcami dialogów niż Krzysztof Burdza i Tomasz Kępski.

Dostaliśmy tego lata dwa produkty niepełne, poczucie niedosytu towarzyszyło mi i podczas pokazu filmu Delicia, i wcześniej, gdy oglądałem film Davida Blaira. Entuzjazm, który bije z części recenzji polskiej superprodukcji, jest dla mnie zrozumiały tylko w jednym kontekście: ciśnienie i oczekiwanie było olbrzymie, zapotrzebowanie na sukces „filmu o naszych chłopach” tak ogromne, że odebrało niektórym recenzentom jasność spojrzenia. Zapraszam do kin na

obydwa filmy, proszę obejrzeć i porównać. Lekcja będzie prosta. Oczywiście, że warto kręcić w Polsce filmy o naszej historii, widzowie na to czekają, a i jest o czym opowiadać. Tyle że trzeba to robić lepiej. Oczywiście warto wspierać, wbrew narzekaniom Roberta Glińskiego, produkcje zagraniczne, nie tylko dlatego, że w Anglii czy Ameryce więcej jest filmowych profesjonalistów. Także dlatego że zagraniczny widz, słysząc „syn Mela Gibsona” (oby wkrótce sam Mel Gibson) albo „Iwan Rheon, ten z „Gry o tron””, może zastrzyc uszami i z ciekawości pomaszewać do kina. Tymczasem nazwisko „Delić” albo nawet i „Gliński”, z całym szacunkiem, zupełnie nic mu nie powie. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



★ ★ ★ ★ ★
REŻ. DENIS DELIĆ
„DYWIZJON 303. HISTORIA PRAWDZIWA”
POLSKA 2018

wyst. Piotr Adamczyk, Maciej Zakościelny, Antoni Królikowski, Anna Prus

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Wypalone oczy Madonny



★★★★★
**REŻ. XAVIER
 GIANNOLI**
**„Tajemnica
 Objawienia”
 („L'Apparition”)**
FRANCJA 2018

wyst. Vincent
 Lindon,
 Galatée Bellugi,
 Patrick d'Assumção

Święta Teresa z Ávili napisała autobiografię, z której najchętniej cytowano jeden fragment: „Ujrzałam anioła w cielesnej postaci. W lewej ręce dzierżył długi, złoty oświecznik, w prawej – płonący grocie. Nagle przebił mi serce aż do dna. Potem zostawił mnie całą wypełnioną Bożą miłością. Ból był tak przejmujący, że chciało mi się jęczeć, ale towarzysząca mu błogość była tak wielka, że nie chciałam, aby mi go odebrano”. Wizja hiszpańskiej karmelitanki zainspirowała powstanie słynnego arcydzieła sztuki religijnej. Można je podziwiać w rzymskim kościele Santa Maria della Vittoria.

Kamienna kompozycja z pogranicza rzeźby, architektury i barokowego teatru zachwyca współczesnych. Opowiadano o marmurze, płonącym wewnątrz-

nym ogniem. Do czasu, gdy pewien francuski polityk, przedstawiciel nowej epoki, zwiedziwszy kościół, skomentował: „Jeśli to jest boska miłość, to wiem o niej wszystko”. Ekstaza świętej skojarzyła mu się ze sceną z buduaru. Dzieło Giana Lorenza Berniniego zyskało nową, lecz nader dwuznaczną sławę.

Ta historia ilustruje problem, który współczesna kultura ma z duchowością. Na chwile, w których niebo styka się z ziemią, reaguje bezradnym milczeniem. Twórcy boją się posądzenia o naiwność lub manipulację. Kino religijne stało się domeną pozbawionych wyobraźni rzemieślników oraz amatorów, przekonanych, że wystarczą dobre chęci, by nakręcić dobry film. Na tym tle „Tajemnica objawienia” urasta do rangi wydarzenia, bo Giannoli jest reżyserem sprawnym,

aktorzy grają jak z nut (zwłaszcza młodzianka Galatée Bellugi), zaś fabuła nie obraża inteligencji widza.

Reporter agnostyk na prośbę watykańskiego urzędnika, ceniącego jego dociekliwość, wchodzi w skład komisji badającej sprawę domniemanego cudu, do którego doszło na francuskiej prowincji. 16-letnia Anna, kandydatka na zakonnicę, wychowana w sierocińcu i rodzinach zastępczych, twierdzi, że spotkała Matkę Boską. Komisja, złożona z rutyniarzy wygłaszających aforyzmy w rodzaju: „Prawda zawsze leży gdzie indziej”, mocno w to wątpi (czasy mamy takie, że nawet Kościół ucieka od metafizyki). Tymczasem dziennikarskie śledztwo przynosi zaskakujące rezultaty.

Anna przypomina trochę Joannę d'Arc, wierzy w istnienie zła i diabła, ma skłonność do męczeństwa. Z ekranu padają porównania do wydarzeń z Lourdes i Fatimy, a także do Medjugorje, szturmowanego przez pielgrzymów zagłębia sakrobiznesu. Sceptycy chrześcijaństwa nie naprawia, lecz w jednej sprawie Giannoli może mieć rację. „Unio mystica”, opisana przez św. Teresę, łatwiej dziś przeżyć w zbezczeszczonym kościele w Syrii niż w Europie. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „ŻONA”

W tym roku nie zostanie przyznana Literacka Nagroda Nobla (efekt seksskandalu w Akademii), możemy za to sobie przypomnieć, że pisarze to potwory, duże dzieci zamieniające cudze życie w piekło i wykorzystujące najbliższych. Tak przynajmniej wynika z ekranizacji powieści Meg Wolitzer,

w której świeżo upieczony noblista gra Jonathan Pryce, a jego żonę Glenn Close. ©©

Piotr Gociak

• „Żona” („The Wife”),
 reż. Björn Runge,
 wyst. Christian Slater, Glenn Close,
 Max Irons, Szwecja/USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Folkstrut”, reż. Samuel Maoz, Izrael 2017
- „Gotti”, reż. Kevin Connolly, USA 2018
- „Zakonnica” („The Nun”), reż. Corin Hardy, USA 2018
- „Letnia szkoła życia”, reż. Laurent Cantet, Francja 2017
- „Biały Kieł” („Croc-Blanc”), reż. Alexandre Espigares, Francja 2018

Fatalne zauroczenie

Diabeł na gościnnych występach w raju (podatkowym). W pakiecie z dreszczowcem dostajemy jednak melodramat. Akcja rozgrywa się w spektakularnych okolicznościach przyrody, czyli na wyspie Jersey. Moll po nocy spędzonej w dyskotekce spotyka młodzieńca, będącego na bakier z prawem. Dzieli ich socjalna przepaść, lecz nieokrzesany potomek Normanów fascynuje angielską pannę z dobrego domu. Gdy policja zacznie podejrzewać, że Pascal ma coś wspólnego z serią sadyistycznych morderstw, Moll bez wahania zapewni mu alibi.

Filmy kręcone pod dyktando producentów często grzeszą nadmierną prostotą. Gdy reżyser sam jest sobie

sterem, żeglarzem i okrętem, bywają przekombinowane. I to jest właśnie przypadek „Beast” (tytuł nadany przez polskiego dystrybutora jakoś nie może przejść mi przez gardło).

Debiutujący w długim metrażu Pearce bez opamiętania mnoży traumy, którym musi stawić czoła główna bohaterka. Władcza matka, perfekcyjna siostra, bezwzględny ojciec, irytujący posterunkowy... W dodatku Moll ma pociąg do autodestrukcyjnej, nękają ją sny pełne przemocy i – jak na Brytyjkę przystało – za kołnierz nie wylewa. Finał jest problematyczny. Do odkrycia, że bestia może drzemać w każdym z nas, można dojść znacznie prostszymi drogami. ©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. MICHAEL PEARCE
„POD CIEMNYMI GWIAZDAMI”
(„BEAST”)
WIELKA BRYTANIA 2017

wyst. Jessie Buckley,
 Johnny Flynn,
 Trystan Gravelle



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PEWNEGO RAZU W MEKSYKU

Harold Soyinka, pracownik średniego szczebla w wielkiej firmie farmaceutycznej, ma więcej kłopotów, niż sądzi. Żona utracjuszka ma romans, szef, który ściągnął go do pracy, okaże się fałszywym przyjacielem, firma szykuje się do zwolnień i jest zamieszana w nielegalne interesy. W dodatku rutynowy wyjazd do fabryki w Meksyku zamieni się w thriller, a thriller w czarną komedię, z udziałem głupawych złodziejasków, nieudolnych przemytników, szefa narkotykowego kartelu (psychopaty zakochanego w muzyce The Beatles) oraz przeżywającego moralną przemianę kiler-najemnika. Wiele z filmów tego typu to słabe podróbki kina Tarantino, reżyser Nash Edgerton idzie raczej śladami Shane'a Blacka i daje radę, choć dialogi mogłyby być lepsze, a koniec bardziej przewrotny. Bardzo dobrą robotę wykonują aktorzy, zwłaszcza Charlize Theron jako femme fatale oraz David Oyelowo w roli chłostanego przez życie Harolda. Na drugim planie błyszczą Thandie Newton i Amanda Seyfried. ©



★★★★★

REŻ. NASH EDGERTON
„RAZ SIĘ ŻYJE”
(„GRINGO”)
USA 2018,
MONOLITH

wyst. Joel Edgerton, Charlize Theron,
 David Oyelowo

PROFESOR W PUŁAPCE

Ekranizacja powieści George'a Harrara. Policja, szukając zaginionej nastolatki, puka do drzwi profesora filozofii (Guy Pearce). Mężczyzna zachowuje się dziwnie, a sprawa stanie się jeszcze bardziej podejrzana, kiedy prowadzący dochodzenie (Pierce Brosnan) odkryje na tylnym siedzeniu wykładowcy kosmetyk włosów



★★★★★

REŻ. SIMON KAIJSER
„SIEĆ PODEJRZEŃ”
(„SPINNING MAN”)
USA/IRLANDIA 2018,
FILMOSTRADA

wyst. Guy Pearce, Pierce Brosnan,
 Minnie Driver

i błyszczą poszukiwanej dziewczyny. Przystojny profesor przyciąga od lat uwagę młodych studentek. W dodatku pięć lat wcześniej jego małżeństwo omal nie rozpadło się właśnie przez pewną studentkę. Jednocześnie nękają go wizje, których prawdziwości nie jest pewien. Czy to poczucie winy? Początek filmu jest intrygujący, środek dezorientujący, niestety potem wszystko się rozspina, bo zamiast obiecanego thrillera dostajemy fabularyzowaną ilustrację filozoficznych wątpliwości na dwa tematy „co to jest prawda” i „czy możemy ufać swojej pamięci”. ©

recenzuje Piotr Gociak

GRA TYGODNIA: „WARHAMMER 40,000: INQUISITOR-MARTYR”

Z wielu gatunków gier RPG najpopularniejszymi są „hack and slash”. Jeden bohater, tysiące wrogów, niezliczone bronie i nieustanna akcja. Właśnie tak na pozór wygląda „Inquisitor-Martyr” osadzony w świecie futurystycznego Warhammera. Zdziwi się jednak ten, kto oczekuje

prostej kopii „Diablo”. Ten tytuł zorientowany jest na chowanie się za przeszkodami i walkę taktyczną. Jako wysłannik Imperatora gracz rozprawia się z hordami chaosu w niezbadanym Sektorze Caligari. Do wyboru trzy klasy postaci, z odrębnym systemem umiejętności. Plusy? Klimat. Minusy?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

Powtarzalność i nieco za wolne tempo zabawy. ©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** RPG
- **Platforma:** PC/XONE/PS4
- **Producent, dystrybutor:** NeocoreGames
- **Klasyfikacja PEGI:** 18+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Salto mortale **ludzkości**

Jest rok 1969, człowiek zdobywa Księżyc, a w Nowym Jorku czworo rodzeństwa Goldów, dwie córki i dwóch synów krawca, mającego przy Hester Street swój zakład modniarski, gdzie szyje te same niemodne garnitury, idzie do Cyganki, o której powiadają, że potrafi przewidzieć, kiedy kto umrze. Tak też się dzieje, a opowiada o tym Chloe Benjamin w wydanej nakładem Czarnej Owcy powieści „Immortalisci”.

Najmłodszy z Goldów, Simon, dziewięć lat później przyjeżdża do San Francisco. Zamieszkuje w dzielnicy Castro, uprawiając seks, z kim popadnie, byle często, im ostrzej, tym lepiej. Zawsze z facetem, bo tylko to go rajcuje. Nie ma pojęcia, że takich jak on są w tym mieście rzesze całe. Radny Harvey Milk, pierwszy amerykański polityk przyznający się do swego gejostwa, wydiera się na Paradyzie Wolności: „Jimmy Carter! Mówisz o prawach człowieka! W tym kraju mieszka od piętnastu do dwudziestu milionów homoseksualistów. Kiedy przypomnisz sobie o ich prawach?”. Niebawem Milk zostanie zastrzelony, wraz z burmistrzem George’em Moscone’em. Simon niesie świeczkę w Marszu Milczenia i filozofuje, jak to jest z Bogiem, w którego raczej nie wierzy, ale nie odnosi też wrażeń, że Bóg wierzy w niego. Pociesza się w związku ze starszym, doświadczonym, no i czarnoskórym partnerem, którego prosi: „Zerznij mnie jak zwierzę”.

Milk stanie się męczennikiem ruchów LGBT, po latach nakręca o nim oscarowy film, a prezydent Obama uhonoruje go pośmiertnie Medalem Wolności. Simon tego, rzecz jasna, nie doczeka. Jako 20-latek umrze na AIDS. A od swojego partnera usłyszy jeszcze, że jest „taki sam jak cała



FOT. JONNY LOUSKETT IMAGES

reszta. Jak te wszystkie twinki, artystowskie cioty i pierdolone miśki. Non stop jazgoczenie o swoich prawach i wolności, bieganie na te wszystkie parady, ale tak naprawdę zależy wam tylko na prawie do wyruchania jakiegoś skórzaka w klubie sado-maso na Folsom i do spuszczenia się po saunach [...]”.

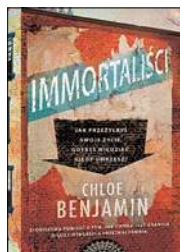
W zapowiedź szybkiej śmierci uwierzy też, jak widać, siostra Simona – Klara. Powiesi się w wieku 31 lat, zostawiając córkę, z której byłaby dumna jak z niczego innego w swoim życiu pełnym magii, iluzji, którą zajmowała się zawodowo, wykonywanych na scenie salt – mortale, nie innych. Jednak, paradoksalnie, tytułowe określenie „immortalistka” najmniej może do niej pasuje. Zawsze żyła inaczej niż inni, w innym świecie, a swoją sztuką starała się pomóc

ludziom, choć często krzywdziła ich. Inaczej nie potrafiła.

Spełni się też przepowiednia śmierci Daniela, który zostanie zastrzelony przez stróża prawa, trochę przypadkowo, a trochę nie. Także on, jak cała ta rodzina, nie będzie umiał żyć bez Boga. Bez Boga tak ważnego dla ich ojca i pewnie dlatego odrzuconego przez nich jako relikwitu przeszłości, ubogiej, wstydlivej, byle jakiej. Dla Daniela, wojskowego lekarza, „rezygnacja z Boga przebiegła bezboleśnie. Jego wiara odešla logicznie, bez walki, tak jak potwór znika, kiedy wreszcie odważysz się zajrzeć pod łóżko. Taki właśnie był problem z religią. Bóg nie wytrzymał ciężaru krytycznej analizy”. „Choć w pewnym sensie – przyznawał – uważam religię za szczytowe osiągnięcie ludzkości”.

Varya, jedyna z rodzeństwa Goldów, która ma szansę dożyć później starości (tak jej wywróżyła Cyganka), jako biolog pracuje nad długowiecznością. I musi tłumaczyć się obrońcom naszych „braci mniejszych”, dlaczego dąży do przedłużenia życia staruszkom o kolejne pięć lat, podczas których będą kompletnie zdzieciniali i – co pewnie najtrudniejsze do zaakceptowania – trzeba ich będzie utrzymywać. A tymczasem wyginą np. walenie. Do tego prowadzone w laboratoriach eksperymenty pociągają za sobą życie w niewoli, a nawet śmierć myszy czy małp. Varya powtarza: „Nasz projekt jest tego wart. Życie tego zwierzęcia po prostu nie ma takiej wartości jak postęp medyczny, któremu ono się przysłuży. Trzeba tak myśleć”. Nie zdobywa sojuszników; „bracia mniejsi” są bardziej kochani od ludzi.

W upiornym świecie żyjemy. Obrzydliwym, nieludzkim, głupim. Oto miara współczesności: immortalistycznej. ©



★★★★★
CHLOE BENJAMIN
„IMMORTALISCI”
CZARNA OWCA
2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Miastożerni

Przyznaję: to wszystko wina kina. Nie spojrzałem na tę książkę, gdy ukazała się w Polsce w roku 2003, teraz sięgnąłem po nowe wydanie zaciekawiony informacją, że film na jej podstawie robią twórcy kinowego „Władcy pierścieni”. Efekt zobaczymy w styczniu 2019 r. (światowa premiera w grudniu 2018 r.). Zła wiadomość jest taka, że Peter Jackson jest jedynie producentem, bo główne silniki projektu to jego współpracownicy: Christian River (reżyseria) i Fran Walsh (scenariusz).

Å propos silników, to rzecz w „Zabójczych maszynach” najważniejsza. Gościmy bowiem w odległej, post-apokaliptycznej przyszłości, kiedy to reszki ludzkości żyją w olbrzymich wędrownych miastach przemierzających na wielkich gąsienicach dna wyschniętych oceanów, zrównane z ziemią łańcuchy górskie itd. Akcja rozpoczyna się na pokładzie wędrownego Londynu, którego społeczeństwo przypomina mocno Anglię czasu rewolucji przemysłowej, zaś obowiązującą ideologią jest „miejski darwinizm”. Według tej doktryny wielkie miasta mają prawo żerować na mniejszych, to znaczy łowić je i rozmontowywać na własne potrzeby.

Brzmi to wszystko nieco absurdalnie, ale fantastyka, wehikuł wyobraźni, nie z takimi wy-

zwaniami dawała sobie radę. Pierwszą połowę powieści czytałem z niekłamany podziwem, bo odnalazłem w niej klimat ekscentrycznych brytyjskich fantazji, od Wellsa przez steampunk do powieści Neila Gaimana. Widać, że i sam autor z każdym rozdziałem bawił się coraz lepiej, pięknie rozbudowując swój świat. Pojawiły się więc i miasta pirackie, i napowietrzna metropolia, nowe ludy, nowe krainy, nowi bohaterowie. No i nowe zagadki do rozwiązania. Wszystko to zresztą przerodziło się w kwartet powieści plus osobną serię prequeli. Cykl, dzięki któremu Philip Reeve stał się ważną postacią współczesnej fantastycznej literatury dla młodego czytelnika (young adult).

Mina nieco zrzędała mi pod koniec, bo w miarę rozwoju akcji rzecz zmierza w stronę futurystycznej metafory antyimperialnej – Londyn przyszłości symbolizuje rzecz jasna imperium brytyjskie, a rozmaite ludy multi-kulti, które wybrały życie osiadłe (są i takie), gra-

ją rolę szlachetnych ofiar kolonializmu. Nie mnie bronić imperializmu, ale jednak ta metafora jest jednostronna, bo w końcu na coś XIX-wieczna rewolucja przemysłowa się przydała. Na szczęście w „Zabójczych maszynach” nieskrępowana fantazja ostatecznie przeważa nad ideologią. ©©



★★★★★
PHILIP REEVE
„ZABÓJCZE
MASZyny”
AMBER 2018

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor świetnych książek non-fiction „Samuraj William” czy „Muszkatołowa wojna Nathaniela” opisuje dzieje tajnej komórki powołanej do życia przez Churchilla. Jej zadaniem było organizowanie aktów sabotażu przeciw III Rzeszy.



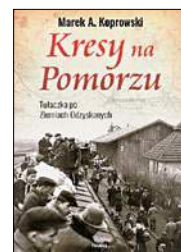
GILES MILTON
„MINISTERSTWO
NIEDZIELNEM
SKICH DZIAŁAŃ
WOJENNYCH”
NOIR SUR BLANC

Od sztuki prehistorycznej do konceptualizmu, od Giotta i van Eycka do Warhola i Beuysa. Poręczny przewodnik po kierunkach, dziełach, tematach i technikach, w sam raz, by korzystać z podpowiedzi podczas wakacyjnych spacerów po muzeach.



SUSIE HODGE
„KRÓTKA
HISTORIA SZTUKI”
ALMAPRESS

Niestrudzony popularyzator historii przedstawia dzieje Polaków przesiedlonych po II wojnie światowej ze wschodu na tzw. Ziemię Odzyskane. Część pierwsza książki to rys historyczny, część druga to poruszające relacje przesiedleńców.



MAREK A. KOPROWSKI
„KRESY
NA POMORZU”
REPLIKA

Wznowienie jednej z najważniejszych powieści katastroficznych XX stulecia, w której do wygubienia ludzkości przyczyniają się krwiożercze rośliny. Ale także ciekawy komentarz społeczny w duchu najlepszej brytyjskiej prozy.

©© poleca Piotr Gociek



JOHN WYNDHAM
„DZIEŃ
TRYFIDÓW”
VIS-À-VIS ETIUDA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Blanka Lipińska „365 dni” (Edipresse)** – dziewczyna porwana przez mafiosa ma 365 dni, by go pokochać. Brzmi idiotycznie? Owszem. I takie też jest.
- Katarzyna Nosowska „A ja żem jej powiedziała” (Wielka Litera)** – wokalistka Hey przedstawia swoje popularne felietony internetowe w wersji drukowanej.
- Remigiusz Mróz „Hashtag” (Czwarta Strona)** – nowa powieść najpłodniejszego autora polskich kryminałów. O dziwnych zaginięciach i mocy Internetu.
- Guillaume Musso „Apartament w Paryżu” (Albatros)** – romans w pracowni malarskiej, na dodatek z pisarzem. Nowa powieść francuskiego specja od love stories.
- Lucinda Riley „Siostra Perły” (Albatros)** – czwarty tom obszernej sagi rodzinnej z elementami fantazji o siostrach zrodzonych na różnych kontynentach.
(Najchętniej kupowane tytuły na Swiatkiskaz.pl)

Nie oszukujmy się – etno nie rozgrzewa mas do czerwoności. Zespoły, które tworzą lub odgrywają muzykę folkową, z góry skazują się na mocno ograniczoną grupę odbiorców, bywalców festiwali, miłośników. O pierwszych miejscach na listach przebojów, pokonaniu komercyjnych kandydatów na „przebój wakacji” czy „hit roku” mogą zapomnieć. Jeśli już docierają poza krąg zainteresowanych, to na dożynkach i innych imprezach plenerowych, na których muzyka jest jedynie nieprzeszkadzającym ludziom w zabawie tłem, a jako prawdziwa atrakcja i tak zaprzęgana jest jakaś aktualna gwiazda disco polo.

Z grupą Kurna Chata jest inaczej. Co prawda wciąż w komercyjnym oceanie są planktonem, ciekawostką, ale mają potencjał, by z obiektu zainteresowania mikrobiologów stać się atrakcją turystyczną.



FOT. DOMINIKA MONTONER-KOVIŚĆ

Etno dla millennialsów

Ich drugą epkę, która światło dzienne ujrzała pod koniec lipca, najlepiej opisuje to, jak zespół sam określa swój styl – ethnomodern. A już kawałek „Cztery siostry” jest na tyle „modern”, że spokojnie może zrobić karierę w stacjach radiowych, a nawet zagościć na parapetówce u millennialsów, „młodych, wykształconych...” etc. O ile

wśród znajomych nie mają oni prawdziwie wojującej feministki, która tekst piosenki potraktuje zbyt poważnie. Opowiada on bowiem o „bogatym panie”, który spośród tytułowych siostr wybiera swoją przyszłą żonę, a te nie tylko nie oburzają się na niego, że przebiera jak w ulgawkach, lecz także wręcz nie cofną się przed

niczym w walce o dobrą partię: „Cztery siostry jak te psy walczą już od rana/ każda żoną pragnie być bogatego pana”. A utwór kończy się pointą: „Trzeba zawsze na to zważać, za co ciebie mają/ czy kochają twoją forę, czy ciebie kochają”.

Z takim podejściem do muzyki folkowej Kurna Chata ma duże szanse, by nie musieć wybierać między miłością do folku a przyzwoitym stanem konta. Niezła partia. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Nie zawsze trzeba krzyczeć

Dla 52-letniej brazylijskiej laureatki nagrody Grammy poezja jest oknem do poznania świata i samej siebie. Śpiewa wiersze uznanych autorów, ubierając je w muzykę stanowiącą połączenie bossa novy, jazzu i nowoczesnej muzyki klasycznej. Jej mroczny głos przypomina sposób śpiewania Joni Mitchell. Ciekawe, że od 12 lat żyje w związku z Larrym Kleinem, byłym mężem tej wokalistki.

Tytuł „Księga tęsknoty”, nawiązuje do tomu poetyckiego Leonarda Cohena. Souza śpiewa na płycie cztery utwory Kanadyjczyka, ale też po jednym wierszu Edny St. Vincent Millay, Christiny Rossetti i Emily Dickinson. Nagrała również trzy własne utwo-

ry. W sesjach towarzyszyli jej tylko gitarzysta Chico Pinheiro i kontrabasista Scott Colley. Muzycy ci zapewniają idealną paletę kolorów, która dodaje śpiewowi liderki głębszego wymiaru. Natomiast piękne wokalizy Luciany oparte na zdyscyplinowanym frazowaniu uwypuklają przesłania tekstów. Ona daje każdej sylabie czułość, dzięki czemu nawet nie rozumiejąc słów, poddajemy się intymnemu nastrojowi płyty. A są to opowieści o rozłące i samotności, miłości i śmierci, przeszłości i teraźniejszości czy bólu pożądania.

To piękna płyta oparta na prostocie, elegancji i prawdziwych emocjach. Souza nie musi krzyczeć, byśmy słyszeli w tych piosenkach cierpienie. ©©



★★★★★
BOB MARLEY
„KAYA 40”
ISLAND

Z okazji 40-lecia wydania najpopularniejszego albumu króla reggae jego syn, Stephen, przygotował nowe miksy piosenek. Użył wokali ojca z wersji demo utworów oraz alternatywne aranżacje instrumentalne. Jest inaczej, ale również ciekawie.



★★★★★
ALICE IN CHAINS
„RAINIER FOG”
BMG

Grupa łączy z taką samą energią jak w czasach dominacji grunge'u. Wokalista William DuVall idealnie wpasował się do składu. Miażdżące gitary i harmonijnie, wielogłosowe wokale wciąż przekonują, że takie granie ma sens. Mocno i doniosło. ©©



★★★★★
LUCIANA SOUZA
„THE BOOK OF LONGING”
SUNNYSIDE

STRAŻNIK PAMIĘCI

2018

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



VI EDYCJA NIEZWYKŁEJ NAGRODY

Tytuł STRAŻNIK PAMIĘCI przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

PROJEKT REALIZOWANY W RAMACH OBCHODÓW STULECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

Zgłoszenia można dokonać do 30.09.2018 r. drogą mailową: straznikpamieci@dorzeczy.pl
lub pocztą: Redakcja "Do Rzeczy", Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, z dop. Strażnik Pamięci

PATRONAT HONOROWY



niepodległa | KRAJOWA
KOLEKCJA MONUMENTALNA
NIEPODLEGŁOŚCI



WSPÓŁORGANIZATOR



PARTNER STRATEGICZNY



SPONSOR



PARTNERZY



eprasa.pl 8c241e37a6



Krystian Kratiuk

Kardynał Gerhard Ludwig Müller to jedna z najważniejszych postaci Kościoła ostatnich lat. Niestety, w czasach radykalizacji procesów rewolucyjnych wewnątrz Chrystusowej Owczarni postawa, którą prezentuje, może nie wystarczyć do uratowania wiary

Tylko radykalizm uratuje Kościół

FOT. FRANCO ORICCI/A GETTY IMAGES

Kardynał Müller nie ukrywa, dokąd doprowadziło nas posoborowe „aggiornamento”, dostrzega skrajnie niebezpieczną potęgę rewolucji seksualnej, widzi deficyt wiary wśród swych braci w kapłaństwie, ale wypowiada się w taki sposób, jakby uratowanie Kościoła nie było już możliwe. Wydaje się przyjmować marksistowski paradygmat konieczności dziejowej, z której wynikać ma prosta „logika” – skoro coś się zdarzyło, to widocznie musiało się wydarzyć. A my, katolicy, mogliśmy pewne procesy jedynie spowolnić. A dziś już, gdy mleko się wylało, brakuje recepty na pokonanie kryzysu.

Cóż bowiem z tego, że hierarcha mądrze mówi o protestantyzacji Kościoła czy też dostrzega antyrzymskie nastawienie swych rodaków, skoro nie chce np. przyznać, że ludzie Kościoła potrafią skrajnie błędzić nie tylko w kwestii podejmowanych decyzji albo w rozumieniu teologii, lecz także w kwestiach zachowań moralnych. Kryzys wiary zawsze przekłada się na kryzys na płaszczyźnie moralnej, a ostatnie skandale obyczajowe są tylko jedną z odsłon tego przykrego procesu. Nie do końca wiadomo więc, dlaczego kard. Müller całkowicie bagatelizuje sprawę homolobby w Kościele. To, że wśród dzisiejszych duchownych istnieje zorganizowana struktura wspierania homoseksualistów (stanowiących zdecydowaną większość wśród szumnie opisywanych kapłanów dopuszczających się nadużyć względem nieletnich), wydaje się jasne jak słońce każdemu śledzącemu media. Kardynał Müller jednak tego nie zauważa, co jest o tyle konfundujące, że to właśnie w kierowanej przezeń kongregacji zagnieździł się swego czasu niesławny ks. Charamsa. Zwracał na to uwagę w poprzednim numerze „Do Rzeczy” Tomasz P. Terlikowski. Dzisiaj, tydzień po wydrukowaniu jego artykułu, ten zarzut wydaje się jeszcze bardziej na miejscu – wielka afery pedofilsko-homoseksualna, którą według byłego nuncjusza w USA miał pomagać tuszować sam papież Franciszek, sprawiła, że dobrze byłoby, aby kard. Müller zastanowił się, czy nie warto byłoby wydrukować erraty do wywiadu rzeki, unikając oskarżeń o kompromitację.

Szczęśliwie kardynał dostrzega inne niegodne moralnie zachowania ważnych duchownych – chodzi o organizowanie się w ideologicznie motywowane grupy interesów. Szkoda jednak, że tak samo negatywnie ocenia zarówno kościelnych liberałów, jak i konserwatystów – zarzucając

im tworzenie klik. Tyle tylko, że progresiści skupiają się w tajnych klubach paramafijnych (jak chociażby Klub z St. Gallen, który sam jego założyciel, kard. Danneels, określił właśnie mianem mafii), łamiąc tym samym zasady ustanowione przez Jana Pawła II. Konserwatyści natomiast spotykają się z wiernymi Magisterium Kościoła katolikami zupełnie jawnie i... publicznie powtarzają odwieczną naukę Kościoła. Czy więc wrzucanie ich przez niemieckiego duchownego do jednego worka i określanie mianem siewców podziałów jest rzeczywistość sprawiedliwa?

BEZ KONSERWATYZMU

Zanim sięgniemy po książkę „Chrystus jest zawsze nowoczesny”, musimy zdać sobie sprawę z tego, kim jest kard. Müller. Ci spośród czytelników, którzy sądzą, że jest on następcą „pancernego kardynała” Ratzingera – jak próbowali go przedstawiać co poniektórzy – srogo się rozczarują. Gdy Gerhard Müller był prefektem Kongregacji Nauki Wiary, owszem, potrafił oznajmić, że nie widzi powodu, by katolicy „świętowali rocznicę reformacji”, nazwał „niegodnym” synodalny dokument, w którym zaproponowano uznanie „pierwiastków dobra” w związkach homoseksualnych, sprzeciwiał się diakonatowi kobiet i ogłoszeniu przez niemieckich biskupów, że „nie są filią Rzymu”. Jednocześnie ciepło mówił o teologii wyzwolenia (proponując zaliczenie jej do najważniejszych nurtów XX-wiecznej myśli katolickiej), gorąco chwalił soborową reformę liturgii, utrzymując, że bez jej przeprowadzenia Zachód dotknęłaby jeszcze gorsza w skutkach laicyzacja, a także sprzeciwiał się nawracaniu na katolicyzm przybywających do Europy uchodźców z krajów islamskich (sic!).

Niejednoznaczna była też postawa niemieckiego kardynała w trakcie dyskusji o komunii świętej dla rozwodników żyjących w nowych związkach. Podczas synodu na temat rodziny wypowiadał się stanowczo za utrzymaniem dotychczasowego nauczania w tej kwestii. Jednak gdy podczas drugiej sesji synodu pracował w niemieckojęzycznej podgrupie, nie zgłosił votum separatum do stanowiska opublikowanego przez tak progresywne nastawionych hierarchów jak kard. Kasper czy kard. Marx. Dokument tej grupy został więc uznany za stanowisko podżyrowane przez szefa Kongregacji Nauki Wiary! Gdy już się ukazała

Książka Pawła Lisickiego i kard. Müllera to niewątpliwie ważne wydarzenie na polskim rynku wydawniczym – a może nie tylko polskim, bowiem opiniami byłego szefa najważniejszej watykańskiej kongregacji zainteresowani będą zapewne czytelnicy w wielu krajach całego świata.

Nie sposób odmówić niemieckiemu hierarsze słusznego oglądu rzeczywistości dotyczącego licznych sfer olbrzymiego kryzysu targającego dziś Kościołem. Jednak wydaje się, że jego rozmówca rozumie ów kryzys znacznie lepiej.

■ adhortacja „Amoris laetitia”, hierarcha wielokrotnie podkreślał, że nie widzi w niej nic zrywającego z dotychczasową nauką, a tuż przed usunięciem go z funkcji napisał nawet przedmowę do książki „Przyjacielska odpowiedź krytykom »Amoris laetitia«” Rocco Buttiglione, autora w pełni popierającego w tej kwestii papieża Franciszka.

A przecież kard. Müller był jedną z najważniejszych osób w Watykanie! Mógł zapobiec publikacji dokumentu w kształcie wywołującym jeden z najpoważniejszych kryzysów teologiczno-pastoralnych w ostatnich latach lub – jeśli to okazało się niemożliwe – w jakiś sposób spróbować naprawić swój błąd, gdy czterech innych kardynałów opublikowało słynne już Dubia, skierowane wszak nie tylko do papieża, lecz także do Kongregacji Nauki Wiary. Czy opublikowanie wątpliwości kardynałów nie stanowi doskonałej okazji, by dawne Święte Oficjum wydało oficjalny dokument potwierdzający dotychczasowe nauczanie i praktykę Kościoła? Nic takiego się nie stało. Przeciwnie – kard. Müller skrytykował... autorów słusznych wątpliwości.

Cóż, Pawłowi Lisickiemu sam duchowny powiedział, że „nie jest przedstawicielem żadnego konserwatyzmu”.

WATYKAŃSKIE (NIE)SMACZKI

Dlatego też, decydując się na lekturę omawianej pozycji, zamiast liczyć na propozycję katolickiej kontrrewolucji, powinniśmy oczekiwać raczej po prostu duchowego portretu ważnej postaci dzisiejszego Kościoła. Symptomatyczne, że nazywanej przez swych oponentów konserwatystą, ale samej gwałtownie od tego określenia się odcinającej. Postaci, która przez lata posługując w Niemczech i pełniąc ważną funkcję w Rzymie, może również – prócz kilku błyskotliwych diagnoz zepsutego świata – opowiedzieć wiele o stosunkach wewnątrz dzisiejszego Kościoła.

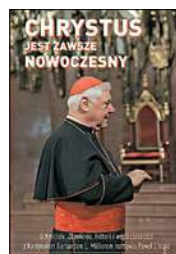
Tak dzieje się np. wtedy, gdy kardynał znów wspomina skandaliczne kulisy pożegnania się z funkcją oraz nagłe zwolnienie przez papieża pracowników podległych Müllerowi – wbrew niemieckiemu kapłanowi. Warto przytoczyć ten fragment: „[...] nieporozumienie, które być może pojawiło się w tle, dotyczyło trzech księży, wykwalifikowanych współpracowników Kongregacji, których sam papież wcześniej chwalił w jednym z wywiadów. Wszyscy trzej zostali zwolnieni bez podania przyczyn.

I to ten styl, w którym ich zwolniono – nie chodziło o nieprzedłużenie mojej kadencji – nazwałem nieakceptowalnym. To zaprzecza przecież zasadom katolickiej nauki społecznej, kiedy bez żadnego uzasadnienia z dnia na dzień zwalnia się trzech wybitnych teologów, wybitnie wykształconych i znających się na rzeczy. Jak to pogodzić z troską o godność osoby? [...] dlaczego zwalniać ludzi dobrze wykonujących powierzone im zadania? Jeśli są całkowicie lojalni, jeśli postępują właściwie i są w dobrych relacjach z pozostałymi ludźmi? Jeśli nadto okazują posłuszeństwo wiary wobec papieża, którego traktują nie tylko jako pracodawcę, ale też jako zastępcę Chrystusa na ziemi, to jak można ich ot tak odwołać? Słyszałem wprawdzie, że do papieża dotarły informacje na ich temat, że mieli się krytycznie wypowiadać o jego pontyfikacie, ale trudno mi uwierzyć, żeby takie fałszywe plotki mogły być przyczyną decyzji”.

Warto zdawać sobie sprawę, że w dobie pontyfikatu miłosierdzia w Watykanie nie podejrzewać, że kard. Müller zna takich przypadków więcej, ale z jakiegoś powodu zdecydował się mówić tylko o tej sprawie, a szkoda. Trzeba zatem polemizować z odczuciem Sławomira Cenckiewicza, który w „Do Rzeczy” określił wywiad z duchownym mianem „głosu osobiście dotkniętego kurialisty, rozgoryczonego i zaniepokojonego praktyką sparowania urzędu papieskiego”.

UMIARKOWANIE URATUJE KOŚCIÓŁ?

Włoski historyk Kościoła, prof. Roberto de Mattei, tuż po zwolnieniu kard. Müllera przez papieża napisał: „Zachowawczość staje się w strategii niektórych konserwatystów mniejszym złem przeciwstawionym większemu, utracie stanowiska, które zostałoby wówczas przejęte przez przeciwnika. Ta strategia utrzymania przynajmniej własnej posady nie przynosi jednak w przypadku papieża Franciszka skutku. Jaki jest bowiem efekt całej tej sprawy? Kardynał Müller stracił cenną okazję otwartej i wyraźnej



**PAWEŁ LISICKI
ROZMAWIA
Z KARD.
GERHARDEM L.
MÜLLEREM
„CHRYSZTUS
JEST ZAWSZE
NOWOCZESNY”
SPES
WYDAWNICTWO
2018**

krytyki »Amoris laetitia«, gdy był prefektem ważnej kongregacji, a ostatecznie i tak został zwolniony”.

Przykład kard. Müllera uczy zatem – według prof. de Mattei – że w walce z rewolucją w Kościele nie warto być powściągliwym, gdyż w ten sposób niczego się nie osiągnie. Po lekturze wywiadu rzeki nie wydaje się, by – niewątpliwie znający publicystykę włoskiego uczonego – hierarcha wziął sobie te przestrogi do serca. Jednak być może z jakichś przyczyn uznaje, że jako kardynałowi wolno mu mniej?

Więcej niż duchownemu z pewnością wolno świeckim. Dlatego też główną zaletą książki jest dobór tematów, które poruszają

rozmówcy. Paweł Lisicki swą odważną publicystyką dotyczącą spraw Kościoła („Dziś i samozagłada Zachodu”, „Luter. Ciemna strona rewolucji”) daje dowód, że to właśnie laikat może stać się dziś kołem napędowym kontrrewolucji.

Dlatego katolicy zatroskani o Kościół muszą się przebudzić i wspólnie, tłumnie, ruszyć do jego naprawy. Zawarte w kilku miejscach książki miłe słowa kard. Müllera względem naszego narodu mogą dowodzić, że dla Polaków w tym procesie przygotowana jest szczególna droga. Dzisiaj, gdy na naszych oczach na jaw wychodzą kolejne gorszące fakty i gdy kolejne burze smagają Dom Boży, czas na przebudzenie sumień, na wielkie akcje ekspiacyjne i modlitewne, na odważną katolicką publicystykę. Na ruchy społeczne nieogłądające się na to, co powiedzą media, ale wyłącznie na to, co mówi Chrystus, a od wieków powtarzał jego Kościół. Na walkę o osobistą świętość każdego z nas. Wreszcie na całkowity radykalizm w oddaniu się Bogu i Jego Prawu, z gotowością na męczeństwo za jedyną prawdziwą wiarę.

Jednak Kościół to instytucja hierarchiczna i bez hierarchii nie byłby już Kościołem Chrystusa! Dlatego choć świeccy mają dziś do zrobienia bardzo wiele, to jednym z głównych ich celów musi być wychowanie odważnych, bożych kapłanów, którzy będą potrafili odbudować i prowadzić Chrystusową Owczarnię, nie kierując się przy tym powściągliwością.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone.
Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.



Gabriel Michalik

Naiwne są płynące z Zachodu słowa troski o budowę w Rosji społeczeństwa obywatelskiego. To nie naród jest przedmiotem zarządzania Moskwy

Spółeczeństwo jest Kremlowi zbędne

FOT. FOTOLIA

Wantytopijnej powieści zmarłego właśnie Władimira Wojnowicza „Moskwa 2042” podstawowym produktem eksporto wymrządzonej przez kagebowski-wojskową juntę Rosji przyszłości jest ludzki stolec. Transportuje się go za granicę rurociągiem, a obywatel tylko wtedy może zaopatrzyć się w towary pierwszej potrzeby, gdy przedstawi zaświadczenie, że zdał już swój „wyrób wtórny”.

* * *

Po blisko dziesięcioletniej przerwie wybrałem się dalej na wschód niż do Moskwy i pragnę państwu zaświadczyć, że Rosji, z którą należy budować unię od Lizbony do Władywostoku, do czego zachęcał niedawno marszałek Kornel Morawiecki, niestety nie ma. Jest grupa feudałów żyjących

z ropy, jest elita duchowa, którą zepchnięto poza nawias nędzy, więc wybiera między emigracją wewnętrzną a zewnętrzną, i jest degradująca się z roku na rok Rosja szarych ludzi, z którą świata nijak nie będzie po drodze, żyje bowiem ów szary Rosjanin w triumfującej wirtualnej rzeczywistości, zaludnionej przez złą Gejropę, Ukrów i resztę świata, a z drugiej strony przez mistyczny Trzeci Rzym, którego posad bronić trzeba do ostatniej kropli krwi.

Przykład tego ostatniego zjawiska? Służę. Wagon restauracyjny kolei transsyberyjskiej, przedsięwzięcie. Właśnie urwała się klamka w drzwiach do sąsiedniego wagonu, restauracyjny jeszcze zamknięty. Skonfundowany uwięzieniem na kilku metrach kwadratowych dobijam się do wagonu restauracyjnego. Drzwi otwiera niechlujny facet, jak się potem wyjaśnia –

mechanik pokładowy. Mówię, co się stało, proszę o pomoc. W odpowiedzi krzyk i grubiaństwo. Oszupienie. Przed laty przywykłem, że cudzoziemiec jest dla Rosjanina święty; cudzoziemcowi wybacza się wszystko, pyłki usuwa się spod jego nóg. A tu?! Gdy w końcu kwestionuję zaistniałą sytuację, tłumacząc, że oczekiwałem raczej pomocy, może wyrazów ubolewania, mojemu rozmówcy zapalają się oczy, z paszczy zaś wydobywa się kropka w kropkę teza głównego propagandysty telewizyjnego Dmitrija Kisielowa: – Skończyły się te czasy, kiedy Rosja wszystkich przeproszała!

Coś tam bełkoczę o tym, że dla mnie Rosją jest Dostojewski i Sołżenicyn, a nie bezczelny mechanik kolejowy, że nie Rosja... tylko klamka, że... ale w gruncie rzeczy brak mi sensownych argumentów. Oto więc w przedsięwzięciu wagonu

■ restauracyjnego spotkałem nową Rosję, podłączoną jak do kropłówki do pierwszego kanału telewizji. Wstała Rosja z kolan. Na co w efekcie upadła, niech już się sama domyśli.

W milionowym Permie – brzydkim przemysłowym mieście, otoczonym zjawiskowo piękną przyrodą Uralu – spędziłem przed dekadą dwa lata, wsłuchując się w nadzieje na lepszą przyszłość, które zwiastował ówczesny prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew pospołu ze światowymi rynkami ropy naftowej, na których rozpoczynała się hossa. Po latach śladu dawnych nadziei nie spotkałem. Miedwiediew jest już tylko znienawidzonym premierem, który nie pozwala narodowi odczuć błogosławieństw mądrej polityki prezydenta Putina, a ropa, jak to ropa, nie chce wrócić do dawnych cen.

Hotel nazywa się Usadba, co spolszczyć można jako „dwór wiejski”. Wzniesiono go z bierwion, potężnych bali sosny syberyjskiej, pośród slamsów dawnego osiedla robotników portu rzecznego. Przed laty, ze wspomnianą nadzieją w tle, port jeszcze istniał. Niedawno przeszedł do historii, zasilając nadrzecznymi gruntami majątki rozlicznych notabli niewysokiego szczebla. Szczebel był na tyle niski, że notable wraz ze spieniężonym majątkiem wybrali emigrację na Cypr i do Czech. Robotnicy portu z kolei zasilili

Tadżyk pod okiem gospodarza wznioł hotel Usadba. W modzie jest jewroremont, czyli – ma być tak jak w Europie. Stąd w hotelowym numerze, na – podobno – europejską modłę, znajduje się jacuzzi na pół izby. Tadżyk montował, nie wiedział jak, więc z licznych otworów gigantycznej wanny płynie tylko wrzątek. Tych niedoróbek, partactwa, chromających drzwi, terkotliwych klimatyzatorów, lewitujących kabin prysznicowych, nieobecnych gniazdek elektrycznych, wszystkich detali niewygodny i dowodów niewiedzy jest tyle, że pobyt w Usadbie daje nieprzerwany asumpt do rechotu nad tym, jak Abdullo z Mirzem przy kierownictwie Iwana wyobrażają sobie Europę. I niech nas łaska Boża przed taką Europą ochroni!

Pachnie jednak spartaczona Usadba żywicą sosnową. Gdy odwrócić wzrok od jewroremontu, gdy zasłonić naderwaną żaluzją okna wychodzące na rozlatujące się blokowisko portowców, potęga syberyjskich bierwion napełnia spokojem. Cóż wszakże przynosi dzień następny? Wskutek wścibskich pytań o proveniencję hotelu dowiaduję się, że rosyjski gospodarz dorobił się na drewnianej deweloperce. Myśl pierwsza, że gdzieś na rubieżach okropnego Permu powstało osiedle domów z bali... Gaśnie ta myśl szybko wobec faktu: spółka Permskiye Teryema (w wolnym przekładzie „permskie chaty”) nie domy z bali buduje, lecz psie budy, domki o powierzchni kilkunastu metrów

Teryema zapłacić trzeba 2,5 tys. euro. To spora inwestycja, równowartość rocznych zarobków tadżyckiego budowlańca lub półtorarocznych rosyjskiego nauczyciela.

A za miastem, za rzeką, trzy pokolenia rodziny Terentiewów posadziły kapustę. Pośród grządek stoją terentiewowskie domy. I o ile na plantacji panuje wzorowy porządek, o tyle w architekturze i w stosunkach rodzinnych rozgardiasz jest tak wielki, że trudno się zorientować, który dom jest czyj ani też kto komu jest mężem, a kto siostrą. Na rodzinę składa się trzech profesorów, pięcioro doktorów, troje studentów i wielka chmara dzieci. Specjalności humanistyczne i techniczne, historia, literaturoznawstwo, elektronika; jest też jeden doktor inżynier od budowy maszyn, zjawisko pożyteczne w samowystarczalnej komunie rolniczej, którą de facto tworzą Terentiewowie. Sasza Terentiew, autor patentów, które na nic nie zdają się gasnącej rosyjskiej gospodarce, zatrudniony na głodowym etacie uniwersyteckim, potrafi naprawić spłuczkę w toalecie, zbudował elektrownię wiatrową, reperuje system nawadniający warzywną plantację. Pielić tylko nie chce. Od czego jednak Anton Terentiew, profesor historii! Nie tylko wyrwie z grządek każdy chwast, ale niczym Miczurin wyhoduje odporne na uralskie mrozy odmiany papryki, rukoli, bazylii. Najnowsze nasadzenia? Włoskie winogrona w inspektach.

Jesienią wszystko trafi do słoików, te do schronu przeciwbombowego, który rodzina wykopała pod szopą, i już można żyć do następnych żniw.

W chwilach wolnych od grządek prof. Terentiew zajmuje się problemem zbiorowej odpowiedzialności za zbrodnie bolszewizmu. Współdziała z tym, co jeszcze zostało z Memoriału, po ogłoszeniu organizacji zagranicznym agentem i po represjach wymierzonych w działaczy organizacji. Upodobał sobie Polaków. Przypadkiem natknął się na listy represjonowanych w ramach Polskiej Akcji NKWD. Bada ich losy, zgłasza nazwiska do kampanii „Ostatni adres”, zainicjowanej przez opozycjonistę Siergieja Parchomienkę; w jej ramach wolontariusze umieszczają tabliczki pamiątkowe na domach, z których NKWD zabierało osoby, a następnie je rozstrzelało.

Zaangażował się w rozpaczliwą obronę, powstałego jeszcze w latach pierestrojki, Muzeum Łągów Perm 36, które, w miarę

Za prawo meldunku w psiej budzie spółki Permskiye Teryema zapłacić trzeba 2,5 tys. euro. To spora inwestycja, równowartość półtorarocznych zarobków rosyjskiego nauczyciela

margines społeczny, przez kolejne lata redukowali swą liczbę drogą pijaństwa, zabójstw, samobójstw, migracji i transakcji najmu. Te ostatnie – przede wszystkim z Tadżykami i Uzbekami. Dzielnica pstrzy się zatem stubarwnymi szatami środkowoazjatyckich dziewcząt. Gdzieś niedługo autochton z bezbronną aprobatą (lub, rzadziej, z pogardą) czknie znad piwa na perską mowę i obyczaj sąsiada – taksówkarza, handlarza, tragarza, dorozcy, po sowiecku rzekłbyś – proletariusza. Skoro jednak teraz Tadżyk w miejsce Rosjanina został proletariuszem, to kim jest Rosjanin? Dla pokrzepienia serca czknie, że gospodarzem.

kwadratowych. Układ z administracją miasta sprawia, że budy owe, posadowione w szczerym polu, na terenie pozbawionym sieci energetycznej, wodociągu, gazu i w ogóle jakichkolwiek mediów, dają możliwość meldunku. Bez niego Tadżyk, a nawet Rosjanin z interioru nie mają szans na legalną pracę w mieście. Sprzedaż meldunku to zresztą jedna z kwitujących gałęzi biznesu w całej Rosji. I nie w Permie, nie tylko na prowincji. Lwia część dzisiejszej Moskwy, wynajmująca od starych moskwan mieszkania, zameldowana jest w hotelach robotniczych, garażach i slamsach okręgu podmoskiewskiego. Za prawo meldunku w psiej budzie spółki Permskiye

wstawania Rosji z kolan, upaństwowiono, ogłaszając, że dotychczasowa dyrekcja „pluła w twarz naszym weteranom”. W sieci zaroilo się od sfinansowanych z państwowych grantów klipów zawierających wywiady z sędziwymi już byłymi nadzorcami więziennymi, którzy opowiadali o luksusach, w które opływali więźniowie, i o moralnej nędzy wrogów ojczyzny.

Terentiew: – Dla porównania wyobraźcie sobie, że Muzeum Auschwitz przejmują pod swą administrację neonaziści, a rządowe subsydia otrzymuje świeżelist młodzież realizująca cykl wywiadów z nieosądzonymi w Norymberdze strażnikami obozowymi.

Na Leninowskie pytanie: „Co robić?” prof. Terentiew nalewa do filiżanek mocną herbatę. I milknie. Odzywa się za to jego siostra, Ałła, matka czworga dzieci, profesor literatur słowiańskich.

– Mnie bardzo ujął w ostatnich wyborach prezydenckich kandydat komunistów. Ogłosił, że musimy wypowiedzieć wojnę Białorusi i czym prędzej się poddać. Wyobrażacie sobie! To jest program!

W hali odlotów permskiego lotniska, niczym sprzedawca szczeniąt z rodowodem, naściennymi ogłoszeniami reklamuje się miasto Czusowoj. Populacja – 50 tys. ludzi, co 10. pracował w metalurgii. Fabryka pada. Przyjechali Niemcy, nakręcili film dokumentalny o umierającym mieście. Rudery, samobójstwa, nędza, walka lokalnych urzędników starających się po cichu okraść ruiny fabryki z jedynym niezależnym dziennikarzem w mieście. Przez Internet popłynęły analizy.

„Odrapane domy, drut kolczasty w środku miasta, staruszki handlujące na przystankach, żeby wyżywić robotników fabryki. Cały kraj tak żyje!” – napisał ktoś.

A inny mu odpowiedział, całkiem serio: „Niemiecka propaganda. Starają się obniżyć rating Putina w Europie”.

Po tym, jak film stał się głośny również w Kraju Permskim, głowa regionu Czusowoj, Siergiej Biełow, wyprodukowała anons zaopatrzony w numer telefonu komórkowego. Wpatruję się weń teraz, bo do wejścia na pokład zostało jeszcze kilka minut. Biełow czeka na inwestora 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Dzwonię. Nikt nie podnosi słuchawki.

A w Moskwie życie kwitnie! Śmigają po szosach rolls-royce’y i bentleye. Żywe homary machają do przechodniów

szczypcami z akwariów zainstalowanych w witrynach wykwintnych restauracji. Do homarów uśmiecha się bielą najrówniejszych pod słońcem zębów piękny jak Adonis ekonomista Władisław Żukowski, obiekt westchnień amerykańskich dziennikarek i dziewcząt z opozycynie zorientowanej części moskiewskiej śmietanki towarzyskiej, i wyjaśnia:

– Przychody z eksportu własności intelektualnej Rosji wynoszą rocznie 0,6 mld dol., w przypadku Holandii to 37 mld dol., w przypadku USA – 130 mld. Gospodarce zorganizowanej wokół rury z ropą naftową zbędni są ludzie myślący samodzielnie, wykształceni, zdrowi i odpowiedzialni. Do obsługi rury i willi jej właścicieli wystarczy zresztą w ogóle najwyżej 20 mln osób, a i ci powinni odznaczać się odpowiednimi kwalifikacjami, wśród których najwyżej ceni się debilizm, uległość i brak skłonności do dożywania sędziwego wieku.

Cały ten głodny motłoch to tylko zbędny balast. Przydawał się, gdy kartą przetargową władców Kremla były ropa, broń masowego rażenia i idea światowej rewolucji w imię powszechnej równości. Ideę szlag trafił, a w korzystaniu z pozostałych dwóch przewag motłoch jest dla władzy jedynie źródłem niewygod.

Naïwne są płynące z Zachodu słowa troski o stan wolności prasy, praw człowieka i budowę w Rosji społeczeństwa obywatelskiego. Ten rodzaj gospodarki, który potrafi w obecnym stanie spraw zorganizować Kreml, nie potrzebuje nie tylko społeczeństwa obywatelskiego, lecz także społeczeństwa w ogóle. Nie naród bowiem jest przedmiotem zarządzania Kremla, lecz przedsiębiorstwo handlowe o charakterze, jak chcą jego krytycy, pirackim. W tej „działalności gospodarczej” wykorzystuje się pewne chwytły emocjonalne z repertuaru władzy politycznej, również te, gdzie (by przywołać znany aforyzm Clausewitza), politykę realizuje się „innymi środkami”. Mesjanizm, imperializm, nacjonalizm itd. to raptem tylko propagandowy sos, w którym łatwiej zabezpieczać prywatne interesy wąskiej grupy właścicieli rury z ropą naftową, interesy zaczynające się i kończące na pieniądzu. Przedsiębiorstwo to cierpi na katastrofalny wręcz przerost zatrudnienia... Na tym tle uwagi dotyczące nie dość wielkodusznego traktowania przerośniętych kadr jawią się jako gruby nietakt.

Że to się wszystko wydarzy, że Perm i dziesiątki podobnych miast rosyjskiej

provincji zdegradują się, że intelektualiści będą zepchnięci na emigrację wewnętrzną, a masy zbiednieją, spijają się, a z braku dowodów własnej godności sięgną po ksenofobię, można się było spodziewać, jeśli widziałeś kiedykolwiek upadły PGR. Że nadzieje związane z Miedwiediewowską modernizacją lat 2008–2012 były bezpodstawne, przekonać się można było już w ich trakcie, obserwując transfer środków z naftowego boomu nie do biznesu, ale na urzędnicze konta w ramach podatkowych, przy zachowaniu pewnych minimalnych transferów społecznych, okruszków z pańskiego stołu, za pomocą których ugruntowano przekonanie, że lata 90., czas krótkotrwałej demokracji, był czasem zgubnym.

Jednak w sytuacji, gdy upadek PGR trwa przeszło ćwierć wieku, populacja przekracza 100 mln, a syndyk upadłego gospodarstwa założył na jego terenie nową, całkiem prywatną firmę i nadal dysponuje największym na świecie arsenałem broni jądrowej, wrażenie jest mocne.

Z artykułów opublikowanych przez opozycyjne portale po śmierci Wojnowicza przebiega pogląd, że mroczne wizje pisarza spełniły się już w naszych czasach. Wydaje się jednak, że odnośnie do obowiązków dostawy „wyrobu wtórnego” prognoza była nazbyt optymistyczna i humanitarna.

W istocie bowiem 90 proc. Rosjan nie ma nic takiego, czego władza mogłaby od nich potrzebować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

O Rosji na łamach „Do Rzeczy”:

- **Rozmowa z Kornelem Morawieckim** – „Rosja nie prowadzi agresywnej polityki” – 30 lipca 2018 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Słoń w salonie” – 23 lipca 2018 r.
- **Andrzej Talaga** – „O Rosji realnie” – 9 lipca 2018 r.
- **Piotr Semka** – „Rosja – mroczny obiekt pożądania” – 25 czerwca 2018 r.
- **Stanisław Żaryn** – „Atakowani po kryjomu” – 25 czerwca 2018 r.
- **Rafał A. Ziemkiewicz** – „Kwadratura Rosji i Niemiec” – 11 czerwca 2018 r.
- **Tomasz Kwaśnicki** – „Ameryka nie kocha Polski” – 21 maja 2018 r.
- **Piotr Gursztyn** – „Kreml nie chce zgody” – 12 września 2016 r.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Tajemnica brody

Męski zarost przeżywa ostatnio prawdziwy rozkwit. Czy raczej rozrost, bo jednak modni brodacze dbają o higienę i nic prócz włosów im tam nie kwitnie. Brody – w odróżnieniu od samych wąsów – są w dobrym tonie, choć, zdaje się, kobiety nie przepadają za tym męskim atrybutem. Może przeszkadza w całowaniu? Nigdy nie całowałem brodacza, więc nie wiem.

O istocie tego boomu pisałem tu jakiś czas temu. W dwóch słowach: im bardziej modnie niewieścieją, tym bardziej potrzebują jakiejś protezy męskości. A zarost nadaje się do tego idealnie. Widziałem ostatnio w Internecie zdjęcie: dwóch gejów na ślubnym kobiercu, przy czym ten w sukni ślubnej ma imponującą brodę.

Zmęskim zarostem to rozmaitości w historii bywało. W bardzo cywilizowanym wieku XIX wielkie brody były bardzo modne i często miały być przejawem intelektualnej mocy, jak choćby u pozujących na mędrców Karola Marksa i Lwa Tołstoja. Uroczą wariacją na temat owłosionych twarzy były bokobrody, których najsłynniejszym właścicielem był cesarz Franciszek Józef. U schyłku epoki wiktoriańskiej wielu dżentelmenów modelowało sobie włosy na twarzy równie starannie jak dzisiejsi piłkarze włosy na głowie.

Jednak najbardziej tajemniczą jest sprawa bród w starożytnym Rzymie. Otóż długo Rzymianie golili się bardzo starannie. Prawdziwy Rzymianin nie miał brody. Starożytne rzeźby przedsta-

wiają twarze bez zarostu, choć często poorane realistycznymi zmarszczkami. Brak brody był elementem rzymskiej tożsamości, budowanej w kontrze do świata greckiego, który był bardzo „obrodzony”. Sokrates, Perykles, Archimedes, Platon, Arystoteles – wszystkie ich domniemane wizerunki mają brody. Istotnym wyjątkiem w tej wyliczance jest Aleksander Wielki, który był mało antycznym gołowąsem. Jednak jako zdobywca być może stanowił inspirację dla bitnych Rzymian.

W każdym razie Rzymianie bród nie zapuszczali. Pompejusz, też zwany Wielkim, Juliusz Cezar oraz Oktawian August byli ślicznie wygoleni, o czym świadczą ich zachowane wizerunki. Cała plejada następców Oktawiana Augusta także nosiła się z rzymską, o czym świadczą liczne zachowane rzeźby kolejnych cesarzy, które z autokratycznym rozmachem eksponowano w całym imperium. Aż nagle w 117 r. n.e. na tron wstąpił cesarz Hadrian, który... nosił brodę. I od tej pory wszyscy kolejni cesarze są brodacami. Dla archeologów jest oczywiste – jeśli rzeźba imperatora ma brodę, to powstała po roku 117. Jeśli nie, to przed nim.

Kulisy tej rewolucji są całkowicie nieznane. Nie wiadomo, jakimi motywami kierował się sztab budujący wizerunek Trajana i dlaczego jego następcy pozostali przy brodach. Może o tych rozterkach wiedzieć coś Patryk Jaki, który sam na razie nie może się zdecydować – zapuścić czy golić? ©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mitteleuropa

Być może część Polaków cierpiących na kompleks prowincji ucieszyła się nagłym zainteresowaniem Niemiec inicjatywą Trójmorza. Doce-nili nas, przestali z nas kpić, traktują nas poważnie...

Nie podzielam tej radości. Oczywiście Niemcy są dla nas ważnym partnerem, sojusznikiem itp., ale ich ewentualne wejście do bloku Międzymorza to de facto koniec idei jagiellońskiej. Z jakiegoś po-

równowagi. Kilkanaście państw, a może i więcej, gdyby dołączyć do nich Skandynawię i południowe Bałkany, w pojedynkę nie ma szans w zestawieniu z mocarstwami Wschodu i Zachodu, ale wspólnie dysponują potencjałem zdolnym do zabezpieczania regionalnych interesów. A gdyby kiedyś do inicjatywy przystąpiła Ukraina i – choć to brzmi dziś jak surrealizm – Białoruś, powstałby sojusz rangi mocarstwowej. I Niemcy o tym wiedzą.

Mimo zaklęć do wielu polityków dociera, że projekt federacji europejskiej właśnie się rozsypuje i mimo wysiłków lewactwa nigdy nie powstaną Stany Zjednoczone Europy czy raczej Związek Socjalistycznych Republik Europejskich. A wymarzona przez „ojców założycieli” Europa Ojczyzn?

Zbyt wiele sprzecznych interesów – Północy i Południa, Wschodu i Zachodu. Żandarm z Berlina sam wszystkiego nie ogranie, zwłaszcza że w szkodę wchodzi nowy geopolityczny gracz – Turcja – wspierany przez miliony muzułmanów, którzy już tu są. Mitteleuropa, czyli ta część kontynentu pod hegemonią niemiecką, zawsze była wizją dobrze postrzeganą nad Łabą. Może nawet ciekawszą od wszelkich ryzykownych form prusko-ruskiego kondominium. Dlatego radzę zachować dystans i ostrożność, jak zwykle, gdy lis nagle zapragnie bawić się ze stadem wiewiórek. ©

Wystarczy spojrzeć na mapę, aby się przekonać, że wujek Trump jest daleko, a ciocia Angela blisko

wodu nasi przodkowie nigdy nie obrali królem Habsburga. Niemcy w Międzymorzu to jak Rosja w NATO.

Ładnie brzmi, tylko czemu ma służyć? Ano realizacji starej idei Mitteleuropy, czyli protektoratu Niemiec nad wszystkimi tymi państewkami – od Bałtyku do Adriatyku – które są niezdolne do życia bez wielkiego kuratora i wprawdzie same jako patrona wybrały sobie Stany Zjednoczone. Wystarczy jednak spojrzeć na mapę, aby się przekonać, że wujek Trump jest daleko, a ciocia Angela blisko. Nasza idea Międzymorza – niekonkurencyjna, ale współgrająca z istniejącą Unią Europejską – miała na celu zabezpieczenie



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Wojna o Wawel

W 1937 r. Polaków podzielił głęboki konflikt. Chodziło o przeniesienie ciała marszałka Józefa Piłsudskiego z krypty św. Leonarda na Wawel do krypty pod Wieżą Srebrnych Dzwonów. Decyzję taką – wbrew woli rządu i prezydenta Ignacego Mościckiego – podjął arcybiskup krakowski Adam Sapieha. Wywołało to gigantyczne oburzenie obozu piłsudczykowski. Za katolickim hierarchą murem stanęła za to endecja.

„Wśród ogólnego podniecenia – relacjonowała przebieg wiecu, jaki miał miejsce pod Belwederem, sanacyjna »Gazeta Polska« – Klemens Frelek odczytuje następujące żądania:

- 1) zmiany konkordatu,
- 2) oddania Wawelu w bezpośrednie władanie Państwu,
- 3) powołanie na stanowiska biskupów Polaków, którzy czują się wiernymi synami ojczyzny,
- 4) pozbawienia ks. metropolity Sapiehy wszystkich odznaczeń honorowych,
- 5) pozbawienia ks. metropolity Sapiehy obywatelstwa polskiego”.

Innego zdania był gen. Marian Kukiel, który napisał do abp. Sapiehy następujący list: „Poruszony do głębi i oburzony niegodziwymi napasciami na Księcia Metropolite, ośmielałam się prosić Go, by przyjąć raczył z mej

strony wyrazi serdecznego żalu z powodu wyrządzonej Jemu, Kościołowi i Polsce krzywdy. Wiedziałem dobrze, do czego mogą się posunąć fanatyzm i zacięłość tych ludzi, u których kult deifikowanego Wodza zinstytuował się w miejsce religii, patriotyzmu i moralności. Przekonany jestem, że Polska murem stanie w obronie katedry wawelskiej i jej Najdostojniejszego Strażnika”.

Cytaty te pochodzą z nowego numeru „Karty”, w którym znalazł się obszerny materiał na temat sporu z 1937 r. Można się z niego dowiedzieć wielu ciekawych szczegółów tej sprawy. Choćby takich, że Sapieha przyspieszył swoją decyzję ze względu na planowany przyjazd króla rumuńskiego Karola. Monarcha ten był schizmatykiem i arcybiskup nie chciał oddawać mu honorów godnych katolickiej głowie państwa.

Często można dziś przeczytać, że Polacy są obecnie „podzieleni jak nigdy”. Materiał „Karty” przypomina, że również przedwojenną Polskę rozdzierały gwałtowne, zacięte swary.

Poza tym w nowej „Karcie” wspomnienia przemysłowca, który dostarczał żywność do warszawskiego getta i dziennik dziennikarki pisany z obłązonego przez Rosjan Grogno. ©©



★★★★★
„KARTA” 96/2018



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Basia i Roman

Mówiąc o żonach Romana Polańskiego, mamy na myśli na ogół Sharon Tate zamordowaną przez bandę Charlesa Mansona w 1969 r. czy też jego obecną małżonkę, Emmanuelle Seigner. Tymczasem pierwszą żoną reżysera była jedna z najpiękniejszych polskich aktorek, Barbara Kwiatkowska. Młodsza od niego o siedem lat, pochodziła z chłopskiej rodziny spod Gostynina i jeszcze na krótko przed swoim filmowym debiutem boso pasała krowy. Przeskok z mazowieckiego pastwiska do świata filmu był dla niej ogromnym szokiem i zapewne stąd brały się jej niekonsekwentne zachowania. Podobno jednak wyznawała twarde, chłopskie zasady moralne, co nie przeszkodziło jej zostać kochanką pewnego żonatego reżysera (miała wówczas 17 lat). Polański szybko stał się jej powiernikiem, a niedługo później trafili razem do łóżka.

„Była jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek widziałem – wspominał Polański. – Ciemna szatynka, prawie brunetka, miała twarz o wykroju migdała, wspaniałe długie rzęsy, zadarty nosek i gibkie, jędrne ciało”.

Od razu poczuł się jej opiekunem i impresariem, i to właśnie on namówił Andrzeja Munka, aby zaangażował ją do „Zezowatego szczęścia”. Munk zastrzegł jednak, że Polański sam będzie reżyserował sceny z jej udziałem, po

czym z właściwym sobie poczuciem humoru powiedział mu rolę korepetytora uwodzonego przez Kwiatkowską.

Praca na planie „Zezowatego szczęścia” przyniosła pierwsze poważne rozdziewięki między nimi. Polański zachowywał się jak arogantki dyktator, doprowadzając dziewczynę do hysterii. Doszło wreszcie do tego, że Munk odebrał mu reżyserię, a potem zagroził usunięciem z planu.

Pomimo narastających problemów postanowili się jednak pobrać, ślub zawarli 8 września 1959 r. w Łodzi. Impreza weselna odbyła się w sposób typowy dla tamtych czasów.

„Wszystko odbywało się w ogromnym pośpiechu – wspominała Zofia Komedowa. – Romek zadzwonił do nas w przeddzień ślubu. Jedyne, co załatwił, to uroczystość w USC. I musieliśmy przygotować śniadanie weselne dla około 80 osób [...]. Ugotowaliśmy więc dwa wielkie gary bigosu i barszczu. Nawet nie byłam na ślubie, bo cały czas aż do przybycia gości tkwiłam w kuchni. Przyszli ci wszyscy młodzi reżyserzy z pięknymi żonami, aktorzy i aktorki, wystrojeni i pachnący, a ja z poparzonymi rękoma, spocona i zmęczona. Dopiero gdy było po wszystkim, uświadomiłam sobie, że nawet nie powiedzieli »dziękuję“.

Małżeństwo szybko się rozpadło, a stroną zrywającą była Basia. Jednak to temat na inne opowiadanie... ©©



Historia po rosyjsku



Maciej Pieczyński

17 września rozpoczął się wyzwoleny pochód Armii Czerwonej. A do wojny doprowadziła agresywna polityka Warszawy – tak uważa część rosyjskich historyków, publicystów i polityków

I wojna światowa rozpoczęła się atakiem Niemiec i ZSRS na Polskę, którą oba agresywne mocarstwa podzieliły między sobą na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow. To, co dla Polaków jest faktem, dla wielu rosyjskich historyków, publicystów i polityków jest nadinterpretacją faktów. „To niemoralne, nieodpowiedzialne i ahistoryczne” – tak o przypisywaniu ZSRS współodpowiedzialności za rozpętanie II wojny światowej mówił, przy okazji kolejnej rocznicy paktu niemiecko-sowieckiego, Konstantin Kosaczow z Putinowskiej partii Jedna Rosja, szef komisji spraw zagranicznych Dumy. Stwierdził, że dziś wśród państw,

które nie mają własnej historii walki z nazizmem bądź mają własną „wstydliwą historię kolaboracjonizmu” z Niemcami hitlerowskimi, angażuje się wszystkie siły, żeby „wymyślić upiększoną, bardziej korzystną dla tych państw i narodów historię II wojny światowej”. Najbardziej oczywistym adresatem tych insynuacji była Polska, ponieważ Kosaczow komentował właśnie wypowiedź Witolda Waszczykowskiego na temat paktu Ribbentrop-Mołotow.

„FAKTY”

Dwa lata temu mieszkaniec Permu został ukarany grzywną za udostępnienie

w Internecie artykułu zawierającego „fałszywe” stwierdzenie, że Związek Sowiecki i Niemcy wspólnie napadły na Polskę, rozpętując II wojnę światową. Skazany został za „rehabilitację nazizmu”, czyli za „negowanie faktów, ustanowionych wyrokiem Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze”. Znamienna była logika sądu: skoro w Norymberdze uznano, że Związek Sowiecki należał do koalicji antyhitlerowskiej, to nie można stwierdzić, że kiedykolwiek ten sam ZSRS z Niemcami hitlerowskimi współpracował. Sam oskarżony podczas przesłuchania przyznał, że o pakcie Ribbentrop-Mołotow dowiedział się... z rosyjskiej szkoły.

„JAK POLSKA ROZPĘTAŁA II WOJNĘ ŚWIATOWĄ”

Minister spraw zagranicznych III Rzeszy Joachim von Ribbentrop i szef polskiej dyplomacji Józef Beck na dworcu w Warszawie, 25 stycznia 1939 r. FOT. NAC



sko-sowieckie” znany (i często cytowany) rosyjski historyk wojskowości Michaił Mieltiuchow. Jego zdaniem pakt z Niemcami nie mógł być agresywny, ponieważ... z samej nazwy był „paktem o nieagresji”. Sam cytuje fragment tajnego protokołu, w którym jest mowa o tym, że „na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego [...] państwa polskiego sfery interesów Niemiec i ZSRS będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew-Wisła-San”, a kwestia, czy i w jakim zakresie Polska będzie niepodległa, rozstrzygnie się pomiędzy Berlinem a Moskwą. Zdaniem Mieltiuchowa dokument miał „amorficzny charakter” i „nie zostały w nim zawarte żadne antypolskie postanowienia stron”, bo przecież mowa jest o tym, „co będzie, gdyby”, w trybie warunkowym. A o tym, że owego „przekształcenia terytorialno-politycznego” dokonali sami sygnatariusze paktu niedługo po jego podpisaniu, już historyk nie wspomina. Z dumą pisze o tym, jak to ZSRS, podpisując pakt z Niemcami, uzyskał nareszcie, po latach izolacji, uznanie ze strony dużego europejskiego państwa. W rezultacie Niemcy napadły na Polskę, a ZSRS „udało się pozostać poza teatrem wojny europejskiej, a jednocześnie uzyskać relatywną swobodę działania w Europie Wschodniej”. Napaść na Polskę od wschodu, według tej narracji, nie była bowiem częścią wojny europejskiej. Po pierwsze, 17 września Polska i tak była już pobita. Po drugie, wobec jej upadku trzeba było się zaopiekować Białorusinami i Ukraińcami. Po trzecie, ZSRS nie zaanektował zachodniej Białorusi i zachodniej Ukrainy, bo ich mieszkańcy sami wyrazili wolę połączenia z sowiecką Białorusią i sowiecką Ukrainą, biorąc udział w wyborach do lokalnych władz. Po czwarte, jeśli już, to 17 września wydarzyła się sprawiedliwość dziejowa – ZSRS po prostu odebrał ziemie, które utracił na mocy niesprawiedliwego traktatu ryskiego, kończącego wojnę polsko-bolszewicką, którą zaczął Piłsudski, napadając na Rosję (z podjudzenia Zachodu – Stalin nazwał to „trzecim pochodem Ententy”) i zajmując... Kijów. A tak w ogóle to Polska w 1918 r. powstała właściwie po to, by osłabić Rosję. Wszystko układa się w logiczną całość, prawda? Polacy sami są sobie winni.

ROZGRZESZANIE NIEMCÓW

Rosyjscy historycy, publicyści i politycy, odpowiadając na płynące z Zachodu

zarzuty o współpracę z Hitlerem, zazwyczaj używają tego samego, skądinąd częściowo słusznego argumentu: „To wy zaczęliście się z nim dogadywać!”.

„To był faktycznie wybuch II wojny światowej” – tak o układzie monachijskim mówił prowadzący program „Więści Tygodnia”, znany kremłowski propagandzista, Dmitrij Kisieliov. Mieltiuchow przypomina, że o ile pakt Ribbentrop-Mołotow napisany był w trybie warunkowym (to nic, że był jeszcze układ graniczny z wrześniem 1939 r.), o tyle w Monachium państwa zachodnie zgodziły się na bardzo konkretnie ujęty rozbiór Czechosłowacji. Jak wiadomo, korzystając z okazji, Polska zajęła wówczas sporne Zaolzie, za co Churchill nazwał ją „hieną Europy”. Rosjanie uwielbiają cytować tę wypowiedź brytyjskiego polityka. Przytoczył ją również Kisieliov. Polsko-niemiecki pakt o nieagresji z 1934 r. nazwał „sojuszem Piłsudskiego z Hitlerem” oraz „kolejną próbą podboju ZSRS przez Polskę”. Kosaczow z kolei na łamach portalu RT forsuje fałszywą tezę, w myśl której Polska reprezentowała hitlerowskie Niemcy w Lidze Narodów. Nie trzeba dodawać, że późniejszego paktu Stalina z Hitlerem Rosjanie „sojuszem” nie nazywają. Publicysta powołał się też na relację Ribbentropa, któremu Józef Beck miał się zwierzyć z pretensji terytorialnych, które Polska miała rościć wobec Ukrainy. Wychodzi więc na to, że poniekąd sami sobie byliśmy winni – agresywne państwo, nawołujące do napaści na ZSRS, biorące udział w rozbiórce Czechosłowacji, w końcu samo stało się ofiarą agresji. „Dziś Polska nazywa siebie główną ofiarą II wojny światowej. Ale czy to nie ona była jej drapieżnym inicjatorem? Przeliczyła się jednak” – stwierdził Kisieliov. O samym zajęciu Zaolzia mówi tak: „To był faktyczny początek II wojny światowej”. Kosaczow z kolei zauważa: „Po słynnym spisku monachijskim, który doprowadził do rozbioru Czechosłowacji, właśnie Polska, nie będąc formalnie uczestnikiem tego spisku, zaanektowała siłą znaczącą część Czechosłowacji”. „Znaczącą część Czechosłowacji” putinista nazywa liczącą 805 km kw. Zaolzie. Powierzchnia całego kraju wynosiła natomiast prawie 128 tys. km kw. To oczywiście nie usprawiedliwia działania polskich władz, ale pokazuje tendencję do wyolbrzymiania polskich win. Inna sprawa, że Zaolzie było w większości zamieszkane przez Polaków – a zajmowanie terytorium sąsiedniego

Dzień Zwycięstwa nad faszyzmem to największe święto w kalendarzu Rosjanina, a samo zwycięstwo to największa duma narodowa, niezależnie od stosunku do sowieckiej przeszłości. Otwarte przyznanie się, że pogromcy Hitlera najpierw byli jego sojusznikiem, zburzyłoby ten piękny obraz. Stąd alergiczne reakcje na przypomnianie o tym sojuszu.

Jednak z samego faktu podpisania paktu o nieagresji pomiędzy ZSRS a Niemcami Rosjanie tajemniczy nie robią. Czym więc był pakt Ribbentrop-Mołotow (a właściwie dołączony doń tajny protokół), jeśli nie IV rozbiorem Polski? Wyjaśnia to w swojej książce „Wojny pol-

państwa „w obronie rodaków” to akurat praktyka, którą Rosjanie powinni rozumieć najlepiej...

Co ciekawe, Rosjanie mimochodem rozgrzeszają Niemców. Logicznie rzecz biorąc, skoro Polska była „hieną Europy”, to III Rzesza była „drapieżnikiem Europy”. Nic podobnego. Niemcy, co prawda, dokonali rozbioru Czechosłowacji, ale legalnie, na mocy jawnego porozumienia, zaakceptowanego przez państwa Zachodu. Polska natomiast zajęła Zaolzie „nielegalnie”. Ten tok myślenia nie przeszkadza Rosjanom oskarżać jednocześnie ten sam Zachód o doprowadzenie do II wojny światowej.

Prokremlowska i prosowiecka wizja historii jest w specyficzny sposób niekonsekwentna. Można oczywiście dowodzić, że II wojna światowa zaczęła się jeszcze przed napaścią Niemiec na Polskę. W końcu już wcześniej Hitler rozpoczął ekspansję terytorialną, tyle że poprzednich podbojów dokonywał praktycznie bez wystrzału. Polacy jako pierwsi postawili zbrojny opór. Chronologicznie rzecz biorąc, najpierw był rozbiór Czechosłowacji, następnie agresja na Polskę. Jeśli już jednak brać pod uwagę chronologię, to przed Czechosłowacją powinien być anszlus Austrii... Dlaczego więc akurat Monachium jest wszystkiemu winne? Otóż w ten sposób można w wybuch wojny zrobić również Zachód, a już szczególnie „najbardziej rusofobiczny kraj na świecie”. To jednak nie koniec. Rosyjscy komentatorzy nie ograniczają się do stwierdzenia, że 1 września Polacy zostali ukarani za to, że wcześniej, jako „hiena Europy”, dojadali resztki po drapieżniku i namawiali go do ataku na wschód. Jest jeszcze inna, równie, a nawet jeszcze bardziej oszczerza wobec nas wizja dziejów.

HITLER SŁUSZNIE ŻĄDAŁ GDAŃSKA

„Každy, kto bez uprzedzeń badał historię II wojny światowej, wie, że wybuchła ona, gdy Polska nie zgodziła się na niemieckie żądania” – pisał Siergiej Kowalow, historyk wojskowości, pracownik Ministerstwa Obrony Narodowej FR. Jego tekst na ten temat był opublikowany na stronie resortu. Informowała o tym „Komsomolska Prawda”, nazywając tezy Kowalowa „sensacyjnymi”. Kowalow stwierdza, że niemieckie pretensje były „bardzo umiarkowane”. Jego zdaniem żądanie Hitlera włączenia

Gdańska do Rzeszy „trudno nazwać pozbawionym podstaw”. A to dlatego, że „przytłaczająca większość mieszkańców oderwanego od Niemiec na mocy traktatu wersalskiego Gdańska stanowili Niemcy, którzy szczerze pragnęli połączenia z historyczną ojczyzną”. Kowalow – podobnie jak wielu rosyjskich historyków – używa niemieckiej nazwy „Danzig”.

W tej sprawie rację Hitlerowi przyznaje również Jurij Muchin, pseudohistoryk, stalinista, autor antypolskich książek, w których twierdzi on, że w Katyniu Polaków mordowali Niemcy. Muchin pisze wprost, że Niemcy mieli prawo bronić swoich gdańskich rodaków przed polską samowolą. Na szczęście ten stalinowski fantasta jest marginesem rosyjskiej debaty. Jednak akurat jego poglądy na temat Gdańska w mniej lub bardziej ostrożny sposób formułuje wielu mniej

Dla Rosjan „agresywna Polska”, odkąd tylko powstała, niczym się nie zajmowała, tylko próbą podbicia niewinnej Rosji

kontrowersyjnych komentatorów. Przeważa opinia, że Polska powinna albo zgodzić się na żądania Hitlera, albo zawrzeć sojusz z ZSRS. Symptomatyczne: agresja sowiecka na Polskę była uzasadniona, bo Moskwa musiała bronić swoich interesów w regionie, zaś odmowa przez Polskę naruszenia własnej integralności terytorialnej to już awanturnictwo, które tylko sprowokowało Hitlera do ataku. W znamienny sposób opisuje to Kowalow. Jego zdaniem Polska odmówiła Hitlerowi, bo chciała być europejskim mocarstwem. Czyli: znów miała nieczne plany.

Z tezami Kowalowa na łamach „Komsomolskiej Prawdy” polemizował historyk Jurij Żukow. Podbój Polski przez Niemcy nazwał „kontynuacją agresywnej polityki Hitlera” (wcześniej: anszlus, Sudety, Czechosłowacja...), której celem było „ostatecznie zniszczyć układ wersalski”. „Dlatego w sierpniu 1939 r. powstała bardzo trudna sytuacja. Bez oglądania się na Francję i Wielką Brytanię Hitler 1 września napadł na Polskę, co oznaczało wybuch II wojny światowej”.

Dalej Żukow pisze: „Rozumiejąc, co się dzieje, jeszcze latem 1939 r. Stalin i Mołotow próbowali porozumieć się z Londynem, Paryżem i Warszawą, żeby zapobiec wojnie. Jednak nie spotkali się ze zrozumieniem, dlatego żeby odłożyć wybuch wojny z Niemcami nazistowskimi, byli zmuszeni podpisać z nimi pakt o nieagresji”. Z tej perspektywy to nie Polska jest winna, ale sowiecka agresja to wciąż tylko próba zabezpieczenia własnych interesów. Ponadto nawet ta wyważona opinia pośrednio zakłada winę Warszawy – ta bowiem nie chciała porozumieć się z Moskwą.

WSZYSCY DUMNI

Największym powodem do narodowej dumy jest dla Rosjan „zwycestwo nad faszyzmem”. Do kultu 9 maja nikt odgórnie ich zmuszać nie ma powodu. Od liberałów do komunistów, od nacjonalistów do imperialistów – czyn zbrojny pogromców Hitlera budzi uznanie niezależnie od stosunku do sowieckiej przeszłości i samego Stalina. Dla Rosjan prawdziwa wojna rozpoczęła się 22 czerwca 1941 r. Nie na darmo konflikt ZSRS z Niemcami nazywają Wielką Wojną Ojczyźnianą, przez analogię do „Wojny Ojczyźnianej” z 1812 r. Za cara ojczyźni bronili przed najazdem Napoleona. Za Stalina – przed najazdem Hitlera. Agresja zawsze szła z Zachodu. I bardzo często w jej awangardzie stała „polska rusofobia”. W tym ujęciu wojna polsko-bolszewicka 1920 r. też była tylko jednym z kolejnych etapów wojny Zachodu przeciw Rosji. Nic dziwnego, że zbrodnię katyńską część rosyjskich komentatorów nazywa zemstą za rok 1920. „Agresywna Polska”, odkąd tylko powstała, niczym innym się nie zajmowała, tylko próbą podbicia niczemu niewinnej Rosji. Nie zgodziła się na przemarsz Armii Czerwonej w drodze na pomoc sprzymierzonej z ZSRS Czechosłowacji, sama zagarniając kawałek podbijanego przez Hitlera państwa. A potem odważyła się zbuntować przeciwko Niemcom, po czym „tylko trochę” walczyła z Hitlerem, bo przez większość czasu polskie podziemie niepodległościowe było zajęte zwalczaniem komunistów, a czasem i mordowaniem Żydów. A kto przeciw komunistom – ten faszysta. Cała ta historical fiction jest przez rosyjskich publicystów, historyków, polityków traktowana, niestety, śmiertelnie poważnie.



100 %

**polski
produkt**

JUŻ NIEBAWEM RUSZA
**III EDYCJA
KONKURSU**

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

**NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY**

PATRONAT HONOROWY



PARTNERZY



PARTNER MERYTORYCZNY

Ostatni weekend sierpnia miał być czasem wielkiego triumfu papieża Franciszka, który w Irlandii miał po raz kolejny przypomnieć kluczowe elementy „Amoris laetitia”, a także w mocnych słowach rozliczyć irlandzką hierarchię z zaniedbań w kwestii przestępstw seksualnych. Słowa te rzeczywiście padły, nie sposób odmówić im znaczenia, ale... w przekazie medialnym, szczególnie w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech (bo w Polsce początkowo poza kilkoma moimi tekstami na Facebooku, tekstami na portalu DoRzeczy.pl i materiałami na prowadzonych przez katolików świeckich konserwatywnych portalach, o sprawie zapadło głucho milczenie), doniesienia te zostały przesłonięte przez oświadczenie abp. Carla Marii Viganò.

Padły w nim najmocniejsze zarzuty wobec pracowników kurii rzymskiej, najwyższym, głównie skrajnie liberalnym, ale nie tylko, hierarchom amerykańskim, a także – to jest kluczowe – wobec papieża Franciszka. W największym skrócie można powiedzieć, że ich istotą jest zarzut, że walka ze skandalami seksualnymi w wydaniu obecnego papieża to tylko słowa, tylko papieski PR, a nie realne działania, i że dla Franciszka istotniejsze od walki z przestępstwami seksualnymi w sutannach jest walka z „prawicowo ukierunkowanymi” hierarchiami.

WALKA Z IDEOLOGICZNYMI BISKUPAMI?

Oświadczenie abp. Viganò (nuncjusza apostolskiego w Stanach Zjednoczonych w latach 2011–2016, a wcześniej wieloletniego pracownika sekretariatu stanu) jest głosem w rozgrywającej się w Stanach Zjednoczonych afery wokół przestępstw seksualnych, wykorzystywania seksualnego kleryków i księży przez kardynała (teraz już byłego) Theodore’a McCarricka, a także faktu krycia go przez dziesięciolecia przez innych hierarchów i – szerzej – tolerowania, a nawet wspierania homolobby w amerykańskim (i nie tylko, bo jak pokazuje dokument byłego nuncjusza, także w Watykanie) Kościele. W 11-stronicowym oświadczeniu arcybiskup wskazuje kluczowych hierarchów, którzy – według niego – kryli McCarricka, a przynajmniej – mimo wiedzy na temat tego, co się działo – pozwalali mu działać (tu padają nazwiska trzech



Kościelna bomba atomowa



Tomasz P. Terlikowski

Ten dokument może nie tylko zniszczyć pozytywny wciąż w mediach obraz papieża Franciszka, lecz także doprowadzić do gigantycznego skandalu w Watykanie i Stanach Zjednoczonych. Oświadczenie abp. Carla Marii Viganò to w Kościele coś na kształt bomby atomowej



Były kardynał Theodore McCarrick (podaje rękę papieżowi) został istotnym doradcą Franciszka, mimo że Benedykt XVI nałożył na niego kary w związku ze skandalami seksualnymi. Franciszek „przywrócił” kary dopiero po ujawnieniu przez media afer pedofilskich i homoseksualnych FOT. POOL/GETTY IMAGES

sekretarzy stanu: kardynałów Soda-
no, Bertone i Parolina, a także byłych
i obecnych najważniejszych hierarchów
amerykańskich, by wymienić tylko
kard. Donalda Wuerla). Najistotniej-
szym jego elementem są jednak zarzuty
wobec samego papieża Franciszka,
który miał znać historię McCarricka,
wiedzieć, że Benedykt XVI nałożył na
niego pewne kary, ale nie brać tego pod
uwagę w traktowaniu go jako swojego
istotnego doradcy.

O co chodzi? Otóż abp Viganò twier-
dzi, że papież Benedykt XVI nałożył na
kard. McCarricka sankcje kanoniczne,
nakazując mu życie w pokucie i samot-
ności, a także odmawiając prawa do
działalności publicznej. Franciszek zaś
miał, mimo informacji płynących także
od nuncjusza apostolskiego, zdjąć owe
sankcje i zacząć traktować go jako dorad-
cę w sprawach kluczowych nominacji ko-
ścielnych w Stanach Zjednoczonych. To
właśnie jego wpływy miały sprawić, że

kluczowe stanowiska w amerykańskim
episkopacie zaczęli zajmować prohomo-
seksualni i niechętni postawie pro-life
hierarchowie, choćby (obecni kardyna-
łowie) Blaise Cupich, Joseph Tobin czy
Kevin Farrell.

Opisy spotkań i rozmów nuncjusza
z papieżem pokazują (jeśli są prawdziwe),
i to także jest bardzo istotny element tego
dokumentu, sposób myślenia i działania
Franciszka. Już podczas pierwszego spo-
tkania, bardzo zresztą krótkiego, papież
miał zaatakować w ostrych słowach
arcybiskupa i wyrzucać mu, że „pasterze
w Stanach Zjednoczonych nie mogą być
zideologizowani”. „Oni mają być pasterza-
mi” – miał krzyczeć Franciszek. Podczas
kolejnego spotkania miały paść te same
słowa, ale już w innej emocjonalnie otocze-
cie. Papież miał być wówczas przyjacielski
i niezwykle sympatyczny, ale w niczym
nie zmienił swojego przekazu, a nawet
wzmocnił go wskazaniem tych, którzy
jego zdaniem są ideologiczni. „Biskupi
w Stanach Zjednoczonych nie mogą być
ideologizowani, nie mogą być prawicowi,
jak arcybiskup Filadelfii (papież nie podał
imienia arcybiskupa), muszą być paste-
rzami, nie mogą być lewicowi, a kiedy
mówię lewicowi, mam na myśli homosek-
sualistów” – miał powiedzieć papież.

W czasie tej dłuższej rozmowy padło
także pytanie o McCarricka. I właśnie
wtedy abp Viganò miał poinformować
o sankcjach nałożonych przez Benedyk-
ta XVI, a także o skandalach związanych
z kardynałem i o tym, że krzywdził on
całe pokolenia księży i kleryków. „Papież
nie skomentował w najmniejszym stop-
niu tych bardzo poważnych informacji
i nie wyglądał na zaskoczonego, jakby
znał sprawę i od razu zmienił temat” –
opisuje tamto spotkanie abp Viganò.

Kilkanaście dni później sekretarz
nuncjusza miał usłyszeć identyczne
z papieskimi opinie, od... kard. McCar-
ricka. „Byłem zdumiony! Było zatem
jasne, że słowa wyrzutów, które papież
Franciszek skierował do mnie 21 czerw-
ca 2013 r., zostały włożone w jego usta
przez kard. McCarricka” – przekonywał
ówczesny nuncjusz. Jego zdaniem także
uwagi na temat „arcybiskupa Filadelfii”
są odblaskiem sporu, który McCar-
rick i jego sprzymierzeńcy (tu padają
nazwiska kardynałów Mahony’ego,
Levady i Wuerla) toczyli z arcybiskupem
Filadelfii na temat udzielania komunii
świętej proaborcyjnym politykom. Od
niego miały także pochodzić negatywne

oceny ostatnich ówczesnych nominacji
biskupich Benedykta XVI, który na kolej-
ne stolice biskupie mianował biskupów
ortodoksyjnych (co w języku postępow-
ców oznaczało „prawicowych”).

Wpływy kard. McCarricka miały trwać
jeszcze kilka lat i dopiero ujawnienie
przez media jego przestępstw (zarówno
pedofilskich, jak i homoseksualnych)
doprowadziło do „przywrócenia” (według
abp. Viganò), a nawet zaostreżenia kar
wobec niego i ostrych słów papieskich.
Jeśli jednak prawdziwe są słowa byłego
nuncjusza apostolskiego, to... z żalem
trzeba powiedzieć, że działania te są tylko
papieskim PR, a nie wyrazem twardej linii
pontyfikatu.

„NIE POWIEM O TYM ANI SŁOWA”

Wydawać by się mogło, że powaga
zarzutów, a także to, że formułuje je
osoba, która nie tylko może mieć, lecz
także niewątpliwie ma wiedzę o najgłę-
bszych tajemnicach Watykanu i Kościoła
w Stanach Zjednoczonych, i również bez-
pośredni ich uczestnik, powinna sprawić,
iż sam Franciszek, a przynajmniej jego
służby prasowe błyskawicznie odniosą
się do sprawy, zaprzeczą jej albo przy-
najmniej przedstawią mocne argumenty,
by pozbawić ją ostrza. Tak się jednak nie
stało. Zamiast tego Franciszek zapytany
o to w samolocie przez dziennikarzy
oznajmiał, że nie chciałby o tym mówić, bo
jest wiele innych ciekawszych tematów.
– Przeczytaj uważnie to oświadczenie
i dokonaj własnego osądu. Nie będę
o nim mówił ani słowa – mówił papież
Franciszek podczas konferencji prasowej
w samolocie. – Wierzę, że oświadczenie
to mówi samo za siebie, a wy wszy-
scy macie wystarczające umiejętności
dziennikarskie, żeby wyciągnąć wnioski.
To jest akt zaufania. Kiedy minie trochę
czasu i wyciągnie pan wnioski, być może
będę o tym mówić, ale chciałbym, żeby
wykonał pan tę pracę w sposób dojrzały
zawodowo – powiedział papież.

Co wynika z tych słów? Możliwości
są dwie: albo papież nie wiedział, jak
się odnieść do zarzutów, nie przygoto-
wał jeszcze odpowiedniej wersji, która
miałaby wystarczająco odeprzeć zarzuty
byłego nuncjusza, albo był to pokaz
strategii załatwienia i przeczekania tego
skandalu. Odpowiedzi wprost zatem
– przynajmniej na razie – nie będzie.
Zamiast tego otrzymamy rozpisana na
wiele głosów próbę dyskredytacji ich
autora, bez zarzucania mu kłamstwa

■ wprost, z odwołaniem się do dojrzałości i powagi chcących poznać odpowiedzi dziennikarzy. Dokładnie tak zachował się papież Franciszek.

A kilka godzin później do akcji wkroczyły liberalne katolickie media i bliscy Franciszkowi dziennikarze, którzy zastosowali dokładnie taką strategię. Arcybiskup Viganò miał być niewiarygodny, bo sam rzekomo (kilkanaście godzin później hierarcha odniósł się do tych zarzutów i jasno, w oparciu o dokumenty, wykazał ich fałszywość) miał tuszować skandal seksualny w jednej z amerykańskich diecezji; bo jego nazwisko związane jest ze skandalem VatiLeaks (wprawdzie nie on ujawnił cokolwiek, a jego dokumenty zostały ujawnione, ale kto by się tym przejmował); bo związany jest on z jedną z frakcji w kurii rzymskiej (a proszę wskazać kogoś, kto nie jest w Rzymie związany z żadną z frakcji); bo w jego oświadczeniu są sprzeczności (każdy, kto prowadził śledztwa, także dziennikarskie, wie, że pamięć ludzka jest zawodna, i że znajdziemy w każdej opowieści sprzeczności); bo za dużo pisał o homolobby, a za mało o pedofilii (problem polega na tym, że tak to właśnie w skandalach wygląda: ogromna większość z nich – 80 proc. – dotyczy chłopców, a inne dotyczą księży i kleryków, a zatem z pedofilią nie mają nic wspólnego); czy wreszcie dlatego, że wypowiadał się w pewnych kwestiach przeciwko nowej linii Watykanu w sprawie komunii świętej dla rozwodników (co to ma do rzeczy, w ogóle nie wiadomo). Błyskawicznie pojawiły się także opinie, że zarzuty wobec Franciszka i sporej części kurii rzymskiej to jedynie „wściekły atak na Franciszka”, przeprowadzany przez „zachowawcze, konserwatywne i anty-Franciszkowe” skrzydło Kościoła, które chce odwrócić bieg historii. Jednym słowem – spór o prawdziwość doniesień, o fakty przekształcono w PR-owski konkurs piękności, w odpowiedź na pytanie: Komu bardziej wierzymy, kto jest sympatyczniejszy i kto bardziej godny zaufania?

ZBADAJCIE SPRAWĘ. TO KWESTIA WIARYGODNOŚCI

Tyle tylko, a warto o tym pamiętać, że w sprawie oświadczenia abp. Viganò nie jest istotne, jakim jest on człowiekiem, jakie miał intencje, a to, czy opisane przez niego wydarzenia są prawdziwe czy nie. To jest klucz do sprawy, a nie to, jakie intencje miał arcybiskup i jakie

są jego poglądy. Według watykanisty „National Catholic Register” jego źródło w Watykanie twierdzi, że Benedykt XVI potwierdził, iż rzeczywiście nałożył kary na kard. Theodore’a McCarricka, a wersję arcybiskupa potwierdza także ks. prałat Jean-François Lantheaume, były pierwszy doradca w nuncjaturze apostolskiej w Waszyngtonie. „Viganò powiedział prawdę. To wszystko” – powiedział Catholic News Agency.

Wiarygodność tych informacji zwiększa także to, że odwołanie kary nałożonej przez Benedykta XVI na McCarricka wcale nie byłoby niczym wyjątkowym w trakcie tego pontyfikatu. Franciszek przynajmniej kilkukrotnie zachował się w ten sposób i zignorował istotne informacje dotyczące przestępstw seksualnych czy skandali

Chociaż Franciszek o księżach pedofilach czy homolobby wypowiada się niezwykle ostro, to jednak robi w tej kwestii o wiele mniej niż jego poprzednik

homoseksualnych, a nawet odwołał nałożone już kary. Tak było w przypadku ks. Maura Inzolego, który za czasów Benedykta XVI został suspendowany za molestowanie 12-letnich chłopców, nawet w konfesjonale, i przekonywanie, że jest to akceptowalne przez Boga. Gdy do władzy doszedł Franciszek, suspensa została odwołana, a kara zmniejszona do życia w pokucie. Pedofil otrzymał także zgodę na odprawianie mszy świętej. I chociaż nakazano mu pięcioletnią terapię i zakazano zbliżać się do chłopców, to... kilkanaście miesięcy później zaczął on krzywdzić kolejnych chłopców i kary zostały przywrócone. Nie ulega też wątpliwości, że Franciszek zlekceważył świadectwa ofiar, które otrzymał z Chile, a także powołał do Instytutu Dzieł Religijnych, czyli watykańskiego banku, który trzeba było zreformować, ks. Battistę Riccego, wydalonego kilka lat wcześniej z nuncjatury w Urugwaju za utrzymywanie homoseksualnego kochanka, a później (do chwili obecnej) szefa Domu św. Marty. To właśnie, gdy o niego pytali dziennikarze papieża

Franciszka, ten odpowiedział: „Kimże jestem, by sądzić?”.

Watykanieści zwracają także uwagę na to, że choć nie ulega wątpliwości, iż Franciszek o księżach pedofilach czy homolobby wypowiada się niezwykle ostro, to jednak robi w tej kwestii o wiele mniej niż jego poprzednik. Ten odwoływał biskupów, przenosił ich na emeryturę, a pedofilów karał bez litości. Franciszek grzmi, ale... przynajmniej w kilku sytuacjach skorzystał z prawa łaski, gdy nie powinien był tego uczynić.

Wszystko to razem, a także niepodważalny autorytet abp. Viganò, sprawiają, że... kolejni amerykańscy biskupi, a także najważniejsi liderzy opinii zaczynają domagać się zupełnie wprost wyjaśnienia tej sprawy do końca. „Zarzuty, które szczegółowo przedstawia [abp Viganò – przyp. red.] są okazją do rozpoczęcia dochodzeń, które muszą się odbyć, abyśmy mogli przywrócić świętość i odpowiedzialność przywódcom Kościoła. Nadszedł czas, abyśmy podwoili nasze modlitwy za Kościół i za ofiary tych zbrodni. Święty Michale Archaniele, broń nas w walce” – napisał bp David Konderla z Tulsa w Oklahomie. A bp Joseph E. Strickland, ordynariusz Tyler w stanie Teksas, wskazał, że zarzuty i podejrzenia sformułowane w dokumencie byłego nuncjusza w USA są poważne. „Wyjaśnijmy, że to nadał tylko zarzuty, ale jako pasterz uważam je za wiarygodne” – napisał bp Strickland. „Zgodnie ze standardami odpowiedzią na takie zarzuty powinno być dochodzenie przeprowadzane w każdej sytuacji, w której zarzuty są wiarygodne” – dodał. Biskup zaznaczył, że nie jest władny rozpocząć takiego dochodzenia, ale zapewnił, że będzie wspierał wszczęcie śledztwa, i apelował, by jeśli zostanie ustalona wina, to do odpowiedzialności zostali pociągnięci wszyscy, także ci na najwyższych szczeblach Kościoła. Identyczną opinię wyraził choćby George Weigel.

I nie ma co ukrywać, że odpowiedź na pytanie, czy i w jakim stopniu oświadczenie abp. Viganò odpowiada prawdzie, to kwestia fundamentalna, jeśli chodzi o zaufanie nie tylko do kurii rzymskiej, Kościoła, lecz także samego papieża. Wiele wskazuje na to, że tej afery wbrew oczekiwaniom nie da się przeczeć. I to nawet przy wsparciu liberalnych mediów. Katolicy w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech są naprawdę wściekli.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Jacek Przybylski

Za oceanem ruszyła machina, która ma jeden cel: zniszczyć Trumpa. Mimo zeznań jego byłych współpracowników, afery z gwiazdkami porno oraz informacji o romansie z pokojówką poparcie dla gospodarza Białego Domu utrzymuje się niemal na rekordowym poziomie

Skruszony prawnik poszedł na ugodę z prokuraturą i zaczął sypać. Taki początek wiadomości zwiastował koniec kariery niejednego polityka czy biznesmena. Tym razem chodzi o romans, który obecny prezydent miał przed laty z gwiazdką porno. Największy problem polega na tym, że Stephanie Clifford – sympatkom filmów porno znana lepiej jako Stormy Daniels – sypiała z 72-letnim

sekretem prezydenta, który wcześniej publicznie deklarował, że przyjąłby za swojego szefa kulkę, oddał się w ręce FBI i w ramach ugody grzecznie opowiedział prokuratorowi, jak zapłacił 130 tys. dol. (równowartość niemal pół miliona złotych) za milczenie Stormy Daniels. Wyznał także, że zapłacił 150 tys. dol. za dyskrecję innej kochanki szefa: 47-letniej Karen McDougal. Dawny króliczek „Playboya” miał mieć

prezydencką – byłoby to poważne naruszenie prawa – lecz prywatne pieniądze miliardera.

„Moją jedyną winą jest wygranie wyborów, które mieli wygrać oszułaczka Hillary Clinton oraz demokraci” – oznajmił przywódca Ameryki.

Burzliwe życie seksualne z pewnością nie ułatwia mu prowadzenia polityki. Wcześniej w tym roku wyszło na jaw, że portier z budynku Trump Tower w Nowym Jorku wiedział o romansie Donalda Trumpa z pokojówką, z którą obecny prezydent ma niesłubne dziecko. Dino Sajudin miał dostać 30 tys. dol. za wyłączność dla „The National Enquirer”. Jego wydawcą jest przyjaciel Trumpa David Pecker. Tabloid nie opublikował więc tekstu o tej sprawie. W tym roku sam Sajudin zaczął znów o niej jednak opowiadać.

Kolejne szczegóły dotyczące intymnych fragmentów życia prezydenta

Seks, kłamstwa i Donald Trump

obecnie Donaldem Trumpem w roku 2006, czyli już rok po tym, jak poślubił on swoją trzecią i jak na razie ostatnią żonę Melanię. Nie trzeba być specem od wizerunku, by wiedzieć, że tego typu sekrety nie powinny ujrzeć światła dziennego, jeśli walczy się o najważniejszy urząd w państwie. Trump zlecił więc swojemu długoletniemu prawnikowi, aby opłacił milczenie aktoreczki.

WSZYSTKIE KOBIETY PREZYDENTA

Z dyskrecji na dłuższą metę nic jednak nie wyszło. W lipcu amerykańskie media ujawniły, że FBI ma nagranie rozmowy telefonicznej Donalda Trumpa i jego osobistego adwokata Michaela Cohena. Pod koniec sierpnia strażnik

romans z Trumpem tuż po tym, jak Melania urodziła mu syna, Barona.

Cohen przyznał się w sumie aż do ośmiu przestępstw: oszust podatkowych, złożenia fałszywego oświadczenia majątkowego, umyślnego zezwolenia na niezgodne z prawem finansowanie kampanii przez podmiot komercyjny oraz przekroczenia dozwolonego budżetu na kampanię na żądanie kandydata. W zamian miał uzyskać obietnicę, że zostanie skazany na nie więcej niż 63 miesiące pozbawienia wolności. Wyrok usłyszy 12 grudnia.

Prezydent Trump początkowo utrzymywał, że nie miał o tych transakcjach pojęcia, a następnie ogłosił, iż Cohen nie wykorzystał do opłacenia kobiet funduszy przeznaczonych na kampanię

wyjdą zapewne na jaw już w październiku. Wówczas na amerykańskim rynku ukaże się książka „Złote kajdanki: Nieznana historia kobiet Trumpa”. Nina Burleigh ma w niej opisać historie m.in. trzech żon Trumpa, a także kilkunastu kobiet, które twierdzą, że były przez niego molestowane.

Takie skandale obyczajowe dla większości polityków oznaczałyby koniec kariery. Bolesnie przekonał się o tym kandydat na prezydenta USA z ramienia Partii Demokratycznej John Edwards, gdy „The National Enquirer” ujawnił, że nie tylko zdradzał żonę z aktywistką wspierającą jego kampanię, lecz także ma z nią dziecko. Edwards musiał pożegnać się zarówno z wyścigiem do Białego Domu, jak i z długoletnią małżonką.

Dla Trumpa ostatnie afery były tylko pomniejszymi skandalikami i jednymi z wielu fatalnych wiadomości, z którymi musiał się ostatnio zmierzyć. Również w sierpniu, zaledwie kilka godzin przed tym, gdy Cohen zgłosił się do FBI, członkowie ławy przysięgłych w stanie Wirginia wydali wyrok w sprawie byłego szefa sztabu wyborczego prezydenta. Paul Manafort został uznany za winnego oszustw podatkowych i bankowych oraz ukrywania zagranicznych kont. To pierwszy rezultat śledztwa prowadzonego przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie zarzutów o wtrącanie się Rosji w wybory prezydenckie 2016 r.

W osobnym procesie odpowiada on również m.in. za pranie brudnych pieniędzy oraz niezgłoszenie działalności na rzecz obcego rządu.

MARZENIA DEMOKRATÓW

Jakby tego było mało, Donald Trump znalazł się też w ogniu krytyki za zachowanie po śmierci znakomitego republikańskiego senatora Johna McCaina, który za życia nie ukrywał niechęci do prezydenta i swym jednym głosem zablokował uchylene ustawy o opiece zdrowotnej Obamacare, co było jedną z najważniejszych obietnic przedwyborczych obecnego gospodarza Białego Domu.

Trump co prawda tego samego dnia złożył wyrazy współczucia rodzinie, ale kilka dni zwlekał z wydaniem krótkiej noty, w której doceniłby zasługi jednego z najwybitniejszych republikanów w USA.

W zeszłą niedzielę flagę nad Białym Domem opuszczono co prawda do połowy masztu, ale już w poniedziałek flagę ponownie wciągnięto na pełny maszt. Dopiero po krytyce ze strony senatorów i weteranów flagę ponownie opuszczono. Prezydent wydał zaś oświadczenie: „Mimo dzielących nas różnic w sprawie polityki szanuję służbę senatora Johna McCaina na rzecz naszego kraju i w hołdzie dla niego podpisałem obwieszczenie, by flaga Stanów Zjednoczonych pozostała opuszczona do połowy masztu do dnia jego pogrzebu”.

Chociaż przedstawiciele amerykańskiej lewicy próbują wykorzystać kolejne wewnętrzne spory i obyczajowe skandale, aby doprowadzić do impeachmentu Donalda Trumpa, to wcale nie będzie to takie proste.



Karen McDougal

FOT. DIMITRIOS KAMBOURIS/GETTY IMAGES



Stephanie Clifford (Stormy Daniels)

FOT. STEVE GRANITZ/WIREIMAGE/GETTY IMAGES



Mimo kolejnych skandali obyczajowych Donald Trump nadal ma szanse na reelekcję

FOT. MARK WILSON/GETTY IMAGES

Po pierwsze, konsekwencje zeznań adwokata Michaela Cohena, nie są takie oczywiste, jak chcieliby amerykańscy prokuratorzy. Jeśli nawet Donald Trump zapłacił ze swoich własnych pieniędzy – do czego się oficjalnie przyznał – za uciszenie gwiazdki porno, to miał do tego pełno prawo. Oskarżycielowi trudno będzie zaś udowodnić przed sądem, że były to nielegalne wydatki związane z kampanią przedwyborczą.

Po drugie – jak zauważył znany konserwatywny komentator oraz adwokat specjalizujący się w prawie konstytucyjnym Mark Levin – nie można rozpocząć procesu impeachmentu prezydenta za czyny popełnione przed jego zaprzysiężeniem. Obecnego przywódcę Stanów Zjednoczonych przed ewentualnym

samego Donalda Trumpa, lecz także mianowanego przez niego wiceprezydenta oraz wszystkich członków jego gabinetu, a także anulowanie wszystkich podjętych przez 45. prezydenta decyzji. Taki wyrok teoretycznie – według Roberta Reicha – mógłby wydać Sąd Najwyższy, orzekając, że wszystko, co podpisał Trump, zostało anulowane, tak jakby nigdy nie istniało. Stery państwa do czasu przeprowadzenia nowych wyborów w specjalnym trybie przejąłby spiker Izby Reprezentantów (demokraci marzą, że wkrótce będzie to ich człowiek).

W praktyce taki scenariusz bardziej nadaje się na kanwę powieści political fiction. I to nie tylko dlatego, że Mueller nie znalazł jeszcze jakiś przełomowych dowodów na współpracę prezydenta.

W sondażu dla The Wall Street Journal/NBC News przeprowadzonym już po wybuchu ostatnich skandali prezydent Donald Trump cieszył się poparciem aż 46 proc. Amerykanów

oskarżeniem w związku ze sprawą seks-gwiazdki chroni precedens z 1873 r. dotyczący nieudanej próby impeachmentu wiceprezydenta Schuylera Colfaxa – został on oskarżony o to, że kilka lat przed przeprowadzką do Białego Domu przyjął łapówkę.

Robert Reich, ekonomista i były sekretarz pracy USA za prezydentury demokracji Billa Clintona, stwierdził więc niedawno, że impeachment nie jest „odpowiednim lekarstwem” na rządy Donalda Trumpa, i zaproponował, aby Partia Demokratyczna dążyła do „anulowania” tej prezydentury.

Chociaż konstytucja USA o „anulowaniu prezydentury” nie wspomina ani razu, to Robert Reich przekonuje, że jeśli czyta się konstytucję jako całość, to można wyciągnąć wniosek, że byłoby to jedyne rozwiązanie, jeśli prokurator Robert Mueller zebrałby wystarczającą liczbę dowodów na to, iż Donald Trump, konspirując z władcą Rosji Władimirem Putinem, sfalszował wyniki amerykańskich wyborów w roku 2016.

Wówczas demokraci próbowaliby udowodnić, że prezydentura Trumpa była niekonstytucyjna, i żądaliby uznania całej jego kadencji za niebyłą: oznaczałoby to pozbawienie urzędu nie tylko

oraz rekordowo niskiego bezrobocia, które w lipcu wyniosło 4,3 proc. (wśród białych i Azjatów zaledwie 3,8 proc.). Ostatnio tak niskie bezrobocie notowano w Ameryce w kwietniu 2001 r. Jednocześnie z zatrudnieniem rosną też płace, a także przekonanie wielu wyborców, że republikanie jednak lepiej niż demokraci radzą sobie z zarządzaniem gospodarką. Skrętnie wykorzystuje to sam Donald Trump. – Odsuńcie mnie od władzy, a cały rynek runie – ostrzegł w niedawnym wywiadzie dla „Fox & Friends”, dodając, że nie powinno się odwoływać z urzędu kogoś, kto wykonuje świetną robotę. – Daję sobie szóstkę. Nie sądzę, żeby jakkolwiek prezydent osiągnął to co ja – oznajmił Trump.

Można być jednak pewnym, że przed listopadowymi wyborami demokratyczni kongresmeni będą starali się wyciągać na prezydenta, co tylko się da. Kolejny raz wierzą oni bowiem, że obserwują początek końca Donalda Trumpa. Według sondażu WSJ/NBC News 50 proc. wyborców chciałoby, wolałoby, by Kongres był kontrolowany przez demokratów, a 42 proc. – aby nadal rządzili w nim republikanie.

Wygrana w jesiennych wyborach do Kongresu mogłaby dać Partii Demokratycznej przewagę w Izbie Reprezentantów, a co za tym idzie – umożliwić rozpoczęcie impeachmentu prezydenta. To zaś – niezależnie od tego, czy taki proces demokraci daliby radę doprowadzić do końca – ułatwiłoby liberałom walkę o przejęcie Białego Domu i całkowitą dominację w Kongresie.

Mimo to wydaje się, że Donald Trump ma wciąż duże szanse na to, aby nie tylko dotrwać do końca kadencji, lecz także pokonać rywala z Partii Demokratycznej i wygrać drugą kadencję w roku 2020. Jak podał tygodnik „Washington Examiner”, w zakładach bukmacherów Trump ma dużo lepsze notowania niż jakkolwiek z potencjalnych konkurentów. Zakładający się, że obecny prezydent wygra reelekcję, mogą liczyć na zwrot 3:2. Najbliżej tego wyniku jest senator z Partii Demokratycznej Kamala Harris (10:1). Szanse Berniego Sandersa wyceniane są na 14:1, byłego wiceprezydenta Joe Bidena, na 16:1, a Hillary Clinton – 66:1. Mimo to, jak zauważa serwis Breitbart.com, więcej ludzi stawia na reelekcję Trumpa niż na wszystkich jego potencjalnych kandydatów razem wziętych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



JAK WIEN UNIKA POMNIKA

Wydawało się, że tym razem (to już co najmniej 13. próba) władze Wiednia zgodzą się na upamiętnienie pomnikiem odsieczy, z którą przybył tam polski król Jan III Sobieski. Pomnik zbudowany za prywatne pieniądze w Polsce jest gotowy, miejsce w austriackiej stolicy wybrane. Jednak zmienił się burmistrz Wiednia. I nowy liczy się ze zdaniem lewicowych frakcji, które podszeptują, że pomnik jest... antyturecki.

FOT. JAN GRACZYŃSKI/EAST NEWS

CZARNA DZIURA W SZTUCE

W życiu bym do teatru nie poszedł – ten słynny cytat z „Misja” należy rozszerzyć o galerie sztuki. Tam jest nawet niebezpieczniej niż w teatrach. Starszy pan z Włoch zwiedzał muzeum sztuki Serralves w Porto w Portugalii i wpadł do 2,5-metrowej studni. Bo artysta, który zrobił instalację „Zejście w otchłań”, pomalował dziurę w ziemi specjalną czarną farbą pochłaniającą 99,6 proc. światła. Dziura wyglądała więc jak namalowane na podłodze czarne koło. Instalację czasowo zamknięto, ale będzie dalej otwarta – można tam wpaść.

CV OD TATY

16-latką z Wielkiej Brytanii opublikowała w sieci życiorys, o którego napisanie poprosiła swojego ojca. Chciała, by tata przygotował dokument, który pomoże jej znaleźć pierwszą w życiu pracę. Ojciec napisał w CV, że jest nieposłuszną, wciąż przegląda Facebooka i gubi dokumenty. Opisując córkę, wspominał też, że cechują ją lenistwo, spóźnianie się i nienawiść do innych ludzi.

AMBASADA MA DOŚĆ

Wydział konsularny ambasady RP w Chorwacji ma już tak dość turystów znad Wisły, że opublikował na Facebooku oficjalną zapowiedź tego, iż nie będzie już „udzielał żadnych informacji rodzicom dorosłych (20-, 30- lub 50-letnich) dzieci, które podczas wakacji w Chorwacji zgubiły dokumenty, otrzymali mandaty, są niezadowolone z kwater, jakości posiłków, wdały się w kłopoty pod wpływem alkoholu/środków odurzających etc.”.

SMOGOWY ARESZT

Gdy w polskiej polityce jeden z kandydatów obwieszcza, że smogu w Warszawie nie ma, to w Niemczech – jak twierdzi „Süddeutsche Zeitung” – sąd administracyjny w Bawarii uważa, iż urzędników lekceważących sprawę smogu należałoby wsadzać do więzienia. Bawarscy urzędnicy odmówili ograniczenia używania diesla, choć np. Monachium jest w czołówce miast, które w ubiegłym roku odnotowały przekroczenie poziomów zanieczyszczenia powietrza. ©

Łukasz Zboralski



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEN RZYMSKA

O chamstwie liberałów

Chamstwo jest uzurpowaniem sobie prawa do nieskrępowanej wolności ze szkodą dla innych, o czym pisał Fredro w bajce „Paweł i Gaweł”. Dzisiaj chamstwo kwitnie, bo dominującym rysem naszych czasów obok rozbuchanego egotyzmu jest silniejsza od innych popędów potrzeba popularności i autoprezentacji.

Francuzi nie mieli Fredry. Mieli za to Tocqueville’a („Wolność człowieka kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego”). Jednak ostał im się w jednym ręku arcyarogant i król hipokryzji i migracyjnej Macron, a w drugim pióro satyryczne „Charlie Hebdo”. Smutne.

Z okazji tragedii w Genui, gdzie zawałił się wiadukt i śmierć ponio-

sły 43 osoby, „Charlie Hebdo” opublikował kretyński wic rysunkowy: resztki wiaduktu, rozbity samochód, uśmiechnięty czarny osobnik z miotłą i podpis: „Skonstruowali Włosi, sprzątają migranci”. Gdy dwa lata temu w trzęsieniu ziemi w Italii zginęło blisko 300 osób, „Charlie Hebdo” pod tytułem „Trzęsienie ziemi po włosku” podsumował hekatombę rysunkiem lasagne, w którym spod warstw ciasta i gruzu wystają kończyny ofiar. Boki zrywać. Cóż za sublimacja postępowego humouru.

Co dla tej liberalnej formacji umysłowej (satyra nie zna granic, burzymy tabu, róbta, co chceta, każdy może być artystą etc.) charakterystyczne, rysowników „Charlie

Hebdo” jako opuściło poczucie humoru, gdy wyznawcy religii pokuju w 2015 r. w Paryżu zastrzelili uczestników zebrania redakcyjnego w odwecie za drwiny z islamu. A przecież tak łatwo byłoby narysować trupy na podłodze redakcji i podpisać: „Redakcja francuska. Posprzątały migranci”.

Można jeszcze gorzej? Można. Po tragedii w Genui na stronie internetowej TV Al-Dżazira, oglądanej w całym świecie arabskim, pojawiły się wpisy widzów, niesłychanie uradowanych, że Allah uśmiercił tylu niewiernych naraz. Miał to być też wyraz gniewu Allaha za to, że Włosi nie chcą budować meczetów. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

HISTORIA
DO RZECZY

CENA 7,95 zł
(W TYM BEZ VAT)

**Dąbrowszczacy
NAJEMNICY
STALINA**

Kawaleria 193
Jako powstała Armia
miła i jej historia
stała się częścią
historii państwa

Rzeczni Światowidzi
Zobaczmy, jak
zobaczą świat
z perspektywy
historii

Przeżył horror
Kawaleria 193
zobaczmy, jak
zobaczą świat
z perspektywy
historii

WYDAWCA: WYDAWCA

**TYLKO
U NAS!**

**MIT KAWALERII
ATAKUJĄCEJ CZOŁGI
– DODATEK SPECJALNY NA
ROCZNICĘ WRZEŚNIA '39**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Premier Mateusz Morawiecki zapowiadał walkę z mafią śmieciową, regulacje dotyczące gospodarki odpadami, dające większe uprawnienia inspektorom ochrony środowiska, przeszedł już przez Sejm, a składowiska odpadów dalej płoną. Nie ma rady na cwaniaków?

HENRYK KOWALCZYK: Regulacje, o których pan wspominał, zapewnią bezpieczeństwo w przyszłości. Jedną z najważniejszych propozycji rozwiązań zaproponowanych przez nas jest wymóg zabezpieczenia finansowego dotyczący podmiotów, które tworzą nowe składowiska odpadów. Skrócony został także dopuszczalny okres magazynowania odpadów z trzech lat do jednego roku, co zapobiegnie m.in. nieuczciwym praktykom, np. porzucaniu odpadów, a także problemom z zagospodarowaniem takich odpadów. Ponadto nowe przepisy wprowadzają obowiązek monitoringu składowisk, który w ciągu pół roku obejmuje również już istniejące składowiska. Ułatwi to nadzór nad działalnością w zakresie gospodarowania odpadami. W ten sposób będzie wiadomo m.in., kto i kiedy je przywozi.

Mam nadzieję, że po tym czasie efekty walki z tzw. mafią śmieciową będą już widoczne. Generalnie geneza sytuacji, którą mamy dzisiaj ze składowiskami odpadów, leży w nieco niefrasobliwym wydawaniu zezwoleń przez samorządy na ich tworzenie, nie było też dostatecznej kontroli ani narzędzi, by je w sposób właściwy nadzorować. Jeden prosty przykład: w myśl obowiązujących wcześniej przepisów wojewódzki inspektor ochrony środowiska musiał uprzedzać wcześniej właściciela składowiska odpadów o terminie planowanej kontroli. Teraz inspektorzy ochrony środowiska będą mogli przeprowadzać kontrole interwencyjne bez zapowiedzi.

W grudniu w Katowicach odbędzie się międzynarodowy szczyt klimatyczny COP24. Jak jesteście dziś przygotowani do tego spotkania? O co będziemy walczyć?

Przede wszystkim, jako gospodarzowi, będzie nam zależało na przyjęciu pełnego, zrównoważonego pakietu wdrażającego porozumienie paryskie. Pakiet ten ma pozwolić na praktyczne funkcjonowanie przewidzianych w porozumieniu mechanizmów i instytucji. Podczas COP24 będziemy koordynować negocjacje dotyczące redukcji stężenia emisji CO₂. Polskie cele na COP24 to m.in. zapisy opierające się na swobodzie wyboru sposobu ograniczania emisji.

Ponadto będziemy też dążyć do zabezpieczenia środków w Funduszu Adapta-

cyjnym, tak by wesprzeć państwa uboższe. Państwom będącym w fazie wzrostu gospodarczego może być trudno drastycznie ograniczać emisję CO₂. Uważam, że nasza uwaga nie powinna koncentrować się wyłącznie na redukcji emisji CO₂, ale również na zwiększeniu jego pochłaniania przez biosystemy, w tym lasy i glebę.

Jeśli chodzi o przygotowanie merytoryczne, to jesteśmy w ciągłym dialogu z krajami, które będą uczestniczyć w szczycie. Na początku września odbędzie się konferencja z naszym udziałem w Bangkoku. Będzie to niezwykle ważny etap prac nad pakietem implementa-



**Z Henrykiem Kowalczykiem,
ministrem środowiska**

rozmawia Wojciech Wybranowski

Stawiamy na budownictwo drewniane

cyjnym porozumienia paryskiego. Jeśli chodzi o kwestie logistyczne, to jesteśmy właśnie na etapie wyłaniania operatora, który zajmie się zapewnieniem miejsca, zabezpieczeniem imprezy, wybudowaniem nowych, tymczasowych obiektów na cele międzynarodowego szczytu klimatycznego.

Jeszcze w kwietniu zapowiadał pan uruchomienie programu antysmogowego „Czyste powietrze”, którego elementami miały być dopłaty do termomodernizacji, ocieplanie budynków jednorodzinnych, wymiana pieców. Na jakim jest on obecnie etapie?

Program „Czyste powietrze” jest już praktycznie gotowy. W przyszłym tygodniu zainaugurujemy cykl szkoleń, który ma na celu zapoznanie przyszłych beneficjentów z jego zasadami. Chcemy, aby spotkania odbyły się w każdej gminie w Polsce, zaś samo uruchomienie naboru wniosków

planowane jest po przeprowadzeniu finalnych testów informatycznych. Jeśli przebiegną one pomyślnie, to realną datą rozpoczęcia naboru wniosków będzie połowa września. Znałe są już także koszty uruchomienia i przeprowadzenia całego programu, szacujemy je na ok. 103 mld zł. Warto zaznaczyć, że mówimy o środkach, które zostaną zainwestowane w program w perspektywie 12 lat.

Przeciw realizacji „Czystego powietrza” protestuje Solidarność. Związek ten skierował do premiera Morawieckiego list, w którym pisze, że „Czyste powietrze” uderza w ekonomiczne podstawy

polskiego górnictwa. I uzasadnia, że eliminuje on węgiel z krajowej gospodarki.

To zupełne nieporozumienie. Jeśli zamiast spalania węgla w piecach domowych, w bardzo złych warunkach, będzie on spalany w elektrowni, tak aby zapewnić ciepło domom, które wcześniej ogrzewano za pomocą pieców, to przecież zostanie on wykorzystany. Uruchomienie programu nie oznacza rezygnacji z wykorzystania węgla, także do celów ciepłowniczych. Stąd obawy części środowiska górniczego są nieuzasadnione. Chciałbym przypomnieć, że również importujemy węgiel, więc może w efekcie trochę spadnie jego import. Natomiast w żaden sposób uruchomienie naszego programu nie wpłynie negatywnie na sytuację polskiego górnictwa. Poza tym przewiduje on możliwość spalania węgla w piecach, ale będą one musiały być wymienione na piece nowej generacji.

PROGRAM „CZyste Powietrze” Jest już praktycznie gotowy

Sejm przyjął też ustawę tworzącą spółkę Polskie Domy Drewniane, która ma wybudować kilka tysięcy domów drewnianych dla Polaków potrzebujących lokali. Przeciwnicy ironizują, że zastał pan Polskę murowaną, a zostawi drewnianą.

Ustawa niebawem wejdzie w życie, status spółki jest przygotowany. Po tym, gdy ustawa zacznie obowiązywać, niezwłocznie nastąpi jej rejestracja i przystąpimy do pracy. Przypomnę, że projekt promocji budownictwa drewnianego w Polsce pojawił się już nieco wcześniej.

Z drugiej strony jednak funkcjonuje program „Mieszkanie Plus”. Jako członek Rady Mieszkalnictwa uznałem, że warto, aby projekt budowy domów drewnianych był jednym z jego elementów.

Co do ironii ze strony przeciwników – chciałbym, żeby tak było, żebym odchodząc, zostawił w Polsce rozwinięte energooszczędne budownictwo drewniane, ale niestety opozycja przecenia nasze możliwości.

Szacunkowo jesteśmy w stanie wybudować kilka tysięcy domów drewnianych rocznie, a to niestety daleko od osiągnięć Niemiec czy krajów skandynawskich, gdzie szczególnie klimat jest znacznie surowszy

niż w Polsce, a mimo to budownictwo drewniane jest tam bardzo popularne.

Przeciętnemu Kowalskiemu, gdy słyszy „dom drewniany”, na myśl przychodzi walcą się wiejska chatynka z poprzedniej epoki, kryta strzechą. Jak to ma wyglądać? To będą domy o obniżonym standardzie, socjalne?

Przede wszystkim domy drewniane są bardzo zdrowe, jest w nich świetna cyrkulacja powietrza i – co najważniejsze – są niezwykle energooszczędne, jeśli chodzi o zaopatrzenie w ciepło. Do tego dochodzą zalety techniczne, przecież konstrukcja domu może powstać w bardzo krótkim czasie, a taki „pod klucz” nawet w ciągu trzech miesięcy. Absolutnie zaprzeczam, by miały to być domy o obniżonym standardzie. Oczywiście nie planujemy rozpoczynania programu „Domów Drewnianych” od budowy luksusowych, bardzo drogiej willi, bo przecież nie o to chodzi. Oferta ma być skierowana do osób, których nie stać na budowę czy kupno własnego domku jednorodzinnego. Chcemy, aby drewniane domy spełniały wszelkie europejskie standardy. Oferta będzie skierowana na wynajem i na wynajem z możliwością przeniesienia własności. Dotyczyć będzie zarówno domów jedno-, jak i wielorodzinnych – czyli powstaną całe, drewniane, czterokondygnacyjne bloki mieszkalne.

Są w Polsce firmy, które będą w stanie wybudować takie domy na odpowiednim poziomie?

Oczywiście, jest kilka dużych firm, które produkują takie domy na dużą skalę, niestety na razie ich produkty jadą na eksport. Przedsiębiorstwa te są gotowe budować również na terenie Polski. Nie chcemy też, by wariantów tych domów było bardzo dużo. Myślimy o kilku powtarzalnych projektach, co spowoduje, że cena jednostkowa wykonawstwa będzie mniejsza. Chciałbym, żeby do końca 2019 r. powstało kilka tysięcy drewnianych domów.

Jakie jest zainteresowanie samorządów drewnianym budownictwem?

Ogromne. Oczywiście w kosztach najczęściej nie chcą partycypować, ale bardzo chętnie chciałby drewniane budownictwo na swoich gruntach wprowadzić. Mówię tutaj o raczej średnich miastach, a nawet wsiach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TEST „DO RZECZY”: MI AIR PURIFIER 2

Polskie miasta należą do najbardziej zanieczyszczonych w Europie. A ponieważ lato powoli się kończy, zapewne wkrótce na czołówki serwisów informacyjnych znów trafi smog. Chińska firma Xiaomi – znana w Polsce głównie z produkcji smartfonów – wypuściła na rynek „inteligentny oczyszczacz powietrza” wyposażony m.in. w japoński filtr HEPA, PET oraz filtr adsorpcyjny z aktywnym węglem, który usuwa nieprzyjemny zapach, rakotwórczy formaldehyd, amoniak oraz inne szkodliwe dla zdrowia substancje.

Urządzenie o wymiarach 52 x 24 x 24 cm wygląda nieźle. Nie będzie to raczej ozdoba pokoju, ale minimalistyczny, kompaktowy design i biały kolor sprawiają, że nie trzeba się go wstydzić i ze wszystkich stron zasłaniać kwiatkami.

Obsługa urządzenia – które na oczyszczenie powietrza w pokoju o powierzchni 21 mkw. i wysokości 2,4 m potrzebuje 10 minut – jest bajecznie prosta. Na obudowie znajdują się tylko dwa przyciski. Pierwszy z nich – na górze oczyszczacza – służy do włączania i wyłączania Mi Air Purifier 2, a także ustawienia jednego z trzech trybów pracy. Do wyboru są tryby automatyczny, nocy oraz użytkownika. Drugi przycisk służy do zmiany natężenia światła w diodach informujących o trybie pracy oraz



o jakości powietrza w danym pomieszczeniu. Ten ostatni wskaźnik to niewielka dioda umieszczona z przodu urządzenia. Zielony kolor oznacza, że powietrze jest czyste. Pomarańczowy – że jakość powietrza jest umiarkowana, a czerwony – że powietrze w pomieszczeniu jest mocno zanieczyszczone.

Gadżet można połączyć z domową siecią wi-fi, a dzięki temu sterować nim za pomocą aplikacji Mi Home, dostępnej na smartfony

z systemami Android oraz iOS. Wbrew pozorom to przydatna funkcja. W aplikacji dokładniej dowiemy się, jakie jest szacowane stężenie pyłów PM 2,5 w pomieszczeniu, sprawdzimy też temperaturę i wilgotność powietrza, a także włączymy lub wyłączymy urządzenie lub zmienimy tryb pracy. Oczyszczacz zarówno w trybie automatycznym, jak i w trybie nocnym działa zazwyczaj wyjątkowo cicho. Aby najskuteczniej filtrować szkodliwe cząstki, najlepiej jednak samodzielnie dostosować parametry pracy sprzętu do wielkości oczyszczanego pomieszczenia. Niestety, po trzech godzinach pracy Mi Air Purifier 2 przełącza się do trybu automatycznego. Po tym czasie trzeba więc znów samodzielnie włączyć tryb turbo.

Sterowanie za pomocą smartfona umożliwia też zdalne włączenie urządzenia – dzięki temu, gdy wrócimy do domu z pracy, powietrze w nim może być już oczyszczone.

Największą zaletą chińskiego oczyszczacza jest jego cena, która od premiery spadła już z ponad 1000 zł do ok. 489 zł. Do kosztów eksploatacji trzeba jednak dolożyć cenę filtra (ok. 130 zł), który powinno się wymieniać co najmniej raz na pół roku (urządzenie za pomocą aplikacji samo informuje o konieczności wymiany filtra). ©©

Jacek Przybylski

DOTKNIJ JEJ USTAMI

Szybka kawa, cola, red bull, w samochodzie przed bardzo ważnym spotkaniem? I gotowe nieszczęście, bo śliniaczek odziedziczyło już młodsze pokolenie, a tu pocięło na koszulę twardziel garsonkę. Uciapanie każdemu może się zdarzyć, niezależnie od wieku. Jest rada. Nazywa się ona Lyd Bottle i jest bardzo szczelną kubkobutelką, która otwiera się i pozwala na wydostanie się z niej płynu dopiero po aktywowaniu jej dotknięciem ust, co pozwala na obsługę butelki jedną ręką bez konieczności „bawienia się nakrętką”.

Mechanizm, który aktywuje „spust” pozwalający na wydostanie się płynu, jest tajemnicą firmy. Z grubsza wygląda to jednak tak, że samo dotknięcie wlotu Lyd Bottle ustami o charakterystycznej dla nich temperaturze uruchamia elektryczny mechanizm powodujący cofanie się zabezpieczającego wlot tłoczka. Ten, cofając się, wytwarza szczelinę, dzięki której możemy napić się płynu. Cofnięcie ust powoduje natychmiast reakcję odwrotną i uszczelnienie wlotu pojemnika. Producenci zapewniają, że kubkobutelkę można nosić, potrząsać nią, wozić ją

w torbie turystycznej i nic nie powinno się z niej wylać dopóty, dopóki nie przyłożymy gadżetu do ust. Lyd Bottle wyposażona jest w bezprzewodowe ładowanie, a bateria ładuje się w ciągu zaledwie czterech godzin. Zaletą jest też, że gadżet zapewnia wielogodzinne

utrzymywanie „bazowej” temperatury płynu, co oznacza, że w długiej podróży napijemy się tak samo ciepłej lub zimnej kawy jak w momencie wlewania jej do butelki. Lyd Bottle dostępna będzie od października – w dwóch różnych pojemnościach – ale zamawiać można na Kickstarterze już teraz. Koszt to ok. 150 zł.

TATUAŻ JASNO/CZARNOWIDZ

Nie jestem fanem tatuaży. Jednak, jak się okazuje, zdarzają się tatuaże całkiem przydatne. Takim ponoć ma być Logiclnk, czyli programowalny „tatuaż” informujący o stanie ciała i organizmu posiadacza oraz zewnętrznych czynnikach. Najkrócej mówiąc: umieszczany na ciele Logiclnk, stosowany jak tymczasowy „tatuaż”, wyçuwa pot, lotne substancje w skórze, mikrobiologiczne substancje w skórze lub w otoczeniu, zapewniając informacje zwrotne. Jakże? Na przykład na temat nawodnienia, stężenia alkoholu we krwi, narażenia na zanieczyszczenie, DNA i stopnia promieniowania UV. Sam tatuaż jest wyświetlaczem wizualnym, eliminującym konieczność stosowania nieporęcznych urządzeń elektronicznych. Czujniki Logiclnk znajdują się w atramencie, jego skład jest wysoce konfigurowalny, dzięki czemu „tatuaże” mogą być atrakcyjne dla szerszej grupy demograficznej.

Projektanci urządzenia zbierają środki na uruchomienie jego produkcji i wiele wskazuje, że bez większego problemu pozyskają niezbędną kwotę. A programowalny „tatuaż” można zamawiać na Kickstarterze za kwotę (w zależności od liczby czujników) od 50 zł (informuje tylko o UV) do ponad 10 tys. zł (120 różnych informacji). ©©

Wojciech Wybranowski





PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Bułgario, strzeż się Polski!

Najlepsze prawo, w tym prawo podatkowe – to proste prawo. Raz – bo ułatwia życie ludziom uczciwym i utrudnia nieuczciwym, a dwa – bo mało kosztuje jego egzekwowanie.

Z tego punktu widzenia w przypadku prawa podatkowego – jeśli już zostawić na boku podatek pogłówny – najlepszy jest podatek liniowy (oby możliwie jak najniższy), czyli taki bez prawa do odliczeń kosztów uzyskania przychodu i/lub przysługujących ulg. Nieco gorszy jest podatek z jedną stawką podatkową, jak w przypadku liniowego, lecz z prawem do odliczania kosztów i/lub ulg. I wreszcie najgorszy jest podatek progresywny, z dwiema lub więcej stawkami podatkowymi.

Naprawianie systemu podatkowego to więc upraszczanie go, natomiast psucie systemu podatkowego to komplikowanie go, m.in. poprzez dorzucanie nowych stawek, ulg itd. A w przypadku polskiego systemu podatkowego psucie go to psucie systemu i tak bardzo mocno już zepsutego, o czym świadczy choćby pozycja Polski w rankingu Paying Taxes, sporządzanym przez PwC i Bank Światowy.

W tym roku nasz system podatkowy został oceniony jako marny, mocno skomplikowany, bo w zestawieniu najlepszych systemów podatkowych zajęą odległe, 51. miejsce na świecie. O ile np. przedsiębiorcy w Estonii, która według Paying Taxes ma najprostszy system podatkowy w Europie, potrzebują na rozliczenie

się z fiskusem 50 godzin w roku, o tyle polscy – aż 260. Z oceny 32 krajów UE i EFTA wynika, że więcej czasu na to od polskich właścicieli firm poświęcają tylko przedsiębiorcy na Węgrzech – 277 godzin – i w Bułgarii – aż 453! Wkrótce to się jednak może zmienić, bo polski rząd naprawdę zadaje sobie niemało trudu, by nasz system podatkowy w niczym nie ustępował węgierskiemu i bułgarskiemu. Choć o ile „dogonienie i przegonienie” Węgier znajduje się w zasięgu naszych możliwości, o tyle już „prześcignięcie” Bułgarii nie będzie łatwe. Wszelako dla chcącego nic trudnego, czego dowodem choćby ostatnie „osiągnięcia” ekipy rządzącej.

Polska miała dość prosty system CIT, z jedną stawką – 19 proc., lecz już go nie ma, bo w 2017 r. wprowadzono dodatkową, dla mniejszych firm – 15 proc. Mielśmy prosty system podatku od wynajmu nieruchomości, z jedną stawką – 8,5 proc., lecz już go nie ma, bo w 2018 r. wprowadzono dodatkową, dla nadwyżki powyżej 100 tys. zł rocznie – 12,5 proc. Na razie mamy stosunkowo prosty system podatku na ZUS od przedsiębiorców, lecz w 2019 r. i ten zostanie skomplikowany, wprowadzeniem mikroskładek od najmniejszych firm.

A i na tym nie koniec, bo Polska nie ustaje też w psuciu systemu PIT – tym razem wprowadzając tzw. daninę solidarnościową, czyli de facto kolejną stawkę podatku od dochodów osobistych.

A zatem: Bułgario, strzeż się – Polska nadciąga! ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Algokracja nadchodzi

Warto uważnie obserwować funkcjonowanie systemu skoringu społecznego w Chinach. W skrócie: w Chinach określono i sparаметryzowano zasady niektórych społecznie pożądanych i niepożądanych zachowań. Jeśli ktoś się nie zachowuje zgodnie z tymi zasadami, np. zagraża bezpieczeństwu podróży, to zostanie pozbawiony możliwości kupna biletu na samolot lub chiński superpociąg przez okres od 6 do 12 miesięcy. Jednak taka kara może spotkać również właściciela firmy, który oszu-

algokracji, ponieważ za jakiś czas algorytm komputerowy będzie oceniał, kto może, a kto nie może ubiegać się o wysokie funkcje publiczne. I będzie to prowadziło do lepszych, bardziej merytorycznych wyborów niż w demokracji.

Algokracja prawdopodobnie zmniejszy różnice w poziomie życia między bogatymi a biednymi. Dostęp do drogich restauracji, pobytu w luksusowych kurortach czy wynajmu drogiego jachtu lub samochodu będzie po części opierał się na pieniądzu, ale cena będzie funkcją parametrycznej oceny człowieka (POC). Osoby z wysokimi ocenami, jako premia za społecznie pożądane zachowanie, będą płać mało, a osoby z niskimi ocenami, za karę za złe zachowanie, drogo, np. 10 razy więcej. W ten sposób ci bogaci, którzy zachowują się niemoralnie, według przyjętych norm, będą subsydiowali biednych, wyróżniających się moralnością.

Oczywiście kluczowe jest, jakie normy zachowań określi ówczesne społeczeństwo. Jeżeli np. bicie żony, nadużywanie alkoholu, łamanie przepisów drogowych będzie określone jako niepożądane, a pomaganie potrzebującym, osiągnięcia naukowe lub artystyczne czy tworzenie miejsc pracy jako pożądane, to algokracja ma szanse być lepszym systemem społeczno-politycznym niż demokracja kapitalistyczna. Tylko pamiętajmy o ryzyku kontroli systemu przez informatycznego demiurga. ©©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

Decyzje wpływające na życie ludzi będą algorytmizowane i podejmowane przez programy komputerowe

kał kontrahentów lub nie płacił pensji pracownikom. Są też przypadki represjonowania dziennikarzy niewygodnych dla partyjnych oficjeli, ale to nie powinno dziwić, tak jest w wielu krajach, tylko metody są różne.

Wraz z rosnącą liczbą dostępnych danych opisujących zachowanie ludzi normy życia społecznego będą coraz bardziej parametryzowane, zaś różne decyzje wpływające na życie ludzi będą algorytmizowane i podejmowane przez programy komputerowe. Ten proces nazywam stopniowym przejściem od demokracji do

Silne i niezależne – perspektywy i zagrożenia dla miast i regionów Europy

Tegoroczne Forum Samorządowe odbywające się w ramach Forum Ekonomicznego w Krynicy otworzył panel „Silne i niezależne – perspektywy i zagrożenia dla miast i regionów Europy”. Pytanie o siłę i niezależność regionów jest szczególnie aktualne zarówno w związku ze zbliżającymi się wyborami samorządowymi w Polsce, jak i w dużo szerszym kontekście – pojawiających się z różnym natężeniem tendencji separatystycznych w Europie.

Ile jest spójności, a ile autonomii w samorządzie jako składowej państwa oraz w samorządzie jako wspólnocie obywateli? Na to pytanie będą odpowiadać Adam Hamryszczak, podsekretarz stanu w Ministerstwie Inwestycji i Rozwoju, Arūnas Grazulis, wiceminister litewskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Jacek Krupa, marszałek województwa małopolskiego, Paul Lindquist z Komitetu Regionów Unii Europejskiej i Stepan Barna, przewodniczący Tarnopolskiej Obwodowej Administracji Państwowej.

Samorząd terytorialny odgrywa istotną rolę w polityce gospodarczej państwa, a inwestycje samorządowe wpływają na wzrost PKB. Jak wypracować dobre praktyki współpracy pomiędzy regionem a centralą? Jaka jest rola niezależnych samorządów, znaczenie kompetencji władz lokalnych i autonomii. O tym już pierwsze dnia krynickiego forum.

MŁODA EMIGRACJA – CZAS NA POWRÓT

Emigrowali z nadzieją na lepsze zarobki, dlaczego mieliby wracać? Decyzja o opuszczeniu domu zawsze jest trudna, ale decyzja o powrocie może być jeszcze trudniejsza – bo oznacza, że trzeba jeszcze raz zmienić plan na życie, bo bywa odbierana jako przyznanie się do porażki, bo nie wiadomo, czy Polsce uda się znaleźć dobrą pracę. Na przyciągnięciu młodych emigrantów z powrotem do kraju od dawna zależy rządowi Mateusza Morawieckiego. Motywacje są oczywiste: przyjęcie na rynek „marnotrawnych” pracowników będzie

miało pozytywny wpływ na gospodarkę, ale także odsuwa wstecz widmo spadku liczby ludności w wieku produkcyjnym, a w konsekwencji, w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat, obawę o brak rąk do pracy.

Na XXVIII Forum Ekonomicznym w Krynicy specjaliści z najwyższej półki będą rozmawiać o przyczynach emigracji, sposobach na zatrzymanie w kraju młodych Polaków i zachęcenie do powrotu tych, którzy już wyjechali – do Wielkiej Brytanii, Niemiec czy Norwegii. Gośćmi panelu „Młoda Emigracja – czas na powrót” będą m.in.: Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju, Anna Zalewska, minister edukacji narodowej, Andrzej Pawlak, prezes Instytutu Innowacji i Kreatywności i Tomasz Machura, powiernik Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii.

Obecne polepszenie sytuacji na rynku pracy nieco zahamowało emigrację zarobkową. Coraz mniej Polaków deklaruje potrzebę wyjazdu w związku z brakiem pracy. Wciąż jednak głównym i stałym czynnikiem motywującym do emigracji są zarobki – wyższe za granicą niż w kraju. Wśród trzech dominujących powodów skłaniających młodych ludzi do życia poza ojczyzną są także wyższy standard życia oraz lepsze warunki socjalne. Głównym czynnikiem powstrzymującym emigrację, jak podaje raport „Migracje zarobkowe Polaków” z listopada 2017 r., jest natomiast przywiązanie do rodziny i przyjaciół. Co wobec tego państwo może zrobić dla emigrantów? Jak wspomóc tych, którzy na nowo będą musieli ułożyć sobie życie w ojczyźnie? Najważniejsze pytanie stojące przed panelistami „polskiego Davos” należałoby postawić chyba wprost: Jak sprawić, żeby powrót z emigracji po prostu się opłacał?

POSTINDUSTRIALNA RZECZYWISTOŚĆ. (NIE) WYKORZYSTANY POTENCJAŁ?

Uczestnicy panelu dotyczącego przyszłości polskich miast poprzemysłowych,

który odbędzie się w trzecim dniu Forum Ekonomicznego w Krynicy, spróbują określić możliwe scenariusze rozwoju dla miast, które zostały najbardziej dotknięte w wyniku restrukturyzacji gospodarki po 1989 r. Jakie działania powinny zostać podjęte przez władze wysoko uprzemysłowionych ośrodków, których duże części stanowią dziś zamknięte zakłady i fabryki? Na szczęście żadnego z nich nie spotkał smutny los amerykańskiego Detroit, ale pozostaje pytanie, czy takie miejsca mają gospodarczy potencjał, a jeśli tak – jak go wykorzystać? Jak kształtować gospodarkę i wspierać przedsiębiorczość, i wreszcie – jak efektywnie zagospodarować postindustrialną infrastrukturę?

Odpowiedzi na te pytania wspólnie z szefem resortu gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej, Markiem Gróbarczykiem, będą poszukiwali podczas dyskusji na temat „Postindustrialna rzeczywistość. (nie)wykorzystany potencjał?” reprezentanci miast i regionów najbardziej zainteresowanych kreowaniem nowych scenariuszy funkcjonowania: Damian Bartyła, prezydent Bytomia, Kamil Kalinka, p.o. prezydenta Tarnobrzega, Hanna Zdanowska, prezydent Łodzi, Wojciech Saługa, marszałek województwa śląskiego, a także zagraniczni goście. Wśród nich Ołena Snihowa z Ukrainy, ekspert Narodowej Akademii Nauk, Władimi Maszkow, zastępca mera Kaliningradu, i Karel Malik, członek zarządu stowarzyszenia zajmującego się zarządzaniem na terenie dawnego kombinatu przemysłowego Vitkovice w Czechach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ZAPRASZAMY UCZESTNIKÓW
FORUM EKONOMICZNEGO
W KRYNICY DO ODWIEDZENIA
PMPG BUSINESS LOUNGE
- MIEJSCA CIEKAWYCH
SPOTKAŃ, ROZMÓW NA WAŻNE
TEMATY I RELAKSU PRZY
WYŚMIENITEJ KAWIE.

PARTNERZY STREFY:



WARSAW
CHOPIN
AIRPORT



LOTNISKO
CHOPINA
WARSAWA



Porty Lotnicze



POLSKIE KOLEJE PAŃSTWOWE
Spółka Akcyjna



**4 - 6 WRZEŚNIA
2018 r.**

Program spotkań

w ramach PMPG BUSINESS LOUNGE (Dom Forum sala IX)

4.09

15:00 – 16:00 „Firma – Konsument. Kiedy komunikacja jednostronna zmienia się w prawdziwy dialog?” – rozmowa z przedstawicielami m.in. UOKiK, RPO, Orange, AB SA

17:00 – 18:00 „Nowa jakość w medycynie” – konferencja inaugurująca powstanie Wydziału Medycznego na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego

18:30 – 19:30 „E-recepta” – rozmowa z udziałem wiceministra zdrowia Janusza Cieszyńskiego

20:30 – 22:00 „Na co większe pieniądze: profilaktyka czy leczenie?” – debata oksfordzka z udziałem ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego

5.09

#ŁĄCZYMYPOLSKĘ – Dzień transportu

9:00 – 10:00 „Rozwój kolei – perspektywa 2030” – rozmowa z udziałem wiceministra infrastruktury Andrzeja Bittela

10:45 – 11:45 „Centralny Port Komunikacyjny – Polska wraca do gry” – rozmowa z udziałem pełnomocnika rządu ds. CPK Mikołaja Wilda

13:10 – 14:10 „Drogi i mosty do nowoczesnej Polski” – rozmowa z udziałem ministra inwestycji i rozwoju Jerzego Kwiecińskiego oraz ministra środowiska Henryka Kowalczyka i szefa gabinetu politycznego ministra infrastruktury Łukasza Smółki

15:00 – 16:00 „Transport morski – polskie porty na fali” – rozmowa z udziałem ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Marka Gróbarczyka

19:00 – ... Wieczór networkingowy

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
INFRASTRUKTURY



MINISTERSTWO
PRZEDSIĘBIORCZOŚCI
I TECHNOLOGII



MINISTERSTWO
INWESTYCJI
I ROZWOJU



NASZ TEST: AUDI RS3 LIMOUSINE

Zaledwie 4,1 s – tyle na przyspieszenie od zera do pierwszej setki potrzebuje elegancja, a jednocześnie piekielnie szybka kompaktowa limuzyna z pięciocylindrowym silnikiem o mocy aż 400 KM. Turboładowana jednostka pod maską pozwala łatwo rozpędzić się do ponad 200 km/godz. Prędkość maksymalna wynosi teoretycznie 250 km/godz., ale zamawiając auto, można poprosić o podniesienie limitu do 280 km/godz.

W KABINIE

Charakterystyczny dla wnętrza jest minimalistyczny design. Sportowy charakter auta podkreślają czerwone przeszycia widoczne na fotelach, dźwigni zmiany biegów i spłaszczony u dołu sportowej kierownicy czy też czerwone obramówki wylotów powietrza. Zastosowane materiały są wysokiej jakości, a dominujące ciemnoszare plastiki przyjemne w dotyku.

W sprawnej nawigacji pomagają m.in. wirtualny kokpit. Bajecznie prosta i intuicyjna jest również obsługa multimedialnych. Świetnie sprawdzają się pokryte skórą

niskimi, szczupłymi kobietami, to mogą narzekać na brak przestrzeni nad głową.

Wadą jest też mały bagażnik, którego pojemność wynosi zaledwie 315 l (po złożeniu siedzeń – 770 l).

JAZDA

Benzynowy, doładowany silnik 2,5 TFSI potrafi na światłach dać kierowcy siedzącemu za kółkiem tego ważącego 1,5 t audi cudowne uczucie katapultowania. Na rynku nie ma obecnie szybszej kompaktowej limuzyny. I to jest właśnie to, co tygryski lubią najbardziej.

W sprawnym przyspieszaniu doskonale pomaga siedmiobiegowa automatyczna skrzynia biegów S-tronic, która potrafi błyskawicznie rozpoznać zamiary kierowcy i w ułamku sekundy zredukować bieg. Dla niektórych fanów szybkiej jazdy minusem będzie jednak brak możliwości zamówienia tego modelu z manualną skrzynią.



23 l/100 km. W całym teście w cyklu mieszanym auto paliło średnio 12 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

RS3 nie przeszło testów zderzeniowych Euro NCAP, bo Audi sprzedaje ich zbyt mało, żeby je niepotrzebnie rozbijać. Standardowe Audi A3 otrzymało komplet pięciu gwiazdek, uzyskując 95 proc. punktów w kategorii ochrony dorosłych, 87 proc. w kategorii ochrony dzieci i 74 proc. za ochronę pieszego.

Sportowe Audi może być wyposażone w korystający z radaru adaptacyjnego tempomat, który automatycznie reguluje odległość między pojazdami. Asystent awaryjnego hamowania rozpoznaje z kolei,



nappa sportowe fotele ze zintegrowanymi zagłówkami, które są wygodne, a jednocześnie dobrze podtrzymują ciało podczas dynamicznej jazdy. Dla podróżujących z przodu dorosłych pasażerów miejsca jest wystarczająco dużo. Z tyłu z powodzeniem można zaś posadzić troje dzieci – dorośli teoretycznie też się zmieszczą, ale jeśli nie będą



Audi z napędem quattro chętnie, szybko i pewnie pokonuje serpenty. Auto świetnie trzyma się obranego kursu. Układ kierowniczy nie daje jednak kierowcy tyle informacji zwrotnej, ile niektóre hot hatche konkurencji. RS3 zdecydowanie nie lubi też nierówności na drogach. Warto więc dopłacić do adaptacyjnego zawieszenia: opcja dynamiczna w niektórych polskich miastach może być bowiem zbyt sztywna i niepotrzebnie będziemy czuli każdą dziurę. Tryb komfortowy dużo bardziej nadaje się też na długie, rodzinne wyprawy.

W przypadku aut typu Audi RS3 podawanie średniego spalania nie ma większego sensu, bo mocno zależy ono od stylu jazdy. Według producenta auto zużywa 8,3 l/100 km, ale przy bardzo agresywnej jeździe średnie wskazania po przejechaniu danego odcinka mogą sięgnąć

że kierowca przestał prowadzić samochód, i potrafi autonomicznie zatrzymać auto. Na parkingu niezwykle przydatny jest zaś asystent ruchu poprzecznego, który ostrzega przed pojazdami przecinającymi tor jazdy do tyłu.

CENA

Za najtańszą limuzynę RS3 trzeba zapłacić nieco ponad ćwierć miliona. Wystarczy jednak zamówić parę dodatków, np. opcjonalne systemy zwiększające bezpieczeństwo, aby cena na fakcie szybko wzrosła do poziomu 350 tys. zł.

KONKURENCJA

BMW M2, Ford Focus RS, Honda Civic Type R, Mercedes-AMG A45, Seat Leon Cupra, Volkswagen Golf R ©

Jacek Przybylski

Polska moc militarna

FOT. DOMINIK PIJANSKI/WZMA SA



Partnerzy wydania





Gospodarka i bezpieczeństwo

Nie można myśleć o rozwoju kraju, jeśli będzie on bezbronny. Czym go bronić? To najlepiej sprawdzić w Kielcach

Chociaż w ubiegłym roku Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego świętował 25-lecie, to i tegoroczny – odbywający się od 4 do 7 września – będzie też w jakiś sposób wyjątkowy. Trudno, by takim nie był, gdy odbywa się w roku obchodów 100-lecia niepodległości kraju. A chyba nigdzie indziej na świecie żaden naród

nie wie tak dobrze, że wolność trzeba sobie nie tylko wywalczyć, lecz także jeszcze umieć ją obronić.

Polski rząd zaplanował w ubiegłym roku, że wydatki na obronność będą co roku rosnąć. W tym i przyszłym roku mają wynieść nie mniej niż 2 proc. PKB, w 2012 r. – nie mniej niż 2,1 proc. PKB, a od 2030 r. sięgać już 2,5 proc. PKB. Trudno nie zauważyć, że oprócz wzmacniania obronności ten plan jest też istotnym impulsem dla rodzimej gospodarki. „Wszyscy mamy świadomość, że silne państwo to nie tylko silna armia. To przede wszystkim mocna gospodarka, jak również wchodzący w jej skład

rozbudowany i sprawnie funkcjonujący, wspierany przez państwo rodzimy przemysł obronny. Przemysł współpracujący na zasadach wzajemności z największymi i najbardziej rozpoznawalnymi koncernami światowymi” – pisał w ubiegłym roku w liście do uczestników MSPO prezydent Andrzej Duda. W tym roku zaś publicznie zapowiadał, że optuje za tym, by wydatki na obronność rosły w Polsce jeszcze szybciej, niż to zaplanowano.

Z opublikowanego niedawno projektu ustawy budżetowej na rok 2019 już wiadomo, że na obronność państwo przeznaczyć chce o 3,5 mld zł więcej, a więc o ponad 8 proc. więcej niż w tym roku –



FOT. MATERIAŁY PRASOWE TRZCIEKELCE

tu co roku zjeżdżają politycy, eksperci, naukowcy i giganci zbrojeniowi.

Salon stwarza też świetne szanse, by światu zaprezentowały swoje produkty firmy z Polskiej Grupy Zbrojeniowej oraz polskie przedsiębiorstwa z sektora prywatnego. To właśnie tu podpisywane są pierwsze kontrakty, które potem są przepustką do ogromnych zamówień. Nieprzypadkowo właśnie podczas ubiegłorocznego Salonu polska Grupa WB zawarła kontrakt z ukraińskim koncernem na dostawę zestawów bezzałogowych systemów uderzeniowych Warmate. Te drony mogą służyć do celów zwiadowczych, pomocy w naprowadzaniu na cele, ale i same mogą przenosić głowice z ładunkami. Nie ujawniono, ile dronów i w jakiej konfiguracji zostało zakupionych przez Ukraińców. Wiadomo tylko, że wdrażanie polskich do służby na Ukrainie już się rozpoczęło. Jednak wiadomo także, że ta nowoczesna broń, produkowana jeszcze tylko w USA i Izraelu, jest już na wyposażeniu pięciu krajów, które uczestniczą w realnych konfliktach militarnych.

Niedługo później Warmate trafiły do polskiego wojska. Pierwsi w NATO rozpoczęliśmy wdrażanie amunicji krążącej. Pierwsi żołnierze zostali przeszkoleni wiosną tego roku. Nowoczesne drony trafią do brygad usytuowanych na wschodzie kraju, w tym do Wojsk Obrony Terytorialnej.

W promocji polskiego przemysłu zbrojeniowego pomagają też wręczane na MSPO nagrody. W ubiegłym roku nagrodą prezydenta wyróżnione zostało produkowane przez Wojskowy Instytut Łączności z Zegrza urządzenie IP-Krypto. To wojskowa odpowiedź na wymagania nowoczesnego świata, w którym trudno także w armii działać bez dostępu do transmisji danych w sieciach teleinformatycznych. IP-Krypto nie tylko zapewnia kodowanie takich transmisji mających klauzulę „tajne” i jako jedyne w Polsce ma certyfikat Służby Kontrwywiadu Wojskowego, lecz także dzięki dużej odporności i wytrzymałości może być instalowane w transporterach czy czołgach.

Z kolei szef MON w ubiegłym roku wyróżnił Zakłady Mechaniczne Tarnów za wielolufowy karabin maszynowy 12,7 mm. Może on wystrzelić do 3,6 tys. pocisków na minutę i ma 2 km zasięgu. Taki karabin może być instalowany jako uzbrojenie pojazdów, łodzi, okrętów czy śmigłowców.

Podczas kieleckiego Salonu przyznawana jest także nagroda Defender.

W ubiegłym roku jury przyznało ją m.in. pojazdowi dalekiego rozpoznania – Żmija, produkowanemu przez Concept sp. z o.o. i Polski Holding Obronny; średniemu samochodowi ratowniczo-gaśniczemu ERGOTRUCK, opracowanemu przez konsorcjum (SZCZĘŚNIAK Pojazdy Specjalne sp. z o.o., Wojskowa Akademia Techniczna, Wojskowy Instytut Techniki Pancernej i Samochodowej, Szkoła Aspirantów PSP); uniwersalnemu kalkulatorowi artylerij-skiemu do środków ogniowych wojsk rakietowych i artylerii UKART-2 produkowanemu przez WB Electronics oraz lekkiemu robotowi bojowo-zwiadowczemu Feniks autorstwa Przemysłowego Instytutu Automatyki i Pomiarów PIAP.

CO NOWEGO?

Co w tym roku będzie można zobaczyć na MSPO? Na przykład system Patriot, który Polska zamówiła od USA i czeka na jego dostawę. Oprócz tego firma Raytheon zaprezentuje m.in. system monitorowania mediów M3S, który różnego typu media (media tradycyjne, a także i filmy z YouTube czy informacje z Twittera i Facebooka) przetwarza na zorganizowane informacje, które można potem przeszukiwać i udostępniać.

Bielska fabryka SZCZĘŚNIAK Pojazdy Specjalne pokaże czterokołowy autobus drogowy Praetorian, który może transportować sprzęt i ludzi w trudnych warunkach. A PIAP po raz pierwszy zaprezentuje wyrzutniki pirotechniczne CSL.

Z pewnością warto będzie odwiedzić też stoiska Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Tam będzie można z bliska zobaczyć to, co w ramach „kontraktu stulecia” dostają właśnie polscy żołnierze – czyli armatohaubice Krab 155 mm produkowane przez Hutę Stalowa Wola. Po 24 zestawy krabów wchodzi w skład dywizjonów Regina, z których pierwszy już rozpoczął służbę w polskiej armii. HSW pokaże też zapewne Borsuka, który premierę miał podczas ubiegłorocznego MSPO, ale tym razem wyposażonego w zdalnie sterowany system wieżowy 30 mm.

Z kolei Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne, które opiekują się kupionymi przez polską armię czołgami Leopard, pokażą prototypy nowoczesnych napędów (zintegrowane silniki, skrzynie przekładniowe oraz mechanizmy zaopatrywania pojazdu w media), które jako moduły będzie można szybko wymieniać w pojazdach.

Józef Markowski

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

czyli 44 mld 674 mln zł. Z tego ponad miliard złotych wydanych zostanie na prace badawcze i rozwojowe, a ponad 12 mld zł (wzrost o blisko 11 proc. w porównaniu z tym rokiem) ma zostać przeznaczony na modernizację sił zbrojnych – wliczając w to zakupy nowego sprzętu, modernizację istniejącego oraz współfinansowanie programów inwestycyjnych NATO.

OD DRONÓW DO CZOŁGÓW

Jeśli jakiś kraj zastanawia się nad modernizacją armii i dozbrojeniem, to w Europie Środkowo-Wschodniej nie znajdzie lepszego miejsca do spotkań i rozmów od kieleckiego MSPO. Dlatego

Szanowni Państwo!

Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego to wydarzenie o ogromnym znaczeniu dla polskiej, a także europejskiej branży zbrojeniowej. Targi Kielce są dumnym gospodarzem tego wydarzenia, które od 26 lat towarzyszy żołnierzom i decydom z całego świata.

Tegoroczny Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego ma szczególnie podniosły charakter. Towarzyszą mu bowiem obchody 100-lecia odzyskania niepodległości. Na ten fakt zwrócił uwagę prezydent RP Andrzej Duda, obejmując patronat honorowy nad wydarzeniem. Ten podniosły i niezwykle ważny moment w historii naszego kraju będzie akcentowany w sposób wyjątkowy. Wystawa Sił Zbrojnych, a także ekspozycje muzeów zostały przygotowane, tak aby przedstawić gościom Targów Kielce historię polskiej obronności. Warto także podkreślić, że krajem wiodącym tegorocznej wystawy jest Polska. Podczas 26. Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego Targi Kielce będą gościć ponad 600 wystawców z 30 krajów, m.in. ze Stanów Zjednoczonych, z Wielkiej Brytanii, Francji, Chin i Australii. Siłę polskiego przemysłu obronnego podczas tegorocznego Salonu prezentuje aż ponad 300 krajowych wystawców.

Warto podkreślić, że kielecki ośrodek targowy odwiedzają także oficjalne delegacje z całego świata. O randze targów świadczy rosnąca z roku na rok liczba międzynarodowych delegatów – w zeszłym roku było ich 67 z 43 krajów. W Kielcach spotyka się także światowa czołówka producentów branży obronnej.

Siłą Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego są merytoryczne spotkania. Tegoroczne rozmowy rozpoczną spotkania naukowe organizowane przez środowisko akademickie, a dotyczyć będą m.in. udziału polskiego przemysłu obronnego w programach modernizacji technicznej, obronności państw wobec zagrożeń XXI w. czy znaczenia sojuszy i koalicji. Tradycyjnie już Ministerstwo Obrony Narodowej wspólnie z Ministerstwem Spraw Zagranicznych organizuje spotkanie dotyczące pozyskiwania środków z Europejskiego Funduszu Obronno-



Andrzej Mochoń, prezes zarządu firmy Targi Kielce

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ści, a Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych będzie przekonywał, że „Biznes w wojskiem to pewne pieniądze”. Podobnym tematom poświęcona jest konferencja „Dialog obywatelski” o przyszłości polityki obronnej Unii Europejskiej z udziałem Elżbiety Bieńkowskiej. – Komisarz UE ds. rynku wewnętrznego, przemysłu, przedsiębiorczości oraz małych i średnich firm.

Po raz drugi MSPO otwiera swoje bramy dla miłośników militariów. Od 8 do

9 września goście Targów Kielce będą mogli odwiedzać Wystawę Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej zorganizowaną pod hasłem „Obronność – Współpraca – Suwerenność”. Zwiedzający zobaczą najnowszy sprzęt używany przez polskie wojsko, w tym największy czołg Leopard, haubicę samobieżną Krab i moździerz samobieżny Rak, a także transportery opancerzone Rosomak.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Targi Kielce
exhibition & congress centre



1918-2018

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy



MSPO



XXVI Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

4-7.09.2018, Kielce

Partner strategiczny



www.mspo.pl



zespołów napędowych typu Power-Pack. To grupa nowatorsko zaprojektowanych układów stanowiąca szybkowymieniany moduł integrujący silnik, skrzynię przekładniową oraz mechanizmy służące do zaopatrywania pojazdu w niezbędne media. WZM SA zaprojektowały zespoły napędowe do pojazdów takich jak Kołowy Transporter Opancerzony 8x8 czy Nowy Pływający Bojowy Wóz Piechoty.

Projektowanie i modernizacje napędów wojskowych nie byłyby możliwe, gdyby nie utworzenie w spółce Centrum Silników Wojskowych (obecnie funkcjonuje jako Centrum Zespołów Napędowych). Dla WZM był to krok milowy w rozwoju firmy. I to właśnie podczas MSPO w Kielcach cztery lata temu prezes WZM Elżbieta Wawrzynkiewicz podpisała umowę między polskim zakładem a firmą MTU GmbH, dzięki której – w ramach Centrum Zespołów Napędowych – powstało w Poznaniu Autoryzowane Centrum Napraw silników wojskowych.

Nieco wcześniej (w latach 2012–2014) WZM uzyskała uprawnienia do montażu i serwisu systemów przeciwybuchowych Kidde-Deugra zamontowanych na pojazdach Rosomak, PT-91, BRDM-2, Leopard 2A4 oraz KTO Ryś. Zakres działalności powiększył się też o modernizację silnika W-46-6.

ZACZEŁO SIĘ OD SAMOCHODÓW

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA powstały w 1945 r. Początkowo funkcjonowały jako Jednostka Wojskowa nr 2123 z lokalizacją w Poznaniu. Zajmowała się ona głównie naprawą wojskowych samochodów. W 1947 r. jednostkę przemianowano na Centralne Warsztaty Remontu Samochodów Osobowych nr 42, a pięć lat później zakład przekwalifikowano na Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne nr 5 w Poznaniu. W 1967 r. podjęto decyzję o skupieniu wszystkich oddziałów firmy w miejscu nowej lokalizacji przy ul. Dąbrowskiego 262/280 w Poznaniu.

Przez kolejne lata firma rozszerzała działalność o naprawy pojazdów gąsienicowych i kołowych. Zajmowała się też montażem samochodów ciężarowych tak znanych marek jak MAN czy STEYER.

Z początkiem roku 2008 Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne nr 5 Przedsiębiorstwo Państwowe zostały przekształcone w Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne Spółkę Akcyjną. Natomiast 29 maja 2014 r. Spółka została włączona do Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA. (jm) © Wszelkie prawa zastrzeżone

Leopardy po polsku i nie tylko

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne serwisują, naprawiają i modyfikują wiele pojazdów polskiej armii – w tym czołgi Leopard, do których opracowały polskie zamienniki części

Kupiony od niemieckiej armii Leopard 2 to wciąż jeden z najlepszych takich sprzętów wojskowych używanych na świecie. Szacuje się, że dzięki ciągłym modernizacjom leopardy mogą posłużyć polskim żołnierzom jeszcze 20–30 lat. W Polsce jest dziś tylko jeden zakład, który może podjąć to wyzwanie. Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne SA jako jedyne mają uprawnienia do wykonywania napraw leopardów.

Jednak firma należąca do Polskiej Grupy Zbrojeniowej nie tylko serwisuje i naprawia niemieckie czołgi. Jej pracownicy potrafią też projektować i produkować sprzęt potrzebny do obsługi leopardów. WZM radzą sobie też z tymi częściami niemieckimi, które są trudno dostępne lub uznawane za „nienaprawialne” – zamiast nich zakład wprowadza polskie

zamienniki. Ta polonizacja leopardów jest priorytetem spółki.

Oczywiste jest więc, że to WZM prowadzi teoretyczne i praktyczne szkolenia dla żołnierzy oraz specjalistów w zakresie obsługi czołgów Leopard 2A5.

NOWOŚCI: ROZPOZNANIE I NAPĘDY

Dzięki pracom WZM oddziały rozpoznawcze polskiego wojska mogą skuteczniej zbierać informacje o przeciwnikach i przekazywać je do dowództwa. Wszystko to dzięki opracowaniu i wdrożeniu modyfikacji wyposażenia specjalnego Bojowych Wozów Rozpoznawczych BWR-1D i BWR-1S.

Na tegorocznej edycji Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach WZM zaprezentują prototypy

Żołnierze z polskich jednostek mają już dywizjon Regina złożony z armatohaubic Krab. W Kielcach Huta Stalowa Wola pokaże też nowość w pływającym wozie Borsuk

Polskie kraby i borsuki



FOT. HSW SA

Dwa lata temu – w grudniu 2016 r. – Huta Stalowa Wola podpisała najdroższy kontrakt w historii polskiego przemysłu zbrojeniowego. Za blisko 4,5 mld zł HSW dostarczy do Sił Zbrojnych RP cztery dywizjonowe moduły ogniowe Regina. Każdy z nich składa się z 24 samobieżnych armatohaubic Krab. Kraby produkowane przez HSW – kaliber 155 mm – są obecnie uznawane za najnowocześniejszy i najlepszy sprzęt artyleryjski.

Celem Reginy jest precyzyjne, bo z dokładnością do kilku metrów, rażenie celów odległych nawet o 40 km. Regina współpracuje z bezpilotowcami i radarami artyleryjskimi. Kraby naszpikowane są elektronicznymi gadżetami, jak system nawigacji lądowej, inercyjny system nawigacji, wojskowy GPS, komputerowy system kierowania ogniem z komputerem do celowania i komputerem do obliczeń balistycznych. Żołnierze chroni aktywny pancerz, system ostrzegający przed promieniowaniem i wiele innych rozwiązań.

KRABY JUŻ SZCZYPIĄ

DMO Regina już w ubiegłym roku został odebrany przez wojsko i trafił do wyposażenia 11. Mazurskiego Pułku Artylerii. Do 2024 r. w Wojsku Polskim służyć będzie łącznie 120 samobieżnych haubic 155 mm Krab i dziesiątki innych wozów dowódczych, amunicyjnych, remontowych. To m.in. dzięki uzyskaniu tego kontraktu

HSW z przedsiębiorstwa, które w 2016 r. miało blisko 50-milionową stratę i zagrożone było upadłością, stała się firmą, która rok 2017 zakończyła 14-milionowym zyskiem.

– Kontrakty na Kraby i na moździerz Rak wyznaczyły nam ścieżkę szybkiego rozwoju i zapoczątkowały wiele pozytywnych zmian w HSW – mówi Bernard Cichocki, prezes zarządu Huty Stalowa Wola. – Przeszliśmy skutecznie proces naprawczy. A teraz inwestujemy w zakład, rozbudowujemy się. Rusza nowa lufownia. W nowo wybudowanej hali uruchamiamy w pełni zautomatyzowaną linię technologiczną do produkcji naszych krabów. Nasz sprzęt oferuje zupełnie nowe możliwości obrony. Mamy poczucie, że w ten sposób bierzemy udział w budowaniu bezpieczeństwa naszego kraju. W tym roku obchodzimy 80. rocznicę powstania Huty Stalowa Wola, początki naszej firmy sięgają lat 30.

XX w. i Centralnego Okręgu Przemysłowego. My kontynuujemy tradycję rozwijania polskiej myśli technologicznej i produkcyjnej w przemyśle obronnym.

NOWOŚĆ W BORSUKU

Rok temu Borsuk był jedną z najbardziej oczekiwanych premier na Międzynarodowym Salonie Przemysłu Obronnego. I nie rozczarował.

W tym roku model Nowego Bojowego Wozu Piechoty znów pojawi się w Kielcach, w zeszłym roku został zaprezentowany również z ZSSW. Nowością jest to, że pojazd zostanie wyposażony w gąsienice elastomerowe, które stanowią alternatywę do prezentowanych w ubiegłym roku gąsienic stalowych. Natomiast na kadłubie zostaną zamontowane ekwiwalenty gabarytowo-masowe dopancernienia. Należy zauważyć, że model pojazdu NBPWP jest wyposażony we wszystkie elementy docelowego

pojazdu (prototypu) pod względem gabarytowo-masowym. Model, prezentowany podczas tegorocznych targów, jest już po testach uruchomienia, sprawdzenia układu trakcji oraz po pierwszych próbach pływania.

Projekt pod kryptonimem „Borsuk” jest współfinansowany w ramach środków pozyskanych z Narodowego Centrum Badan i Rozwoju, z którym HSW S.A. zawarła umowę jako lider konsorcjum. Projekt zakłada stworzenie wozu, który będzie mógł pokonywać szerokie przeszkody wodne, będzie miał dużą manewrowość i będzie mógł działać w różnych warunkach terenowych oraz klimatycznych. Pojazd przeznaczony jest do ochrony żołnierzy załogi i desantu przed ostrzałem pociskami z broni strzeleckiej i granatników przeciwpancernych oraz przed wybuchami min i improwizowanymi ładunkami wybuchowymi IED. (jm)

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



wiekowe już BWP-1, wraz ze zdalnie sterowanym systemem wieżowym ZSSW-30. Karabinki MSBS Grot produkcji radomskiej Fabryki Broni, moździerz i karabiny wyborowe z Zakładów Mechanicznych Tarnów oraz optoelektronika z PCO to jedne z najbardziej rozpoznawalnych produktów wyposażenia indywidualnego żołnierza, z którymi będzie się można zapoznać na stanowisku PGZ. Oprócz nich Grupa prezentować będzie wiele innych produktów dla piechoty – m.in. systemy łączności oraz oporządzenia i umundurowania.

Stoisko GK PGZ odwiedzą jak co roku liczni goście – kilkadziesiąt oficjalnych zagranicznych delegacji rządowo-wojskowych oraz wielu partnerów biznesowych i technologicznych. Budowanie relacji z innymi firmami z sektora obronności służy poszerzaniu oferty produktowej Grupy i włączaniu spółek w łańcuchy dostaw zagranicznych koncernów zbrojeniowych.

PGZ jest zaangażowana w setki projektów eksportowych. Obejmują one zarówno mniejsze podsystemy, jak i kompletne rozwiązania oraz modernizację wyposażenia znajdującego się na stanie sił zbrojnych niektórych państw. Spółki z Grupy mają wiele kompetencji w zakresie utrzymania i modernizacji sprzętu produkcji radzieckiej. Jednocześnie Grupa próbuje wejść na nowe, dotychczas nieeksplorowane rynki zagraniczne, takie jak Brazylia, RPA, Meksyk czy Macedonia. W celu rozszerzenia swojej oferty PGZ prowadzi działania mające na celu pozyskanie udziałów w kilku zagranicznych spółkach z segmentu lotniczego oraz lądowego.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Mocna oferta PGZ

Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego (MSPO) w Kielcach już od 26 lat jest wizytówką polskiej branży zbrojeniowej i najlepszym sposobem promocji rodzimych firm. Jak co roku państwowy przemysł obronny, skupiony w Polskiej Grupie Zbrojeniowej, przygotował bogatą ofertę, którą prezentuje zarówno przedstawicielom Sił Zbrojnych RP, jak i liczным delegacjom zagranicznym

MSPo, obok targów DSEI w Londynie oraz Eurosatory w Paryżu, to największe wydarzenie branży zbrojeniowej w Europie. Polska Grupa Zbrojeniowa jest partnerem strategicznym targów, które w tym roku odbędą się w dniach 4–7 września. Podczas kieleckich targów 32 spółki z Grupy Kapitałowej PGZ zaprezentują około 300 swoich produktów.

W trakcie ubiegłorocznej edycji uwagę wszystkich skupił program WISŁA, obejmujący pozyskanie systemów obrony przeciwlotniczej i przeciwra-

kietowej średniego zasięgu Patriot. W tym roku polski przemysł obronny koncentruje się m.in. na programie NAREW, czyli niższym szczeblu wielowarstwowej tarczy. PGZ walczy o to, by zbudować ten system swoimi siłami we współpracy z partnerem zagranicznym. Dlatego podczas MSPO będzie można zobaczyć m.in. system radarowy PET/PCL, który będzie częścią obydwu systemów: WISŁY i NARWI.

Bezzałogowce to produkty, na które istnieje ogromne zapotrzebowanie ze strony Sił Zbrojnych RP, a także innych służb mundurowych. PGZ zaprezentuje więc szeroką

gamę systemów bezzałogowych statków powietrznych (SBSP), opracowanych siłami własnych ośrodków badawczo-rozwojowych bądź też w ramach partnerstwa z instytucjami naukowymi i prywatnymi przedsiębiorstwami. Jak co roku Grupa PGZ zaprezentuje bogatą ofertę platform lądowych i systemów artyleryjskich. W tej kategorii znajdują się m.in. transportery opancerzone Rosomak w wielu wariantach specjalistycznych, armatohaubice Krab oraz samobieżne moździerz Rak. Pokazany zostanie również nowy bojowy wóz piechoty Borsuk, który ma zastąpić



Dominator na morzu



AW101

Wykorzystywany przez największe marynarki wojenne świata i sprawdzony w warunkach dużego zasolenia i porywistego wiatru AW101 to najnowocześniejszy i najbardziej wszechstronny śmigłowiec morski obecnie na rynku.

Obszerna i łatwa do rekonfiguracji kabina, szeroka gama sprzętu misyjnego i uzbrojenia oraz ponad 1300km zasięg sprawiają, że AW101 to doskonała platforma do realizacji zadań poszukiwawczo-ratowniczych oraz zwalczania podwodnych i nawodnych zagrożeń na morzu.

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy – w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.



Na co postawić?



Katarzyna Pinkosz

Zgodnie z ustawą o wzroście wydatków do 6 proc. PKB na ochronę zdrowia do 2024 r. zostanie przeznaczonych 830 mld zł. To niemal drugie tyle, ile w poprzednich sześciu latach. Na co wydać te dodatkowe pieniądze, by przyniosły efekt?

Choć wielu ekspertów podkreśla, że 6 proc. PKB na zdrowie w 2024 r. to jeszcze za mało, żebyśmy żyli tak długo jak mieszkańcy zachodniej Europy, to niewątpliwie funduszy będzie więcej. Większe pieniądze już zostały przeznaczone na wynagrodzenia lekarzy i pielęgniarek, by zahamować falę emigracji. O podwyżki występują też ratownicy medyczni, diagnosty laboratoryjni, a także personel pomocniczy, m.in. salowe, rejestratorki. Żeby lekarze zostali odciążeni od prac

urzędniczych, muszą znaleźć się osoby chętne do wykonywania nowych zawodów, takie jak sekretarki i asystenci medyczni.

Kiedy „dosypanie” pieniędzy odczuje pacjent? Minister Łukasz Szumowski zapowiada, że już w drugim półroczu skrócą się kolejki do niektórych specjalistów i operacji (np. zaćmy). – Dyskusja o poziomie, źródłach finansowania oraz o tym, na co wydać dodatkowe pieniądze, musi się odnosić do efektów zdrowotnych, które chcemy osiągnąć – przekonuje dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego. Celem wydawania z publicznej kasy dodatkowych miliardów złotych powinno być więc to, żebyśmy żyli dłużej, a po drugie – żebyśmy te dodatkowe lata spędzili w lepszej kondycji. Tylko jak to zrealizować?

NUMER JEDEN: PROFILAKTYKA

– Chorobie zawsze łatwiej zapobiec, niż ją potem wyleczyć. Dane WHO i doświadczenia wielu krajów pokazują, że inwestowanie w profilaktykę przynosi proporcjonalnie większe korzyści niż leczenie – przekonuje dr Waldemar

Kraska, szef Senackiej Komisji Zdrowia. Przykład: w Karelii Północnej dzięki konsekwentnie wdrażanym programom profilaktycznym o 80 proc. spadła zapadalność na chorobę niedokrwienną serca.

Efekty działań profilaktycznych widać też w Polsce, choć nie są tak spektakularne. Wydaje się, że brakuje odwagi, by wprowadzać nowe rozwiązania. Przykładem mogą być kampanie antynikotynowe. Rząd Finlandii wyznaczył sobie cel, żeby do 2040 r. w ogóle wyeliminować palenie tytoniu. W Polsce liczba palaczy spada (w 2011 r. paliło 31 proc. Polaków, w 2015 r. – 24 proc.), jednak głównie wśród mężczyzn. Kobiety nadal palą równie chętnie jak kilka lat temu, a w sumie odsetek palaczy w Polsce jest o połowę wyższy niż średnia dla państw UE. Zgodnie z ustawą o ochronie zdrowia przed następstwami używania tytoniu i wyrobów tytoniowych Ministerstwo Finansów powinno przekazywać 0,5 proc. wpływów z akcyzy na działania profilaktyczne i pomagające palaczom rzucić nałóg. „Jak wynika z informacji z Ministerstwa Zdrowia, do przekazania tej kwoty nigdy nie doszło. W końcu ustawodawca uchylił przepis i resort finansów już nie musi



FOTOFOLIA

dzielić się podatkiem” – pisze w najnowszym raporcie Fundacja Onkologiczna Alivia. Za to wciąż wspieramy producentów tytoniu. Ciąg dalszy raportu Alivii: „W latach 2004–2014 łączna wartość pomocy dla producentów tytoniu wyniosła ok. 2,84 mld zł. Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi planuje wspierać uprawę tytoniu w wysokości 180,5 mln euro w latach 2015–2020”.

Nie widać też spektakularnych efektów działań mających przeciwdziałać otyłości. Polskie dzieci tyją najszybciej w Europie – ostrzegali niedawno eksperci z Instytutu Żywności i Żywienia. Od kilku lat mówi się więc o wprowadzeniu bezpłatnych porad dietetycznych dla kobiet w ciąży i małych dzieci oraz o zatrudnieniu dietetyków w POZ. Niewiele jednak z tego wynika. – Jeśli dziecko zaczyna tyć, to rodzice powinni być edukowani, co powinni robić, jaką stosować dietę. To konieczne już od najmłodszych lat. Na pewno trzeba zwiększyć nakłady na przeciwdziałanie otyłości, która jest czynnikiem ryzyka chorób serca, cukrzycy – mówi prof. Tomasz Klupa, kierownik Pracowni Zaawansowanych Technologii Diabetologicznych Katedry Chorób Metabolicznych UJ.

Dzięki wczesnemu wykryciu choroby jest większa szansa na jej wyleczenie, dlatego tak ważne są badania profilaktyczne. – Dane z raportu NIK wskazują, że pacjenci, u których nowotwór został wykryty wcześniej dzięki populacyjnym programom przesiewowym (rak jelita grubego, piersi, szyjki macicy), mieli o 20 proc. większe szanse na wyleczenie niż ci, u których został on wykryty na późniejszym etapie – podkreśla dr Krzysztof Ostrowski, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Pacjentów. – Dzięki programowi przesiewowemu kolonoskopii funkcjonującemu od 2000 r. u ok. 10 tys. osób nie rozwinął się rak

jelita grubego – potwierdza prof. Jarosław Reguła, konsultant krajowy w dziedzinie gastroenterologii.

PRIORYTETY: NIE TYLKO ONKOLOGIA

W profilaktykę warto inwestować, jednak większe pieniądze są też konieczne na nowe terapie. Na wzrost finansów czekają dziś wszyscy, począwszy od noworodków. – Spadek umieralności niemowląt w Polsce udało się osiągnąć przede wszystkim dzięki zwiększonej przeżywalności noworodków o znacznej niedojrzałości: urodzonych z masą ciała poniżej 1000 g i poniżej 1500 g. Ich intensywna terapia wymaga nowoczesnego sprzętu. Procedury ratunkowe są drogie, ale nie można ograniczyć ich stosowania z powodu braku funduszy – mówi prof. Maria Katarzyna Borszewska-Kornacka, prezes Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego.

W Polsce brak systemu kontroli i weryfikacji jakości usług diagnostycznych. NFZ płaci za nie w ciemno

Na terapię czekają osoby z chorobami rzadkimi, a także chorzy na nowotwory, gdzie wciąż nowe leki wchodzą do praktyki klinicznej. Wiele nowoczesnych leków, które mogłyby zmienić rokowanie pacjentów lub przynajmniej wydłużyć ich życie, jest w Polsce nierefundowanych. W ostatnich latach widać zmianę, jednak – jak wskazuje raport fundacji Alivia – ponad połowa leków onkologicznych, z których korzystają chorzy w innych krajach, nie jest w Polsce refundowana, a kolejnych 20–30 proc. jest dostępne w bardzo ograniczonym zakresie. Powoduje to, że pacjent z taką samą chorobą ma w Polsce mniejsze szanse na życie niż we Francji, w Anglii, Niemczech, a także w Czechach czy na Węgrzech. Przy ocenie nowych leków do refundacji bierze się pod uwagę nie tylko efektywność, lecz także to, na ile ich stosowanie jest opłacalne. W Polsce „próg efektywności” to trzy razy PKB na osobę, czyli ok. 110 tys. zł za roczną terapię. Wiele nowych leków kosztuje więcej. Pacjenci otrzymują więc

terapię starszego typu, mniej kosztowne, ale i mniej efektywne. W efekcie często kosztują więcej, jeśli np. policzyć koszty zwolnień z pracy, przechodzenia na renty, opieki rodziny nad chorym, jego cierpienia i utraty szans na życie.

– Jesteśmy na ostatnim miejscu w Europie, jeśli chodzi o dostęp do nowoczesnych leków w cukrzycy typu 2. Chorzy umrą kilka-kilkanaście lat wcześniej przez to, że nie mają dostępu do nowoczesnych terapii. W Polsce powszechnie są stosowane leki, których przy obecnych wymogach nikt by nie zarejestrował – oburza się prof. Klupa.

Problemem jest też często opóźniony dostęp do diagnostyki, a także jej jakość. – W Polsce brak systemu kontroli i weryfikacji jakości usług diagnostycznych. NFZ płaci za nie w ciemno. Przykład: diagnostyka molekularna w raku płuca. Jest bardzo efektywna, o ile badania są dobrze wykonane. Niestety, rzeczywistość bywa odmienna. Trzeba znaleźć pieniądze na stworzenie systemu, jak we Francji czy w Belgii, gdzie środki publiczne trafiają wyłącznie do tych laboratoriów, które reprezentują najwyższą jakość, potwierdzaną regularnie odpowiednimi certyfikatami. To równie ważne jak większe środki na leczenie – mówi prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, pulmonolog, zastępca dyrektora ds. nauki i kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc.

Profesor Klupa dodaje, że warto inwestować też w polskie firmy – zarówno te produkujące tańsze leki generyczne, jak i małe, innowacyjne start-upy – gdyż przełomowe rozwiązania nie zawsze rodzą się w wielkich firmach. Jako przykład podaje brytyjski start-up (niedawno kupiony przez jednego z farmaceutycznych gigantów), który miał pomysł na produkowanie „inteligentnej” insuliny. – Na międzynarodowych zjazdach obok farmaceutycznych gigantów widzimy małe firmy, które mają wielkie pomysły. Żałujemy, że to nie są polskie firmy. Na pewno warto inwestować w start-upy, takie inwestycje mogą się nam znakomicie zwrócić – dodaje prof. Klupa.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na co wydać większe pieniądze z 6 proc. PKB na zdrowie: na profilaktykę czy nowoczesne terapie? Na ten temat będziemy rozmawiać podczas debaty oksfordzkiej „Do Rzeczy” oraz Ministerstwa Zdrowia podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy (4 września 2018 r., godz. 20.30). Marszałek debaty: redaktor naczelny Paweł Lisicki.



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Bernardyńska nauczka

Nikt tak nie upijał gości jak świętej pamięci Adam Małachowski, krajczy koronny, który miał dwór w Bąkowej Górze. Kiedy człowiek przyjechał do niego w gošcinę, zatrząskiwał za nim wrota, doradzał wysiąść z karety albo kolasy. A hajducy biegli już z Corda Fidelium, naczyniem bożym, zwanym: Wierne serca...

Adam Leon Małachowski, urodzony w 1706 r., zasłynął jako statysta, polityk i pijanica, uwieczniony przez Jędrzeja Kitowicza w „Opisie obyczajów za panowania Augusta III”. Ten wielokrotny poseł na sejmy, deputat do Trybunału Skarbowego, dwukrotny marszałek Trybunału Koronnego w Piotrkowie i czterokrotny Sejm Wielki, krajczy wielki koronny od 1755 r., znany był z figlów rujnujących zdrowie gości.

Małachowski miał we dworze wspomniany wyżej kielich ozdobiony trzema sercami i mieszczący pół garnca wina. Ktokolwiek pierwszy raz pojawił się w Bąkowej Górze, musiał wychylić go duszkiem. Jeśli mu się to nie udało, to za każdym razem, gdy odrywał naczynie od ust, dolewano mu wina do pełna. Działo się tak dopóty, dopóki wypił wszystko lub też upił się do nieprzytomności. Na dobro pana krajczego należy dodać, że jeśli gość przybył z rana – na czczo, to natychmiast kazał mu dać śniadanie, troskając się, by nie pił tak wiele wina na pusty żołądek.

Do Małachowskiego, jak pisze Kitowicz, zjeżdżali na pijackie posiedzenia: „bibosze koronni, pułkownicy, rotmistrze, towarzystwo, co się beczi nie zląkł, nie tylko kielicha i którzy mieli gardła wprawne tak do łykania, jako też odlewania tego, co połykały”. Jednak dla podróżnych gospodarz był uciążliwym ciężarem, jako że słowa dotrzymał – nikt, kto przekroczył progi dworu, nie mógł odjechać, nie



FOT. WIKIPEDIA

wychyliwszy duszkiem kielicha. Wielu skończyło u niego pod płotem czy schodami, niektórzy zaś, jak sam Kitowicz, ratowali się ucieczką, pozostawiając w zastaw – jako zapewnienie rychłego powrotu – szablę, konia i czapkę.

Czy rzeczywiście tak trudno było wychylić duszkiem Corda Fidelium? Kitowicz pisze, że kielich mieścił pół garnca trunku. Zakładając, że chodzi o garnce koronne, a nie litewskie, to były dwie kwarty płynu. Kwarta zaś to odpowiednik 0,9 litra. Kielich Małachowskiego mieścił więc 1,8 litra, zatem dzisiejsze dwie i pół butelki wina, zakładając, że mówię o tych większych. Sporo, aczkolwiek i obecnie znaleźliby się tacy, którzy zasłużyliby na gošcinę u krajczego.

Najlepszą jednak nauczkę dał Małachowskiemu bernardyn – kvestarz z Wielkiej Woli pod Opoczmem (obecnie Paradyż). Zakonnicy ci żyli z jałmużny – objeżdżali z wozami dwory i miasteczka, prosząc o datki w naturze i pieniądzu, zwykle bywali gošcinnie witani przez szlachtę. Nie inaczej było i tym razem – krajczy ucieszył się z przybycia i rzekł:

– Jeśli duszkiem wypijesz ten kielich, to każe ci naładować pełen wóz zbożem, a jeżeli od razu nie wypijesz, to doleją ci go tyle razy, ile razy, przestając pić, choćby kroplę w nim zostawisz.

Braciszek poprosił o jedzenie, więc krajczy kazał zaraz dać mu półmisek bigosu hultajskiego i kar-

wasz pieczeni. Po czym, wypijwszy szklankę piwa, skromnie zabierał się do odejścia. Małachowski roześmiał się, skinął na służbę i rzekł:

– Nie, bracie, z domu mego nikt wyniść nie może, kto weń pierwszy raz wejdzie, póki tego kielicha nie wypije!

Szybko napełniono Corda Fidelium, braciszek wziął go w ręce, po czym, przeżegnawszy się i poleciwszy swoją gardziel Bogu, począł łykać, aż wreszcie odjął naczynie od ust, pozostawiając nieco wina na dnie. „Ho, ho, nie dopiłeś, bracie! – zawołał natenczas pan Małachowski. – Dolejcie mu, dolejcie!”. Osaczony bernardyn zamyślał umknąć w ką, otoczono go jednak i znowu dolano do pełna. Wówczas począł doić kolejny kielich powolnymi łykami, po czym ten także odjął od ust niedopity. Małachowski rozkazał, aby powtórzyć. Bernardyn wychylił tak ponoć sześć kielichów, co dawało więcej niż 10 litrów wina. Widząc, że braciszek żartuje sobie z niego i prędkiej spustoszy piwnicę, niż da się upoić, Małachowski kazał go wyrzucić.

– Bernardyny filuty – zawołał. – Z umysłu, na szyderstwo ze mnie takiego mi pijaka z końca świata wyszukanego przysłali!

Ochłonawszy ze złości, kazał jednak zawrócić zakonnik, który swoją drogą po takim karażu siadł na wóz „bez najmniejszej omyłki”, i darował mu kilka korców zboża. Odtąd jednak starannie unikał tego kvestarza.

Siedzibę Małachowskiego można dziś oglądać w Bąkowej Górze koło Przedborza. Są tam dwa dwory – jeden nowszy, wzniesiony przez Małachowskich, i ruiny starego, obronnego, wzniesionego jeszcze w XV w. Nie jest jasne, w którym rezydował pan krajczy, bo zmarł w 1767 r., a nowszy dwór został zbudowany dopiero w drugiej połowie stulecia, być może już po śmierci pijanicy. ©

DARIUSZ LORANTY I COŚ DLA GŁODNEGO GLINY

W trakcie wielu godzin spędzonych w pracy na komendzie trzeba czasem zjeść coś taniego, pożywne i nieskomplikowanego w przygotowaniu. Często zdarzało się, że musiałem zostawać na noc na tzw. obrabianie kwitów, kiedy po aresztowaniach czy przeszukaniach trzeba było sporządzać notatki, uzupełniać protokoły itp. Na takie okazje miałem recepturę, której głównym składnikiem była zwykła, polska, najtańsza kaszanka. Danie przyrządza się szybko, bardzo prosto, jest syte i smaczne, a 50 gr mocnego polskiego produktu akcyzowego dopełnia bukiet smakowy.

Składniki:

- kaszanka
- boczek
- cienka kiełbasa
- pieczarki
- marchewka
- seler
- olej

Przygotowanie:

Kroimy boczek (najlepiej części ze skórka) i wrzucamy na patelnię. Po przesmażeniu dodajemy kawałki cienkiej kiełbasy, najlepiej chudej. Następnie w kolejności są drobno pokrojone pieczarki. Kiedy już się skurczą – dorzucamy wyjętą z flaka kaszankę, przesmażamy i dokładnie mieszamy. Na komendzie tego nie robiłem, bo nie było warunków, ale w domu dodaję startą na długie listki marchewkę (którą wrzucam na patelnię jeszcze przed kiełbasą).

Do tego polecam mój autorski pomysł na frytki, które robię z... selera. Kroimy go jak na klasyczne, ale bardzo płaskie frytki. To bardzo ważne, bo są smaczne jedynie wtedy, gdy zostaną solidnie spieczone z obu stron. Smażymy je na płytym tłuszczu, by zabarwić frytki na brązowo. Przed podaniem solimy. Są bardzo dobre, wiele osób, którym je przyrządzałem, nie rozpoznało, że zrobione są z selera. ©©

oprac. raw

Dariusz Loranty
jest emerytowanym
policjantem,
ekspertem
ds. bezpieczeństwa,
pisarzem
i publicystą.



FOT. MICHAŁ BARANOWSKI



JOANNA BOJAŃCZYK

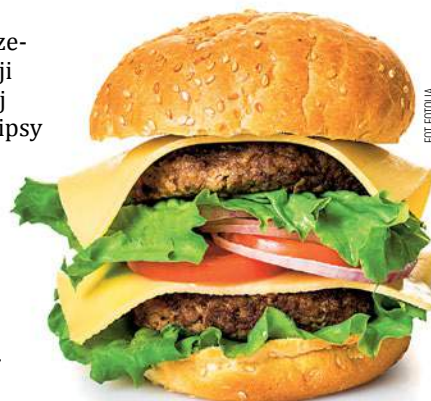
NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Ameryka je, je, je

Wszędzie jedzenie. Na stacji benzynowej osaczają chipsy i przekąski, atakują słodzone napoje. Na ulicach wabią dziesiątki, setki miejsc, gdzie dają jeść. „Food courts” z zarcieciem z całego świata nęcą zapachami kuchni chińskiej, hinduskiej, meksykańskiej, włoskiej, kebabami i pospolitymi hamburgerami.

Rezultat jest znany: otyłość w Ameryce jest już epidemiczna. O szczupłą dziewczynę na ulicy nie jest już wcale tak łatwo, ale też zwykła nadwaga – kilka kilogramów za dużo – też nie jest częsta.

Tutaj jak się żyje, to na całego. Ponieważ otyłość jest powszechna, monstrualne grubasy wcale się swoją nadwagą nie przejmują i z apetytem na publicznym widoku pochłaniają swoje gargantuiczne porcje frytek, lodów, deserów. Społeczeństwo ich nie piętnuje, przeciwnie – dba, żeby im się dobrze żyło. W dodatku można na nich nieźle zarobić. Marki odzieżowe, nie chcąc pozbawiać się tak licznej grupy klientów, uruchamiają linie ubrań „plus”. Robią to nawet te z tzw. wyższej półki, które dotąd klienta XL lekcewały. Wiadomo, modni ludzie są chudzi, młodzi i piękni. I wiadomo też, że bardzo duże rozmiary znajdzie się w tańszych domach towarowych, takich jak Kmart



FOT. FOTOLIA

czy Target, gdzie kupuje niezamożny klient. Okrutna prawda XXI w.: biedniejsi są grubi, bo nie stać ich na dobre jedzenie. Inna prawda jest taka, że z powodu otyłości w Ameryce umiera rocznie 300 tys. osób.

Wcale nie dziwi, że utyć tu jest tak łatwo. Popularne restauracje dają dużo jedzenia za niewielkie pieniądze; niewielkie porcje, takie jak w Europie, są głównie w tych drogich i eleganckich. Jeść mało oznacza wysoki status społeczny, otyłość – niski.

Obsesja jedzenia jest powszechna. Chyba żaden kraj na świecie tak się nie przejmuje kaloriami, fitnesssem i sportem jak Ameryka. Na każdym opakowanym produkcie spożywczym podaje się liczbę kalorii – nawet restauracje zamieszczają tę informację w menu. Ulicami pędzą biegacze, salony fitness pełne, dziewczyny masowo chodzą po mieście w ubraniach do ćwiczeń. W tym sezonie obowiązują bardzo obcisłe, czarne, grube legginsy. W upał też. Dla otyłych także.

Nawet bardziej. ©©

OKIEM JASTRZĘBIA

Cnotę stracił, dolary zarobił, z #MeToo się zabawiał

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

No, niech powiedzą mi państwo, ale tak szczerze, na ucho, czy tego chłopaczka to trzeba podziwiać, wyśmiewać, naśladować czy oburzać się na niego? No bo ja się nie mogę zdecydować! Faktem jest, że chłopaczek jest autorem najcudniejszego, niespodziewanego i słodkiego zwrotu w lewackiej akcji #MeToo. W zasadzie młodzian tę akcję zjadł, wypłuł i jeszcze na niej zarobił. Przykro mi z powodu mojego braku subtelności, ale gdy myślę o numerze, który wykreślił, nie mogę przestać się śmiać.

Chłopaczek nazywa się Jimmy Bennett i ma 22 lata. Jest takim aktorkiem i zagrał właśnie rolę życia. Przypomniawszy sobie (no bo przez parę lat zupełnie nie pamiętał), że on jako 17-latek został podstępnie wykorzystany seksualnie przez śliczną, ale o 20 lat starszą od niego aktoreczkę. I tu jest właśnie ten numer. Bo on ma dowody: zdjęcia

selfie twarzy swojej i tej aktoreczki podobno z łóżka. To, że z łóżka, to ze zdjęć nie do końca wynika, natomiast wynika z nich, że chłopaczek ma baaardzo zadowoloną minę, no bo właśnie przespał się z supergwiazdą i będzie mógł się pochwalić kolegom. Wtedy zapewne nie kombinował jeszcze, że na tym nieźle zarobi. Kobieta z łóżka nazywa się Asia Argento i pech chciał, że jest jedną z inicjatorek akcji przeciw wykorzystywaniu seksualnemu, czyli #MeToo.

To między innymi ona wystąpiła przeciw bogatemu i wpływowemu producentowi Harveyowi Weinsteinowi, twierdząc, że kiedyś tam ją zgwałcił. Po prostu po latach wzięła i przypomniała sobie. Wtedy wiele gwiazd i gwiazdeczek podniosło ręce, mówiąc: „Ja też” – „Me too”, i Weinsteinowi zawalił się świat, jego firma zbankrutowała, a on trafił za kratki. Opinie na temat jego działań nie są jednoznaczne. Są publicyści zdecydowanie go potępiający i nazywający wprost „knurem”, ale są i tacy, którzy obwiniają aktoreczki, mówiąc, że uprawiały świadomie rodzaj prostytucji, której zapłatą miała być kariera. Ci wredni publicyści zwracają uwagę, że gwiazdeczki przez lata nie informowały nikogo o rzekomych gwałtach, a teraz mogą próbować na tym po prostu zarobić.

Ja tam nie przesądzam, ale kto wie, czy racja nie leży pośrodku. W każdym razie chwilowo leży akcja #MeToo, ponieważ „The New York Times” ujawnił, że przerażona swoim czynem – niezwykle moralna Argento – zapłaciła chłopczkowi za milczenie i nieciąganie jej po sądach 380 tys. dol. (młodzian chciał 3,5 mln). I w ten sposób skompro-

mitowana została leciutko idea akcji, bo inicjatorka sama wpadła we własne sidła. Inna sprawa, że pechowo przetaczała się z 17-latkami w pościeli kalifornijskiej, a tam zgodę na seks może wyrazić osoba 18-letnia, gdyby kotłowanie miało miejsce w Polsce, żadnego skandalu mogłoby nie być.

Kończąc ten tragikomiczny wątek, pozwolę sobie przytoczyć cudowne słowa adwokatów reprezentujących chłopaczka. Stwierdzili oni, że przez ten seks to on miał (teraz uwaga!) uraz psychiczny i że przez to zatrzymała się jemu kariera zawodowa. Jak patrzę na zadowoloną gębę 17-latka ze zdjęcia, leżącego obok gołej gwiazdy, to po prostu wiem, że wielu facetów życzyłoby sobie takich cyklicznych psychicznych urazów, ale co tam. Dla 380 tys. dol. to niejedno można u siebie zdiagnozować.

Tymczasem w Polsce kontratakuje pewna Iza, w sumie też trochę w sprawie #MeToo. Ta Iza to bardzo chciała zrobić karierę oraz zaaranżować wygodne życie przy boku pewnego znanego żonatego polityka. Izie niestety nie wyszło, więc Iza wszystko ujawniła mediom, a pamiętać trzeba, że porzucona kobieta osiąga moc do 15 kiloton. Zniszczenia były potężne, ale Iza dochodzi teraz do rozumu, że dotknęły także jej. To Izę dziwi. Iza mówi, że jej znajomi nie chcą być jej znajomymi, że nie podają jej ręki i takie tam. Dziwi może jej zdziwienie. Przyznała się przecież publicznie: „Bardzo chciałam budować szczęście na cudzym nieszczęściu, a teraz przynajmniej chcę zarobić”, a teraz się dziwi.

Pani Izo, Pani lepiej sprawdź, czy tam jakiś 17-latek nie czyha w Pani szafie. ©©



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Ostatni taki republikanin

MARCIN MAKOWSKI: W sobotę 25 sierpnia zmarł senator John McCain. Republikanin, jeniec podczas wojny w Wietnamie, a pod koniec życia otwarty krytyk prezydentury Donalda Trumpa. Miałeś okazję go poznać. Kim był dla ciebie i amerykańskiej polityki?

MATTHEW TYRMAND: To złożona postać o skomplikowanej historii. Dwukrotnie ubiegał się o prezydenturę, szczególnie dotkliwa była jego przegrana w 2008 r. z Barackiem Obamą. Popełnił wtedy błąd, wybierając gubernator Alaski Sarah Palin jako kandydatkę na wiceprezydenta, która swoimi wypowiedziami skompromitowała jego kampanię. Prawdę mówiąc, po dwóch kadencjach Busha wyborcy i tak byli zmęczeni republikanami, więc może po prostu nie trafił na swój czas. Natomiast jako senator zajmował się polityką najwyższego szczebla, był jednym z najważniejszych neokonserwatystów, wierzących w interwencjonistyczną rolę Stanów Zjednoczonych. Ten światopogląd z czasem stawał się jednak coraz mniej popularny, a po interwencji w Iraku i Afganistanie oraz zwycięstwie prawicowego populizmu w postaci Donalda Trumpa odszedł do lamusa.

Wielokrotnie polemizowałeś jednak ze stylem polityki, którą uprawiał McCain.

To prawda, ale jestem przekonany, że działał zawsze w dobrej

wierze – to nie był zły facet. Mam wrażenie, że w niektórych tematach był po prostu źle poinformowany. Kilukrotnie rozmawialiśmy wspólnie z senator Anną Marią Anders. Szczególnie intensywnie po liście otwartym w „obronie polskiej demokracji”, który podpisał. Wy tłumaczyłem mu, że narracja, którą przyjął, to w prostej linii punkt widzenia Anne Applebaum, która nie może się pogodzić ze stratą władzy przez jej męża i jego obóz polityczny, a ci sami ludzie – zanim w tym zakresie przyjął ich narrację – krytykowali jego poglądy, nazywając bigotem i rasistą. Nagle, gdy zaczął krytykować Trumpa, stał się w ich oczach bohaterem wojennym i patriotą. Innym razem mieliśmy jednak okazję dyskutować również o kwestiach militarnych oraz obecności wojsk NATO na wschodniej flance. McCain był wielkim zwolennikiem stałej obecności wojsk amerykańskich w Polsce. Myślę, że dziedzictwo, które po sobie zostawił, będzie oceniane pozytywnie. Charles Schumer – lider demokratycznej mniejszości w senacie – chce nawet przemianowania budynku, w którym pracował McCain, na jego nazwisko. I tutaj leży sedno sprawy, o której wspominałem – demokraci kochają republikanów, gdy ci już umrą.

Myślisz, że wraz z nim odchodzi z amerykańskiej polityki pokolenie „konserwatywnych romantyków”?

Na pewno kończy się jakaś epoka, ale byłbym daleki od idealizowania jego życia i kariery. Jak mówiłem, to był wieki człowiek, ale jego losy były wielowątkowe i skomplikowane. Ojciec McCaina dowodził US Navy podczas wojny w Wietnamie, wcześniej jednak przyczynił się do zatuszowania wypadku lotniczego, w którym zginęło wiele osób, a stało się tak w wyniku błędu popełnionego przez syna. To jeden ze skandali, który ciągnął się później za senatorem. Drugi to fakt, że zostawił swoją żonę, gdy ta była śmiertelnie chora, aby poślubić kobietę, która była dziedziczką fortuny i córką potentata w branży piwnej. Ten ruch pomógł mu zbudować polityczną karierę, podczas której nie ustrzegł się wmieszania w kilka niejasnych transakcji i skandali finansowych.

Donald Trump, na prośbę rodziny zmarłego, nie będzie obecny na jego pogrzebie. To chyba więcej niż symbol podzielonego kraju.

Trochę się nie dziwię. Trump powiedział coś absolutnie skandalicznego o McCainie, który przez sześć lat był więźniem wojennym w Wietnamie. Stwierdził, że woli pilotów, którzy nie dali się zestrzelić. Tymczasem mimo tortur nigdy go nie złamano, a on sam odmówił wypuszczenia – choć miał taką możliwość – jeśli nie zostaną uwolnieni inni jeńcy amerykańscy. Czy jego pogrzeb to symbol podzielonego kraju? Niestety, tak wygląda polityka, której McCain był częścią. Od lat stanowił waszyngtoński establishment, który działał w interesie firm zbrojeniowych. O tym też warto pamiętać. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Kasta za kastę

KRYSTYNA PAWŁOWICZ: *Cierpliwości. Izba Dyscyplinarna w trakcie tworzenia. Co ma wisieć, nie utonie. Po skrajnym już zachowaniu tych sędziów widać, że wiedzą, co ich czeka, i chcą do końca pracować na moją jecką sławę. Bo tylko ona im z tego buntu zostanie.*

Tak Krystyna Pawłowicz uspokajała internetowego hejtera znanego głównie z przegranych procesów z Jerzym Owsiakiem, gdy hejter ten wyraził zniecierpliwienie zbyt wolnym czyszczeniem wymiaru sprawiedliwości z Waldemara Żurka i innych sędziów, którzy „organizują wiece i masówki,

nominacji do wspomnianej Izby Dyscyplinarnej czeka rekomendowany przez Krajową Radę Sądownictwa osobisty kumpel hejtera, sędzia Adam Tomczyński. „Pierwszy wyrok opijemy, ja stawiam i do Warszawy przyjadę” – pisze sędziemu hejter i gdyby sędzia Tomczyński miał wpływ na kolejność czyszczenia, mógłby to być nawet wspomniany sędzia Żurek, bo to jego hejter widzi jako „pierwszego klienta Izby Dyscyplinarnej”.

Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości co do charakteru „uzdrowiania” wymiaru sprawiedliwości poprzez utworzenie Izby Dyscyplinarnej, to po pełnej zrozumienia wymianie zdań między internetowym hejterem i sejmową hejterką musiał się ich pozbyć. Sędziowie z billboardów Polskiej Fundacji Narodowej mają dużo mniejsze szanse trafić przed karzące oblicze izby niż sędziowie, którzy się władzy po prostu nie podobają. Akurat wspomniany sędzia Tomczyński daje gwarancję miłych władzy wyroków, bo nie znalazłby się tam, gdzie za chwilę się znajdzie, gdyby nie nadzwyczajna wręcz wyrozumiałość Prawa i Sprawiedliwości dla ludzi, którzy życiorysem i charakterem się

raczej pochwalić nie mogą, za to nadrabiają gorliwością.

„Bronisław Komorowski, Ewa Kopacz, Donald Tusk, Maciej Lasek, prokuratorzy od »śledztwa« – wypad pajace”. To tylko jeden z tweetów nowego sędziego. Jeśli hejter, którego nazwiska nie wymienię, żeby nie utrwałać w pamięci słów zbyt wielu, uważa, że sędzia Żurek za „opowiadanie się jawnie po politycznej stronie powinien z zawodu wylecieć na zbity pysk”, to na kpinę zakrawa, że do rozliczania go z politycznego zaangażowania deleguje się kogoś takiego jak Tomczyński.

Kasta za kastę – na tym, jak się zdaje, skończy się cała reforma wymiaru sprawiedliwości. Napisałabym, że teraz cała nadzieja w prezydencie, który przecież wcale nie musi iść za rekomendacjami Krajowej Rady Sądownictwa, ale to już nadzieja tylko iluzoryczna. Nie płacząc po Gersdorfu, nie zapłacząc też po żadnym z tworzącej się właśnie nowej „nadzwyczajnej kasty”, gdy kiedyś jacyś następcy obecnej władzy będą tę kastę szczyścić w takim samym trybie i tempie, jakie narzuca dzisiaj PiS, rozprawiając się z tą zastaną. Tylko Polski szkoda. ©©

Kasta za kastę – na tym, jak się zdaje, skończy się cała reforma wymiaru sprawiedliwości. Napisałabym, że teraz cała nadzieja w prezydencie, ale to już nadzieja tylko iluzoryczna

opowiadają się jawnie po politycznej stronie i powinni po pierwszym zdaniu wylecieć na zbity pysk”. Pani Pawłowicz hejtera rozumie i opinię podziela, ale co zrobić, skoro organ czyszczący jeszcze się nie ukonstytuował. A w kolejce do prezydenckiej

PODSŁUCHANE

Pełna konspiracja

Władek, gratuluję! Sąd po twojej stronie, piękne zwycięstwo! Jaki znowu Władek? Co ty gadasz, Grzesiu? Janek jestem. Janek Grzyb. Józef na drugie.

No dobra, śmiesznie sobie to wymyśliłeś...

Niczego nie wymyślałem. Przecież to prawda. Owszem, udało mi się nabrać sąd, to fakt.

Zaraz, chwila. Jak to: nabrać sąd?

Tak to. Wmówiłem sądowi, że nie wierzyłem, że się nazywam Grzyb. Jak mogłem nie wierzyć w to, że się nazywam tak, jak się naprawdę nazywam?

Momencik. Trochę się pogubiłem... W czym tu się gubić? To proste. Widzisz, konspirować to trzeba

umieć, zwłaszcza w takich ciężkich czasach.

Władek... czy tam Janek, ja wiem, że jest niełatwo, może ty za dużo pracujesz, może się zestresowałeś, może jakiejś pomocy potrzebujesz? Jakiś psychoanalityk czy coś? Jaki znowu Janek?

No to jak? Władek? Czekaj, bo teraz to już kompletnie zgłupiałem... Rozalia. Rozalia Nielepsza. Podaj mi, proszę, tamtą sukienkę z wieszaka. ©© **Łukasz Warzecha**

OD RZECZY

„Niestety, jest coraz więcej poszlaków, że: »PiS stoi tam, gdzie stoją złodzieje«”.

JAN VINCENT-ROSTOWSKI były wicepremier i minister finansów w rządzie PO-PSL, na Twitterze (pisownia oryginalna)



fot. Jerzy Gumowski

Mea culpa

Powszechnie przekonanie, że im człowiek starszy, tym mądrzejszy, albowiem багаż mijających lat (tzw. „doświadczenie życiowe”) nawarstwia zasób rozsądku i racjonalności — nie zawsze się sprawdza. U wielu sprawdza się natomiast trafność powiedzonka: „stary, a głupi”, czego jestem żywym dowodem.

Sądziłem, że nie sposób nabrać mnie na kłamliwe plotki, fałszywe gadki, cuchnące donosy, nędzne mistyfikacje, krętackie zapewnienia, na wszelakie złośliwe „fake newsy” — a jednak dałem się perfidnie „wrobić” niczym ostatni krety. Nie mam prostego usprawiedliwienia.

Rok temu otrzymałem bardzo obszerny list od rzekomego czytelnika, traczący Andrzeja Janickiego, dyrektora krakowskiej Drukarni Wydawniczej im. W. L. Anczyca. Autor listu opisał z wieloma detalami drogę życiową dyr. Janickiego (informując m.in., że był on kolaborantem SB o kryptonimie TW „Szpak”), jak również publiczną imprezę w lokalu innej firmy wydawniczej, przytaczając, rzekomo „*expressis verbis*”, rzekomy dialog, jaki się tam rzekomo odbył między dziennikarzem Piotrem Dobrołękim a dyrektorem Janickim. Zapytany przez redaktora Dobrołękiego o moją publicystykę polityczną, dyrektor Janicki miał publicznie (wobec sporego gremium) wybuchnąć stekiem obelg pod moim adresem, piętnując m.in. moją wrogość wobec Platformy Obywatelskiej. Cały ów rzekomy dialog, rzekomo pełen wymierzonych we mnie epitetów, został przez autora listu „zacytowany” ze szczegółami (choćby takimi, jak rzekome postępowanie podczas owego dialogu członków mojej rodziny, również mojego zmarłego Ojca, przy czym detale dotyczące Ojca zostały ewidentnie zaciernięte z jakichś ubeckich akt — Ojciec był w drugiej połowie lat 40-ych i w pierwszej 50-ych prześladowany/więziony przez UB). Właśnie ta quasi-stenograficzna detaliczność listownej relacji, tudzież fakt, że opisana została impreza publiczna (a więc pełna świadków), i że podane zostały nazwiska niektórych jej uczestników — sprawiły, że uwierzyłem w treść listu i powodowany paroksyzmem gniewu, niczego nie sprawdzając, nie weryfikując, bezzwłocznie opublikowałem fragmenty tej korespondencji na tych łamach („Do Rzeczy” 46/2017, 13 listopada minionego roku). Wykazałem ławowierność, czyli karygodny brak profesjonalizmu.

Wykazałem go, gdyż cała treść rzeczzonego listu (a więc wszystkie przypisywane tam dyrektorowi Janickiemu czarne karty życiorysu oraz wszystkie rzekomo miotane przezeń obelgi) — okazała się wyssaną z przysłowiowego „brudnego palca” nieprawdą, narracją zmyśloną, stekiem kłamstw. Łącznie z bzdurami o jego kolaboracji esbeckiej, czy z insynuacją, że uwłaszczył się nomenklaturowo przejmując Drukarnię im. Anczyca (w istocie po prostu odkupił od Grzegorza Hajdarowicza tę upadającą firmę i przywrócił jej dawny blask). Zatem — pełen poczucia winy — szczerze Andrzeja Janickiego przepraszam za wspomniany, niesprawiedliwie piętnujący go tekst (były to konkretnie trzy akapity felietonu), w którym



Juliusz Słowacki:

„Strofę tę pisałem w gniewie...”

Bolesław Prus:

„Gniew wyrzuca człowieka na brzegi niesprawiedliwości”



bezmąŹnie cytowałem fragmenty rzeczzonego listu, sądząc, iż list ten przysłał uczciwy człowiek, a nie mefistofeliczny prowokator.

Ów prowokator to bez żadnej wątpliwości jakieś postesbeckie bydlę, jedna spośród tych kreatur z dawnej stajni Kiszczaka, które ciągle rządzą zakulisowo III RP jako swoje „*deep state*”. Widzimy to każdego dnia (skutkiem ich kreciej roboty są chociażby nieustanne szarpaniny wokół trybunałów, piramidy finansowe, złodziejskie reprzywytacje). Pisałem o tym wiele razy po 1989 roku, także wielokrotnie na tych łamach (przykładowo: „Z *tylnego siedzenia*» rządzą krety sterowane przez FSB, BND i Mossad, trzymając na krótkiej smyczy wielu naszych decydentów — taki jest *«real»* III RP. I wszystko gra jak w zegarku, czy raczej

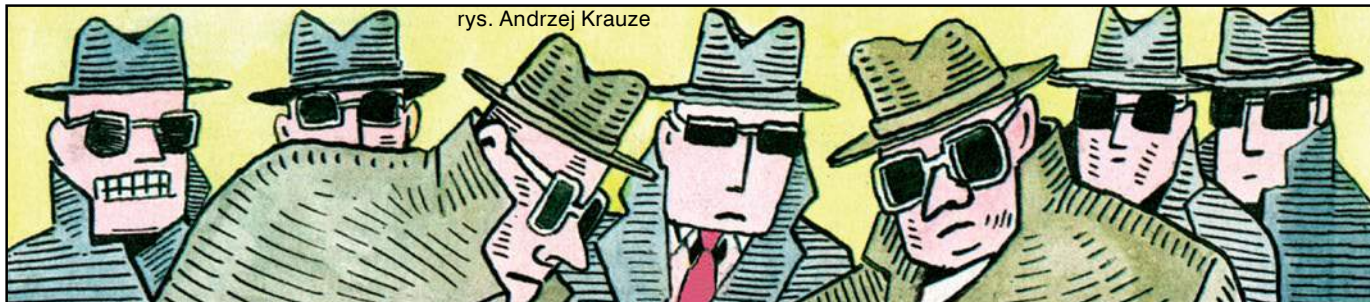
jak w kurancie kremlowskim” — „Do Rzeczy” 3/2014), lecz również na wcześniej szych łamach, w pierwszym „Tygodniku Li-sickiego” (przykładowo: „Demokrację robi nam postbezpieka” — „Uważam Rze” 3/2011, czy: „W Polsce *«głębokie państwo»* to postbezpieczniackie struktury zakamuf-lowane dziś na *«tylnych siedzeniach»* władzy” — „Uważam Rze” 21/2012, felieton „Ludzie z cienia”). Ostatnio wypowiedział się o tym dla „Do Rzeczy” (33/2018) Wojciech Cejrowski, wzmiankując postesbecką, która wciąż kręci Trzecią Rzeczpospolitą: „... Władzy raz zdobytej nie oddadzą nigdy. Nie oddali w 1989 roku i rządzą do dzisiaj. Są mocni, mają bardzo mocne zaplecze — ze wschodu i wewnątrz RP. Mają swoich ludzi wszędzie i mogą każdemu zrobić wszystko, jeśli taki ktoś stanowi zagrożenie dla ich interesów”. Całe dekady flekował (piórem i nie tylko piórem) ich działalność, stanowiąc „zagrożenie dla ich interesów”, więc się mścił i dalej się mszczy.

Wtedy, za PRL-u, zemścili się deprawując moje otoczenie (dwóch moich najbliższych przyjaciół ówczesnych okazało się agentami SB — niedawno widziałem raporty jednego z nich, Marka Pawłaka, notabene niegdyś aresztowanego przez szwedzką SEAPO za szpiegostwo dla KGB), i rozwalając mi rodzinę (wciągnęli moją żonę do tej gry). A teraz zmontowali prowokację z mistyfikacyjnym listem, która wyrządziła krzywdę nie tylko dyrektorowi Janickiemu — również mnie, gdyż ta sprawa to bolesna skaza na mojej reputacji, bliznę będącą długim. Postesbecka ferajna, co wysmażyła ów nikczemny, kłamliwy list, uderzyła fachowo.

Konkluzja/konstatacja puentująca skruczę, którą wyraziłem tekstem powyższym (skruczę nie wynikającą ani z przymusu, ani z ekshibicjonizmu): traktuję cały ten kompromitujący mnie incydent jako karę Bożą za moją pychę, która polegała na przeświadczeniu, iż nigdy nie zrobię rzeczy, których będę musiał się głęboko wstydzić. „*Never say never*” — oto właśnie wstydzę się bardzo. Moja pycha została słusznie ukarana. Cóż, „*life is not fairy-tale*” — jako „*Polak mądry po szkodzię*” mogę sobie teraz rezonować, iż życie nigdy nie jest jazdą bezwypadkową, vulgo: każdemu zdarza się kiedyś „*obudzić z ręką w nocniku*”. Jeszcze raz serdecznie przepraszam. Również Czytelników „Do Rzeczy”. ©©

Waldemar Łysiak

rys. Andrzej Krauze



NIEDZIELA 21:30

NOWY SERIAL



PUŁAPKA

MINISTER SZUMOWSKI

Kolejki
skrócą się
w drugim
półroczu



W PRIORYTETACH
ZNÓW ZAPOMNIANO
O CUKRZYCY



Cudze chwalicie...
Znane i nieznane sukcesy
polskiej medycyny

Czas na drugi
przełom w kardiologii
- mówi prof. Ponikowski

Czy potrzebujemy
krajowego przemysłu
farmaceutycznego?

TYGODNIK LISICKIEGO

WRZESIEŃ 2018

DO TRZECIE WYDANIE SPECJALNE RZECZY O ZDROWIU

6 PROC. PKB WYSTARCZY?

KROPLÓWKA DLA ZDROWIA

PARTNER HONOROWY WYDANIA


Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia





IZBA GOSPODARCZA „FARMACJA POLSKA”

To najstarsza i najbardziej reprezentatywna organizacja branżowa zrzeszająca 120 podmiotów, wśród których znajdują się czołowi krajowi i zagraniczni producenci leków – generycznych i innowacyjnych oraz największe hurtownie farmaceutyczne.

„FARMACJA POLSKA” jest związkiem będącym wiarygodnym i merytorycznym partnerem dla wszystkich dotychczasowych ministrów i każdej opcji politycznej.

W ciągu 25 lat byliśmy i jesteśmy głosem nie tylko branży farmaceutycznej, ale i pacjentów. Tam gdzie zaczyna się walka o życie i zdrowie pacjentów, tam nie ma miejsca na politykę i spory.

Naczelną ideą Izby jest zasada, że lek jest dla pacjenta, a nie dla producenta, hurtownika czy aptekarza, dlatego powinien być dobrej jakości i dostępny.

WARTOŚCIĄ DODANĄ „FARMACJI POSKIEJ” JEST PATRZENIE NA BRANŻĘ SZEROKO I SYSTEMOWO, A NIE TYLKO PRZEZ WĄSKI PRYZMAT INTERESÓW WĄSKIEJ GRUPY FIRM.

STARAMY SIĘ PREZENTOWAĆ ROZWIĄZANIA BĘDĄCE WSPÓLNYM INTERESEM PACJENTÓW, PRZEMYSŁU ORAZ PAŃSTWA POLSKIEGO.

IZBA GOSPODARCZA „FARMACJA POLSKA”
UL. CZARNIECKIEGO 57, 01-541 WARSZAWA

www.farmacja-polska.org.pl
info@farmacja-polska.org.pl,
tel./fax.: 22/ 839-99-10, 839-77-37



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Skok cywilizacyjny

Wielu polityków, kiedy tylko słyży o problemach służby zdrowia, na wszelki wypadek nabiera wody w usta. Trudno się dziwić. Jest to bowiem materia trudna i politycznie nad wyraz ryzykowna. Tam, gdzie chodzi o zdrowie, a często i ludzkie życie, jedno słowo powiedziane za dużo może przynieść nieoczekiwane i zgubne skutki. Wszyscy mówią o tym samym: o systemie zdrowia przejrzystym, dostępnym dla pacjentów, systemie, który zapewni wszystkim poczucie, że ich zdrowie jest chronione i że w przypadku zagrożenia będą mogli liczyć na szybką, skuteczną i niezbędną pomoc. Jednak jak to dokładnie zrobić? Jak pogodzić różne interesy i sprzeczne oczekiwania? Na pewno koniecznym warunkiem poprawy systemu musi być znaczący wzrost wydatków z budżetu. I tutaj pojawia się od razu pierwszy problem, przed którym staje każdy minister zdrowia. Tak zdrowie, jak jeszcze bardziej życie to wartości bezwzględne. W jaki zatem sposób temu, co bezwzględne, przyporządkować wydatki i nakłady finansowe z natury swojej ograniczone?

Drugim zasadniczym problemem jest oczywiście dysproporcja między aspiracjami i nadziejami pacjentów a możliwościami walki z chorobą. Nie ma chyba innej dziedziny życia, w której postęp technologiczny byłby równie widoczny i znaczący jak w medycynie. Dzięki temu powstają nowe terapie, a choroby niegdyś śmiertelne stają się uleczalne. To, co jeszcze kilka, kilkanaście lat temu było jak wyrok śmierci, dziś już nim być nie musi. To z kolei zwiększa presję społeczną na służbę zdrowia. Jak ten problem rozwiązać? Jak właściwie dobrać i podzielić nakłady finansowe? Jak dbać z jednej strony o rozwój i innowację, a z drugiej o powszechność dostępu do badań i terapii?

W rozmowie z naszym tygodnikiem minister zdrowia Łukasz Szumowski mówi zarówno o nowych szansach i możliwościach, które stoją przed polskimi lekarzami, jak i o próbie całościowego polepszenia stanu opieki zdrowotnej. Wskazuje, że w drugim półroczu powinny ulec skróceniu kolejki do specjalistów. Słusznie, jest to chyba największa bolączka polskiej służby zdrowia.

Minister Szumowski podtrzymuje też wcześniejszą obietnicę rządu, który zamierza doprowadzić w najbliższych latach do wzrostu wydatków na opiekę zdrowotną do 6 proc. budżetu w skali roku.

Wzrost nakładów przynosi efekty i przyczynia się do rozwoju. „Do Rzeczy” od początku wspiera te wszystkie przedsięwzięcia, które mają na celu wzmocnienie pozycji polskiej medycyny, informuje o nich i im kibicuje. Niemal co roku można wskazać pozytywne zmiany. Z tego punktu widzenia wyjątkowe znaczenie mają słowa prof. Pawła Buszmana. Opowiada on o prawdziwej rewolucji, której polscy kardiologowie dokonali w stosowaniu urządzeń wszczepianych dla rozszerzenia naczyń krwionośnych, tzw. stentów. Dzięki ich pracy polskie stenty okazały się tańsze i lepsze niż zagraniczne: „Wymusiliśmy zmiany. Polski produkt był bowiem konkurencyjny, najlepsze firmy amerykańskie musiały obniżyć ceny na swoje produkty” – mówi „Do Rzeczy” profesor.

Cóż, można się tylko cieszyć. I mieć nadzieję, że takich rewolucji będzie jak najwięcej. ©



REDAKCJA:
Redaktor naczelny: Paweł Lisicki
Z ZESPÓŁEM:
Redakcja: Radosław Wojtas
Redaktor prowadząca: Katarzyna Pinkosz

Dyrektor projektu: Mariola Wiercińska,
m.wiercinska@pmpg.pl, tel. 500 112 406
Key Account Manager:
Danuta Szyrszeń-Lasocka, d.lasocka@pmpg.pl,
tel. 515 259 368

Studio graficzne:
Wojciech Niedziółko (szef studia),
Anna Sobieska-Wójtowicz,
Jacek Nadratowski,
Włodzimierz Zakrzewski

Fotoedycja:
Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta:
Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska
Okładka: Fotolia

PARTNERZY MERYTORYCZNI WYDANIA



4 POLSKA OCHRONA ZDROWIA SIĘ ZMIENIA – minister Szumowski o planach

7 6 PROC. PKB NA ZDROWIE
Na profilaktykę czy nowoczesne terapie?

18 5 SUKCESÓW POLSKIEJ MEDYCYNY

22 NOWOCZESNA DIAGNOSTYKA

26 POTRZEBNA WSPÓŁPRACA
Placówki publiczne i prywatne

39 PO PIERWSZE ZDROWIE

46 POCZUJMY SIĘ WSPÓLNIKAMI
Małgorzata Gałązka-Sobotka o zmianach

POLITYKA LEKOWA

8 PŁAĆCIĆ ZA EFEKT
Nowe instrumenty podziału ryzyka

20 FARMACJA JAK... KOSMOS
Polskie firmy a innowacje

24 GRAMY W JEDNEJ DRUŻYNIE
Inwestycje firm globalnych w Polsce

28 JAKIE LEKI DLA PACJENTÓW
Wiceminister Marcin Czech o refundacji

ONKOLOGIA

10 RAK PŁUCA BEZ BIAŁYCH PLAM
Profesor Krzakowski o programie lekowym

12 LECZYĆ ZGODNIE Z REKOMENDACJĄ
Terapia nadziei w raku jelita

31 WCHODZIMY W NOWĄ ERĘ
Rewolucja w leczeniu szpica

44 LECZENIE Z DA VINCI

KARDIOLOGIA

14 WZMOCNIMY SERCA POLAKÓW
Profesor Ponikowski zapowiada nowy program

16 TECHNOLOGIE W KARDIOLOGII

CHOROBY CYWILIZACYJNE

32 BRAKUJĄCY PRIORYTET
Brakuje refundacji leków cukrzycowych

34 DOBRE LECZENIE SIĘ OPŁACA
Liczymy pieniądze przy decyzjach o refundacji

36 WALKA O ODDECH W POCHP

38 KOLEJNY LEK, KOLEJNE SZANSE

CHOROBY RZADKIE

40 FABRY POTRZEBUJE LECZENIA

42 ZMIANA PODEJŚCIA W HEMOFILII



Z prof. Łukaszem Szumowskim,
ministrem zdrowia
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Polska ochrona zdrowia się zmienia

KATARZYNA PINKOSZ: W lipcu podpisał pan w Waszyngtonie porozumienie z sekretarzem departamentu zdrowia i opieki społecznej USA Alexem Azarem, które nazwał pan historycznym. Co zyskają na nim polscy lekarze, naukowcy, pacjenci?

ŁUKASZ SZUMOWSKI: Nazwałem całą naszą wizytę historyczną, ponieważ w historii niepodległej Polski podobnej wizyty nie było. Ostatnie tego typu porozumienie zostało podpisane w 1978 r. Obecnie administracja Polski ma bardzo dobre relacje z administracją USA, Polska w Stanach jest uważana za kraj godny zaufania. Duże zainteresowa-

nie i uznanie wzbudziła nasza ustawa, która gwarantuje dojście do 6 proc. PKB przeznaczonych na ochronę zdrowia. Bardzo to chwalono. Polska jest dla USA wiarygodnym partnerem z powodu życzliwego nastawienia zarówno Polaków do Stanów, jak i Amerykanów do Polski. Dzięki temu, że Polska ma w USA wizerunek wiarygodnego partnera, będziemy mogli lepiej współpracować w obszarze zdrowia, nauk biomedycznych, wspólnie przeprowadzać badania kliniczne, wymianę akademicką.

Co na tym zyska pacjent w Polsce?



FOT. MINISTERSTWO ZDROWIA

Po pierwsze, będą możliwe wizyty polskich lekarzy, naukowców, ekspertów w najlepszych ośrodkach na świecie z zakresu badań medycznych, np. w National Institute of Health (NIH). Te osoby przywiozą do Polski najlepsze praktyki kliniczne: jak leczyć, jakie terapie stosować. Pacjenci będą więc w Polsce lepiej leczeni, jeszcze zanim niektóre terapie wejdą do praktyki powszechnie obowiązującej na świecie. Po drugie, dzięki współpracy polsko-amerykańskiej mamy nadzieję na rozwijanie niekomercyjnych badań klinicznych, które zwykle znajdują się poza zainteresowaniem firm farma-

ceutycznych, np. w chorobach rzadkich, sierocych, w pediatrii. Chcemy, by w Polsce powstała Agencja Badań Medycznych. Mam nadzieję, że dzięki współpracy z NIH część badań klinicznych będzie można prowadzić wspólnie z Amerykanami.

Wiele nowych metod leczenia, wręcz przełomowych, było w Polsce wprowadzanych często po zagranicznych stażach obecnych już nestorów polskiej medycyny.

Mógłby pan podać jakiś przykład?

Podam przykłady z kardiologii, np. wprowadzanie ablacji w migotaniu przedsionków przez prof. Franciszka Wal-

czaka, angioplastyki w leczeniu zawałów serca przez prof. Witolda Rużyłłę i leczenie wrodzonych wad serca przez prof. Jacka Różańskiego. Profesor Zbigniew Religa wysyłał za granicę swoich współpracowników. Te działania miały ogromny wpływ na leczenie polskich pacjentów.

Cieszę się, że jako urzędnik, jako członek rządu, mogłem podpisać tę umowę. Pokazuje ona ogromną życzliwość rządu USA wobec Polski. Teraz jest zadanie dla ośrodków naukowych, badaczy, żeby to porozumienie przełożyli na konkretne działania. Właśnie dlatego w wizycie towarzyszyło mi grono ekspertów z zakresu kardiologii, onkologii, chorób zakaźnych. Chciałbym, żeby jeszcze w tym roku został ogłoszony program: „100 badaczy na 100-lecie niepodległości”, który da możliwość wyjazdu na półroczne stypendia w Stanach polskim lekarzom i naukowcom.

Wspomniał pan o utworzeniu Agencji Badań Medycznych. Czym ma się zajmować i kiedy powstanie?

Po wakacjach chciałbym złożyć projekt Radzie Ministrów. Takiej agencji brakuje w Polsce. Jest Narodowe Centrum Nauki, Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, jednak od wielu lat postuluje się stworzenie agencji, która zajmowałaby się np. finansowaniem klinicznych badań niekomercyjnych, badań populacyjnych, epidemiologicznych. Chodzi np. o sprawdzenie, jak działają dany lek czy procedura medyczna, w jakiej populacji, czy są warte finansowania państwowego płatnika. Również takie instytucje jak Ministerstwo Zdrowia, NFZ, AOTMiT powinny móc zlecać badania, np. jaki jest poziom smogu i jego wpływ na populację; gdzie mamy większą umieralność na nowotwory; czy zmiana polityki płatnika wpłynęła na chorobowość i umieralność w Polsce; czy nierówności w dostępie do świadczeń pomiędzy województwami mają wpływ na umieralność. Tego dziś nie wiemy, nie mamy agencji, która sfinansuje takie badania dla rządu. Na podstawie ich wyników powinniśmy kreować politykę zdrowotną państwa.

Zapowiadał pan powstanie Narodowego Instytutu Onkologii, teraz mówi się o Narodowej Sieci Onkologicznej. Co to właściwie ma być?

Narodowy Instytut czy Narodowa Sieć Onkologiczna to właściwie to samo. Chodzi o ustrukturyzowanie i skoordynowanie leczenia pacjentów onkologicznych

W Polsce, stworzenie nadzoru merytorycznego nad leczeniem i wytyczenie ścieżki dla pacjenta, jak ma on przechodzić przez leczenie. Dzisiaj jest on pozostawiony samemu sobie z diagnozą nowotworu. Nie wie, gdzie ma wykonać badania, gdzie jest dla niego najlepsza terapia, gdzie najkrócej się na nią czeka. W sieci będą jednostki koordynujące, jednostki współpracujące na poziomie eksperckim, centra doskonałości specjalizujące się w pewnych obszarach leczenia. Pacjent będzie miał swojego „anioła stróża”, koordynatora, który poprowadzi go w systemie, doradzi mu, gdzie pójść, w którym ośrodku krócej się czeka na tomografię komputerową, a w którym jest jednocześnie radio- i chemioterapia. Dzisiaj pacjent sam musi znaleźć dla siebie takie informacje. Nie każdy to potrafi.

To znaczy, że gdy pacjent się dowie, iż ma raka, pójdzie do takiego centrum i tam zostanie poprowadzony przez leczenie?

Wystarczy zadzwonić, by otrzymać informacje, co robić dalej.

Koordinatorem prowadzi pacjenta przez całe leczenie?

Tak, aż do rekonwalescencji. W przebiegu choroby konieczne bywa np. leczenie operacyjne w wysokospecjalistycznym ośrodku, ale potem możliwe są chemio- i radioterapia w mniejszym ośrodku, bliżej domu pacjenta. Chodzi jednak o to, by te ośrodki między sobą współpracowały, a w razie czego by pacjent mógł wrócić do ośrodka wysokospecjalistycznego na konsultację.

Pacjent będzie miał możliwość wyboru, gdzie chce być leczony?

Oczywiście, to on ma zawsze decydujące zdanie.

Kiedy sieć onkologiczna zacznie funkcjonować?

Chcielibyśmy jeszcze w tym roku uruchomić pilotaż, początkowo w jednym województwie, potem w trzech kolejnych, ponieważ w poszczególnych województwach organizacja leczenia wygląda dziś nieco inaczej. Musimy sprawdzić, co trzeba zrobić, by cała sieć funkcjonowała dobrze.

Czy podobna sieć będzie utworzona także dla chorych kardiologicznie?

W organizacji leczenia kardiologicznego dziś bardzo nam zależy na dwóch sprawach. Pierwsza to KONS – koor-

dynowana opieka nad niewydolnością serca. Obecnie coraz lepiej leczymy zawały serca, jednak mamy prawdziwą epidemię niewydolności serca. Często ci pacjenci nie są dobrze leczeni, dopiero w przypadku zaostrzeń choroby trafiają do szpitali. Tymczasem część z nich mogłaby być leczona skutecznie w poradniach ambulatoryjnych, a także przez lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej, jeśli tylko mieliby kontakt z ośrodkiem specjalistycznym.

Druga rzecz, którą chcemy poprawić, to leczenie udarów mózgu. Dzisiaj jest już możliwe nowoczesne leczenie udarów, również metodami zabiegowymi. Konieczne jest jednak takie zorganizowanie opieki, żeby można było szybko dowieźć pacjenta z udarem do specjalistycznego ośrodka udarowego, który pełni dyżur przez 24 godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Podobnie jak to się dzieje w przypadku ostrych zespołów wieńcowych.

Przed wszystkim chciałbym, żeby skróciły się kolejki do specjalistów, bo to największa bolączka pacjentów. Mam nadzieję, że już w drugim półroczu część kolejek naprawdę się skróci

Gdy został pan ministrem, mówił pan, że nie chce tylko „gasić pożarów”. Tymczasem z jednej strony wiele się mówi o planowanych zmianach w organizacji ochrony zdrowia, a z drugiej kolejki zawody medyczne protestują, domagając się podwyżek...

Mówiłem, że „gaszenie pożarów” jest niezbędne, ale nie jest to główny cel działania ministra zdrowia, który powinien poprawiać system opieki zdrowotnej, tak by pacjentowi lepiej się w nim funkcjonowało.

Jeśli chodzi o protesty, to był tylko jeden – rezydentów, z którymi podpisałem porozumienie, i protest się skończył. Pielęgniarki nie protestowały. Porozumienie podpisane z nimi przez ministra Zembalę obowiązywało do 2019 r. Pielęgniarki chciały, żeby dodatek 1,6 tys. zł włączyć do podstawy wynagrodzenia. Jest to element porozumienia, które podpisałyśmy.

Podwyżek domagają się ratownicy medyczni, Solidarność...

Ratownicy mieli podpisane porozumienie z ministrem Radziwiłłem, niestety było ono nierealizowane. Doprowadziłem do jego realizacji. Z Solidarnością rozmawiamy, upomina się ona – bardzo słusznie – o najbardziej zapomniane grupy medyczne, czyli np. salowych, sekretarki medyczne. Mam nadzieję, że uda mi się wypracować takie rozwiązania, które usatysfakcjonują również te grupy zawodowe, ponieważ bez sekretarek medycznych, salowych, a także bez dyspozytorów czy recepcjonistów szpitale również nie są w stanie funkcjonować. Wprowadziliśmy nowe zawody medyczne: sekretarki medyczne, opiekunów medycznych, rozszerzyliśmy ustawę o minimalnym wynagrodzeniu o te zawody. Z przedstawicielami wszystkich zawodów medycznych trzeba rozmawiać, i ja to robię. Niedawno spotkałem się z diagnostami laboratoryjnymi, fizjoterapeutami, technikami elektrokardiologii.

Do końca kadencji został rok i cztery miesiące. W jakim stanie chciałby pan zostawić system ochrony zdrowia? Czy może... nie zostawić?

Może nie zostawić... Liczę na to, że rząd PiS i Zjednoczonej Prawicy będzie rządził w następnej kadencji, a może jeszcze dłużej. Wtedy będzie można wprowadzić w życie te zmiany, o których rozmawiamy i które planujemy podczas debaty „Wspólnie dla zdrowia”. Uczestniczą w niej osoby z różnych obozów politycznych. Potrzebujemy dobrych rozwiązań na wiele lat. Ten rząd jest pierwszym, który powiedział, że zdrowie jest jego priorytetem. Drastycznie zwiększamy nakłady na ochronę zdrowia. Do tej pory żaden rząd tego nie zrobił.

Jakie są w takim razie plany na najbliższe półrocze?

Sieć onkologiczna, KONS, leczenie udarów, Agencja Badań Medycznych – o tym już wspominałem. Przed wszystkim jednak chciałbym, żeby skróciły się kolejki do specjalistów, bo to największa bolączka pacjentów. Już obecnie, dzięki pewnym działaniom, które realizujemy, skracają się kolejki do operacji zaćmy. Zwiększyliśmy również wycenę wizyty pierwszorazowej w wielu dziedzinach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej. Mam nadzieję, że da to efekt, iż w drugim półroczu część kolejek naprawdę się skróci. © Wszelkie prawa zastrzeżone

6 proc. PKB na zdrowie: Profilaktyka czy nowoczesne terapie?



Prof. Maria Katarzyna Borszewska-Kornacka, prezes Polskiego Towarzystwa Neonatologicznego, kierownik

Kliniki Neonatologii i Intensywnej Terapii Noworodka WUM

Potrzeby we wszystkich dziedzinach są olbrzymie, a oczekiwania pacjentów wobec personelu medycznego szpitali i placówek POZ – coraz większe. W myśl hasła, że „Dzieci, a przede wszystkim wcześniaki są najważniejsze”, uważam za konieczne zwiększenie finansowania procedur neonatologicznych. Spadek umieralności niemowląt w Polsce został osiągnięty przede wszystkim dzięki zwiększonej przeżywalności noworodków o znacznej niedojrzałości. Ich intensywna terapia wymaga nowoczesnego sprzętu. Oczekuję realizacji przez NFZ zatwierdzonego przez Ministerstwo Zdrowia rozszerzonego programu profilaktyki przeciwko wirusowi RS dla wcześniaków urodzonych do 32. tygodnia ciąży. Ważne jest też wprowadzenie do Programu Szczepień Ochronnych szczepionek skojarzonych sześciowalentnych oraz obowiązkowych szczepień dla wcześniaków przeciwko zakażeniom rotawirusami.



Ks. prof. Stanisław Dziekoński, rektor UKSW

Profilaktyka mniej kosztuje, na pewno trzeba na nią postawić. Nie lubię jednak tego słowa, powiedziałabym szerzej: wychowanie do zdrowego życia, kształtowanie świadomości prozdrowotnej. Ochrona zdrowia to przecież ochrona szerzej rozumianego życia. Na wydziale lekarskim tworzonemu na UKSW będziemy stawiać na nowoczesne metody leczenia i nauczania, a także

kłaść nacisk na profilaktykę, wychowanie prozdrowotne, a także na humanizację medycyny. Do efektywnego leczenia nie wystarczą nowoczesne metody terapii ani najnowocześniejszy sprzęt – choć to także jest niezmiernie ważne. Podstawą jest jednak kontakt z drugim człowiekiem. Trzeba też bardziej zwrócić uwagę na wartość życia.



Poseł Krzysztof Ostrowski, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Praw Pacjentów, specjalista chorób wewnętrznych

Zarówno nowoczesna profilaktyka jest ważna, jak i wiele nowoczesnych procedur, na których wprowadzenie czekają polscy pacjenci, a ich zastosowanie jest bardzo efektywne medycznie i opłacalne ekonomicznie. Dane z raportu NIK wskazują, że pacjenci, u których nowotwór został wykryty wcześniej dzięki populacyjnym programom przesiewowym (rak jelita grubego, piersi, szyjki macicy), mieli o 20 proc. większe szanse na wyleczenie niż ci, u których został on wykryty w inny sposób. Już to pokazuje, jak ważna jest profilaktyka. Jednakże nowoczesne procedury wykazują ogromną skuteczność i efektywność – choćby wykonywanie trombektomii mechanicznej po udarze niedokrwiennym mózgu. Ważne jest też, by płacić szpitalom nie tylko za wykonane procedury, lecz także za ich jakość i efektywność zastosowanego leczenia.



Senator Waldemar Kraska, przewodniczący Senackiej Komisji Zdrowia, specjalista chirurgii

Na początku ten podział dodatkowych pieniędzy: profilaktyka/

nowoczesne metody leczenia powinien być bardzo zrównoważony. Dane WHO i doświadczenia wielu krajów pokazują, że inwestowanie w profilaktykę przynosi duże korzyści. W Polsce konieczne jest jednak obecnie również podniesienie nakładów na nowoczesne metody leczenia (zarówno procedury, jak i leki), gdyż dają one wymierne efekty, a pacjenci bardzo na nie czekają. Później jednak warto postawić szczególnie mocno na profilaktykę, gdyż przynosi to więcej korzyści niż leczenie. Zawsze łatwiej jest chorobie zapobiec, niż ją potem wyleczyć.



Prof. Joanna Chorostowska-Wynimko, pulmonolog, zastępca dyrektora ds. nauki, kierownik Zakładu Genetyki i Immunologii Klinicznej Instytutu Gruźlicy i Chorób Płuc

W kontekście mojej specjalności widzę trzy kluczowe kwestie wymagające zdecydowanych działań, w tym większych nakładów finansowych. Po pierwsze, profilaktyka, a zwłaszcza poprawa świadomości społecznej w zakresie czynników chorobotwórczych, których możemy unikać. Świetnym przykładem jest palenie tytoniu. Potrzebujemy atrakcyjnych, nowoczesnych i skutecznych działań edukacyjnych. Po drugie, zapewnienie kompleksowości świadczonych usług zdrowotnych; sprawnie prowadzona diagnostyka jest zwykle kluczem do skutecznego leczenia. Po trzecie, zapewnienie adekwatnej jakości diagnostycznych procedur wysokospecjalistycznych, z zasady bardzo kosztownych. W Polsce brak systemu kontroli i weryfikacji jakości tych usług.

Zapraszamy na debatę oksfordzką tygodnika „Do Rzeczy” i Ministerstwa Zdrowia z udziałem ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego: „6 proc. PKB: więcej na profilaktykę czy na nowoczesne leczenie?”.

4 września 2018 r., godz. 20.30, XXVIII Forum Ekonomiczne w Krynicy, strefa PMPG Business Lounge.
Marszałek debaty: Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”.



Z Magdaleną Lisiecką,
dyrektorką generalną Janssen-Cilag Polska
rozmawia Katarzyna Pinkosz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Płacić za efekt

KATARZYNA PINKOSZ: Jak ocenia pani dostęp polskich pacjentów do nowoczesnych terapii, których wiele pojawiło się w ostatnich latach? Niektóre z nich są wręcz przełomem w leczeniu.

MAGDALENA LISIECKA: Dostęp do nowoczesnych terapii jest coraz lepszy, jednak nadal słaby w stosunku do innych krajów Unii Europejskiej, w tym także do tych o podobnym PKB do naszego, czyli Czech, Rumunii, Węgier. Po pierwsze, proces refundacyjny w Polsce jest bardzo długi. Jeśli lek w końcu dostaje refundację, to bardzo ograniczoną – dedykowaną znacznie mniejszej grupie pacjentów, niż opisuje charakterystyka produktu leczniczego. W wielu krajach lek staje się dostępny w takim zakresie, jaki jest wskazany w ulotce. W Polsce lekarz nie może stosować leków w przypadku wszystkich pacjentów w pełnym zakresie.

Może to dobrze, że lek jest udostępniany tylko tym chorym, którzy odniosą największą korzyść?

Od lat toczy się na ten temat dyskusja. Uważam jednak, że decyzję dotyczącą leczenia powinien móc podjąć lekarz.

Mamy mało pieniędzy na ochronę zdrowia, a terapie są drogie. Liczy się więc skuteczność leczenia, ale też jego koszty.

Na pewno jest za mało pieniędzy na ochronę zdrowia. Cieszy to, że nakłady są zwiększane. To niezbędne dla nas wszystkich – jesteśmy przecież potencjalnymi pacjentami. Cieszą konkretne zapowiedzi członków rządu na temat gwarancji stałego poziomu finansowania leków. Taka deklaracja padała choćby ze strony Ministerstwa Przedsiębiorczości i Technologii. Mowa była o tym, że stanie się to już w połowie roku. Teraz całe środowisko – z pacjentami na czele – oczekuje realizacji.

Ochrona zdrowia jest skomplikowanym systemem naczyń połączonych, który musi być odpowiednio zbilansowany. Mam nadzieję, że 17 proc. budżetu NFZ zostanie rzeczywiście przeznaczony na leki, co znacząco zwiększy dostęp do innowacji. Ważne jest też, żeby pieniądze z porozumień dzielenia ryzyka czy paybacku wracały do źródła, czyli budżetu przeznaczanego na refundację (a nie do ogólnej puli środków NFZ).

W Polsce wciąż przy ocenach AOTMiT ważną rolę odgrywa cena leku. W innych krajach uwzględniane są też koszty pośrednie...

Powinniśmy zacząć od szerszego spojrzenia na daną jednostkę chorobową. Dobre przykłady to np. schizofrenia, choroba Leśniowskiego-Crohna. Często chorują młodzi ludzie, którzy przez fakt zachorowania są „wyrzucani” z rynku pracy. Warto pamiętać, że choroba oznacza nie tylko koszty dla ministra zdrowia (wizyty u lekarza, pobyt w szpitalu, ceny leków), lecz także dla ZUS. Te osoby przebywają na zwolnieniach lekarskich, rentach, często ich rodziny są też obciążone opieką nad pacjentem. To wiele kosztów pośrednich, które niekorzystnie wpływają na gospodarkę. Gdyby pacjenci byli skuteczniej leczeni, nie byłoby tych kosztów, za to wytwarzaliby PKB.

Pay-for-performance oznacza, że jeśli leczenie byłoby skuteczne, to płaciłby za nie NFZ. Jeśli nie – to firma farmaceutyczna. Są kraje, w których z powodzeniem taki system funkcjonuje

Podaje pani przykład choroby Leśniowskiego-Crohna, na którą chorują głównie osoby młode. A jak to wygląda w onkologii czy hematologii?

W Polsce często innowacyjny lek w onkologii czy hematologii jest refundowany tylko dla osób, dla których już nie ma innej opcji leczenia. Nie jest to równoznaczne z tym, że to właśnie te osoby najbardziej zyskają na terapii. Gdyby pacjent wcześniej mógł być właściwie leczony, dużo bardziej by na tym skorzystał.

Pieniądzy w ochronie zdrowia brakuje. Można jednak kilka rzeczy usprawnić, żeby te środki, które są, były wykorzystywane efektywniej. Jeśli chorzy na schizofrenię w 2013 r. kosztowali ZUS 1,1 mld zł, natomiast koszty całkowite związane z ich leczeniem wyniosły 3,1 mld zł, to rodzi się pytanie, ile moglibyśmy zaoszczędzić, gdyby skuteczne terapie były wykorzystywane wcześniej. Często z rynku pracy wypada cała rodzina, która opiekuje się chorym, przechodzi na pół etatu albo w ogóle przestaje pracować.

Obliczono, że jedna osoba ze schizofrenią potrafi wpłynąć na życie 10 osób ze swojego otoczenia. Cieszy to, że niektóre terapie długo działające w schizofrenii są już w Polsce refundowane, bo dzięki temu koszty pośrednie leczenia powinny też spaść. Przykład choroby Leśniowskiego-Crohna: 70 proc. pacjen-

tów jest poniżej 30. roku życia. Jeśli nie mają właściwego leczenia, to przestają pracować. Koszty pośrednie rosną. Niestety, przy decyzjach o refundacji myśli się głównie o tym, że lek jest drogi, nie patrząc na to, jakie efekty przyniesie jego stosowanie.

Coraz częściej takie analizy farmakoekonomiczne są jednak wykonywane...

Jest w Polsce wiele zmian w dobrym kierunku. Jeśli jednak nie przyspieszymy, to dystans między nami a innymi krajami będzie rosnąć. Potrzebne są zmiany systemowe, które skrócą proces refundacyjny, nadadzą mu większą transparentność. Chciałabym móc przewidzieć, który lek ma szansę refunda-

cyjne. Wiele terapii miało pozytywne decyzje AOTMiT, ale ostatecznie nie zostały zrefundowane. Bywa też odwrotnie. Negatywne cechy naszego systemu to dziś nieprzewidywalność, długość procesu refundacyjnego, koncentrowanie się na cenie, możliwość stosowania leków tylko u wąskiej grupy pacjentów.

Jak rejestry medyczne mogłyby usprawnić proces refundacji?

Pozwoliłyby na zaoszczędzenie znacznych środków finansowych – widzielibyśmy, jak lek działa, którzy pacjenci najlepiej na niego odpowiadają. Ministerstwu dałoby to możliwość efektywnego negocjowania z przemysłem farmaceutycznym, gdyż możliwe byłoby stosowanie mechanizmów dzielenia ryzyka opartych na wyniku klinicznym. Krótko mówiąc, państwo płaciłoby tylko za skuteczne leczenie. A lekarze widzieliby, u których pacjentów jest ono najbardziej efektywne. Najbardziej zyskałby jednak pacjent, który otrzyma najwłaściwsze leczenie. Rejestry umożliwiłyby rozwój opieki koordynowanej, bo moglibyśmy przewidzieć, kiedy chorym powinien zająć się specjalista, a kiedy lekarz pierwszego kontaktu. Zyskaliby pacjenci i budżet, ponieważ stworzenie rejestru kosztuje znacznie mniej, niż można by było zyskać dzięki poczynionym oszczędnościom.

Co by pani napisała na recepcie dla polskiej ochrony zdrowia?

Po pierwsze: 17 proc. budżetu NFZ na leki. Po drugie: pieniądze z instrumentów dzielenia ryzyka i paybacku wracające na subkonto dedykowane lekom. Po trzecie: wprowadzenie mechanizmu płacenia za efekty.

To znaczy, że NFZ płaciłby tylko wtedy, gdyby leki okazały się skuteczne? A jeśli nie byłoby efektu?

To za leczenie płaciłaby firma. Na tym polega płacenie za efekty leczenia. Ten mechanizm jest bardzo przejrzysty. Dla przemysłu ważne byłoby, aby nie łączyć go z innymi, gdyż pay-for-performance to wystarczająca odpowiedzialność po stronie firmy.

Jak jednak stwierdzić, że lek jest efektywny? W przypadku jednego będzie to wydłużenie życia o kilka lat, dla innego – o kilka miesięcy.

Mierzalność musi być indywidualna dla każdego leku. Trzeba dobrze opisać efekt terapeutyczny, czy jest nim np. wydłużenie życia czy zmniejszenie masy guza. Mamy się jednak od kogo uczyć. Są kraje, w których z powodzeniem taki system funkcjonuje, np. Włochy, Czechy, Skandynawia.

To dobre rozwiązanie dla firm? Mówimy: „Sprawdzam”.

Jest dobre dla firm, które mają skuteczne leki, a pacjenci potrzebują właśnie skutecznego leczenia.

W jakich dziedzinach mają państwo leki, w stosunku do których chcieliby państwo wprowadzenia mechanizmu płacenia za efekty?

Myślę, że warto zacząć od onkohematologii. W przypadku nowotworów krwi leczenie opiera się na farmakoterapii, a więc dostęp do innowacji jest kluczowy.

Niedawno wiceminister Marcin Czech przedstawił projekt „Polityki lekowej państwa”. Jak pani ocenia ten dokument?

Gratuluje panu ministrowi tego dokumentu. Są wytyczne, cele strategiczne, metody dojścia. Uważam, że to bardzo dobry dokument. Są jednak elementy, które powinny zostać szerzej skonsultowane. Środowisko klinicystów jest np. zaniepokojone propozycją zmiany finansowania leków kupowanych obecnie centralnie w ramach narodowych programów. Lekarze podkreślają, że w tych obszarach programy stosowane w Polsce uważane są za wzorcowe i zbieżne z priorytetami WHO.



Z prof. Maciejem Krzakowskim, krajowym konsultantem w dziedzinie onkologii klinicznej
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Rak płuca bez „białych plam”?

FOT. FOTOLIA

KATARZYNA PINKOSZ: Majowe i lipcowe listy refundacyjne przyniosły wiele zmian dla chorych na raka płuca. Czy dziś onkolodzy w Polsce mają już pełne możliwości walki z zaawansowanym nowotworem płuca?

PROF. MACIEJ KRZAKOWSKI: W rozwoju onkologii obecnie jest taki moment, że z kwartału na kwartał pojawiają się nowe, naukowo uzasadnione możliwości leczenia. Ostatnio w recenzowanym czasopiśmie przedstawiono wyniki badania, które wykazało większe korzyści ze skojarzonego zastosowania immunoterapii i chemioterapii w porównaniu z samą immunoterapią. Metoda nie jest jednak jeszcze nigdzie zarejestrowana, a tym bardziej nie jest refundowana. Mamy jednak świadomość, jak wiele się zmienia.

Mogę powiedzieć, że w przypadku metod zarejestrowanych w leczeniu niedrobnokomórkowego raka płuca leczenie chorych z mutacją w genie EGFR uważam za kompletne. Jeśli zaś chodzi o leczenie chorych z rzadkimi zaburzeniami molekularnymi, przede wszystkim rearanżacji w genie ALK, to brakuje nam leczenia anty-ALK w pierwszej linii. Wspomnianą nieprawidłowość genetyczną ma ok. 3 proc. chorych – często występuje ona u stosunkowo młodych ludzi, którzy nigdy nie palili papierosów.

Chorzy ci nie reaguja na inne metody leczenia. Zastosowanie leczenia anty-ALK w pierwszej linii przynosi w ich przypadku bardzo duże korzyści. Szkoda, że na razie nie jest dla nich w Polsce możliwe optymalne leczenie w pierwszej linii.

Jeśli zaś chodzi o immunoterapię, to jest ona bardzo bliska kompletności. Nie ma jedynie refundowanej opcji dla chorych z rakiem gruczołowym w drugiej linii leczenia. Chociaż – muszę przyznać – ten problem od 1 lipca zmniejszył się ze względu na wprowadzenie do programu lekowego raka gruczołowego nintedanibu (leku antyangiogennej) w połączeniu z chemioterapią.

Jak duża grupa chorych na raka gruczołowego nie ma obecnie zapewnionego leczenia?

Niewielka, to może być ok. 200–300 osób w Polsce rocznie. Jest dla nich opcja leczenia, ale nie jest ona optymalna. Niektórzy chorzy mają przeciwwskazania

do leczenia antyangiogennej – np. niekontrolowane nadciśnienie tętnicze lub chorobę zakrzepowo-zatorową – i nie można w ich przypadku zastosować nintedanibu. Można u nich więc zastosować tylko chemioterapię. Gdyby był dla nich dostępny lek z zakresu immunoterapii, na pewno byłby dla nich lepszą opcją.

Najkorzystniejsza jest zawsze możliwość wyboru leczenia i jak najlepszego dostosowania go do profilu pacjenta. Personalizacja leczenia polega na tym, że dobieramy lek do charakterystyki chorego i nowotworu. Są przecież też chorzy, u których nie można zastosować immunoterapii, gdyż np. występują u nich choroby autoimmunologiczne.

Leki immunologiczne stały się przełomem w leczeniu czerniaka. W przypadku raka płuca też to jest widoczne?

Na pewno są dużym postępem. Immunoterapia to ogromny krok naprzód.

Musimy nauczyć się identyfikować – prawdopodobnie za pomocą testów genetycznych lub molekularnych – grupę osób najbardziej zagrożonych i w niej przeprowadzać badania skriningowe. Przede wszystkim nie wolno jednak palić papierosów

Obecnie w raku płuca są zarejestrowane trzy leki, z czego w Polsce są dostępne dwa w programach lekowych. To przeciwciała monoklonalne anty-PD1, czyli pembrolizumab i niwolumab. Nie jest refundowany trzeci, atezolizumab, który jest receptorem anty-PDL-1. Różnice w mechanizmie działania nie powodują jednak znaczących różnic między aktywnością przeciwnowotworową tych leków. Powiedziałbym, że różnice wynikają raczej ze sposobu kwalifikowania chorych do badań klinicznych. W przypadku leków immunoregulujących znaczenie predykcyjne ma ekspresja receptora PDL-1. Nie jest to na pewno jedyny czynnik predykcyjny, jednak na razie innego nie znamy. Badanie kliniczne z zastosowaniem pembrolizumabu w pierwszej linii leczenia było pozytywne, niwolumabu – negatywne, jednak do badania pembrolizumabu włączano chorych „optymalnych”, czyli z bardzo wysoką ekspresją PDL-1. W przypadku niwolumabu kwalifikowani byli wszyscy chorzy. Być może właśnie to zaważyło na ogólnym wyniku badania, a z czasem okaże się, że terapie immunoregulujące są równoważne.

Immunoterapia jest skuteczna?

To leki, na które reaguje duży odsetek chorych, a jeśli reagują, to korzyści z leczenia z reguły są długotrwałe. Poza tym są to leki dobrze tolerowane. Oczywiście immunoterapia też może mieć działania niepożądane, są one jednak zdecydowanie rzadsze niż w przypadku chemioterapii. W badaniach rejestracyjnych proporcja poważnych działań niepożądanych – czyli w stopniu trzecim, czwartym – po zastosowaniu chemioterapii oraz immunoterapii wynosiła 55 proc. wobec 10–15 proc. To znaczy, że w przypadku chemioterapii 55 proc. chorych miało poważne działania uboczne związane z leczeniem, a w przypadku immunoterapii – 10–15 proc.

U jak wielu chorych można zastosować leki immunologiczne?

Na możliwość pełnego wykorzystania immunoterapii w niedrobnokomórkowym raku płuca mają wpływ problemy z diagnostyką, ponieważ konieczna jest ocena ekspresji czynnika PDL-1. Z tym w Polsce nie jest najlepiej, aczkolwiek jest kilka zakładów diagnostyki molekularnej, w których – we współpracy z patomorfologami – można wykonywać tego typu badania. Poprawa diagnostyki molekularnej jest jednak konieczna,

ponieważ „w kolejce” czekają następne możliwości wykorzystania leków immunoregulujących, np. w leczeniu nowotworów układu pokarmowego i chłoniaków. Bardzo dobre efekty mogłoby dać również zastosowanie immunoterapii we wcześniejszych etapach leczenia raka płuca po radio- i chemioterapii w leczeniu konsolidującym.

Obecnie dostępu do optymalnej terapii nie mają też chorzy z niepłaskonabłonkowym rakiem płuca...

Atezolizumab przechodzi obecnie procedurę refundacyjną. Jeśli w programie lekowym znajdzie się trzeci lek immunologiczny, to wówczas będzie to korzystne. Konkurencja może być też korzystna z ekonomicznego punktu widzenia, dlatego warto, żeby również ten lek znalazł się w programie leczenia raka płuca, pod warunkiem że leczenie nim będzie na podobnym poziomie cenowym. Ten lek w drugiej linii leczenia raka gruczołowego wypełniłby pewną lukę – chociaż, jak wspomniałem, nintedanib moim zdaniem jest rozsądną opcją także dla tych chorych.

Czy widzi pan możliwość, żeby leczenie raka płuca stało się leczeniem bez „białych plam”, czyli żeby wszyscy chorzy mieli do niego dostęp, niezależnie od podtypu nowotworu?

Tak, podobnie jak to się dzieje w czerniaku, raku jelita grubego i raku nerki. W przypadku raka niedrobnokomórkowego jest to bardzo bliskie. Prace nad programem cały czas trwają. Trzeba jednak mieć w pamięci, że takich obszarów, w których dokonuje się ewolucja w leczeniu, jest bardzo wiele. W kolejce do nowej opcji leczenia czekają też chorzy na szpiczaka, chłoniaki, nowotwory układu pokarmowego.

Nowe leki, nowe opcje to nadzieja dla chorych...

Dla chorych najbardziej optymistyczne jest to, że jest pole manewru, staje się możliwe tzw. indywidualizowanie postępowania. Gdybyśmy dysponowali tylko jedną opcją leczenia, to byłoby to trudne dla chorego, bo jeśli leczenie nie powiodłoby się, to nie mielibyśmy nic. Jeżeli mamy coś w zanadru, to dla chorego zawsze jest lepiej z psychologicznego punktu widzenia.

Jak w tej chwili wyglądają efekty leczenia raka płuca?

Zaledwie 14 proc. wszystkich chorych, u których rozpoznano raka płuca, przeżywa pięć lat i więcej. To bardzo mało w stosunku do oczekiwań. Gorsze efekty są tylko w raku trzustki i raku pęcherzyka żółciowego. W większości krajów Europy wskaźnik przeżyć pięcioletnich oscyluje wokół 14–15 proc., ale są też takie kraje, w których wynosi zaledwie ok. 10 proc. Na tle Europy nie wypadamy więc tak źle.

Mimo tego, że nie wszystkie leki są w Polsce dostępne?

Tak, dlatego że wieloletnie przeżycia w dużej mierze zależą od wczesnego wykrywania, możliwości leczenia chirurgicznego, radioterapii. W Polsce od lat poziom torakochirurgii jest bardzo wysoki. Mamy świetnych specjalistów.

Co w takim razie można zrobić, żeby z 14 proc. pięcioletnich przeżyć zrobiło się co najmniej 50 proc.?

Raka płuca trzeba wcześniej wykrywać. Potrzebny byłby skrining skierowany do grup wysokiego ryzyka. Musimy nauczyć się identyfikować – prawdopodobnie za pomocą testów genetycznych lub molekularnych – grupę osób najbardziej zagrożonych i w niej przeprowadzać badania skriningowe. Przede wszystkim nie wolno palić papierosów. U mężczyzn umieralność z powodu raka płuca spadła, gdyż zmniejszyła się liczba palaczy. Śmiertelność u kobiet rośnie, gdyż coraz więcej kobiet pali.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Maciej Krzakowski – kierownik Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii-Instytutu im. M. Skłodowskiej-Curie w Warszawie.



Barbara Jagas

Rak jelita grubego to druga po raku płuca przyczyna zgonów z powodu nowotworów w Polsce. Wielu chorych mogłoby żyć dłużej, gdyby mieli szansę na leczenie w trzeciej i czwartej linii

Wielu pacjentów z rozsiałym rakiem jelita grubego to osoby aktywne, w pełni sił, pełniące funkcje rodzinne, społeczne, niejednokrotnie także zawodowe – mówi dr n. med. Barbara Radecka, ordynator Oddziału Onkologii Klinicznej w Opol-skim Centrum Onkologicznym. Zaawansowana choroba nowotworowa nie oznacza dziś końca życia. Jest możliwe dalsze w nim uczestniczenie pod warunkiem, że wdroży się odpowiednie leczenie.

– Chory powinien móc skorzystać z kilku kolejnych linii leczenia – przekonuje dr Radecka. – Nawet jeśli jego choroba będzie postępować, kolejne terapie spowolnią jej przebieg i pozwolą wydłużyć życie – dodaje.

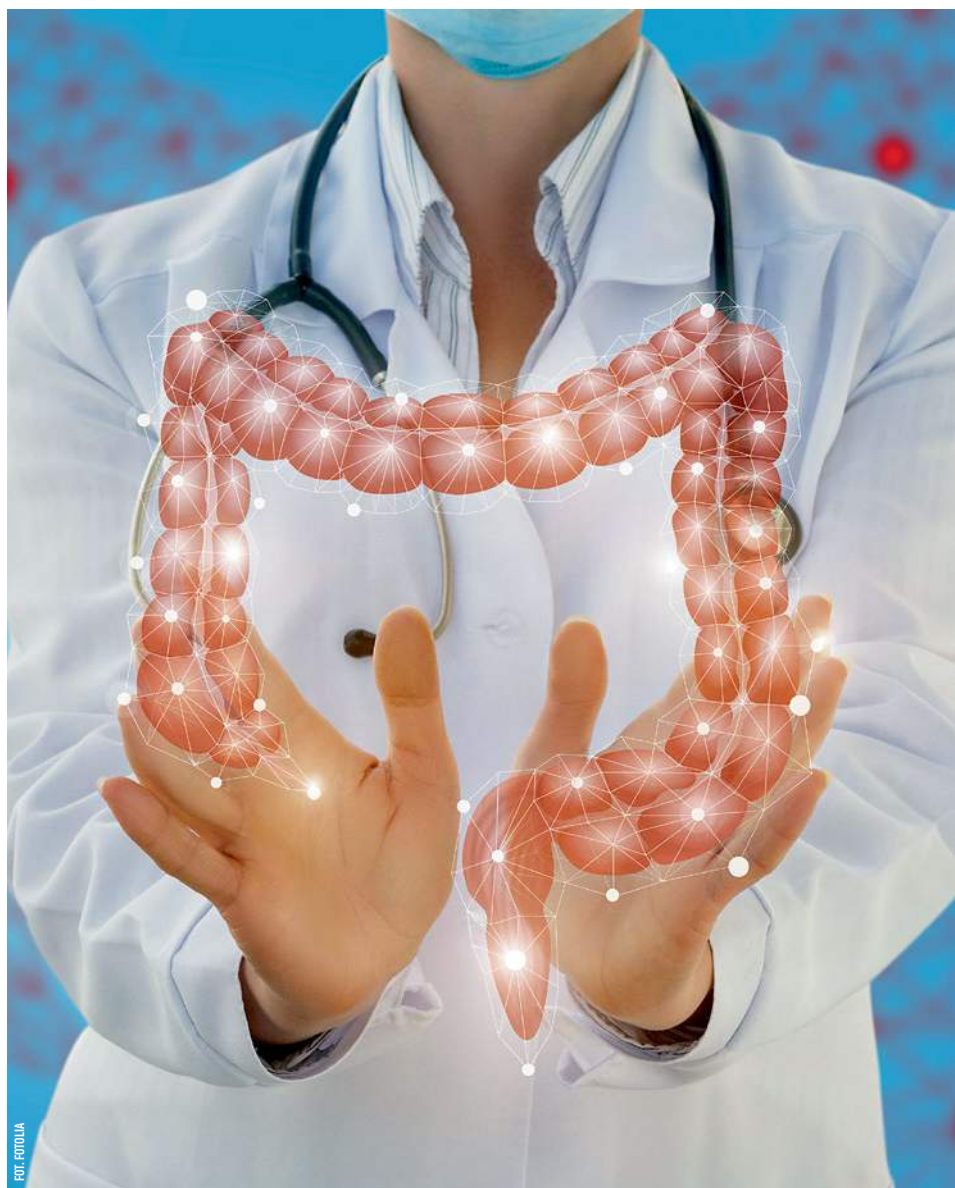
W 2016 r. na raka jelita grubego w Polsce zachorowało 19 tys. osób. Co roku liczba nowych zachorowań rośnie średnio o trzy punkty procentowe. Prognozy wskazują, że w 2030 r. na taki nowotwór zachoruje ok. 28 tys. osób.

CZYNNIKI RYZYKA

Kiedyś uważano, że krew w stolcu jest pierwszym objawem raka jelita i w takiej sytuacji powinno się natychmiast udać do lekarza. Dzisiaj wiadomo, że choroba nowotworowa długo się rozwija i przez wiele lat może nie dawać żadnych objawów. Powodem do niepokoju są jednak zaburzenia rytmu wypróżnień, naprzemienne biegunki i zaparcia, a także zaparcia, które wcześniej nie występowały. Inne objawy to lejące się stolce przypominające strużkę lub stolce wąskie jak ołówek.

Najważniejszym czynnikiem ryzyka jest jednak wiek – żyjemy coraz dłużej, stąd coraz więcej osób zapada na raka jelita grubego. Chorują jednak też ludzie młodzi – zwykle wtedy nowotwór jest uwarunkowany genetycznie.

– Ryzyko zachorowania zmniejsza się, jeśli utrzymujemy odpowiednią masę



FOT. FOTOLIA

Leczyć

zgodnie z rekomendacjami

ciała, stosujemy tzw. dietę bogatoresztową zawierającą błonnik, co zapobiega zaparciom i pozwala na regularne oczyszczanie. Korzystna jest też aktywność fizyczna – podkreśla dr Radecka. Z kolei nadmierne spożywanie czerwonego mięsa przyczynia się do powstania raka jelita grubego. Profesor Marek Wojtukiewicz z Kliniki Onkologii UM w Białymstoku jako czynnik ryzyka wymienia jeszcze siedzący tryb życia: spędzanie powyżej dziewięciu godzin dziennie przed telewizorem zwiększa ryzyko zachorowania o 60 proc. Przypuszcza się, że także niedobory wapnia i witaminy D sprzyjają rozwojowi tego typu nowotworu.

Badaniem, które kontroluje stan jelit i sygnalizuje niepokojące zmiany, jest kolonoskopia. Pozwala wykluczyć raka jelita grubego lub rozpoznać go we wczesnym stadium, gdy nie daje jeszcze objawów. Każdy po 50. roku życia powinien zrobić to badanie, a potem powtarzać je co 10 lat. W przypadku osób, które są obciążone rodzinnie rakiem jelita grubego, kolonoskopię należy wykonać wcześniej, już po 40. roku życia.

SZANSA NA ŻYCIE

Rak jelita grubego w początkowym stadium jest uleczalny. Tylko u niewielkiej części chorych po kilku latach mogą pojawić się nawroty. Wczesne rozpoznanie to szansa na życie. Nawet najnowocześniejsze leki stosowane w chorobie zaawansowanej nie dają chorym tyle szans, ile wczesne rozpoznanie. Niestety, aż jedna czwarta chorych już w momencie rozpoznania ma chorobę w stadium rozsiania do odległych narządów.

– Mimo że rak z przerzutami jest chorobą nieuleczalną, to jednak poddaje się leczeniu. I tu obserwujemy wyraźny postęp – mówi dr Radecka. Dwaście lat temu osoby z zaawansowanym nowotworem jelita grubego żyły średnio sześć–osiem miesięcy. Dzisiaj średnia to trzy lata, a wielu chorych żyje znacznie dłużej. To zasługa nowoczesnego leczenia.

W 2017 r. w Polsce dokonała się olbrzymia zmiana, jeśli chodzi o leczenie: nowoczesne leki weszły do refundacji.

– Dostaliśmy narzędzia, które umożliwiły pomoc chorym. Od ubiegłego roku mogą oni korzystać z nowoczesnych leków biologicznych już w pierwszej linii leczenia, gdy choroba jest na leczenie najbardziej wrażliwa – tłumaczy dr Radecka. – To leki, które nie leczą całkowicie choroby

rozsianej, ale skutecznie ją spowalniają, czyniąc przewlekłą. Chorzy często pozostają w dobrym stanie, normalnie funkcjonują: pracują, uczą się, korzystają z życia – dodaje dr Radecka.

Niestety, po pewnym czasie dochodzi do wznowy choroby i konieczne jest zastosowanie kolejnej linii leczenia. Nowotwór uodparnia się na zastosowany lek, należy więc podać inny. Ważne, aby tych kolejnych możliwości (tzw. linii leczenia) było więcej. – Niestety, w tym zakresie nie mamy w Polsce dobrej sytuacji. Brak bowiem refundacji dwóch leków, które są zalecane przez międzynarodowe towarzystwa naukowe w kolejnych liniach leczenia. Mowa tu o nowym cytostatyku, będącym połączeniem triflurydyny z typiracylem, oraz molekularnym leku – regorafenibie. Oba preparaty są

Zawsze okres przeżycia jest krótszy. Są jednak chorzy, którzy mogą przeżyć rok, a może i więcej. Profesor Wojtukiewicz podkreśla, że pacjentami są osoby w dobrym stanie, a terapia nie tylko powoduje wydłużenie życia, lecz także pozostawia chorych w dobrej kondycji.

Brak leku powoduje u chorych stres, niepokój, poczucie beznadziei. – Brak kontynuacji leczenia jest postępowaniem nieludzkim, ponieważ chorzy po efektywnym leczeniu rozsianego raka nagle dostają informację, że mogą teraz już tylko czekać na to, aż przerzuty się rozwiną – mówi Błażej Rawicki z EuropaColon Polska, stowarzyszenia, które wraz z innymi organizacjami pacjenckimi złożyło do ministra zdrowia dwie petycje w sprawie refundacji leków.

Brak kontynuacji leczenia jest postępowaniem nieludzkim. Chorzy po efektywnym leczeniu rozsianego raka nagle dostają informację, że teraz mogą już tylko czekać, aż przerzuty się rozwiną

w formie doustnej, a pierwszy z nich jest szczególnie dobrze tolerowany, co też ma ogromne znaczenie w przewlekłej terapii – mówi dr Radecka.

Te leki są z powodzeniem stosowane w 19 krajach Europy, w tym w Czechach, na Słowacji, Węgrzech, a także w Grecji i Portugalii, czyli państwach o podobnym PKB do naszego. W Polsce na razie nie dostały refundacji. Rocznie takie leczenie powinno otrzymać od tysiąca do 1,5 tys. chorych. To osoby sprawne, dobrze się czujące, niejednokrotnie aktywne zawodowo.

NIELECZENIE? TO NIELUDZKIE!

– Zostałem lekarzem po to, aby ratować życie ludzkie i poprawiać sytuację zdrowotną chorych. A w tej chwili brakuje nam terapii dla chorych z rozsia-
nym rakiem jelita grubego, które miałyby zastosowanie w trzeciej i czwartej linii – mówi prof. Marek Wojtukiewicz. – W chorobie nowotworowej dobre rezultaty daje zmiana leków na takie o innym mechanizmie działania, a takie warunki spełniają obydwa leki: triflurydyna z typiracylem oraz regorafenib – tłumaczy prof. Wojtukiewicz.

Nigdy w trzeciej linii nie uzyska się takich rezultatów jak w pierwszej i drugiej.

Organizacje skupiające chorych na raka jelita grubego proszą o ratunek dla siebie i swoich bliskich, a także o umożliwienie lekarzom wykonywania swojego zawodu, czyli niesienie pomocy chorym. Polski lekarz powinien mieć możliwość leczenia zgodnie z aktualną wiedzą medyczną, co oznacza dostęp do wszystkich opcji terapeutycznych rekomendowanych przez międzynarodowe towarzystwa naukowe, takie jak ESMO. A takimi lekami są triflurydyna/tipiracyl i regorafenib.

– Ludzie w Polsce muszą umierać wcześniej, bo nie mają możliwości skorzystania z terapii, którą oferuje im współczesna medycyna. Obywatele innych krajów europejskich mogą liczyć na nowoczesne leczenie raka jelita, a my nie. Z odbytej korespondencji wiemy, że jedna z firm oferujących wyżej wymienione leki zaproponowała polskim pacjentom cenę najniższą w Europie, a rekomendacje towarzystw naukowych (m.in. ESMO) i zagranicznych agencji refundacyjnych, w tym brytyjskiej NICE, są pozytywne – kwituje Błażej Rawicki.

Zaniepokojeni są lekarze, chorzy, rodziny, a także wszyscy, którzy dowiadują się, że w przypadku zachorowania system ochrony zdrowia może odmówić im pomocy.



**Z prof. Piotrem Ponikowskim,
prezesem Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego**
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Wzmocnimy serca Polaków



KATARZYNA PINKOSZ: Choroby układu krążenia to wciąż główna przyczyna zgonów w Polsce, jednak z ostatniego raportu GUS wynika, że procentowo ich liczba nieco się zmniejsza. Jako społeczeństwo jesteśmy bardziej świadomi zagrożeń?

PROF. PIOTR PONIKOWSKI: To ważna informacja w kontekście zainicjowanych przez Ministerstwo Zdrowia zmian systemowych. Środowisko kardiologiczne bardzo cieszy się z deklaracji, które padły z ust premiera Mateusza Morawieckiego oraz ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego, że kardiologia, obok onkologii, jest priorytetem w działaniach rządu.

Jeszcze ćwierć wieku temu liczba osób, które umierały z powodu chorób sercowo-naczyniowych, była zdecydowanie wyższa niż obecnie. Nadal jednak są one procentowo główną przyczyną

zgonów. Wszyscy mają świadomość czynników ryzyka, którymi są: palenie papierosów, nieprawidłowa dieta, brak aktywności fizycznej. Czy jednak wiedza przekłada się na zdrowszy tryb życia? Takie zmiany nie zachodzą szybko.

W polskiej kardiologii w ciągu ostatnich kilkunastu lat dokonał się jednak przełom. Jesteśmy w czołówce krajów UE, jeśli chodzi o system leczenia ostrego zespołu wieńcowego, czyli zawału serca. Międzynarodowe instytucje naukowe, w tym m.in. Europejskie Towarzystwo Kardiologiczne i Amerykańskie Towarzystwo Kardiologiczne, dostrzegają nasz sukces. Taki przełom nie dokonał się w innych dziedzinach medycyny. Gdy 30 lat temu zaczynałem pracę, śmiertelność w ostrym zawału serca w szpitalach

siegała 25 proc. Co czwarty chory umierał. Dzisiaj śmiertelność w ostrym zawału w najlepszych ośrodkach jest niższa niż 5 proc.

Sukcesem jest zmniejszenie wczesnej śmiertelności po zawału serca. Problemem pozostaje nadal śmiertelność późna, np. rok po zawale...

Niestety, to prawda. Dlatego kolejnym krokiem systemowej zmiany jest wprowadzenie koordynowanej opieki nad pacjentem po zawału serca (program KOS-zawał). Wobec pacjenta, który trafia do szpitala z objawami zawału, w pierwszej kolejności podejmowane są działania, które służą ratowaniu życia. Po ustabilizowaniu stanu chory wraca do domu. Nie zostawiamy go jednak samemu sobie.

Moje osobiste doświadczenia z funkcjonowania programu w macierzystej klinice są bardzo dobre. Do programu już weszło u nas sto kilkadziesiąt osób, 80 proc. z nich zakończyło rehabilitację. Pacjenci po zawale, wychodząc ze szpitala, dostają informację, jak przez następny rok będą wyglądały opieka nad nimi i przysługująca im w tym czasie rehabilitacja kardiologiczna. Potem konieczna jest wizyta, podczas której oceniamy, czy pacjent ma wskazania do dalszego interwencyjnego leczenia. Na cały rok ma rozpisane wizyty w ośrodku – jest pod stałą opieką specjalistów. O takiej dostępności do świadczeń trudno mówić nawet w innych krajach Europy. Szacuje się, że opieką pozawałową w ramach programu KOS-zawał objęto dotąd w całej Polsce ok. 8 tys. pacjentów. Potencjał tego programu jest znacznie większy. Liczymy, że obejmie on wkrótce swoim zasięgiem większą grupę potrzebujących.

W dniach 13–15 września w Krakowie odbędzie się XXII Międzynarodowy Kongres Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego pod hasłem: „Niewydolność serca – zatrzymać epidemię”. To już naprawdę epidemia?

Kongres PTK jest jednym z największych wydarzeń medycznych w Polsce. Gromadzi ponad 5 tys. uczestników z Polski i zagranicy. To najważniejsze spotkanie środowiska kardiologicznego w naszym kraju. Jest kierowane do kardiologów, kardiochirurgów, lekarzy medycyny rodzinnej, internistów, pielęgniarek, techników medycznych oraz studentów medycyny.

Niewydolność serca to jeden z najpoważniejszych problemów, a także jedno z największych wyzwań, przed którymi stoi współczesna kardiologia nie tylko w Polsce, lecz także w Europie i na

świecie. Ludzie żyją coraz dłużej, a jednocześnie podnosi się standard opieki nad pacjentami, co powoduje, że rośnie liczba osób dotkniętych przewlekłymi chorobami serca i długotrwale leczonych kardiologicznie. Niewydolność serca, końcowy etap przewlekłych chorób układu sercowo-naczyniowego, jest epidemią początku XXI w., jeśli chodzi o choroby układu krążenia. Musimy zrobić wszystko, aby pacjenci – m.in. pacjenci po zawale serca – jej nie rozwijali. To ona jest obecnie najważniejszą przyczyną zgonów z przyczyn sercowo-naczyniowych.

Szukują liczby: w Polsce na niewydolność serca choruje milion osób. Czy ludzie są świadomi, jakim zagrożeniem jest niewydolność serca?

Niewydolność serca jest epidemią XXI w. W Polsce powstaje pierwszy na świecie program systemowego leczenia. W żadnym innym kraju na taką skalę nikt takiego programu nie realizował

Nie, wiedza na ten temat nie jest wystarczająca. Mówimy o milionie Polaków z niewydolnością serca, ale też o 12 mln osób zagrożonych! Musi pojawić się świadomość choroby, ale też świadomość zagrożenia. Niewydolność serca to zespół chorobowy, któremu można zapobiegać i skutecznie go leczyć – napisaliśmy to w zaleceniach Europejskiego Towarzystwa Kardiologicznego w roku 2016. Chcemy zwiększać świadomość społeczną w tym zakresie i dlatego, wspólnie z Ministerstwem Zdrowia i przy wsparciu mediów, planujemy kampanię informacyjną poświęconą świadomości niewydolności serca. To nie może być jednorazowa akcja, tylko stała działalność edukacyjna skierowana do szerokiego grona odbiorców.

Czym właściwie jest niewydolność serca?

To zespół objawów klinicznych, które się pojawiają, kiedy serce nie jest w stanie dostarczyć odpowiedniej ilości krwi/tłenu, aby zaspokoić potrzeby metaboliczne organizmu. Głównym objawem jest nietolerancja wysiłku, która manifestuje się dusznością (na początku wysiłkową, później także spoczynkową) i zmęczeniem.

W Polsce jest trzy razy więcej chorych z niewydolnością serca niż chorych po zawale. Rocznie z tego powodu hospitalizowanych jest ok. 180 tys. osób. Z powodu NS umiera dwa razy więcej osób niż z powodu zawału serca.

Można zatrzymać epidemię niewydolności serca?

Najważniejsze są profilaktyka oraz kompleksowa, skoordynowana opieka nad pacjentem. Rozwiązaniem systemowym, które zaproponowaliśmy, jest przygotowany przez Polskie Towarzystwo Kardiologiczne we współpracy z Ministerstwem Zdrowia program KONS – system Koordynowanej Opieki nad Pacjentami z Niewydolnością Serca. Ma charakter narodowego programu na rzecz skutecznego zapobiegania i leczenia niewydolności serca oraz kompleksowej opieki nad pacjentami z tą chorobą.

Opracowała go grupa ekspertów – nie tylko kardiologów, lecz także specjalistów w zakresie organizacji ochrony zdrowia,

cyjnego, elektrofizjologa, kardiochirurga. Pacjent i jego rodzina będą też pod opieką psychologa oraz dietetyka, a także pozostaną w stałym kontakcie z pielęgniarką, przydzieloną konkretnemu choremu.

To pierwszy na świecie tego typu program opieki nad chorymi z niewydolnością serca?

W żadnym innym kraju na taką skalę nikt takiego programu nie realizował. Dlatego oprócz aspektu praktycznego będziemy mogli pochwalić się naukową stroną programu. Będą to unikalne doświadczenia. Dane, które pozyskamy, posłużą do budowania zaleceń leczenia niewydolności serca.

Cieszę, że Polska jest liderem w leczeniu zawałów serca, ma też szansę stać się liderem leczenia niewydolności serca. Czy te działania spowodują zmniejszenie śmiertelności z powodu chorób układu krążenia?

Nie mam co do tego wątpliwości, właśnie dlatego to robimy.

A jak prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego dba o swoje serce?

Ważna jest regularna aktywność fizyczna, czyli cztery–pięć razy w tygodniu, po 45–60 minut. Wstaję zazwyczaj o godz. 5 i biegam cztery–pięć razy w tygodniu, w sumie ok. 70–80 km tygodniowo. Obecnie przygotowuję się do kolejnego maratonu. Gdy ktoś mnie pyta, skąd przy wszystkich aktywnościach mam na to czas, odpowiadam, że trzeba tylko odpowiednio ustawić priorytety. © © Wszelkie prawa zastrzeżone

zarządzania i finansów pod przewodnictwem prof. Jadwigi Nessler z Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest unikalny w skali Europy. Zakłada, że pacjent z niewydolnością serca znajduje się pod stałą koordynowaną opieką. Dwuletni pilotaż programu rozpocznie się jeszcze w tym roku. Obejmuje ponad 10 tys. osób z niewydolnością serca. Jeśli się uda, to od 2021 r. chcemy wprowadzić program KONS w całej Polsce.

Co KONS da pacjentowi?

Kluczowym elementem programu KONS ma być koordynacja opieki zdrowotnej na wszystkich poziomach. To całościowy, spójny system obejmujący opiekę ambulatoryjną, szpitalną i domową. Podstawą jest opieka nad chorym sprawowana przez cały zespół: lekarza rodzinnego (POZ), pielęgniarki, specjalistów. Po konsultacji z lekarzem rodzinnym pacjent z podejrzeniem niewydolności serca trafia do programu, a następnie jest kierowany na diagnostykę do ośrodków różnej referencyjności, w zależności od tego, jakich badań wymaga. Po potwierdzeniu diagnozy i ustaleniu leczenia wraca do lekarza rodzinnego, który jest w stałym kontakcie ze specjalistą. Niewielka grupa chorych z bardzo zaawansowaną niewydolnością serca pozostanie pod opieką tzw. centrów doskonałości, w których pacjenci będą poddani najbardziej specjalistycznemu leczeniu, z udziałem kardiologa interwen-



prof. Piotr Ponikowski – prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Serca UM im. Piastów Śląskich we Wrocławiu i Kliniki Kardiologii Szpitala Wojskowego we Wrocławiu.

AGNIESZKA RYBAK: „Innowacja” to bardzo modne słowo. Każdy chce być bardzo innowacyjny. A jaka jest polska medycyna?

PROF. PAWEŁ BUSZMAN: Przede wszystkim trzeba uporządkować pojęcia. Czym innym jest innowacyjność, czym innym nowoczesność. Innowacyjność to absolutnie nowe i unikalne rozwiązanie. Nowoczesność dotyczy tego, co zostało wprowadzone niedawno, ale już się popularyzuje. W Polsce jest mało dziedzin nowoczesnych, jeszcze mniej innowacyjnych. Zaraz po reformie Jerzego Buzka wydawało się, że są szanse na szybki rozwój polskiej medycyny. Dostęp do nowoczesnych procedur, czyli do leczenia zgodnie z wymogami międzynarodowymi, znacznie się zwiększył. Zostało to jednak powstrzymane przez dramatyczne obniżanie wycen procedur szpitalnych.

Czy to znaczy, że się nie liczymy?

W wielu dziedzinach jesteśmy międzynarodowymi ekspertami. Częściej jednak powielamy to, co zrobili inni, wprowadzamy jakieś modyfikacje uprzednio wymyślonych rozwiązań. Ubolewam, bo w niektórych dyscyplinach byliśmy pionierami, a Polska odstaje od czołówek krajów wysoko rozwiniętych. Nie doczekaliśmy się jeszcze medycznego Nobla, ale staramy się nadążyć, drobnymi krokami idziemy do przodu, ucząc się nowych technologii. Czasami udaje się wprowadzić nowe rozwiązania organizacyjne, np. stworzenie małych ośrodków sercowo-naczyniowych, leczących zawały serca. Odnieśliśmy sukces na skalę światową, bo liczba zgonów z powodu choroby wieńcowej i zawału serca istotnie się zmniejszyła. Niestety, próba wprowadzenia podobnego rozwiązania dla chorych z rozsianą miażdżycą tętnic wieńcowych i obwodowych na razie nie zainteresowała decydentów. Mam nadzieję, że i z tym pomysłem się przebijemy.

Pana Centrum Badawczo-Rozwojowe American Heart of Poland próbuje jednak robić rzeczy innowacyjne, także w zakresie technologii medycznej i badań klinicznych.

Od czasu, gdy Narodowe Centrum Badań Rozwoju, Ministerstwo Nauki i Ministerstwo Rozwoju przy wsparciu funduszy Unii Europejskiej wprowadziły granty na rozwój polskiej medycyny, staraliśmy się nadrabiać zaległości. Ze środków unijnych rozbudowaliśmy dział badań zarówno przedklinicznych, jak i klinicznych. Jest to unikalna w Polsce jednostka

skupiająca się na medycynie translacyjnej, wspierającej polskich naukowców i polski przemysł.

Jakie są rezultaty?

W kardiologii klinicznej wprowadzaliśmy choćby zabiegi w wielonaczyniowej chorobie wieńcowej z zajęciem pnia lewej tętnicy wieńcowej. Mamy w tym zakresie duży dorobek naukowy. Uczestniczymy w badaniach wieloośrodkowych, międzynarodowych, oceniających optymalne rozwiązania w rewaskularyzacji serca

czesną hodowlą zwierząt w Kostkowicach koło Cieszyna. Z tych samych środków rozwinęliśmy także ośrodek kardiochirurgii w Bielsku. Tam znajduje się jedna z najnowocześniejszych sal hybrydowych w Europie.

To dzięki stworzeniu CBR wprowadzili państwo rewolucję w stosowaniu stentów, czyli urządzeń, które wszczepia się, by rozszerzyć naczynia krwionośne?

Tutaj postęp w stosunku do tego, co było jeszcze 15–20 lat temu, jest olbrzy-



Z prof. Pawłem Buszmanem, kardiologiem, prezesem zarządu Polsko-Amerykańskich Klinik Serca rozmawia Agnieszka Rybak



u chorych z zaawansowaną chorobą wieńcową. Tego typu operacje wykonywaliśmy jako jedni z pierwszych na świecie.

A badania przedkliniczne?

Prowadzimy badania eksperymentalne na zwierzętach, ale również in vitro, rozwijając hodowle komórkowe. Mamy własny bank tkanek. Prowadzimy prace zarówno własne, jak i sponsorowane przez przemysł farmaceutyczny czy producentów wyrobów medycznych. Mamy też badania finansowane ze środków unijnych oraz Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Ze środków unijnych przyznanych przez Ministerstwo Rozwoju oraz we współpracy z Zakładem Doświadczalnym Instytutu Zootechniki PAN udało nam się rozbudować pracownię doświadczalną wraz z nowo-

mi. Na początku ubiegłej dekady w USA wprowadzono stenty uwalniające leki antymitotyczne, zapobiegające nawrotowi zwężenia w stencie. We współpracy z polskimi naukowcami i firmami wprowadziliśmy na rynek stenty pokryte specjalnymi biodegradowalnymi powłokami, które uwalniają leki poprawiające jakość gojenia stentu. Było to pierwsze tego typu rozwiązanie. Nie można byłoby go jednak wprowadzić na rynek, gdyby nie testy w naszym CBR i ośrodkach kardiologicznych AHP. Wyniki stentowania tętnic wieńcowych są obecnie znacznie lepsze. Inne firmy zaczęły nasze rozwiązania kopiować.

Państwa stenty do tego są tańsze niż zagraniczne.

Wymusiliśmy zmiany. Polski produkt był bowiem konkurencyjny, najlepsze firmy amerykańskie musiały obniżyć ceny na swoje produkty. Działania AHP nie były przyjmowane przez wszystkich z aplauzem, ale obniżyliśmy koszty zakupu stentów dla wszystkich szpitali w Polsce. Oszczędności z tym związane to ok. 300 mln zł rocznie.

Przyszłość czas na polskie zastawki aortalne?

Kończymy pracę nad ich wprowadzaniem. Będzie to zastawka aortalna

Są już jednak sztuczne zastawki.

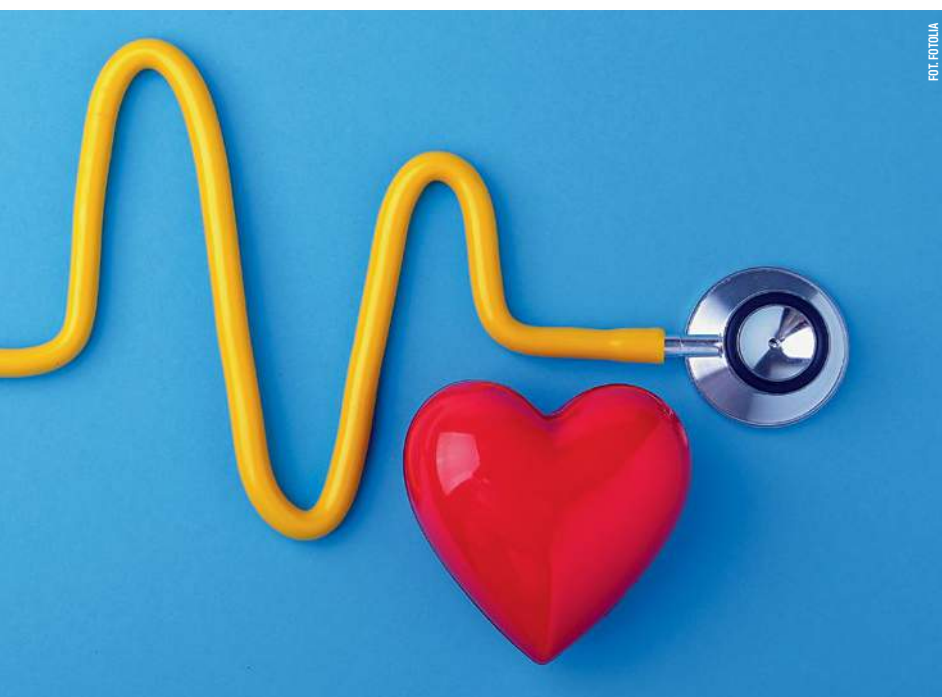
Tak, równolegle stworzyliśmy całkowicie sztuczną zastawkę przezskórną. Wraz z Centrum Materiałów Polimerowych i Węglowych PAN w Zabrze udało nam się ją utkać i uformować płatkami zastawki z polimeru pokrywającego struktury stentu stalowego. Jest szansa, że nasza sztuczna zastawka będzie tańsza niż dotychczasowe, a one w tej chwili kosztują ok. 75 tys. zł za sztukę. Myślę, że mogą być tańsze w przyszłości o połowę.

bilna, co oznacza małe ryzyko powodowania zakrzepicy i brak degeneracji.

Czy to, co państwo niedługo proponują, znajdzie szersze zastosowanie?

Nie wiem. Staramy się wprowadzać nowoczesność do polskiej medycyny, ale przy obecnych wycenach jest to bardzo trudne. W kardiologii mamy najniższe wyceny procedur w całej Europie. Interwencyjne leczenie zawału lub zabieg pomostowania tętnic wieńcowych wraz z hospitalizacją w krajach Unii Europejskiej jest średnio trzy razy wyżej wyceniany niż w Polsce, a w USA nawet 7–10 razy lepiej. W poprzednich latach udowodniliśmy, że możemy za ceny dużo niższe niż amerykańskie dostarczyć wysokiej jakości usługi medyczne. Istnieje jednak próg bezpieczeństwa, którego nie wolno przekroczyć. Dlatego apelujemy do Ministerstwa Zdrowia i osób wycenających procedury medyczne: musimy utrzymywać standardy jakości i dostępność do procedur. Jeśli w szpitalach 80 proc. środków idzie na płace, to skąd znaleźć pieniądze na zakup leków? Są ośrodki ministerialne i akademickie, które dostają nawet 10 proc. więcej za procedurę kardiologiczną. Można powiedzieć, że oprócz pacjentów leczy się tam rząd i elity. A gdzie są środki na leczenie w regionach? Małe szpitale w „Polsce B”, leczące chorych na obszarach o najwyższych wskaźnikach umieralności z powodu układu krążenia, są zagrożone zamknięciem z powodu zbyt małego finansowania. Brakuje równości w dostępie do świadczeń właśnie dla najbardziej potrzebujących i najbardziej potrzebnych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



wszczepiana przezskórną, z dojścia przez tętnicę udową. Sam pomysł żadną innowacją nie jest, bo stosuje się go od 16 lat. My jednak mamy nowy pomysł: jak zmodyfikować materiał i konstrukcję zastawki. Stworzyliśmy metodę wytwarzania materiału biologicznego wysokiej jakości, pozyskiwanego z materiału zwierzęcego.

Mówi pan dość tajemniczo...

Nie. Mówię o domowej świni. We współpracy z Zakładem Doświadczalnym Instytutu Zootechniki PIB PAN wyhodowaliśmy specjalne świnki. Ich osierdzie ma znakomitą jakość, odpowiednią wytrzymałość i jest dużo cieńsze niż osierdzie wołowe. Udało nam się stworzyć zastawkę, która będzie tańsza, a jej czas wyprodukowania krótszy.

Zastawek na rynku jest dużo.

My jednak pracujemy nad sztuczną zastawką, która mogłaby być implementowana przezskórną. Większość zastawek na rynku to te biologiczne lub sztuczne, implementowane tradycyjnie, tzn. po otwarciu klatki piersiowej. Przy tej technice niezbędne jest wprowadzenie pacjenta w krążenie pozaustrojowe i zatrzymanie akcji serca. To bardzo inwazyjny zabieg. A przecież jest grupa pacjentów wysokiego ryzyka z ciężką wadą aortalną, która nie może być operowana tradycyjnie ze względu na schorzenia i podeszły wiek. U nich stosujemy implantację przezskórną. Do tej pory nie wprowadzono na rynek całkowicie sztucznej zastawki przezskórnej. Nasza w badaniach na zwierzętach po pół roku świetnie się zachowuje. Jest wytrzymała i biokompaty-



prof. Paweł Buszman – kardiolog, współzałożyciel oraz obecny prezes Polsko-Amerykańskich Kliniek Serca (PAKS).



Barbara Jagas

Cudze chwalicie, dlaczego swego nie znacie? Tak można by sparafrazować znane powiedzenie. Bardzo aktualne, jeśli chodzi o polskie wynalazki medyczne, bo naprawdę nie mamy się czego wstydzić

Polski model leczenia zawałów serca jest chwalony na całym świecie. Kardiolodzy idą za ciosem: opracowali nowatorski w skali świata system opieki nad chorymi z niewydolnością serca. Onkolodzy – choć nie dysponują takim arsenałem leków

serca – total artificial heart (TAH) – choremu cierpiącemu z powodu krańcowej niewydolności krążenia.

W ten sposób zabrzański ośrodek dołączył do wąskiego światowego grona szpitali oferujących wszystkie możliwe sposoby terapii chorych z niewydolnością krążenia, poczynając od zaawansowanej farmakoterapii, leczenia przeszczepionego, LVAD, transplantacji serca i TAH. Jak twierdzi doc. dr Michał Zembala, koordynator kardiologii na Oddziale Kardiologii i Transplantologii, po miesiącu terapii pooperacyjnej (a zabieg odbył się 4 lipca) pacjent – pan Mieczysław, któremu wszczepiono sztuczne serce – czuje się bardzo dobrze. „To dzięki ogromnej pracy zespołu kardiologów, kardiologów, anestezjologów oraz pielęgniarek i specjalistów fizjoterapii osiągnęliśmy powodzenie. Dziękuję wszystkim zaangażowanym

jąca Laboratorium Medycyny Doświadczalnej Uniwersytetu Warszawskiego. Badaczka udowodniła, że przeciwko komórkom nowotworowym można wykorzystać ich własny intensywny metabolizm. Gdy w komórce nowotworowej gromadzą się nieprawidłowe białka, należy zahamować mechanizm ich usuwania. Wtedy komórka zapycha się i ginie. Metoda ta ma jeszcze ten plus, że nie uszkadza zdrowych tkanek ani organów, dlatego wydaje się tak atrakcyjna.

Profesor Nowis już od dawna

Pięć odkryć w polskiej medycynie

jak ich koledzy w krajach zachodnich – starają się, by rezultaty ich leczenia były nie gorsze niż tam. Jednak warto wspomnieć też o kilku mniejszych – choć nie mniej znaczących – odkryciach w ostatnim czasie w polskiej medycynie, które niosą nadzieję chorym.

SZTUCZNE SERCE W PLECAKU

Trzeba zacząć od serca, bo mamy oto sztuczne serce, które polscy lekarze przeszczepili choremu. Wiele lat temu pierwsze polskie sztuczne serce przeszczepił wprawdzie prof. Zbigniew Religa, ale w tym roku dokonano w Polsce pierwszego przeszczepu całkowicie sztucznego serca, które jest o wiele mniejsze. Wydarzenie rozegrało się w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrzu, tym samym, gdzie Religa w 1985 r. przeprowadził swój słynny zabieg. Teraz doszło do implantacji sztucznego

żowanym za ten wspólny sukces” – napisał na FB doc. dr Zembala.

Serce, które przeszczepili lekarze, waży 6 kg i można je nosić w plecaku. W nocy trzeba tylko ładować baterię. A poza tym pan Mieczysław może żyć normalnie. Do tej pory pacjenci ze sztucznym sercem mogli tylko pospacerować wokół szpitala, bo zasilacz na kółkach ważył 100 kg i trzeba go było pchać. Teraz to o wiele prostsze.

Pan Mieczysław wrócił do domu i będzie teraz czekał na przeszczep normalnego serca.

SAMOBÓJSTWO KOMÓREK SZPICZAKA

Nową metodę leczenia szpiczaka wynalazła prof. Dominika Nowis, kieru-

prowadzi badania nad szpiczakiem plazmocytowym, nowotworem złośliwym, który charakteryzuje się zwiększonym wytwarzaniem nieprawidłowych białek przez chore komórki. Można długo nie wiedzieć, że ma się raka, albowiem ten nowotwór bywa mylony np. z przebiegiem lub chorobami stawów. Dopiero nagłe chudnięcie i złamanie kości mogą doprowadzić do właściwej diagnozy. Przy szpiczaku procesy metaboliczne są bardzo intensywne, komórki szybko się namnażają, a dodatkowo gromadzą się



w nich ogromne ilości nieprawidłowych białek. Nowotwór usuwa je, korzystając z naturalnych mechanizmów sprząających. I tu właśnie wkraczają naukowcy, podając chorym leki. Hamują one naturalny sposób usuwania „śmieci” z komórki, która zapycha się uszkodzonymi białkami i sama umiera. Profesor Nowis szuka też innych sposobów na niszczenie nowo-

krwionośnych, przez które można by było dostarczyć leki.

Makrofagi mają tzw. klatki białkowe, których badacze użyli do przenoszenia leków. Zamknęli w nich lek, a następnie klatkę zapakowali do makrofaga, który przekazał lek na teren guza, by zlikwidować nowotwór. Profesor Magdalena Król odkryła, że makrofagi przekazują klatki białkowe bezpośrednio komórkom rakowym. Nowy wynalazek nazwano TRAIN. – Staramy się nasze odkrycie wykorzystać w terapii guzów litych, chcemy stworzyć takiego konia trojańskiego – mówi Magdalena Król.

NIEBEZPIECZNE SKACZĄCE GENY

Jedni nazywają je „genetycznymi pasożytami”, inni – „skaczącymi genami”, a są to po prostu fragmenty DNA. Nie robią nic dobrego dla organizmu, lecz jedynie wytwarzają maszynę do kopiowania siebie samych. Ich celem jest wklejanie własnych kopii do DNA. W ten sposób ich geny mogą skakać po całym

są nam potrzebne. Raczej są szkodliwe, gdyż wklejając się do DNA, prowadzą do powstawania mutacji, często towarzyszą nowotworzeniu lub leżą u jego podstaw.

Do tej pory znano mechanizmy, które nie dopuszczają, aby retrotranspozon zaczął się kopiować. Teraz polscy uczeni wyjaśnili, jak komórka może bronić się przed genetycznymi pasożytami na dalszym etapie – kiedy retrotranspozon już się uaktywni. Polscy naukowcy odkryli także, że aby zastopować inwazję genetycznego pasożyta, w komórce musi zająć tzw. urydyllacja RNA retrotranspozonu. Polega ona na dołączeniu do końca RNA dodatkowych nukleotydów urydylowych, które działają jak kula u nogi. Z tym obciążeniem retrotranspozon nie może skakać po genomie i wklejać do niego nowych fragmentów DNA – twierdzą naukowcy. A z czasem jest usuwany przez komórkę.

SZTUCZNA KREW

Jeszcze tylko sztucznej krwi nam brakuje... Nad substytutem ludzkiej krwi pracują właśnie naukowcy z Politechniki Warszawskiej. Syntetyczna krew jest przezroczysta, ale przenosi tlen tak samo jak czerwona. W przyszłości mogłaby rozwiązać problem braku tej substancji w szpitalach i krótkiego terminu przechowywania organów do przeszczepów.

Zespół dr. hab. Tomasza Ciacha z Wydziału Inżynierii Chemicznej i Procesowej Politechniki Warszawskiej podjął się opracowania sztucznej krwi. – Pragniemy wytworzyć substytut, który będzie przenosił tlen tak samo dobrze jak krew naturalna, ale będzie to pozbawione wszelkich niebezpieczeństw – wyjaśnia dr Ciach. Takich jak np. ryzyko przeniesienia zakażeń.

Syntetyczna krew powstaje z polisacharydów, czyli złożonych cukrów, na drodze syntezy chemicznej. Wpuszczona do krwiobiegu dotrze do płuc, gdzie zwiąże się z tlenem, a potem przeniesie go do poszczególnych tkanek. – Ludzkie erytrocyty przenoszące tlen mają średnicę sięgającą siedmiu-ośmiu mikrometrów i kształt płaskich guziczków. Te sztuczne byłyby nieco mniejsze i miałyby kulisty kształt – wyjaśnia różnicę uczony. Syntetyczną krew można będzie przechowywać rok, a nawet dłużej.



4 lipca dokonano pierwszego w Polsce wszczepienia sztucznego serca, które – dosłownie – można nosić w plecaku

FOT. DZIĘKI UPRIĘŻNOŚCI SYNCARDIA.COM

tworów, np. za pomocą światła. Badania trwają.

KONIEM TROJAŃSKIM W GUZA

Fizjolog z SGGW prof. Magdalena Król opracowała metodę, która pozwala dotrzeć z lekiem do nieukrwionych guzów nowotworowych. Jej metoda oparta jest na zdolnościach makrofagów – komórek układu odpornościowego – do wędrowania w głąb niedostępnych rejonów guza nowotworowego. Takie miejsca to guzy lite, pozbawione naczyń

DNA. Fa-chowo nazywa się je także retrotranspozonami. Mnożą się w DNA tej samej komórki, z której pochodzą. Przenoszą się z pokolenia na pokolenie – m.in. dlatego, że obecne są także w komórkach rozrodczych.

Naukowcy z Instytutu Biochemii i Biofizyki PAN rozszyfrowali sposób, w jaki komórka może blokować retrotranspozony przed dalszym namnażaniem.

Każdy z nas ma w swoich komórkach między 80 a 100 aktywnych skaczących genów, które – jak twierdzą uczeni – nie



Z Sebastianem Szymankiem,
prezesem zarządu Polpharma Biuro Handlowe
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Farmacja jak przemysł kosmiczny



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA PINKOSZ: Czy Polsce jest potrzebny krajowy przemysł farmaceutyczny?

SEBASTIAN SZYMANEK: Dyskusję, czy trzeba mieć krajowy przemysł farmaceutyczny w dobie globalizacji, trzeba osadzić w kontekście. Dla mnie państwo jest pewnego typu przedsiębiorstwem, którego udziałowcami są obywatele. Rządzi się podobnymi prawami. Powinno więc mieć plan rozwoju. Zawsze rozpoczynam go od analizy obecnej sytuacji, zastanawiam się, gdzie chcę dojść. Gdy myślałem o tym, jaki wspólny cel moglibyśmy mieć jako obywatele, przypominały mi się bajki, które pokazywałem dzieciom. Kończyły się sentencją: „Żyli długo i szczęśliwie”. Mnie bliższe byłoby zakończenie: „Żyli długo i szczęśliwie, ciesząc się dobrym zdrowiem”. Gdy uznamy, że to jeden z naszych celów, będzie to dobry punkt wyjścia do dyskusji, czy jest nam potrzebny krajowy przemysł farmaceutyczny. Zastanawiałem się, co musiałoby się stać, żebyśmy byli narodem, który żyje długo, szczęśliwie i cieszy się dobrym zdrowiem.

Tego typu strategia jest w rękach ministra zdrowia...

Nie tylko w rękach jednego ministra, ważna jest spójna polityka wszystkich resortów. Żeby to się spełniło (życie długie, szczęśliwe, w dobrym zdrowiu), muszą zostać spełnione trzy warunki. Po pierwsze, musimy zapobiegać chorobom,

czyli zbudować profilaktykę. Trzy nawyki: palenie papierosów, złe odżywianie, niska aktywność fizyczna powodują pięć najczęstszych zachorowań, które zużywają 80 proc. budżetu wydawanego na ochronę zdrowia.

Czy przemysł farmaceutyczny jest potrzebny, by krzewić profilaktykę? Nie jest niezbędny, ale może być pomocny. Jako Polpharma jesteśmy dumni z tego, jak wpłynęliśmy na edukację Polaków. Po wszechna świadomość, że wysoki poziom cholesterolu jest szkodliwy, to w dużej części nasza zasługa. Jako pierwsza firma wprowadziliśmy badania przesiewowe na dużą skalę – przebadaliśmy ponad milion osób. Od kilku lat prowadzimy też dużą kampanię „Ciśnienie na życie”, mierzymy wiek serca.

Co jeszcze jest ważne?

Drugi warunek dotyczy tego, że gdy człowiek jest chory, trzeba go skutecznie leczyć; trzeba go mieć czym leczyć. Trzeci – na to wszystko potrzeba pieniędzy. Żyjemy coraz dłużej, procedury medyczne będą coraz bardziej skomplikowane, oczekiwania co do ich skuteczności rosną, dlatego leczenie będzie nas kosztować coraz więcej. Warto więc zastanowić się nad tym, jaki my, jako Polska, mamy pomysł na naszą gospodarkę: nie tylko dzisiaj, lecz także za 10, 20 lat. Cieszę się, że powstała Strategia na rzecz Odpowiedzialnego

Rozwoju premiera Morawieckiego – dokument, który stawia rozsądne akcenty na tych elementach gospodarki, które w przyszłości mają budować naszą siłę. Powinniśmy stawiać na inteligentne specjalizacje. Jest korelacja między wielkością PKB danego kraju a zaawansowaniem technologicznym gospodarki i udziałem farmacji w PKB. W krajach „starej” Unii ok. 2–3 proc. PKB generuje farmacja. W Chinach, które zainwestowały w sektor farmaceutyczny, to aż 7 proc. PKB, w Japonii oraz Korei – 4 proc.

Tygrysy gospodarcze stawiają na farmację...

W Polsce udział krajowego przemysłu farmaceutycznego to ok. 1,3 proc. PKB. Często słyszę pytanie, dlaczego przemysł, który generuje ok. 1 proc. PKB, powinien być jednym z filarów. Zwróćmy jednak uwagę, że jest to przemysł innowacyjny: generuje 25 proc. sprzedaży produktów wysokiej technologii i odpowiada aż za 8 proc. nakładów na B+R w Polsce. 70 proc. przedsiębiorstw z branży farmaceutycznej wdrożyło innowacje. Ten przemysł ma ogromne perspektywy rozwojowe, trzeba je tylko mądrze wykorzystać.

W przyszłości farmacja więcej wnieśnie do polskiego PKB?

Tak, jednak jesteśmy w trudnym momencie. W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z ogromną liczbą zmian

legislacyjnych, które mają bezpośredni wpływ na naszą działalność. Jesteśmy na rozdrożu – albo damy szansę krajowemu przemysłowi się rozwinąć i zaczniemy działać podobnie do państw, które świadomie wspierają rodzimy przemysł, albo będzie on oscylować wokół 1 proc. PKB.

Jakiego wsparcia oczekuje polska farmacja?

Co dwa lata uczestniczymy w dużych negocjacjach cenowych z Ministerstwem Zdrowia. Ustawa refundacyjna mówi, że minister zdrowia ustala urzędową cenę zbytu leku, biorąc pod uwagę np. działalność inwestycyjną firmy na terenie Polski oraz w innych krajach UE. Marzę, żeby na spotkaniu z komisją ekonomiczną ministerstwa zamiast: „Nie interesuje nas wpływ firmy na polską gospodarkę” usłyszeć: „Przeanalizowaliśmy państwa inwestycje w Polsce, działalność badawczo-rozwojową, płacenie podatków, eksport i uznaliśmy, że możemy się zgodzić na przedłużenie dotychczasowych decyzji”. To byłby pierwszy krok, żebyśmy mogli planować inwestycje na kolejne lata. Cykl inwestycji w firmach jest długi, mija od trzech do siedmiu lat od momentu podjęcia decyzji o pracy nad danym lekiem do jego wprowadzenia na rynek. Przy niskiej rentowności przemysłu generycznego cykl zwrotu z inwestycji wynosi powyżej 10 lat. Dlatego najważniejsza dla nas jest przewidywalność.

To pierwsze marzenie. Kolejne?

Żeby powstał dokument strategii dla przemysłu farmaceutycznego. Prosimy o to od wielu lat. Czytałem, że powstała strategia dla przemysłu kosmicznego w Polsce. Cieszę się, bo to też przemysł oparty na wysokich technologiach. Jednak jego wkład w polski PKB jest mniejszy niż farmacji, dlatego warto, by wreszcie powstała strategia dla farmacji. To branża bardzo silnie regulowana przez państwo. Co chwila pojawiają się nowe rozporządzenia. Marzy mi się, żeby ustawodawca wziął pod uwagę dalekosiężne skutki planowanych regulacji.

Znów poproszę o przykład...

W projekcie dokumentu „Polityka lekowa państwa” zostało zapisane, że jeśli zostanie przekroczony budżet na refundację, to 100 proc. tego przekroczenia (payback) zapłacą firmy farmaceutyczne. Tylko że to przecież minister zdrowia decyduje, co w Polsce jest refundowane. Ja nie mam na to wpływu, podobnie jak

na epidemiologię chorób. Mogę tylko poprawić ich wykrywalność. To nie jest nielogo, bo przecież im szybciej wykryjemy chorobę i zaczniemy ją leczyć, tym lepiej dla chorego, a w konsekwencji będzie to też tańsze dla państwa. Tymczasem za to mam dostać „nagrodę” w postaci 100 proc. paybacku. Kiedy to słyszę, zastanawiam się, czy Polska jest krajem, w którym warto poważnie inwestować...

Drugim tego typu pomysłem, który niedawno się pojawił, są przetargi centralne na leki...

Dzięki przetargom centralnym ceny leków i wyrobów medycznych będą najniższe. Zyska budżet.

Tak, ceny będą najniższe. Istnieje też jednak inny scenariusz. Jeśli dziś przegram przetarg w jednym szpitalu, to robię wszystko, by wygrać w innym. Obniżam ceny, a jednocześnie nie ma ryzyka problemów z dostępnością. Ponieważ dziś mam część przetargów wygranych, utrzymuję zdolność produkcyjną. Jeśli mój konkurent, który też wygrał część przetargów, z różnych względów nie będzie w stanie dostarczyć produktów danemu szpitalowi, to mogę to zrobić, zapewniając bezpieczeństwo pacjentom, bo mam własne zapasy. Jeśli będzie centralny przetarg, to jedna z dużych azjatyckich firm może stwierdzić, że to jest dla niej szansa, by wejść na nasz rynek. Polscy producenci zaprzestaną wtedy produkcji tego leku. Jeśli jednak u tamtego producenta pojawią się problemy z zapewnieniem dostępności, to gdzie prześle on swoje produkty: do Polski, do USA czy do Niemiec?

Tam, gdzie zyska wyższą cenę...

Tak, i kary go do tego nie zniechęcą. Warto zwrócić uwagę, że Niemcy odeszły od przetargów centralnych z jednym zwycięzcą. Przetargi organizuje wiele osobnych kas chorych, co pozwala osiągnąć pewność dostaw, bo konkursy wygrywa docelowo wiele produktów. Mam wrażenie, że pomysł, który teraz się w Polsce pojawił, to powtórka z budowy autostrad, gdzie wygrywały chińskie firmy, a potem przez trzy lata był przestój.

Jeszcze jedna kwestia. Jeśli kupuję leki za granicą, to ich wpływ na polski PKB wynosi zero. Uniwersytet Warszawski przygotował kalkulację dla branży farmaceutycznej, jaka część z wydanej złotówki na lek wyprodukowany w Polsce trafia do polskiego PKB. Okazało się, że to 78 gr. Jako branża apelujemy, by już dziś stosować rozwiązania, o których jest mowa w usta-

wie refundacyjnej – że minister zdrowia ma prawo brać pod uwagę to, iż firma prowadzi w Polsce działalność badawczą, rozwojową, inwestycyjną.

Co jednak wziąć pod uwagę, skoro jedna firma inwestuje w Polsce w badania i rozwój, inna ma tu fabrykę, a jeszcze inna prowadzi badania kliniczne?

Trzeba wziąć pod uwagę przede wszystkim trzy elementy: wpływ na gospodarkę, innowacyjność oraz na bezpieczeństwo leków kraju. Badania kliniczne nie mają na to wpływu, chyba że patent zostaje w Polsce. Krajowy przemysł farmaceutyczny zawsze traktuje polski rynek priorytetowo. Cieszymy się, że powstała Strategia na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, docierają do nas sygnały ze strony różnych ministerstw, iż dostrzegają rolę krajowego przemysłu. Teraz trzeba wykonać najtrudniejszy krok – wdrożyć te pomysły.

O preferencjach dla przemysłu krajowego, tzw. RTR (Refundacyjny Tryb Rozwojowy), mówi się już od lat. Jednakże obowiązuje prawo UE, zgodnie z którym wszystkie firmy należy traktować tak samo.

UE daje dużą swobodę państwom członkowskim, jeśli chodzi o regulację rynku. Zresztą my nigdy nie mówiliśmy, że prawo powinno preferować polskie firmy. Powinno preferować firmy produkujące w Polsce, ponoszące tu nakłady inwestycyjne, płacące podatki. Czy zatem firmy, które nie angażują się w rozwój polskiej gospodarki, a traktują nasz kraj tylko jako rynek zbytu, powinny być tak samo traktowane jak firmy krajowe? Odpowiedź pozostawmy rządzącym.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polpharma w liczbach

- **nr 1** – największy polski producent leków
- **7 zakładów produkcyjnych**, w tym 5 w Polsce
- **7 nowoczesnych ośrodków B+R**, w tym 4 w Polsce
- **7500 pracowników**, w tym 4700 w Polsce
- **2 mld zł inwestycji na tzw. środki trwałe** w Polsce w latach 2000–2017
- **1,8 mld inwestycji na B+R** w Polsce w latach 2000–2017
- **2 mld zł łącznych inwestycji** w biotechnologię do 2022 r.

KATARZYNA PINKOSZ: Philips w ciągu ostatnich 100 lat przeszedł transformację od producenta oświetlenia do światowej klasy producenta sprzętu medycznego. Jak to się stało?

REINIER SCHLATMANN: Przez ostatnie 127 lat rozwój firmy Philips wiązał się z dynamicznymi zmianami. Dzisiaj Philips jest wiodącą firmą działającą w branży technologii medycznych, która koncentruje się na poprawie jakości życia ludzi – począwszy od zdrowego stylu życia i profilaktyki, a skończywszy na diagnostyce, leczeniu oraz opiece domowej. Koncentrujemy się na kompleksowych rozwiązaniach – obecnie przede wszystkim w obszarze kardiologii, onkologii, chorób układu oddechowego, intensywnej opieki medycznej, a także opieki nad kobietami w ciąży. Czyli tam, gdzie uważamy, że nasze zintegrowane podejście może stanowić wartość dodaną dla pacjentów i konsumentów.

Na ile istotny jest dla państwa polski rynek?

Polska dla firmy Philips zawsze była i będzie jednym z kluczowych kierunków rozwoju w Europie. To, jak ważny jest to dla nas rynek, pokazują chociażby ostatnie inwestycje, m.in. otwarcie Globalnego Centrum Kompetencyjnego w Łodzi, a także dziewiątego już Centrum Referencyjnego Philips, zainicjowanego we współpracy z Instytutem Centrum Zdrowia Matki Polki. Obydwa wydarzenia były częścią obchodów Światowego Dnia Chorego, z udziałem pary prezydenckiej, ministra zdrowia oraz wielu innych znakomitych gości ze środowiska medycznego i naukowego. To był dla nas szczególnie ważny moment, będący dowodem naszego zaangażowania w budowanie długofalowej współpracy i tworzenie silnych lokalnych partnerstw, nakierowanych na poprawę jakości życia pacjentów w Polsce.

Jakimi dziedzinami medycyny jesteście w Polsce najbardziej zainteresowani?

Obszary naszego szczególnego zaangażowania są wyznaczone przez najistotniejsze wyzwania zdrowotne w Polsce. Trzy główne przyczyny zgonów to choroby układu krążenia (50 proc.), nowotwory (24 proc.) i choroby układu oddechowego (5 proc.). Chcemy wspierać polski system ochrony zdrowia w każdym z nich. Nasz zespół pracuje z szerokim gronem specjalistów medycznych, dzielimy się najnowszymi rozwiązaniami i najlepszymi praktykami, by poprawić diagnozę i wyniki leczenia, a jednocześnie obniżyć koszty terapii.



Z Reinierem Schlatmannem, prezesem Philips w krajach Europy Środkowo-Wschodniej rozmawia Katarzyna Pinkosz

Diagnostować i leczyć nowocześnie

Jaka jest rola nowoczesnej diagnostyki w leczeniu? Z jakich rozwiązań korzystają już dziś lekarze w Polsce? W jakich dziedzinach już są one wykorzystywane?

Nowoczesna diagnostyka to przede wszystkim wiele zaawansowanych możliwości interwencyjnych i chirurgicznych, które pozwalają na podejmowanie trafnych decyzji oraz umożliwiają zastosowanie nowych opcji leczenia. Spójrzmy chociażby na kardiologię dziecięcą: każdego roku w Polsce rodzi się ok. 3 tys. dzieci z wadami wrodzonymi serca. Dzięki innowacyjnym rozwiązaniom zwiększają się precyzja i skuteczność wykonywanych zabiegów, m.in. poprzez integrację danych uzyskanych za pomocą wielu metod obrazowania. Odpowiednie oprogramowanie umożliwia też zastosowanie technik wizualizacji

przestrzennej, co pozwala na precyzyjne przeprowadzenie zabiegu w obrębie naczyń krwionośnych. Już dziś można dokonać wizualizacji i wydrukować np. model serca pacjenta w 3D, dzięki czemu zespół medyczny może jeszcze lepiej przygotować się do operacji. W urządzeniach najnowszej generacji także dawka promieniowania zredukowana jest do niezbędnego minimum, co oczywiście wpływa na bezpieczeństwo pacjenta i personelu medycznego. Również w Polsce są szpitale wyposażone w tego typu innowacyjne systemy angiograficzne, a są to m.in. Pracownia Interwencji Sercowo-Naczyniowych w Centrum Zdrowia Dziecka w Warszawie, Oddział Kardiochirurgii Regionalnego Szpitala Specjalistycznego w Grudziądzu oraz Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki

w Łodzi. Tego typu systemy to zupełnie nowa jakość pracy dla kardiochirurgów i kardiologów interwencyjnych.

Nowoczesna diagnostyka ma zastosowanie wyłącznie w kardiologii?

Jej zastosowanie jest o wiele większe. Odgrywa ona ogromną rolę także np. w leczeniu onkologicznym, gdzie wczesne wykrycie ognisk chorobowych jest szczególnie istotne. Dzięki znacząco udoskonalonej wizualizacji i charakterystyce tkanek możliwe jest wykrycie słabo widocznych zmian, a także szybkie oraz trafne postawienie diagnozy już po pierwszym badaniu. Jednym z najbardziej zaawansowanych urządzeń umożliwiających tego typu diagnozę jest tomograf spektralny, który znajduje się np. w Centrum Onkologii-Instytucie im. M. Skłodowskiej-Curie Oddział w Gliwicach.

Nowoczesny sprzęt pozwala ograniczyć inwazyjność przeprowadzanych zabiegów?

Czasy, kiedy chorzy z wadami zastawek serca byli poddawani klasycznym zabiegom kardiochirurgicznym z otwarciem klatki piersiowej i przecięciem mostka, to przeszłość. Dzisiaj, dzięki wysokospecjalistycznym zabiegom, takim jak np. cewnikowa implantacja zastawki serca TAVI, pacjenci zyskują szansę na szybki powrót do zdrowia bez obciążających i inwazyjnych metod. Jeszcze więcej zyskują zaś ci, którzy ze względu na wiek lub inne przeciwwskazania nie byli dopuszczeni do zabiegu inwazyjnego.

Innym przykładem może być też połączenie różnych metod wizualizacji, np. zabiegów z użyciem promieniowania rentgenowskiego (RTG) i ultrasonografii, w czasie rzeczywistym, co powoduje skrócenie czasu badania, zwiększenie trafności diagnozy, a co za tym idzie – obniżenie kosztów terapii. Nieinwazyjność zabiegów to korzyści przede wszystkim dla pacjenta, ponieważ odczuwa on większy komfort związany z przebiegiem i czasem leczenia, a także okresem rekonwalescencji. Szybciej wraca do sprawności, skraca się też czas i zakres rehabilitacji. Dla systemu ochrony zdrowia to również znacząca korzyść, bo zabiegi nieinwazyjne zwykle generują niższe koszty leczenia.

Jaki udział Philips chce mieć w e-transformacji sektora ochrony zdrowia?

Dążymy do poprawy sposobu, w który dostarczane są usługi zdrowotne, oraz tego, z jakimi doświadczeniami wiążą się

one dla pacjentów. Kluczem do sukcesu w tym zakresie są rozwiązania IT. Już dziś większość naszego zespołu ds. badań i rozwoju zaangażowana jest w tworzenie nowoczesnych rozwiązań informatycznych.

Oprócz dostarczania innowacyjnych urządzeń medycznych w obszarach diagnostyki obrazowej, ultrasonografii, monitorowania pacjentów, a także zdrowia konsumentów i opieki domowej dostarczamy innowacyjne, integralne rozwiązania informatyczne i modele biznesowe, które zostały zaprojektowane w celu poprawy jakości i świadczenia opieki zdrowotnej przy jednoczesnym obniżeniu kosztów.

Jak wygląda wasze podejście do współpracy z partnerami, np. szpitalami?

Coraz częściej nasza współpraca ze szpitalami oraz z innymi podmiotami działającymi w ramach systemu ochrony zdrowia opiera się na długofalowym partnerstwie. Dzięki temu możemy zapewnić zintegrowane rozwiązania poprawiające jakość opieki, produktywność kosztową oraz przede wszystkim skuteczność terapii. Wierzymy, że najlepsze efekty są wynikiem współpracy między światem akademickim, przemysłem a instytucjami rządowymi.

Nowoczesna diagnostyka odgrywa ogromną rolę także w leczeniu onkologicznym. Dzięki znacząco udoskonalonej wizualizacji i charakterystyce tkanek możliwe jest wykrycie słabo widocznych zmian, a także szybkie oraz trafne postawienie diagnozy

Uczestniczymy w realizacji tego typu inicjatyw m.in. wspólnie z Warszawskim Uniwersytem Medycznym, Uniwersytetem Medycznym w Łodzi, Politechniką Śląską i Śląskim Centrum Chorób Serca.

Inną inicjatywą, o której warto wspomnieć, ze względu na skalę i zaangażowane organizacje, jest think tank „Innowacje dla zdrowia” zainicjowany przez prof. Macieja Banacha z Instytutu Centrum Zdrowia Matki Polki. Philips jest jednym z partnerów tej platformy, stworzonej w celu wzmocnienia dialogu i współpracy między sektorem publicznym oraz prywatnym, a także rozwoju i wdrażania innowacyjnych projektów w ramach systemu opieki zdrowotnej.

Jakie, według pana, są największe szanse i zagrożenia stojące przed systemem ochrony zdrowia w Polsce?

Polska stoi wobec podobnych wyzwań jak inne kraje europejskie, takich jak starzenie się społeczeństwa czy zwiększanie się populacji osób z chorobami przewlekłymi. Te zjawiska demograficzno-epidemiologiczne wymagają pilnej odpowiedzi w postaci transformacji systemu służby zdrowia. Polski system refundacyjny w dalszym ciągu oparty jest na liczbie wykonanych procedur medycznych. Widać jednak wyraźne dążenie do zmiany w kierunku modelu opartego na wynikach i jakości leczenia.

Uważam też, że w znaczący sposób polscy pacjenci skorzystają na zwiększeniu wydatków na opiekę zdrowotną do 6 proc. PKB do 2025 r. Powinno to jednak iść w parze z poprawą wydajności oraz jakości. Właśnie tam innowacyjne rozwiązania mogą odegrać najważniejszą rolę.

A jakie są pana osobiste cele jako prezesa?

Wizja i misja firmy Philips, by czynić świat zdrowszym i bardziej zrównoważonym, są ściśle związane z moimi własnymi celami i aspiracjami. To jest powód, dla którego wstaję i przychodzę codziennie do pracy. Wiem, że jeśli dobrze wykonam swoją pracę, to mogę mieć pozytywny wpływ na życie pacjentów.

Tworzenie innowacyjnych rozwiązań i ciągłe ulepszanie już istniejących jest możliwe dzięki efektywnej współpracy całego zespołu Philips. Kładziemy nacisk na zatrudnianie odpowiednich ludzi, kształcenie nowych liderów. Moim osobistym celem jest też zadbanie o to, by w firmie było przyjazne środowisko wspierające rozwój wszystkich pracowników, w tym młodych talentów, umożliwiające im zdobycie doświadczenia w realizacji projektów zagranicznych, by potem mogli podzielić się zdobytą wiedzą i doświadczeniem z innymi członkami zespołu. Chcemy też dalej wzmacniać współpracę z kluczowymi polskimi partnerami, szczególnie w ramach trójkąta innowacji łączącego świat akademicki z sektorem publicznym i firmami technologicznymi.



Z Nikosem Xydiasem, dyrektorem generalnym GSK w Polsce

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Objął pan stanowisko dyrektora generalnego GSK w Polsce cztery miesiące temu. Jakie są pana pierwsze wrażenia dotyczące Polski i Polaków?

NIKOS XYDIAS: Polska to wspaniały kraj, o wspaniałym dziedzictwie i historii, ale przede wszystkim miejsce, w którym wszędzie widać energię do działania. Widać, jak ludzie wykorzystują swoje talenty, jak są zdeterminowani, cały czas dążą do celu. Takie podejście zwróciło moją uwagę od razu. Ponieważ pracuję w sektorze opieki zdrowotnej od ok. 20 lat, szczególnie mi zależy, by skupiać się na generowaniu wartości, które mogą mieć wpływ na zdrowie i życie ludzi. GSK w Polsce ma unikatową strukturę, dzięki której generowana jest tu wartość na każdym etapie tworzenia leków – od pomysłu przez procesy badawczo-rozwojowe, badania kliniczne, produkcję, nadzór nad bezpieczeństwem farmakoterapii do sprzedaży i marketingu ok. 300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia. Taki poziom kompleksowości struktur jest unikatowy w skali międzynarodowej.

Sprzedajecie wiele leków, ale firma kojarzy się też ze szczepionkami. W Polsce, podobnie jak w innych krajach, coraz silniejsze są ruchy antyszczepionkowe. Ma pan patent na to, jak wytrącić z ręki broń antyszczepionkowcom i zachęcić rodziców do szczepień?

Jesteśmy firmą prowadzącą działalność, opierając się na badaniach naukowych. Wiedza i dowody naukowe są głównym narzędziem, które wykorzystujemy do promocji wartości szczepień. Każde szczepienie jest rejestrowane na podstawie badań klinicznych. Są prowadzone niezależne badania, które potwierdzają bezpieczeństwo i skuteczność szczepionek. Pamiętajmy także, że każda szczepionka przechodzi przez kilkadziesiąt badań jakości. Trzeba szukać wiedzy o szczepieniach w sprawdzonych źródłach. Jest wiele serwisów rzetelnie informujących o wartości szczepień, np. serwis PZH, portal Szczepienia.pl czy „Zaszczep się wiedzą”. Rodzice powinni też pamiętać, by wiedzę o szczepieniach czerpać przede wszystkim od lekarzy i pielęgniarek.

Zapytałam o szczepionki, bo są one jednym z priorytetów projektu dokumentu „Polityka



Gramy z Polską w jednej drużynie

lekowa państwa” tworzonego w Polsce po raz pierwszy. Niektóre szczepionki mają wchodzić do systemu refundacyjnego, co byłoby nowością. Jak pan ten pomysł ocenia?

Refundacja z pewnością zwiększy dostępność do szczepionek, co będzie miało pozytywny wpływ na zdrowie publiczne, podobnie rozszerzenie Programu Szczepień Ochronnych, który pozwala wyeliminować niektóre choroby zakaźne i znacznie osłabić przebieg wielu innych. Polska dwa lata temu włączyła szczepienia przeciw pneumokokom do obowiązkowego kalendarza szczepień. Polskie dzieci dostają tę samą szczepionkę, która jest wykorzystywana w programach

szczepień populacyjnych w kilkudziesięciu krajach na całym świecie, w tym w Austrii, Belgii, Finlandii, Holandii. Wieloletnie doświadczenie w prowadzeniu narodowych programów pozwala ocenić rzeczywistą skuteczność szczepień populacyjnych przeciw pneumokokom. Te doświadczenia pokazują, że niezależnie od tego, którą szczepionką realizowany jest program populacyjny, szczepienia skutecznie chronią najmłodszych przed inwazyjną chorobą pneumokokową.

A jak ocenia pan projekt dokumentu „Polityka lekowa państwa”? Jest dobry dla firm globalnych inwestujących w Polsce?

Ciesz nas, że „Polityka lekowa państwa” wskazuje na konieczność wprowadzenia Refundacyjnego Trybu Rozwojowego. Myślę, że będzie to wymierne i skuteczne narzędzie zachęcania dotychczasowych oraz nowych inwestorów do wdrażania kolejnych projektów w Polsce

fabrykę leków. Została ona całkowicie zmodernizowana i dziś jest jednym z najważniejszych zakładów produkcyjnych spośród ponad 80, które mamy na świecie. Przez 20 lat wdrożyliśmy do produkcji w Polsce ponad 80 leków z globalnego portfela GSK. W Polsce mamy też Centrum Usług Biznesowych GSK IT, jedno z trzech centrów IT, które zapewniają globalnym zespołom wsparcie aplikacyjne, technologiczne i obliczeniowe dla wszystkich procesów związanych z rozwojem, bezpieczeństwem oraz wprowadzeniem produktu leczniczego na rynek. Mamy również trzy inne centra doskonałości, które zajmują się kwestiami regulacyjnymi, nadzorem nad bezpieczeństwem farmakoterapii i finansami. We wrześniu natomiast otworzymy piąty ośrodek tego typu, czyli Europejskie Centrum Medyczno-Marketingowe dla kluczowej grupy produktów.

Podstawą działalności każdej firmy farmaceutycznej jest jednak produkcja leków. W poznańskiej fabryce dużo dziś się dzieje?

Tak, uruchomiliśmy nową inwestycję, czyli produkcję innowacyjnych, chronionych patentem leków stosowanych w leczeniu zakażeń HIV. To terapie na skalę globalną, znajdujące się w kluczowych międzynarodowych wytycznych, a także na liście Essential Medicines Światowej Organizacji Zdrowia. Terapie produkowane w Poznaniu w 2017 r. znalazły się wśród trzech najczęściej stosowanych leków HIV na świecie. Prawdziwym wyznacznikiem pozycji Poznania i Polski jest to, że leki należące do naszych najważniejszych medykamentów produkujemy i dostarczamy stąd na blisko 130 rynków.

Leki stosowane w leczeniu infekcji HIV są produkowane w Poznaniu od kilkunastu lat. Nasza ostatnia inwestycja to nie jest więc przypadek, tylko kolejny dowód na to, że Polska może grać o najwyższą stawkę i konkurencję wygrywać.

W Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju inwestycje biotechnologiczne zostały uznane za jeden z priorytetów. To was cieszy?

Oczywiście sektory farmaceutyczny i biotechnologiczny, poprzez swoją innowacyjność, generują potężną wartość dodaną dla gospodarki. Wystarczy spojrzeć na przykład Wielkiej Brytanii, w której obszar szeroko rozumianych nauk przyrodniczych i medycznych generuje przychody o wartości ponad 60 mld funtów i zatrudnia ponad 230 tys. osób. Myślę, że także Polska może tu odnieść duży sukces, wiele już się udało osiągnąć.

Musimy wykorzystywać wartość partnerstw. Warto pamiętać, że statystycznie tylko dwa związki chemiczne spośród badanych 10 tys. za kilkanaście lat staną się lekiem. Trudno taką długą i niepewną drogę pokonać samemu. Trzeba budować zespoły interdyscyplinarne. Pozwoli pani, że dam przykład. W GSK IT w Poznaniu jest zespół, który blisko współpracuje z globalnymi zespołami badawczo-rozwojowymi. Dostarcza rozwiązań IT, które pozwalają przyspieszyć analizę chemiczną i ocenę potencjału badanego związku. Dzięki temu można szybciej zidentyfikować te dwie cząsteczki, które mają szansę stać się lekami. Obraz samotnego naukowca, zapatrzonego w mikroskop, odkrywającego przełomową terapię to już przeszłość. Dzisiaj trzeba grać w drużynę, umieć dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem, by móc osiągnąć sukces.

W Polsce łatwo prowadzi się dużą firmę farmaceutyczną?

Jestem wielkim zwolennikiem rozwiązań typu win-win. Od biznesu oczekuje się więcej niż sprzedaży swoich produktów czy usług. Gramy z Polską w jednej drużynie, i to w najlepszych ligach globalnych. Od 20 lat jesteśmy dla Polski partnerem, zatrudniamy 2 tys. osób, tu inwestujemy i płacimy podatki, tworzymy rynek zamówień dla polskich firm. Poprzez nasz rozwój rozwija się polska gospodarka. Dobrze widzieć, że polski rząd docenia wagę takiego partnerstwa i chce takie podejście promować, m.in. poprzez wprowadzenie RTR.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kompleksowe podejście do polityki lekowej jest potrzebne, by móc skutecznie tę politykę prowadzić. Dokument przedstawiony przez Ministerstwo Zdrowia jest przedmiotem konsultacji społecznych. To dobry punkt wyjścia do dyskusji o rozwiązaniach, które będą dobre dla polskiego pacjenta i systemu ochrony zdrowia. Niezależnie od działalności związanej z dostarczaniem polskim pacjentom innowacyjnych leków i szczepionek jesteśmy także kluczowym inwestorem w Polsce. Ciesz nas, że „Polityka lekowa państwa” wskazuje na konieczność wprowadzenia Refundacyjnego Trybu Rozwojowego, czyli RTR. Ma on być nowym instrumentem pobudzania działalności inwestycyjnej i badawczo-rozwojowej w sektorze ochrony zdrowia. Myślę, że będzie to wymierne i skuteczne narzędzie zachęcania dotychczasowych oraz nowych inwestorów do wdrażania kolejnych projektów w Polsce.

Pana zdaniem w Polsce są dobre warunki do inwestowania dla globalnych firm farmaceutycznych?

Po naszej działalności widać, że tak. Od 1998 r. w Polsce zainwestowaliśmy ponad 2 mld zł. W Poznaniu mamy



**Z Anną Rulkiewicz,
prezes Grupy LUX MED**
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Do czego właściwie sektorowi publicznemu potrzebny jest sektor prywatny? Nie lepiej, żeby cała służba zdrowia była państwowa?

ANNA RULKIEWICZ: Przede wszystkim potrzebny jest polskim pacjentom. Państwo powinno wykorzystać wszelkie możliwości zapewnienia bezpieczeństwa zdrowotnego obywatelom, a współpraca obydwu sektorów temu służy. Polacy coraz częściej korzystają z prywatnych usług medycz-

kusję o tym, jak w przyszłości ukształtować system ochrony zdrowia w Polsce. Istotne jest, by wyznaczyć priorytety i oprzeć je na współpracy wszystkich zainteresowanych sektorów oraz środowisk. Musimy ustalić długofalowy plan działania, który pozwoli na efektywne zagospodarowanie środków – zarówno publicznych, jak i prywatnych.

Jak przekona pani nieprzekonanych i wyjaśni, co prywatna opieka zdrowotna wniosła do polskiego systemu ochrony zdrowia?

Postawiła w centrum uwagi pacjenta i jego potrzeby. Wprowadziła do systemu element konkurencyjności, co sprawiło, że świadczeniodawcy zaczęli się o pacjenta starać. Upowszechniła nowoczesne roz-

wysokospecjalistycznych procedur diagnostycznych i zabiegowych.

Jeśli jednak spyta mnie pani o jedną najważniejszą rzecz, jaką sektor prywatny wniosł do systemu, to odpowiem, że jest to wysoka jakość obsługi pacjenta.

Wspomniała pani o jakości. Jaki tu jest wkład prywatnego sektora?

Cieszę się, że temat jakości w opiece zdrowotnej coraz częściej pojawia się w debacie publicznej. Zgodnie z zapowiedziami jeszcze w tym roku ma trafić do konsultacji publicznych projekt ustawy o jakości w ochronie zdrowia. Rządzący powinni dostrzec w sektorze prywatnym partnera, który od wielu lat wspiera ten kierunek roz-



Potrzebna jest współpraca

nych. Wliczając koszty leków, mówimy tu o wydatkach rządu ok. 40 mld zł rocznie. Sektor niepubliczny przez ostatnie lata rozwinął infrastrukturę, zdobył wiele cennych doświadczeń, ma też odpowiednie zaplecze w postaci wysoko wykwalifikowanej kadry medycznej. To ogromny potencjał, który powinni zauważyć rządzący i umiejętnie wykorzystać.

Jestem przekonana, że możliwych pól współpracy jest wiele, a podmioty prywatne doskonale odnajdą się w roli partnera, który pomoże uzupełnić lukę, jaką mamy dziś w systemie opieki zdrowotnej.

W ramach narodowej debaty na temat zdrowia, zainicjowanej przez ministra Łukasza Szumowskiego, rozpoczęliśmy dys-

wiązania organizacyjne zwiększające efektywność opieki nad pacjentem. Co ważne, w dobie cyfrowej transformacji przyjęła rolę lidera innowacji i pokazuje, jak można wykorzystać nowe technologie na rzecz zaspokojenia potrzeb zdrowotnych pacjenta. To podmioty prywatne uruchomiły konsultacje telemedyczne, wprowadziły elektroniczny system umawiania wizyt, stworzyły i rozwinęły elektroniczną dokumentację medyczną. Również model skoordynowanej opieki nad pacjentem ma swoje źródła właśnie w sektorze niepublicznym. Pacjent ma możliwość wyboru miejsca leczenia. Sektor prywatny pomaga zapewnić ciągłość świadczeń medycznych – od podstawowej opieki zdrowotnej do

woju i chętnie podzieli się swoimi doświadczeniami. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że to placówki niepubliczne wyznaczają dziś standardy w tym zakresie.

W ostatnich latach coraz więcej mówi się o telemedycynie. Jakie usługi już oferujecie w tym zakresie?

Telemedycyna to przyszłość opieki medycznej. Jej znaczenie rośnie, gdyż jesteśmy zmuszeni mierzyć się z problemem dostępności do specjalistów, niesprzyjającymi prognozami demograficznymi oraz rosnącymi kosztami medycznymi. Praktyka pokazuje, że narzędzia telemedyczne pomagają usprawniać opiekę i doskonalić jej ja-

kość. Jest przy tym wygodna dla pacjentów i personelu medycznego, bo daje możliwość realizacji usługi niezależnie od tego, gdzie w danym momencie się znajdują.

W Grupie LUX MED inwestujemy w telemedycynę również po to, by jak najlepiej rozpoznać potrzeby pacjenta jeszcze przed jego wizytą w placówce. Bez telemedycyny nie możemy mówić o rozwoju nowoczesnego modelu skoordynowanej opieki medycznej. Najpopularniejszą formą są dziś konsultacje telefoniczne, za pomocą połączenia wideo lub czatu. Pacjent może tą drogą m.in. przygotować się do badania lub skonsultować wyniki. Telemedycyna pozwala na zdalne monitorowanie stanu zdrowia, prowadzenie rehabilitacji, sporządzenie opisu badań diagnostycznych, opiekę nad starszym pacjentem, zamówienie leku. Dziewięciu naszych pacjentów na dziesięciu, którzy skorzystali z tej zdalnej formy kontaktu, deklaruje, że skorzysta z niej ponownie.

Dzisiaj sektor prywatny bez wątpienia odciąża sektor publiczny. To dzięki podmiotom niepublicznym możemy dziś w dużej mierze mówić o efektywności kosztowej placówek medycznych. Nie musimy jednak wyłącznie działać w trybie doraźnym, a korzyści ze współpracy może być znacznie więcej. Skala potrzeb zdrowotnych powinna nas skłonić do refleksji, czy nie należy wprowadzić zmian na poziomie systemowym.

To znaczy? Ubezpieczenia prywatne?

Powinniśmy uwzględnić większą współodpowiedzialność obywateli za zdrowie. Jednym z takich rozwiązań mogą być dodatkowe ubezpieczenia zdrowotne. Mają różne formy, a rozwiązania można wprowadzać stopniowo, obserwować efekty i nanosić ewentualne korekty. Istotna jest jednak ich skala. Gdyby np. medycynę pracy rozszerzyć o profilaktykę, to dużo łatwiej można by przygotować podłoże do tego typu systemowych rozwiązań. Wiele pracodawców już dzisiaj dba o zdrowie pracowników. Państwo powinno ich w tym wesprzeć.

Innym dobrym przykładem jest model partnerstwa publicznego-prywatnego w ochronie zdrowia. Z powodzeniem funkcjonuje to w innych krajach. Umożliwia nakładać na prywatnego świadczącego obowiązek zaspokojenia określonych potrzeb medycznych danej społeczności przy zagwarantowaniu

finansowania publicznego na ten cel. Inwestor przy tym ściśle przestrzega określonych warunków jakościowych i wydajnościowych, które są integralną częścią umowy. To gwarancja dla obywateli, że ich potrzeby zostaną zaspokojone i zrealizowane na odpowiednio wysokim poziomie. Dla państwa z kolei to przewidywalność budżetu i większa elastyczność działań. Obie strony wnoszą do systemu własne doświadczenia i umiejętności, co przekłada się na większą korzyść dla pacjentów.

Kolejnym przykładem jest outsourcing. Od dawna jest on stosowany w diagnostyce laboratoryjnej i obrazowej. Sektor prywatny dysponuje dziś odpowiednim sprzętem, ma wykwalifikowaną kadrę i technologię. Dzięki temu placówka publiczna, korzystająca z outsourcingu nie musi inwestować

Dla pacjenta forma własności jest bez znaczenia. Ważna jest jakość opieki i to przez ten pryzmat będzie on oceniał cały system ochrony zdrowia

swoich środków w sprzęt, gdyż zapewnią go podmioty prywatne.

Czy sektor prywatny powinien konkurować z publicznym?

To nie jest tak, że oba modele się wykluczają. Konkurencja jest bardzo dobra dla systemu, jeżeli w ślad za nią idą właściwie zdefiniowane regulacje. Model współpracy powinien opierać się na precyzyjnych wymaganiach, które regulator daje publicznemu i prywatnemu sektorowi, jednocześnie zapewniając właściwy poziom finansowania publicznego, jeśli wymagania są spełnione. W takim modelu to nie instytucje są w centrum uwagi, tylko pacjent.

Dla pacjenta forma własności jest bez znaczenia. Dla niego ważna jest jakość opieki i to przez ten pryzmat będzie on oceniał cały system. Konkurencja wzmacnia jakość, daje pacjentom wybór, zmniejsza marnotrawstwo i daje pole do dynamiczniejszego rozwoju innowacji. Efektywny regulator może zbudować dobre mechanizmy kontrolujące i regulujące rynek, które jednocześnie będą wspierać jego rozwój.

Rola sektora prywatnego nigdy nie została jasno zdefiniowana. Uważa pani, że sektor prywatny ma obecnie dobre warunki do rozwoju? Czy jest wykorzystywany przez państwo?

Nie docenia się wystarczająco dorobku ani roli, którą sektor prywatny może odegrać w systemie. A fakty są dziś takie, że naszego państwa nie stać na zabezpieczenie potrzeb zdrowotnych 38 mln obywateli. W interesie pacjenta jest stworzenie lepszych warunków do rozwoju rynku i lepsze wykorzystanie potencjału podmiotów niepublicznych. Do tego potrzeba sprawniejszych mechanizmów kontrolnych. W ostatnim czasie wydaje się, że jeszcze bardziej potrzeba właściwych regulacji, by nie marginalizować inwestycji prywatnych. Dlatego istotne jest, by kontynuować debatę społeczną na temat właściwego modelu odpowiedzialności poszczególnych uczestników systemu.

Sektor prywatny czuje odpowiedzialność za pacjenta? Nie jest tak, że jeśli jego leczenie stanie się zbyt drogie, to spadnie ono na system publiczny?

Za naszych pacjentów jesteśmy odpowiedzialni równie mocno jak sektor publiczny. Tutaj nie dopuszcza się kompromisów. Moim zdaniem cel mamy ten sam – zdrowy i zadowolony pacjent, przy jednocześnie potwierdzonej skuteczności leczenia. Wierzę w to, że jesteśmy w stanie budować system wspólnie, bez podziałów, ustalając przy tym reguły, które wszyscy będziemy akceptować. Działać dla dobra pacjenta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Anna Rulkiewicz – prezes Grupy LUX MED, wiceprezydent Pracodawców RP, prezes Pracodawców Medycyny Prywatnej, członek Rady Społecznej ogólnonarodowej debaty „Wspólnie dla zdrowia”.



Z wiceministrem zdrowia Marcinem Czechem
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Jakie leki dla polskich pacjentów

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno zaprezentował pan dokument „Polityka lekowa państwa”, który ma się stać dokumentem rządowym. Co dzięki niemu zyskamy?

MARCIN CZECH: Uporządkowanie kierunków działań rządu, a przede wszystkim Ministerstwa Zdrowia w kształtowaniu polityki lekowej, czyli działań nakierowanych na poprawę stanu zdrowotnego społeczeństwa w zakresie farmakoterapii, ale również profilaktyki, np. związanej ze szczepieniami. Z jednej strony ten dokument ma charakter strategiczny, z drugiej zaś wchodzi na poziom celów i metod ich realizacji, dzięki czemu jest bardzo konkretny. Wskazujemy kierunek działań. Później konieczne są zmiany legislacyjne i organizacyjne, żebyśmy za te środki, które mamy, kupowali jak najwięcej zdrowia dla polskich obywateli.

W „Polityce lekowej państwa” jest mowa np. o Wirtualnym Instytucie Biotechnologii. Co to ma być?

Toczą się osobne prace związane z powstaniem Wirtualnego Instytutu Biotechnologii (podobnie jak Agencji Badań Medycznych). W Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju premiera Mate-



WYDZIAŁ JOURNALISTYKI

usza Morawieckiego biotechnologia została wskazana jako jeden z kierunków, w jakich Polska mogłaby się rozwijać. Mamy silne podstawy, by prowadzić działania w obszarze biotechnologii, bardziej zaawansowane i skuteczne niż dotychczas. Mamy dobrze wykształconą kadrę naukowców w Polsce, a wielu Polaków pracuje też w USA i Europie Zachodniej, gdzie są liczącymi się naukowcami. Instytuty badawcze, choćby Narodowy Instytut Leków, Państwowy Zakład Higieny-Narodowy Instytut Zdrowia Publicznego, tego typu działalność mogłyby wspomóc. Są również partnerzy komercyjni, którzy chcą rozwijać się w sferze biotechnologii. Możemy więc oczekiwać, że Polska będzie w stanie wiele osiągnąć w tym zakresie.

Kiedy dokument zostanie uznany za rządowy?

Prace toczą się bardzo dynamicznie, jesteśmy już po pozytywnej rekomendacji Komitetu Społecznego Rady Ministrów, po prezentacji na Radzie Dialogu Społecznego. Został

dobrze przyjęty. Cieszę się też, że został poddany konsultacjom społecznym. Otrzymaliśmy ponad 200 uwag, które wpłyną pozytywnie na jego ostateczny kształt. Zwykle były to uwagi konstruktywne, choć niektóre wzajemnie się wykluczały, gdyż odzwierciedlały interesy różnych grup, często sprzeczne. Mamy też komentarze innych ministerstw. Dokument się zmienia, staramy się go jeszcze udoskonalić, także o recenzje WHO, które niedawno otrzymaliśmy.

Naszym celem byłoby jak najszybsze procedowanie, by „Polityka lekowa państwa” stała się dokumentem rządowym, jak to jest rekomendowane przez WHO.

Pojawiały się uwagi krytyczne: polskie firmy uważały, że RTR – Refundacyjny Tryb Rozwojowy – preferuje firmy zagraniczne.

Raczej uważały, że RTR jest zbyt ogólnie opisany i nie daje im wystarczających preferencji. Z kolei firmy zagraniczne uważają, że RTR jest niezgodny

Przedsiębiorczości i Technologii. Poza tym minister zdrowia nie powinien finansować proinnowacyjnego rozwoju państwa z refundacji leków. Dlatego na pewno nie będziemy wchodzić na większy stopień szczegółowości, jeśli chodzi o RTR.

Polskie firmy obawiały się też, że to one zapłacą koszt paybacku, gdyż firmy zachodnie, innowacyjne, nie są włączone w payback, ponieważ uczestniczą w instrumentach dzielenia ryzyka. To wydaje się niesprawiedliwe.

Firmy polskie mówią: „Dostarczamy leki generyczne, które mają niższe ceny, dlatego korzysta na nas cały system refundacyjny. Dzięki nam jest więcej pieniędzy na innowacje. Dlaczego więc mamy płacić payback?” Częściowo jest to słuszne, jednak payback był stworzony głównie po to, by ograniczać niekontrolowany marketing nastawiony na wzrost sprzedaży, również w przypadku leków odtwórczych. Dlatego objęcie

Refundacyjny Tryb Rozwojowy musi być tak skonstruowany, by był sprawiedliwy dla wszystkich firm, które są w Polsce, ponieważ obowiązuje nas prawo UE

z prawem UE. Wygląda więc na to, że ani jedna, ani druga strona nie jest zadowolona. Jednak RTR musi być tak skonstruowany, by był sprawiedliwy dla wszystkich firm, które są w Polsce, ponieważ obowiązuje nas prawo UE. Konieczne są takie rozwiązania, by wspomóc wszystkie firmy działające na terenie Polski, a ich interesy mogą być sprzeczne. Mówiąc wprost: firma, która ma w Polsce fabrykę, chciałaby, żeby to właśnie miało największą wagę w rozstrzygnięciu, kto jest przyjacielem polskiej gospodarki. Z kolei producent, który prowadzi w Polsce badania kliniczne trzeciej fazy, uważa, że to jest najważniejsze. W firmie zaś zatrudniającej dużo osób w Polsce sądzi się, że powinno się liczyć głównie zatrudnienie.

Uznaliśmy jednak, że tak naprawdę tego typu kryteria nie są sprawą ministra zdrowia, tylko polityki gospodarczej rządu. Dlatego pozostawiamy te kwestie Ministerstwu

paybackiem firm generycznych ma sens. Zastanawiamy się jednak, czy nie powinno to dotyczyć tylko leków sprzedawanych w aptekach. Firmy argumentują, że programy lekowe obejmujące innowacyjne terapie generują największe koszty, dlatego nie powinni za to płacić producenci generyków. To dobry argument. Z kolei firmy, które mają leki w programach lekowych, uważają, że skoro są instrumenty dzielenia ryzyka, to nie powinien ich już obejmować payback.

Nie chcą płacić drugi raz...

Tak, jednak nie wszystkie firmy mają zawarte instrumenty dzielenia ryzyka. Wydaje się, że te, które je zawarły, powinny być zwolnione z paybacku. Jednak im więcej szczegółów, tym większy problem. Bo czy np. powinna być zwolniona z paybacku firma, która zawarła niewielki instrument dzielenia ryzyka, polegający na upuście cenowym o 0,2 proc.? Wydaje się, że tego problemu nie będziemy mogli rozwiązać przy okazji polityki lekowej. Powinniśmy

■ na ten temat rozmawiać przy okazji nowelizacji ustawy refundacyjnej.

Liczymy jednak na to, że payback w ogóle nie zadziała dzięki temu, że będziemy mieć więcej pieniędzy na refundację.

Protestowały też środowiska chorych na AIDS i hemofilii przeciw włączaniu ich leków do refundacji. Dlaczego chciał pan to zmieniać? Polskie Stowarzyszenie Chorych na Hemofilię uważa, że to spowoduje wzrost wydatków państwa.

Nie wyobrażam sobie, że może to spowodować wzrost kosztów. Jeśli chodzi o HIV, to wiceminister Gadowski sprawdził, że w Polsce kupujemy w zasadzie tylko leki innowacyjne. Jeśli kupimy część generyków – tak jak w przypadku innych chorób – które są zwykle tańsze, to w jaki sposób zapłacimy więcej? Zwłaszcza jeśli poddamy je negocjacom komisji ekonomicznej. Dla pacjentów będzie lepiej, jeśli na leki popatrzy AOTMiT i stwierdzi, że np. jeden lek jest bardzo dobry, ale inny ma taki

Stowarzyszenia chorych na AIDS bardzo chwalią dotychczasowy program leczenia, chorzy nie chcieliby go stracić. Jeśli zaś chodzi o hemofilię, to poziom leczenia w Polsce znacznie odbiega od innych krajów...

Nie chcielibyśmy zmieniać programu leczenia, chcielibyśmy jednak, by do leków dla chorych na hemofilię podejść tak jak do innych leków.

Od ponad roku odpowiada pan za refundację. W tym czasie wiele nowych leków stało się dostępnych dla chorych.

Ten trend był już wcześniej, refundacja stawiała się coraz bogatsza, nie przypisuję tej zmiany mojemu byciu wiceministrem.

Zmieniło się bardzo dużo, jednak wielu rzeczy jeszcze brakuje. Wręcz wstydliwe wydaje się nierefundowanie leku dla małej grupy osób z chorobą Fabry'ego. To 70 osób, a terapia jest na świecie już od 17 lat. Kiedy będzie w Polsce?

W „Polityce lekowej państwa” jest zapisana propozycja innego podejścia

przychodzą rodzice, mówiąc, że zrefundowaliśmy leki w raku płuca, a przecież ci chorzy palili, więc po części nowotwór jest zawiniony. Ich dziecko natomiast ma chorobę genetyczną, choć oni robili wszystko, by było zdrowe. To trudne dylematy, nie powinien rozstrzygać ich tylko minister zdrowia. Społeczeństwo powinno wypowiedzieć się na ten temat.

Chorzy bardzo doskwiera też brak nowoczesnych leków w cukrzycy: są inkretyny, flosyny, nowe insuliny. Niestety, w Polsce nierefundowane, choć nie są już taką nowością...

Jednym z priorytetów – nie tylko polityki lekowej, lecz także ministra zdrowia – jest cukrzyca, na którą choruje w Polsce ok. 2,5 mln osób. Należy dostrzec nowe możliwości terapeutyczne, szczególnie te, które mają dowody na redukcję śmiertelności.

Rak płuca: bardzo poprawiło się jego leczenie. Do tego, by nie było w nim „białych plam”, brakuje jednej immunoterapii i pierwszej linii leczenia chorych z rearanzacją genu ALK. Czy są planowane zmiany w programie leczenia raka płuca?

O raku płuca będziemy jeszcze rozmawiać. Rzeczywiście, obecnie chorzy z niektórymi podtypami raka płuca mają dobrane leczenie, a z innymi podtypami – nie. Będziemy chcieli to zmienić, cały czas o to się staramy.

Wiele nowych leków pojawia się w hematologii, niestety nie wchodzi do refundacji – np. w leczeniu nawrotowego szpiczaka, przewlekłej białaczki limfocytowej. Będą zmiany?

Jeśli chodzi o szpiczaka, to w postępowaniach refundacyjnych znajduje się kilka leków. Rzecz w tym, że leczenie szpiczaka jest bardzo drogie, wydajemy na nie nieproporcjonalnie więcej niż w innych schorzeniach. Firmy wracają jednak do nas z nowymi ofertami. Zobaczymy, jakie one będą. Obiecałem chorym, stowarzyszeniom pacjentów, że na pewno o poprawie leczenia szpiczaka będziemy rozmawiać. Jeśli zaś chodzi o lek w odpornej przewlekłej białaczce limfocytowej, to problemem jest jego efektywność kosztowa. Chociaż być może znajdują się mechanizmy, które pozwolą go udostępnić. Hematoonkologia jest obszarem, na który będziemy bardzo zwracać uwagę. Jednak pieniędzy jest tyle, ile jest. Wszystkie decyzje traktujemy indywidualnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przychodzą rodzice, mówiąc, że zrefundowaliśmy leki w raku płuca, a przecież ci chorzy palili, więc po części nowotwór jest zawiniony. Ich dziecko natomiast ma chorobę genetyczną, choć oni robili wszystko, by było zdrowe. To trudne dylematy, nie powinien rozstrzygać ich tylko minister zdrowia. Społeczeństwo powinno wypowiedzieć się na ten temat

profil bezpieczeństwa, że powinniśmy jego stosowanie ograniczyć do leczenia drugiej linii. Nie sądzę, że spowodujemy w ten sposób gorszy dostęp do leczenia dla chorych.

Leki przeciw wirusowi HCV są w programach lekowych, ocenia je AOTMiT, podlegają negocjacjom, natomiast leki przeciw HIV – nie. Kiedy były tworzone programy pomocy chorym na AIDS, wydawało się, że wirus HIV może zniszczyć ludzką populację, trzeba więc było podejmować nadzwyczajne kroki, bo była to nadzwyczajna choroba. Dzisiaj tak nie jest. Chorzy umierają też na męskość wątroby spowodowaną HCV. Nie chcę ingerować w programy dla chorych na hemofilię czy AIDS, bo one działają dobrze, są jednak bardzo drogie. Bardzo często nosiciele HIV z polskim paszportem wracają z USA, by leczyć się w Polsce.

do chorób rzadkich i ultraradkich, opartego na wielokryterialnej analizie decyzyjnej. Chcemy brać pod uwagę różne elementy i wyznaczać ich wagi. Przykład: jeśli mamy lek bardzo drogi, to dostaje mało punktów, ale z kolei za to, że jest jedyny w danym schorzeniu, otrzyma ich więcej. Tych kryteriów oczywiście będzie więcej. Dzięki takiemu podejściu mielibyśmy obiektywne kryteria, na których podstawie można by objąć finansowaniem choroby rzadkie i ultraradkie. Czy jednak powinno ono być z tej samej puli środków w NFZ co finansowanie chorób często występujących? Niesłuchanie trudno podjąć taką decyzję. Potem któraś z gazet może zamieścić na pierwszej stronie informację, że wyrzucam publiczne pieniądze, które mógłbym przeznaczyć na coś innego. Jednakże

KATARZYNA PINKOSZ: Szpiczak to jeden z najczęstszych nowotworów krwi u dorosłych. Niektórzy chorzy od początku gorzej rokują. Dlaczego?

PROF. ANNA DMOŚZIŃSKA: Jest to spowodowane różnymi niekorzystnymi czynnikami rokowniczymi, wśród których najważniejsze są aberracje cytogenetyczne. Już w momencie podejrzenia szpiczaka u pacjenta powinno się sprawdzić, czy nie ma przynajmniej jednej z trzech najważniejszych zmian cytogenetycznych: delecji ramienia krótkiego chromosomu 17 (del17p), translokacji t(4;14) i translokacji t(14;16). Chorzy z aberracjami cytogenetycznymi gorzej odpowiadają na leczenie. Co prawda zwykle pojawia się u nich odpowiedź na leczenie pierwszej linii, ale szybciej rozwija się oporność – nawet na nowe leki, które obecnie są stosowane. W związku z tym chorzy mają krótszy czas całkowitego przeżycia.

Badania cytogenetyczne są już dziś wykonywane u wszystkich chorych?

W wielu krajach UE, w tym m.in. we Francji, Włoszech, w Czechach, tak. W Polsce nie wykonuje się ich rutynowo po pierwsze dlatego, że są kosztowne, po drugie – nie ma to wpływu na wybór leczenia w pierwszej linii. Niezależnie od tego, czy chory ma ryzyko standardowe, czy jest pacjentem dużego ryzyka cytogenetycznego, otrzymuje takie samo leczenie pierwszego rzutu. Natomiast w Stanach Zjednoczonych takie badania mają znaczenie terapeutyczne, ponieważ grupę chorych wysokiego ryzyka cytogenetycznego od początku leczy się inaczej, intensywniej, stosując drugą generację inhibitorów proteasomu w skojarzeniu z lenalidomidem i deksametazonem. Myślę, że wkrótce w Europie również będziemy stratyfikować sposób leczenia, w zależności od obecności zmian cytogenetycznych.



Z prof. Anną Dmożyńską, hematologiem, przewodniczącą Polskiej Grupy Szpiczakowej rozmawia Katarzyna Pinkosz

Wchodzimy w nową erę

Przy dzisiejszym dostępie do diagnostyki w Polsce jest możliwe zidentyfikowanie chorych wysokiego ryzyka?

Tak, tego typu badanie wykonuje się metodą immunoenzymatyczną ELISA. Jest to metoda dostępna w każdym większym ośrodku hematologicznym, w każdym dobrym laboratorium.

Dzięki badaniu i wykryciu zaburzeń cytogenetycznych będzie można lepiej spersonalizować terapię?

Zdecydowanie tak. W leczeniu szpiczaka można stosować wiele schematów terapeutycznych. Wybór najbardziej właściwego powinien zależeć od stanu zdrowia pacjenta, chorób współistniejących, a także właśnie od ryzyka cytogenetycznego. Oczywiście efekty zobaczymy, gdy będą wyniki badań porównujących bezpośrednio chorych dużego ryzyka, których leczymy dostępnym standardem, z tymi, którzy od początku dostawali intensywniejsze leczenie nowymi lekami.

To prawda, że w ostatnich latach mamy do czynienia z rewolucją w leczeniu nawrotowego szpiczaka?

Pomiędzy rokiem 2012 a 2015 zarekomendowano do terapii aż sześć nowych leków. Zwykle cieszyliśmy się, jeśli pojawił się jeden, a tu w krótkim czasie pojawiło się ich sześć i szybko uzyskały pozytywną rekomendację zarówno amerykańskiej agencji FDA (Food and Drug Administration), jak

i europejskiej EMA (European Medicines Agency). Wszystkie te leki mają podwójne rekomendacje. Niestety, w Polsce nie jest refundowany żaden. Mamy dane świadczące o tym, że wydłużają one czas przeżycia. Jeszcze 20 lat temu chory na szpiczaka żył średnio trzy lata. Dzisiaj jest to już siedem lat, a podgrupy chorych z lepszym rokowaniem przeżywają powyżej 10 lat.

Również w przypadku chorych z gorszym rokowaniem jest postęp?

Oczywiście, że tak. Wykazano, że przy zastosowaniu leków nowych generacji, np. II generacji inhibitorów proteasomu, występuje poprawa również w tej grupie niekorzystnej cytogenetycznie.

To ogromna nadzieja dla chorych.

Oczywiście. Ci pacjenci żyją. Otrzymują leczenie, obecnie powoduje ono u ponad 80 proc. chorych odpowiedź w leczeniu pierwszej linii. Po jakimś czasie następuje jednak nawrót choroby, wtedy podajemy drugą linię. Po niej też duża część chorych uzyskuje remisję. Niestety, następuje drugi nawrót, potem trzeci, czwarty. Stosując jednak nowe leki w różnych kombinacjach, można powodować, że pacjent żyje kilka, a nawet kilkanaście lat. Być może nawet przy niektórych zestawieniach leków będzie szansa na wyleczenie.

Schematy leczenia zwykle są wielolekowe, wiążą się z toksycznością.



Na co trzeba zwracać uwagę przy wyborze leku?

Nie wszystkie leki nadają się dla każdego pacjenta. Jeśli jest chory po zawale serca, ma niestabilną chorobę wieńcową, to nie powinien otrzymywać karfilzomibu. Przy neuropatii podanie bortezomibu może nasilić dolegliwości. Jeśli pacjent ma cukrzycę, to nie można podawać dużej dawki kortykosteroidów. Przy wyborze leczenia musimy uwzględniać współistniejące choroby.

Niektóre leki są podawane doustnie, inne dożylne, np. jeden z nowych leków z grupy inhibitorów proteasomu przyjmuje się w postaci tabletki raz w tygodniu. To bardzo komfortowe dla pacjenta. Oczywiście lek jest stosowany w skojarzeniu z dwoma innymi, ale akurat wszystkie trzy podaje się doustnie. Pacjent może mieć komfortową sytuację, że jest leczony ambulatoryjnie, bez potrzeby jechania często kilkadziesiąt kilometrów do ośrodka leczącego chorych na szpiczaka.

Od wielu lat zajmuje się pani leczeniem szpiczaka. To leczenie naprawdę zmieniło się rewolucyjnie?

Zdecydowanie tak. Co więcej, ono nadal się zmienia. Nie ulega wątpliwości, że wchodzimy w nową erę. Ekscytującym kierunkiem jest immunoterapia z wykorzystaniem limfocytów CAR-T.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Katarzyna Pinkosz

Co roku 30 tys. osób umiera w Polsce z powodu powikłań cukrzycy typu 2. Dzisiaj jest już możliwe takie leczenie, żeby chory nie miał powikłań i żył tak samo długo jak osoba bez cukrzycy

Grzechy, które codziennie popełniamy: zbyt mała aktywność fizyczna, nieprawidłowa dieta, a w konsekwencji nadwaga i otyłość powodują, że coraz więcej osób choruje na cukrzycę typu 2. Dzisiaj w Polsce to już ogromny problem: 3 mln osób ma cukrzycę (z czego blisko pół miliona nawet o tym nie wie), a dodatkowo 2 mln – stan przedcukrzycowy, w którym już pojawiają się zmiany w naczyniach krwionośnych. Szacuje się, że na świecie na cukrzycę cierpi już ponad 380 mln osób, dlatego WHO uznała ją za pierwszą niezakaźną pandemię.

Chociaż liczba chorych w Polsce rośnie, a wraz z tym rosną koszty leczenia, cukrzyca wciąż nie doczekała się priorytetowego traktowania. Nadal brakuje strategii zapobiegania chorobie, jej monitorowania i efektywnego leczenia. Diabetolodzy od lat postulują jak najszybsze wprowadzenie ogólnopolskiego kompleksowego programu zapobiegania, wczesnej diagnozy i leczenia cukrzycy. Opracowanie i wdrożenie takiego programu były głównym postulatem raportu NIK z marca 2018 r. – Program jest niezbędny, żeby Polacy mogli żyć dłużej i cieszyć się lepszym zdrowiem. Cukrzyca powoduje wiele powikłań, skraca życie o co najmniej kilka lat, głównie z powodu powikłań kardiologicznych – mówi prof. Maciej Małecki, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.

WYKRYĆ W ZARODKU

W odróżnieniu od cukrzycy typu 1, której nie sposób nie dostrzec już od pierwszych objawów (chudnięcie, zwiększone pragnienie i zwiększone wydalanie moczu, osłabienie, śpiączka cukrzycowa), cukrzyca typu 2 przez wiele lat rozwija się skrycie. To dlatego, że trzustka początkowo nadal produkuje insulinę, tylko w zbyt małej ilości w sto-

sunku do potrzeb organizmu. Jedynym sposobem wczesnego wykrycia choroby jest wykonywanie badań profilaktycznych sprawdzających poziom glukozy we krwi. Zaleca się wykonywanie ich co roku każdej osobie z grup ryzyka (a są w nich m.in. wszyscy po 45. roku życia, którzy mają nadwagę i otyłość albo prowadzą mało aktywny tryb życia).

Gdyby badania profilaktyczne były wykonywane rzeczywiście tak często, można by wykryć początki cukrzycy lub

nawet jeszcze stan przedcukrzycowy, który jest „ostatnim dzwonkiem”, by zapobiec chorobie. Zmiana diety, większa aktywność fizyczna, schudnięcie, przyjmowanie niektórych leków (np. metforminy) – wszystko to mogłoby spowodować, że choroba się nie rozwinie. Niestety, zwykle cukrzyca jest rozpoznawana, kiedy już pojawiają się powikłania. Bywa, że diagnoza jest stawiana dopiero, gdy chory trafi do szpitala z powodu udaru mózgu, zawału albo zaostrzenia nie-



Brakujący priorytet

wydolności serca. Wysoki poziom cukru uszkadza bowiem naczynia krwionośne, a w konsekwencji niszczy nerki, wzrok, zaburza czucie, prowadzi do tzw. zespołu stopy cukrzycowej, który grozi amputacją palców, stopy, nogi.

Najpoważniejsze są jednak zmiany w dużych naczyniach krwionośnych, których konsekwencje to zawał serca, udar mózgu. To właśnie z ich powodu cukrzyca skraca życie o sześć-siedem lat, a jeśli chory przeżył zawał, to nawet o 12 lat.



cukru, lecz także zmniejszają ryzyko zgonu sercowo-naczyniowego. Działają w różnych mechanizmach, ale obydwa dają tak istotny klinicznie efekt – mówi prof. Paweł Piątkiewicz, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych i Diabetologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Pojawienie się tych leków zmieniło cel leczenia cukrzycy. Dzisiaj jest nim już nie tylko obniżenie poziomu cukru we krwi, lecz także zapobieganie rozwojowi chorób serca i naczyń krwionośnych, do czego przyczynia się zarówno zbyt wysoki

nowotworu złośliwego. Tylko połowa chorych przeżywa pięć lat! Fiozyny zapobiegają niewydolności serca, zmniejszają śmiertelność z tego powodu i zmniejszają ryzyko hospitalizacji z powodu niewydolności serca – tłumaczy prof. Grzegorz Dzida z Kliniki Chorób Wewnętrznych UM w Lublinie.

REKOMENDACJE EKSPERTÓW

W cukrzycy typu 2 fiozyny są już zarejestrowane na każdym etapie leczenia. Można je stosować jako leki pierwszego rzutu, a także przez cały okres leczenia cukrzycy, nawet wtedy, gdy chory przyjmuje insulinę, wówczas zmniejszają na nią zapotrzebowanie. Ich stosowanie rozważa się też w cukrzycy typu 1 (oprócz insuliny). Fiozyny wydają się lekami tak bezpiecznymi, że być może w przyszłości będzie zalecane ich włączenie do terapii nawet w stanie przedcukrzycowym, by zapobiec rozwinięciu się choroby.

Amerykańskie Towarzystwo Diabetologiczne obecnie zaleca, by leczenie cukrzycy zaczynać od metforminy. Gdy przestanie ona wystarczać, lekarz przy wyborze kolejnego leku powinien zwrócić uwagę na to, czy pacjent ma chorobę sercowo-naczyniową. Jeśli tak, to powinien zaproponować lek, który zmniejsza ryzyko powikłań kardiologicznych. – W zaleceniach Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego na rok 2018 mówimy, że jeśli pacjent ma chorobę serca, np. jest po zawale, to trzeba rozważyć zastosowanie fiozyn – mówi prof. Dzida.

Niestety, w Polsce ograniczeniem są koszty terapii dla pacjenta – terapia wciąż nie jest refundowana. – Nowe leki przeciwcukrzycowe przynoszą nam długo oczekiwany powiew świeżości i dają nadzieję na normalne życie dla naszych pacjentów. Łyżką dziegciu jest jednak to, że w Polsce dostrzegalna jest jeszcze jedna, ale jakże istotna różnica między lekami „starej” a „nowej” generacji, a mianowicie cena – mówi prof. Piątkiewicz.

Nie każdego chorego stać, by zapłacić za leczenie z własnej kieszeni, zwłaszcza jeśli musi wykupić też leki z powodu innych chorób, na które cierpi. Stosuje więc preparaty starszego typu, które generują większe ryzyko powikłań. Za leczenie tych powikłań zapłacimy wszyscy. Czy to się naprawdę opłaca? Analizy ekspertów i doświadczenia innych krajów, w których nowe leki wchodzi do refundacji, pokazują, że opłaca się leczyć skutecznie i bezpiecznie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Mówiąc o priorytetach w leczeniu, zwykle wymienia się kardiologię i onkologię. Trzecim priorytetem powinna być diabetologia. Prawie 70 proc. chorych na cukrzycę umiera z powodu chorób układu krążenia

(hiperglikemia), jak i zbyt niski poziom cukru (hipoglikemia), który m.in. prowadzi do zwiększenia częstości pracy serca, arytmii, nasilenia procesów zapalnych. Leki inkretynowe obniżają poziom cukru we krwi tylko wtedy, gdy jest on zbyt wysoki. Powodują też zahamowanie wzrostu masy ciała lub nawet chudnięcie. Bardzo ciekawy jest też mechanizm działania fiozyn: zwiększają wydalanie glukozy z moczem, powodując cukromocz. Poziom cukru we krwi spada, a jednocześnie chory zaczyna chudnąć (wraz z cukrem traci też kalorie). Przełomem stało się badanie EMPA-REG OUTCOME, które wykazało, że stosowanie empagliflozyny zmniejsza ryzyko zgonu z przyczyn sercowo-naczyniowych u chorych z cukrzycą. – To pierwszy lek przeciwcukrzycowy, którego właściwości przedłużające życie chorych na cukrzycę typu 2 zostały udowodnione – potwierdza prof. Paweł Piątkiewicz.

W badaniu okazało się, że zastosowanie tego leku zmniejszyło liczbę zgonów z przyczyn sercowo-naczyniowych aż o 38 proc., a o 32 proc. z dowolnej przyczyny. Zmniejszyła się też o 35 proc. liczba hospitalizacji z powodu niewydolności serca. – Cukrzyca sprzyja niewydolności serca. A jeśli chory ma cukrzycę i niewydolność serca, to jego rokowanie jest podobne, a być może nawet gorsze niż w przypadku

Każdego roku z jej powodu (i powikłań) umiera w Polsce ponad 30 tys. osób.

NOWY CEL LECZENIA

Chociaż cukrzyca typu 2 nie można jeszcze wyleczyć, to jednak jest już możliwe takie jej leczenie, by chory nie miał powikłań i żył tak samo długo jak osoba zdrowa. – Żyjemy w bardzo ciekawych czasach, na naszych oczach dokonuje się przełom w leczeniu cukrzycy typu 2. Okazało się, że preparaty z dwóch grup – fiozyny (empagliflozyna) i analogi GLP-1 (liraglutyd) – nie tylko obniżają poziom

Aż 6 tys. diabetyków zmarło bezpośrednio z powodu cukrzycy (hiperglikemia i hipoglikemia), a 26 tys. – wskutek powikłań. Za 16 tys. zgonów (70 proc.) odpowiadały powikłania sercowo-naczyniowe, takie jak zawał serca, niewydolność serca oraz udar mózgu. Chorzy na cukrzycę, u których rozwinęły się powikłania, żyli aż o 12 lat krócej. Mamy do czynienia z nadumieralnością Polaków z powodu cukrzycy oraz ze zgonami, których można uniknąć. Do tego trzeba doliczyć kilkaset tysięcy osób, które z powodu cukrzycy i jej powikłań są hospitalizowane i u których rozwija się postępujące inwalidztwo. Zarówno do zgonów, jak i powikłań cukrzycy nie powinno dochodzić przy optymalnym leczeniu tej choroby oraz zmianie stylu życia.

KONSEKWENCJE FINANSOWE

Konsekwencje nieoptymalnego leczenia cukrzycy w Polsce mają poważny wymiar finansowy. Badania dr. Krzysztofa Chlebusa wykazały, że całkowite koszty społeczne cukrzycy w Polsce przekroczyły w 2013 r. 7 mld zł, a według prognoz do 2030 r. wzrosną dwukrotnie. Znaczącą ich część

Dobre leczenie się opłaca



dr n. med. Jakub Gierczyński, MBA,
ekspert systemu ochrony zdrowia

Cukrzyca to jedno z kluczowych wyzwań dla systemu ochrony zdrowia w Polsce. W 2016 r. z jej powodu zmarło w Polsce ok. 32 tys. osób: co 12. Polak

stanowiły koszty utraty produktywności: aż 30 proc. osób (ok. 8 tys.), które zmarły w 2016 r. w Polsce z powodu cukrzycy, było w wieku produkcyjnym. Koszty powikłań cukrzycy, głównie sercowo-naczyniowych, przekraczają 50 proc. łącznych kosztów związanych z chorobą.

Cukrzyca znalazła się na liście krajowych priorytetów zdrowotnych określonych rozporządzeniem ministra zdrowia

z 27 lutego 2018 r. jako jedna z głównych przyczyn zgonów Polaków (obok chorób sercowo-naczyniowych, nowotworów i chorób układu oddechowego). Według Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego w Polsce konieczne są konkretne działania rządu, zmierzające do poprawy dostępu chorych do leczenia zgodnego ze standardami klinicznymi. Zastosowanie optymalnego leczenia przyniesie wymier-



Z Alicją Milczarczyk, diabetologiem z Kliniki Chorób Wewnętrznych, Endokrynologii i Diabetologii CSK MSWiA w Warszawie

rozmawia Katarzyna Pinkosz

Te leki wydłużają życie

KATARZYNA PINKOSZ: Lekami, które są w Polsce refundowane, lekarz może skutecznie leczyć chorego na cukrzycę typu 2?

ALICJA MILCZARCYK: Cukrzyca typu 2 to bardzo podstępne schorzenie, które długo może

przebiegać bezobjawowo, a w tym czasie rozwijają się już powikłania, dotyczące układu sercowo-naczyniowego, nerek, oczu, nerwów, mózgu. Do rozwoju powikłań dochodzi również wówczas,



gdy cukrzyca jest źle leczona. Przewlekłe powikłania cukrzycy nie tylko pogarszają jakość życia, lecz także są przyczyną inwalidztwa i zgonów; skracają długość życia nawet o 12 lat. Dlatego

tak ważne są szybkie rozpoznanie i skuteczne leczenie. Dysponujemy już lekami, które nie tylko skutecznie obniżają stężenie glukozy, lecz także zmniejszają ryzyko zgonu u chorych z cukrzycą typu 2 mających powikłania sercowo-naczyniowe. Niestety, te nowe preparaty nie mogą być zastosowane u każdego chorego, który wymaga takiego leczenia, ponieważ nie są refundowane.

Jak powinno się leczyć cukrzycę A.D. 2018?

Rekomendacje dotyczące leczenia cukrzycy corocznie są aktualizowane i publikowane w postaci zaleceń przez Polskie Towarzystwo Diabetologiczne. Opierają się na wynikach dużych wiarygodnych badań. Pierwszym etapem leczenia cukrzycy typu 2 jest modyfikacja stylu życia oraz stosowanie metforminy, która z uwagi na

ną wartość, bo koszty leczenia powikłań (sercowo-naczyniowych, stopy cukrzycowej) są wielokrotnie wyższe niż leczenie cukrzycy zgodne ze standardami klinicznymi. Równolegle trzeba opracowywać oraz wdrażać kompleksowy i efektywny model opieki nad chorymi oparty na działaniach edukacyjnych, profilaktycznych, skutecznej diagnostyce i terapii oraz zaangażowaniu i współodpowiedzialności pacjenta za proces leczenia.

MODEL DWÓCH PRĘDKOŚCI

W Polsce model opieki nad chorymi na cukrzycę ma „dwie prędkości”. Chorzy z cukrzycą typu 1 są leczeni na poziomie zbliżonym do krajów europejskich. Inaczej wygląda sytuacja pacjentów z cukrzycą typu 2, którzy nie mają dostępu do leków zmniejszających ryzyko rozwoju powikłań sercowo-naczyniowych ani najnowszych generacji insuliny. Leki te, refundowane we wszystkich krajach UE, pozwalają na skuteczną terapię cukrzycy, a w efekcie zmniejszają liczbę zgonów oraz powikłań. Dzięki farmakoterapii zalecanej przez standardy kliniczne możliwe jest utrzymanie dobrej jakości życia i produktywności chorych na cukrzycę typu 2.

Celem na najbliższe lata powinno być zmniejszenie liczby zgonów oraz powikłań (głównie sercowo-naczyniowych). Mamy wykształconych lekarzy diabetologów, pielęgniarki diabetologiczne, lekarzy i pielęgniarki POZ wiedzących, którzy chorzy są zagrożeni rozwojem powikłań i przedwczesną śmiercią. Ta grupa powinna mieć refundowane leki hipoglikemizujące (analogi GLP-1 oraz inhibitory SGLT2) zmniejszające śmiertelność. Dane świadczące o tym, że w Polsce aż 6 tys.

zgonów rocznie jest spowodowanych hipoglikemią oraz hiperglikemią, uzasadniają również zasadność refundacji nowych, szybciej działających generacji analogów insuliny. Według najnowszego badania IQVIA farmakoterapia cukrzycy należy do najbardziej efektywnych kosztowo. Warto przypomnieć, że od 20 lat żadna nowa technologia lekowa (poza analogami insuliny) nie została zrefundowana w cukrzycy typu 2 w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Anna Śliwińska,
prezes ZG Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków

Osobom chorym na cukrzycę typu 2 brakuje w Polsce przede wszystkim refundacji nowoczesnych terapii. Leki, które w innych krajach Unii Europejskiej od dawna są standardem, w Polsce pozostają niedostępne dla wielu pacjentów, czyniąc z naszego kraju swego rodzaju skansen. Cukrzyca jest chorobą interdyscyplinarną, ponieważ z czasem wpływa na cały organizm, od stóp do oczu. W związku z tym chorzy odwiedzają licznych specjalistów, do których zwykle czeka się w długich kolejkach. A cukrzyca niestety nie poczeka, sieje nieodwracalne spustoszenie. Ponadto w cukrzycy, bardziej niż w większości innych chorób, efekty leczenia zależą w ogromnej mierze od samego pacjenta. Tylko pacjent wyedukowany jest w stanie prawidłowo zarządzać swoją chorobą. Niestety, w naszym kraju brakuje takiej edukacji, zwłaszcza w przypadku dorosłych pacjentów.

liczne korzyści metaboliczne zalecana jest na każdym etapie terapii.

W przypadku złej tolerancji metforminy albo przeciwwskazań do jej stosowania mamy do wyboru leki z innych grup: pochodne sulfonilomocznika, leki inkretynowe, flozyny oraz pioglitazon. Cukrzyca ma przebieg postępujący, dlatego gdy stosowana na danym etapie terapii przestaje być skuteczna, należy zintensyfikować leczenie. Kolejnym etapem po monoterapii jest terapia doustna skojarzona lekami o odmiennym mechanizmie działania, a następnie insulinoterapia. Ważne, by nie opóźniać rozpoczęcia ani intensyfikacji leczenia cukrzycy, aby stale mieć chorobę pod kontrolą i nie dopuszczać do rozwoju powikłań.

Nowe leki niosą dodatkowe korzyści?

Nowoczesne leczenie cukrzycy ma na celu nie tylko normalizację stężenia glukozy, lecz także redukcję śmiertelności z przyczyn sercowo-naczyniowych. Od 10 lat każdy nowy lek stosowany w terapii cukrzycy typu 2 musi zostać przebadany pod kątem ryzyka sercowo-naczyniowego. Niektóre z tych leków (z grupy agonistów receptora GLP-1, flozyn) mają udowodniony korzystny wpływ – redukują śmiertelność sercowo-naczyniową nawet o 22–38 proc. To bardzo dużo. PTD rekomenduje u pacjentów z chorobą układu sercowo-naczyniowego, szczególnie po zawale serca, rozważenie w pierwszej kolejności zastosowania preparatów o udowodnionym korzystnym wpływie na ryzyko sercowo-naczyniowe, powodujących zmniejszenie częstości zgonów z przyczyn kardiolo-

gicznych. Niestety, ogromną barierą niepozwalającą na wypełnianie tego zalecenia jest brak refundacji.

Te leki powinny przyjmować szczególnie osoby z chorobami układu sercowo-naczyniowego?

Tak. Skuteczność tych leków została udowodniona w grupach pacjentów z cukrzycą typu 2 z powikłaniami sercowo-naczyniowymi. Jest to grupa chorych łatwa do identyfikacji. Refundacja nie musi obejmować wszystkich chorych. Osoby krótko chorujące, bez powikłań, mogą być skutecznie leczone preparatami z innych grup. Chorzy, u których doszło już do rozwoju powikłań sercowo-naczyniowych, powinni przyjmować leki, które wydłużą im życie.

Pojawiają się też nowe rodzaje insuliny. Czy ich refundacja też byłaby ułatwieniem?

Pojawienie się nowych preparatów insuliny pozwoliło na poprawę kontroli glikemii oraz redukcję ryzyka hipoglikemii u wielu chorych z cukrzycą typu 1 i 2. Zawsze jednak pozostaje pewna grupa pacjentów, u których wyrównanie cukrzycy jest złe, mimo stosowanego leczenia. Chorzy ci są narażeni na rozwój przewlekłych powikłań. Nadzieję dają nowe terapie. Niedawno wprowadzono insulinę ultraszybko działającą, która błyskawicznie uwalnia się z miejsca podania, co pozwala na większą redukcję glikemii poposiłkowej w porównaniu ze stosowanym do tej pory szybko działającym analogiem insuliny ludzkiej. Ta nowa insulina nie jest w Polsce refundowana, co zdecydowanie ogranicza zastosowanie jej u chorych, u których dotychczasowe leczenie jest mało skuteczne.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Agnieszka Rybak

O kaszlu i duszności myślimy: przejdzie. Nie zawsze tak jest. Może to być sygnał, że w organizmie rozwija się POChP. Choroby nie da się wyleczyć, ale można sprawić, by nie odbierała uroków życia

POChP. Za tajemniczą zbitką kilku liter czai się dolegliwość dróg oddechowych: przewlekła obturacyjna choroba płuc. Cierpi na nią już ok. 2–2,5 mln Polaków. To czwarty sprawca zgonów na świecie.

Zanikają bowiem mięśnie wprawiające płuca w ruch. Przeciętna pojemność życiowa płuc to dla mężczyzny 4,5 litra dla kobiety 3,2 litra. Człowiek chory na POChP może mieć nawet jedną czwartą tej objętości. – Zdarza się, że nawet poniżej 20 proc. tych wartości, bo płuca mają duży zapas na wysiłek – tłumaczy prof. Mróz. – Ludzie mogą żyć, natomiast każda najdrobniejsza czynność powoduje u nich duszność. To ogromne zmniejszenie jakości życia – przekonuje.

Przewlekłe niedotlenienie może prowadzić do zaburzeń w ośrodkowym układzie nerwowym. „Pacjent jest stopniowo izolowany od społeczeństwa, a jednocześnie coraz bardziej zależny od bliskich, pogarsza się jego jakość życia, a także rokowania odnośnie do czasu przeżycia, co z kolei skutkuje pojawianiem się stanów lękowych i depresji” – piszą autorzy

W obu grupach leków są takie, które działają krótko – od czterech do sześciu godzin – i trzeba je podawać cztery razy na dobę. Preparaty nowszej generacji działają dłużej – do 12 godzin, można je przyjmować dwa razy dziennie. Są też ultradługodziałające, które wystarczy zażywać raz na dobę. Do niedawna sprawę komplikowało to, że każdy z leków był produkowany w oddzielnym inhalatorze. Jeśli do tego dochodziła konieczność stosowania przeciwwzapalnego steroidu, to cała aktywność życiowa ciężko chorego człowieka sprowadzała się mogła do siedzenia i wdychania leków – trzeba było to robić nawet 12 razy na dobę.

Prawdziwym wyzwaniem

Walka o oddech

Co więcej, przewiduje się, że w 2030 r. 42 proc. populacji umrze na tę właśnie chorobę, bo ludzkość się starzeje, zanieczyszczenie środowiska rośnie i wciąż jeszcze powszechny jest nałóg palenia papierosów.

O POChP mówi się: „choroba palaczy”. – Ale nie tylko – zapewnia prof. Robert Mróz, pulmonolog, kierownik II Kliniki Chorób Płuc i Gruźlicy Uniwersytetu Medycznego w Białymstoku. W grupie ryzyka są bowiem tzw. bierni palacze, zwłaszcza osoby przebywające w oparach dymu w dzieciństwie i pracujące w biurach, w których się paliło.

Zaczyna się banalnie – od kaszlu, odkrztuszania wydzieliny, uczucia duszności. Objawy są tak powszechne, że zwykliśmy je lekceważyć. Co najwyżej, jeśli bardzo dokuczają, to sięgamy po suplementy dostępne w aptekach. To dlatego zaledwie co piąty chory jest diagnozowany na wczesnym etapie choroby. Zaledwie co czwarty usłyszy właściwą diagnozę.

Duszność, która najpierw pojawia się przy wysiłku, z czasem uniemożliwia wykonywanie prostych czynności życiowych. Chory unika aktywności, ale to zamiast pomóc, jeszcze pogarsza sprawę.

raportu o POChP z Central and Eastern European Society of Technology Assessment in Health Care (CEESTAHC).

SIEDZIEĆ I WDYCHAĆ

POChP wyleczyć nie można. Współczesna medycyna oferuje jednak leki pozwalające na lepszą kontrolę choroby. Podstawą farmakoterapii są dwie grupy preparatów wziewnych, które rozszerzają oskrzela. Leki cholinolityczne blokują receptory muskarynowe, druga grupa pobudza receptory 2 beta-agonistyczne w oskrzelach. Obie grupy rozkurczają oskrzela, co pozwala doprowadzić do płuc większą objętość powietrza. Uczucie duszności ustępuje, wysiłek fizyczny jest lepiej tolerowany. Dzięki temu można odetchnąć.



niem było także nauczanie się odmiennych technik inhalacji – każdy inhalator wymagał bowiem od chorego innego sposobu wdychania leku (inhalowania). Sukces leczenia uzależniony był zaś od tego, czy pacjent potrafił tym wymogom sprostać, bo tylko wtedy zalecona dawka leków dostawała się do jego płuc. Przy takiej liczbie przyjmowanych leków pomyłki były codziennością, bo pacjent albo zapominał o przyjęciu leku, albo nie radził sobie z inhalatorem.

Wielkim sukcesem było pojawienie się inhalatorów łączących w sobie dwie grupy leków: najpierw krótkodziałających rozszerzających oskrzela, potem także tych o przedłużonym działaniu, w dodatku z obu grup. To dziś dominująca metoda terapii. Wystarczy, że chory zaaplikuje sobie jedną dawkę lub dwie na dobę z tego samego inhalatora. – Wiele badań pokazuje, że tzw. compliance, czyli stosowanie się chorego do zaleceń lekarza, znacznie się poprawia, gdy chory może rzadziej stosować leki. Chorzy, którzy używają mniejszej liczby inhalatorów, rzadziej popełniają błędy techniczne w czasie inhalacji. Stosowanie terapii skojarzonej istotnie poprawia parametry kliniczne u chorych na POChP. Stąd jest ona szeroko rekomendowana w najnowszych zaleceniach dotyczących postępowania z chorymi na POChP – podkreśla prof. Paweł Śliwiński, kierownik

II Kliniki Chorób Płuc, prezes Polskiego Towarzystwa Chorób Płuc.

Badania dowodzą, że leki działające dłużej są skuteczniejsze, lepiej poprawiają pojęm-

ność płuc i zwalczają uczucie duszności. Dlatego nowoczesne leczenie polega na stosowaniu leków długodziałających i ultradługodziałających.

Profesor Robert Mróz podkreśla, że polscy chorzy mają dostęp do dominujących w tej chwili leków tzw. LABA/LAMA. Trzy wiodące preparaty produkowane przez trzy różne firmy farmaceutyczne są refundowane w 70 proc. Dla pacjenta zakup dwóch najnowocześniejszych leków to w tej chwili wydatek ok. 60–70 zł miesięcznie. Leki te są wpisane na listę dla seniorów po 75. roku życia – chorzy dostają je za darmo.

WDECH ZE STEROIDEM

Nie u wszystkich jednak taka terapia jest wystarczająco skuteczna. Są pacjenci, którzy dodatkowo wymagają przewlekłego leczenia wziewnymi steroidami (wGSK). – W tej chwili podchodzimy do POChP jak do zespołu wielochorobowego. Wskazaniem do włączenia steroidów do procesu leczenia są zmiany zapalne z komórkami eozynofilowymi, współwystępowanie astmy i częste zaostrzenia choroby wymagające dodatkowo leczenia steroidem doustnym lub dożylnym. Niestety, po takich zaostrzeniach płuca nie wracają już do poprzedniego stanu – mówi prof. Mróz.

Dla takich pacjentów w Europie zarejestrowano dwie terapie potrójne (trzy leki podawane z jednego inhalatora). W jednym inhalatorze znajdują się dwa rodzaje leków rozkurczających oskrzela oraz wziewny steroid. Wysoką skuteczność tego typu leczenia pokazało badanie TRIBUTE, opublikowane w lutym numerze czasopisma „Lancet”. Przebadało grupę 1534 chorych na POChP z 187 ośrodków w 18 krajach. Okazało się, że stosowanie tej terapii zmniejsza o 15 proc. częstość umiarkowanych i ciężkich zaostrzeń choroby w porównaniu z terapią LABA/LABA (czyli niezawierającą wGSK). U chorych poddanych tej terapii zaobserwowano również poprawę parametrów wentylacyjnych płuc.

Trzeba zaznaczyć, że wziewne steroidy stosowane są obecnie w minimalnej dawce kontrolującej chorobę, co

zmniejsza ryzyko działań niepożądanych. Podawanie steroidów w małych dawkach i wytłumaczenie pacjentowi ich znaczenia w terapii, znacznie zmniejsza steroidofobię. Pacjent, który rozumie rolę steroidu, jest w stanie go zaakceptować w procesie leczenia.

Leki trójskładnikowe w jednym inhalatorze nie są w Polsce refundowane.

– Stosujemy tego typu połączenia od dawna, ale w różnych inhalatorach. Jest to w miarę wygodne, jednak gdyby takie zestawienie trzech leków w jednym inhalatorze było refundowane, na pewno byłoby to duże ułatwienie dla pacjentów – przyznaje prof. Mróz.

PRZYJŚĆ SOBIE Z POMOCĄ

Wiadomo, że leki na POChP trzeba brać dożywotnio lub – jak mówi prof. Mróz – do pojawienia się nowej generacji leków, które wyleczą chorobę.

Często pacjenci się skarżą, że nie stać ich na leczenie, gdyż wydają w aptece 200 zł miesięcznie. – Proszę wtedy, by pokazali, co zażywają. Okazuje się, że starszy pan czy pani wyrzuca na stół mnóstwo paraleków. 90 proc. to zazwyczaj produkty medyczne z reklam. Jeśli na to wydają tyle środków, to nic dziwnego, że na leki naprawdę potrzebne brakuje im pieniędzy. Poza tym leki na nadciśnienie czy przerost prostaty mają wiele zamienników. Warto się nad tym zastanowić, kiedy dominującą chorobą jest POChP – mówi prof. Mróz.

Przyjmowanie leków w POChP jest konieczne, jednak leczenie to nie wszystko. Warto pamiętać, że jedynym czynnikiem hamującym postęp choroby jest rzucenie palenia, a decyduje się na to zaledwie co drugi chory. Co jeszcze można dla siebie zrobić? Pierwsza rzecz to ruch – trening i ćwiczenia oddechowe. Ważna jest także dobrze dobrana dieta. Osoby ze skłonnością do otyłości powinny zadbać o prawidłową wagę, bo dla serca i płuc dodatkowe obciążenie kilogramami jest niepotrzebne, może przyczyniać się do pojawienia się bezdechu sennego. Z kolei osoby ze skłonnością do niedowagi powinny stosować dietę wysokoenergetyczną, by dać siłę mięśniom.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Chorzy, którzy używają mniejszej liczby inhalatorów, rzadziej popełniają błędy techniczne w czasie inhalacji. Stosowanie terapii skojarzonej poprawia parametry kliniczne u chorych na POChP



Z prof. Agnieszką Dobrowolską, kierownik Katedry i Kliniki Gastroenterologii, Dietetyki i Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu
rozmawia Barbara Jagas

Kolejny lek, kolejna szansa



BARBARA JAGAS: Jak wygląda życie pacjentów z chorobą Leśniowskiego-Crohna?

PROF. AGNIESZKA DOBROWOLSKA: Choroba dotyczy głównie dzieci i młodzieży, tylko w 5 proc. chorują osoby po 60. roku życia. U chorych pojawiają się: biegunki, bóle brzucha wywołane stanem zapalnym, odcinkowymi zwężeniami jelita, przetokami. Czasem konieczne są pilne zabiegi chirurgiczne. Na pewno problemem, zwłaszcza dla młodych ludzi, jest sytuacja, gdy w wyniku procesu zapalnego dochodzi do powstania przetok jelitowo-skrónych, jelitowo-pęcherzowych i jelitowo-jelitowych, które często powodują niedożywienie, ponieważ dochodzi do ograniczenia wchłaniania składników odżywczych. Dla młodych kobiet szczególnie dramatyczne są przetoki jelitowo-pochwowe.

Ważnym etapem w przebiegu leczenia jest szybkie wdrożenie terapii biologicznej, gdy zawiodła standardowa...

Leczenie biologiczne pozwala normalnie funkcjonować, jest szansa na wyrównanie niedoborów substancji odżywczych. Im wcześniej włączymy leczenie, tym lepsza możliwość kontrolowania choroby. Jeśli pozwalamy jej się rozwijać, wówczas może prowadzić do kalectwa. Intensywne leczenie od początku temu przeciwdziała.

Od jak dawna chorzy mają dostęp do leczenia biologicznego?

Od ponad 10 lat mamy umiarkowany dostęp do dwóch leków biologicznych. Umiarkowany, ponieważ są one w programach lekowych, które w przypadku jednego z nich oferują dwuletnią terapię, a w przypadku drugiego –

roczną. Naraża to chorych na nawrót choroby po zakończeniu leczenia. Co prawda jest możliwość ponownego włączenia do programu lekowego, jednak ten lek to przeciwciało i takim postępowaniem można wygenerować immunizację organizmu. Może on zacząć produkować tzw. przeciwciała przeciwko „przeciwciałom”, czyli przeciw zastosowanemu lewemu.

Obecnie mamy tylko wybór między tymi dwoma lekami.

Mają jednakowy mechanizm działania?

To leki z jednej grupy. Powinna być możliwość włączenia do terapii leku o innym mechanizmie działania, którego skuteczność jest już udowodniona.

Leki biologiczne powinny być długo stosowane. Czy są bezpieczne?

Ogólnie profil bezpieczeństwa leków biologicznych jest

dość dobry. Nie można ich stosować, kiedy istnieją aktywne zakażenia, ropnie, nadwrażliwość przy pierwszym podaniu, gruźlica. Przeciwwskazaniem do włączenia leczenia jest ciąża.

Jeśli zaś chodzi o nowe leki biologiczne, które nie mają działania uogólnionego (działają miejscowo w jelicie), to nawet przy ich wieloletnim stosowaniu profil bezpieczeństwa powinien być większy.

Co można zrobić dla polskich pacjentów?

Chcemy wprowadzić program opieki koordynowanej, z multidyscyplinarnym zespołem, w którego skład wejdą: gastroenterolog, chirurg, dietetyk, psycholog. Dzięki temu będzie można leczyć chorych indywidualnie. Program długofalowo zmniejszyłby absencję chorobową pacjentów i ograniczył tzw. prezentyzm – gdy chorzy chodzą do pracy, ale ich aktywność zawodowa jest ograniczona. Przewlekłe kalectwo to efekt braku dostępności do wysoko specjalistycznego leczenia. W ramach opieki koordynowanej chory miałby dostęp do kolejnego leku, który byłby kolejną dla niego szansą.

Choroba Leśniowskiego-Crohna jest w Polsce leczona zgodnie z międzynarodowymi wytycznymi?

Prawie tak, jednak jeszcze trochę brakuje. Nasi koledzy reumatolodzy w ramach programów terapeutycznych mają większy dostęp do leków biologicznych. My też byśmy chcieli większego wyboru leków i możliwości zakwalifikowania chorego do programu lekowego. Będąc w Anglii, a wcześniej w Belgii, obserwowałam system korzystania pacjentów z programów lekowych (leki biologiczne) i możliwość stosowania terapii przez tak długi okres, w jakim ona działa. Chcielibyśmy, aby nasi pacjenci też mieli na to szansę.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Leder z Łodzi,
wiceprezes stowarzyszenia Zapaleńcy

Od 14 lat choruję i dwa razy do roku jestem w szpitalu ze względu na zaostrzenia. Co to znaczy? Wyniszczające biegunki, które sprawiają, że człowiek nie może dojść do łóżka. Nieludzkie bóle, podczas których się mdleje i wymiotuje. Z pomocą przyszła mi terapia biologiczna, dzięki niej urodziłam dziecko. Nie każda terapia jest jednak dla każdego. Dlatego walczymy o nowe leki, takie, w przypadku których będzie mniej skutków ubocznych. Chciałabym odczarować swoją chorobę, także stomię. Dlatego zrobiłam sobie z nią... sesję zdjęciową!

BOŻENA STASIAK: Trzy lata temu stworzył pan pilotażowy program wielospecjalistycznych badań przesiewowych „Po pierwsze zdrowie”. Choć mamy różne programy badań przesiewowych, to ten okazał się szczególnie, co zresztą potwierdza jego tegoroczna, trzecia edycja. Na czym ta wyjątkowość polega?

PROF. HENRYK SKARŻYŃSKI:

To całkowicie niekomercyjny program, który powstał przy wsparciu Komitetu Nauk Klinicznych PAN, Rady Głównej Instytutów Badawczych oraz Polskiego Radia i Telewizji Polskiej, a jego realizatorami są Światowe Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz Instytut Narządów Zmysłów, liczne towarzystwa naukowe i zespoły eksperckie z różnych specjalności medycznych. Jego wyjątkowość polega przede wszystkim na tym, że jest to program wielospecjalistyczny, więc biorą w nim udział lekarze, eksperci wielu specjalności, np. inżynierowie kliniczni, a także osoby i instytucje o dużym doświadczeniu w organizacji badań przesiewowych, co znacznie zwiększa ich skuteczność.

Takim doświadczeniem może się pochwalić Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu...

Już w 1993 r. zaczęliśmy, jako pierwsi, badać noworodki pod kątem wczesnego wykrywania wad słuchu. Zrealizowaliśmy wiele programów dla kolejnych grup wiekowych, mamy ponad 25-letnie doświadczenie w różnych badaniach przesiewowych. Jednak program „Po pierwsze zdrowie” jest, jak już zaznaczyłem, czymś dużo więcej niż zwykłym badaniem przesiewowym. Chcemy poprzez niego wpłynąć na kreowanie prozdrowotnych postaw Polaków, umożliwić im dotarcie nie do jednego, ale do wielu specjalistów prawie jednocześnie, w jednym miejscu, przy możliwości



Z prof. hab. dr. n. med. dr. h.c. multi Henrykiem Skarżyńskim, twórcą i dyrektorem Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu oraz Światowego Centrum Słuchu

rozmawia Bożena Stasiak



Po pierwsze zdrowie

zastosowania specjalistycznej aparatury. Badania mają wskazać, czy dalsza diagnostyka, już w warunkach klinicznych, jest wskazana lub konieczna.

Kardiolog, dermatolog, stomatolog, hematolog, audiolog, foniatria, otolaryngolog... Tych specjalności jest dużo więcej. Biorąc udział w takich badaniach, można się przebadać „od stóp do głów”? Bez wyczekiwanie w kolejkach, bez stresu, bez żadnych kosztów?

Tak. I jest jeszcze jedna dodatkowa korzyść zdrowotna – mogą przychodzić całe rodziny, rodzice z dziećmi,

dziadkowie z wnukami, które potem będą przypominały, że dziadek ma zakładać aparat słuchowy, tata wykonać badania okresowe. Stawiamy na solidarność pokoleniową, która zaowocuje większą świadomością społeczną i dbaniem o swój największy kapitał – zdrowie. To szansa na wczesne rozpoznanie chorób na długo przed ich pojawieniem się, na zaradzenie im, a więc w rezultacie na poprawę zdrowia Polaków. To też wymierne korzyści dla całego systemu opieki zdrowotnej. Celem programu, poza umożliwieniem wyko-

nia określonych badań, jest zebranie konkretnych informacji i opracowanie raportów, tzw. twardych danych. Powinny one być uwzględniane w konstruowaniu polityki zdrowotnej państwa.

Od początku program zyskał poparcie ekspertów różnych specjalności. Marszałek Stanisław Karczewski podczas debaty poświęconej programowi stwierdził, że wykonuje pan bardzo dobrą robotę. W jakiej formie program będzie kontynuowany?

Będziemy nadal go rozwijać, korzystając z doświadczeń poprzednich edycji. Ten rok był kolejnym rokiem zdobywania doświadczeń. Wiele się nauczyliśmy, mamy wiedzę, jak to dalej rozwijać. Chcemy stworzyć Program Wielospecjalistycznego Całorocznego Wsparcia Zdrowia Polaków – Przeciwdziałania Chorobom Cywilizacyjnym. Zakładamy ściślejszą współpracę z lokalnymi władzami, samorządami, mediami, które z wyprzedzeniem będą informować o tym, gdzie i kiedy odbywają się badania. Czyli już nie przy okazji imprez „Lata z Radiem”, jak to było do tej pory, lecz także w czasie innych wydarzeń regionalnych czy lokalnych. Chcemy trafiać do Polaków poprzez sukcesy naszych pacjentów, pokazując na ich przykładach, jak wygląda współczesny postęp w nauce i medycynie.

Czy w tym unowocześnionym programie pojawi się najnowszy wynalazek Światowego Centrum Słuchu Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu – „kapsuła badań zmysłów”, nagrodzona w Japonii podczas niedawnych targów Japan Design?

Kapsuła jest pierwszym zintegrowanym urządzeniem do badania wielu zmysłów człowieka. Jej rola w badaniach przesiewowych może więc być w bliskiej przyszłości ogromna.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z dr hab. n. med. Stanisławą Bazan-Sochą
z Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego
rozmawia Katarzyna Pinkosz**

To wstyd dla Polski

KATARZYNA PINKOSZ: Z opracowanego w czerwcu raportu dotyczącego osób z chorobą Fabry'ego w Polsce wynika, że chorzy bywają diagnozowani nawet przez 20 lat, a przez ten czas mogą usłyszeć takie rozpoznania jak choroby tropikalne, reumatyczne, zaburzenia hormonalne, nerwicowe. Dlaczego?

DR HAB. N. MED. STANISŁAWA BAZAN-SOCHA: Problem opóźnionego rozpoznania choroby Fabry'ego dotyczy nie tylko Polski. To choroba ultraradka, występuje z częstością ok. 1 na 100 tys. mieszkańców. W Polsce dotychczas zostało zdiagnozowanych jedynie ok. 70 przypadków. W związku z tym nie należy się dziwić, iż lekarze nie znają ani nie podejrzewają tej choroby, tym bardziej że jej objawy są mało charakterystyczne. Mogą to być np. bóle nóg lub rąk (nasuwają raczej podejrzenie schorzeń reumatycznych), bóle brzucha, biegunki, utrata masy ciała czy wreszcie zaburzenia potliwości i zmiany skórne. Z czasem pojawiają się problemy poważniejsze, takie jak upośledzenie funkcji nerek, zaburzenia pracy serca czy objawy neurologiczne. Jest to choroba genetyczna, wrodzona, a jej objawy zaczynają się u chłopców w wieku ośmiu-dziewięciu lat, a u dziewczynek zwykle nieco później.

Co jest przyczyną choroby Fabry'ego?

Brak jednego z enzymów, co powoduje defekt metabolizmu pewnych złożonych substancji lipidowo-cukrowych. Tworzą się patologiczne związki, które gromadzą się we wszystkich komórkach organizmu. Z czasem dochodzi do przewlekłego włóknienia i ostatecznie uszkodzenia narządów wewnętrznych.

Choroba dotyka całego organizmu?

Dochodzi do zaburzenia pracy nerek, serca, mózgu. Nawet u młodej osoby może wystąpić udar mózgu, zawał serca lub rozwinie się schyłkowa niewydolność nerek. U kobiet objawy występują zwykle później i są mniej nasilone, choć są rodziny, w których kobiety chorują równie ciężko jak mężczyźni.

Druą informacją, która zaszokowała mnie w tym raporcie, to to, że terapia enzymatyczna istnieje na świecie już od 17 lat. Nie jest więc żadną nowością, a w Polsce wciąż nie jest refundowana.

Najlepszym sposobem leczenia choroby Fabry'ego jest podawanie brakującego enzymu – tzw. enzymatyczna terapia zastępcza. Leczenie to

jest co prawda bardzo kosztowne, ale należy pamiętać, że pacjentów tych nie ma w Polsce aż tak wielu. W związku z tym się wydaje, że zapewnienie im tej terapii w skali budżetu naszego kraju nie byłoby aż tak wielkim obciążeniem. W Polsce leczeni są tylko ci szczęśliwcy, którzy kiedyś uczestniczyli w badaniu klinicznym. Jest jednak wiele osób z tą chorobą, które bezwzględnie potrzebują takiego leczenia, a nie mają na nie szansy.

Co się dzieje, jeśli go nie otrzymują?

Choroba stopniowo doprowadza do nieodwracalnego uszkodzenia narządów życiowo ważnych. Niestety, obecnie nie mam możliwości wdrożenia u nikogo terapii enzymatycznej. Mogę zaproponować tylko leczenie objawowe.

Objawowe? To znaczy?

Leki przeciwbólowe, dializoterapię w przypadku schyłkowej niewydolności nerek, leki przeciwkrzepliwowe lub przeciwnadciężenne lub np. implantację kardiostymulatora. Niestety, leki, znośąc objawy, mogą też czasami nasilać niewydolność narządów wewnętrznych.



FOT. FOTOLIA

To tylko sześć lat różnicy

Miałem 11 lat, gdy postawiono diagnozę, że cierpię na chorobę Fabry'ego. Zdiagnozowano ją wtedy u mojego starszego brata, dlatego wszyscy zostaliśmy w rodzinie przebadani. Okazało się, że mają ją też: mama, ciocia, kuzynka. Brat wcześniej był w wielu szpitalach, lekarze stawiali mnóstwo błędnych diagnoz. Kilka miesięcy później zostaliśmy wraz z bratem włączeni do badania klinicznego.

Choroba i błędne leczenie przez 17 lat zniszczyły organizm mojego brata i doprowadziły go do wykluczenia społecznego. Dzisiaj ma 25 lat, problemy z chodzeniem, strasznie opuchnięte nogi, jest żywiony pozajelitowo, ma wyłonią stomię. Jest na rencie socjalnej, nie może normalnie funkcjonować.

Ja dostałem lek sześć lat wcześniej niż on. To tylko sześć lat i aż sześć. U mnie rozwój choroby został spowolniony. Dzięki temu, że otrzymałem leczenie wcześniej i nadal je dostaję, mogę normalnie się uczyć, kończę technikum, wybieram się na studia. Koledzy, którym nie powiedziałem, nie wiedzą, że jestem chory. Wszyscy myślą, że po prostu jestem szczupły, trochę szybciej się męczę. Nie widać u mnie od razu choroby i nie chciałbym być z nią utożsamiany. Chciałbym normalnie żyć.

Moja 14-letnia kuzynka ma już pierwsze objawy choroby: problemy z sercem, szybciej się męczy. Co najmniej od roku powinna mieć podawany enzym, jednak w Polsce nie jest to możliwe. Nie ma żadnego leczenia. **(Wojtek, 19 lat)**

Nie dość, że takim leczeniem nie likwiduje się przyczyny choroby, to jeszcze można choremu zaszkodzić... Co pani mówi pacjentom, którym nie może pani zaoferować skutecznej pomocy, bo w Polsce jest ona niedostępna?

Mówię, że na razie nie ma możliwości leczenia enzymatycznego, ale że to się najprawdopodobniej wkrótce zmieni. Przecież to leczenie jest już dostępne dla chorych niemal w całej Europie, a Polska jest jedynym krajem w UE, w którym pozostaje ono nierefundowane. W Niemczech czy we Francji, jeśli choroba jest rozpoznana i potwierdzona, chory od razu dostaje taką opcję terapeutyczną. Enzymatyczna terapia zastępcza powinna być kontynuowana przez całe życie. Przy stosunkowo niskich nakładach finansowych w zakresie ochrony zdrowia w Polsce zapewne nie może być ona dostępna dla wszystkich ze stwierdzoną chorobą. Powinni ją jednak otrzymać ci pacjenci, którzy odniosą z niej największą korzyść. A więc ci, którzy nie mają jeszcze poważnych powikłań narządowych. Dzięki leczeniu nie musi u nich dojść do dalszego uszkodzenia nerek, serca, mózgu. Bezwzględnie powinni być leczeni.

19-letni Wojtek, który dzięki badaniu klinicznemu jest leczony od 11. roku życia, może się uczyć i normalnie żyć. Jego brat, który rozpoczął leczenie w wieku 17 lat, jest osobą schorowaną, na rencie...

Im wcześniej rozpocznie się leczenie, tym lepiej. Nie dochodzi wówczas do nieodwracalnego uszkodzenia narządów.

Natomiast jeśli chory już ma poważnie uszkodzone nerki czy serce, to leczenie nie jest w stanie tego odwrócić. Lek więc należy przyjmować wcześniej, przy pierwszych objawach schorzenia. To wstyd dla Polski, że takiej terapii wciąż nie możemy zapewnić naszym pacjentom.

To młodzi ludzie, którzy dopiero wchodzą w życie...

...i dowiadują się, że choroba skróci im je nawet o kilkanaście lat, zniszczy narządy wewnętrzne, w tym nerki czy serce. To bardzo źle wpływa na ich psychikę, szczególnie gdy dowiadują się, że lek jest dostępny, ale niestety nie w Polsce. Mam kilka takich osób, mówię im, żeby przyjeżdżali, dowiadywali się, że na pewno coś się zmieni, a na razie sprawdzimy, czy choroba postępuje. Mogę wykonać badania, ale leczenie pozostaje poza moimi możliwościami.

Leczenie powikłań też jest bardzo drogie, a w dodatku nie da się ich cofnąć...

Oczywiście np. dializy to ogromny koszt, a jeszcze droższe jest przeszczepienie nerki czy serca. Należy wspomnieć, że w Polsce nie ma też ośrodków leczenia tych pacjentów. Takie centra powinny jak najszybciej powstać w naszym kraju, zapewniając kompleksową opiekę oraz diagnostykę tego schorzenia. Obecnie, chcąc potwierdzić chorobę, muszę wysłać materiał do laboratorium w Niemczech.

Enzymatyczna terapia zastępcza jest efektywna?

Jest wiele danych, że leczenie to jest skuteczne. Zatrzymuje postęp schorzenia, stabilizuje funkcję nerek, zmniejsza częstość występowania niekorzystnych zdarzeń sercowo-naczyniowych, a więc przedłuża życie. Zmniejszają się objawy ze strony przewodu pokarmowego, bóle neuropatyczne kończyn, istotnie poprawia się jakość życia. Leczenie powinno być jednak włączone wcześniej, a więc już przy pierwszych objawach schorzenia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr hab. n. med. Stanisława Bazan-Socha
– specjalista chorób wewnętrznych, alergologii i immunologii klinicznej, II Katedra Chorób Wewnętrznych Collegium Medicum UJ.

Program, który zmienił życie



Katarzyna Pinkosz

Wprowadzenie w 2008 r. profilaktyki w leczeniu dzieci chorych na hemofilię całkowicie zmieniło ich życie. Zamiast cierpieć z powodu bólu i wylewów, które niszczą stawy, dziecko może dziś jeździć na rowerze, biegać, normalnie funkcjonować



FOT. FOTOLIA

Zanim wprowadzono program profilaktyczny, dzieci chore na hemofilię były leczone „na żądanie” – dostawały leki (czynniki krzepnięcia), gdy pojawił się wylew (krwawienie wewnętrzne). W hemofilii krew wolniej krzepnie, dlatego wylew (najczęściej do stawów lub mięśni) może pojawić się z błahego powodu. Każdy oznacza bardzo silny ból. – Dzieci miały często wylewy, co powodowało artropatię hemofilową, czyli uszkodzenie stawów. Często leżały w szpitalu: 10 lat temu dwie sale w szpitalu były pełne dzieci z hemofilią, które miały przykurcze w stawach, zanik więzadeł, mięśni. Konieczna była rehabilitacja przez wiele tygodni – opowiada prof. Paweł Łaguna z Katedry i Kliniki Pediatrii Hematologii i Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Wiele dzieci miało tak często wylewy, że nie mogły chodzić do szkoły. Miały indywidualne nauczanie w domu. Te, które do szkoły chodziły, były zwolnione z zajęć WF. Musiały na siebie bardzo uważać.

LECZENIE NA MIARĘ WIEKU

To wszystko to już przeszłość. Od 10 lat wszystkie dzieci z ciężką postacią hemofilii A i B do 18. roku życia są leczone profilaktycznie: dostają koncentrat brakującego czynnika krzepnięcia dwa-trzy razy w tygodniu. To zasługa lekarzy, ale też Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię, które od lat stara się o poprawę leczenia. Dorośli chorzy chcieli zrobić wszystko, by dzieci nie cierpiały tak jak oni.

Profilaktyka chroni przed wylewami. Dzieci mogą robić niemal wszystko to, co

zdrowi rówieśnicy: chodzą do szkoły, biegają, jeżdżą na rowerze, nartach. – Gdy dorosną, mogą iść na studia, pracować, żyć tak jak zdrowe osoby. Państwu ta profilaktyka bardzo się opłaca, bo chorzy nie będą korzystać z rent ani potrzebować drogich operacji, pobytów w szpitalu, rehabilitacji – przekonuje prof. Łaguna.

Program profilaktyczny u dzieci to jeden z najlepszych programów kompleksowego leczenia w Polsce. Obejmuje nie tylko podawanie profilaktycznych leków, lecz także kompleksową opiekę w ośrodku zajmującym się leczeniem hemofilii. Dzieci są pod opieką lekarzy, którzy wiedzą, na czym polega ta rzadka choroba, jakie są jej możliwe powikłania. – Raz na pół roku dzieci zgłaszają się na wizyty, wykonujemy badania, korygujemy dawki leków – opowiada prof. Łaguna.

na. Rodzice w dziennikach elektronicznych zapisują, jak i kiedy stosują czynnik krzepnięcia, czy pojawiają się wylewy, a lekarz może te zapisy podejrzeć w gabinecie na komputerze. Bezpłatne leki i sprzęt są dowożone do domu.

Telemedycyna, kompleksowa opieka – można powiedzieć: wiek XXI.

JEDEN ZASTRZYK ZAMIAST TRZECH

Co można w funkcjonowaniu programu poprawić? Na tak zadane pytanie prof. Łaguna zdecydowanie odpowiada, że na pewno dostęp do nowych leków. Tych w leczeniu hemofilii w ostatnich latach pojawia się wyjątkowo dużo. – Wchodzą do terapii czynniki krzepnięcia o przedłużonym działaniu. W hemofilii A wystarczy podawać je dwa razy w tygodniu (zamiast trzy razy), a w hemofi-

lii B – raz na tydzień (zamiast dwa razy). W badaniach klinicznych są już czynniki, które wystarczy podawać raz w miesiącu – tłumaczy.

Dlaczego rzadsze podawanie leków jest tak ważne? Czynniki krzepnięcia podaje się dożylnie, a u małego dziecka trudno wkuć się w żyłę. U najmłodszych lekarze zwykle decydują się więc na założenie tzw. portu, czyli centralnego dostępu do żyły głównej. Czynniki krzepnięcia są wtedy wstrzykiwane do niej przez port. Z jednej strony to wygoda, z drugiej – ryzyko zakrzepicy albo zakażenia portu, które może grozić nawet zakażeniem całego organizmu.

U tych dzieci, które portu nie mają, za każdym razem trzeba wkuwać się do żyły. Wiąże się to ze stresem i z bólem. – Dziecko pyta cza-

sem: „Dlaczego to ja mam być klute?”. Czasem wręcz boi się przyznać, że ma wylew, tak nie chce zastrzyku. Nastolatki wręcz się buntują. Profilaktyka jest jednak konieczna, bo chłopcy, którzy ją przerywają, mają częste wylewy. A te niszczą – przekonuje prof. Łaguna.

Dzieci, ich rodzice, lekarze, doceniając zalety programu profilaktycznego, czekają na możliwość stosowania nowych leków: tych o przedłużonym działaniu, a także podawanych podskórnie, a w przyszłości być może także doustnie. Czekają także na terapię genową, która już znajduje się w badaniach klinicznych. – Mam nadzieję, że za 10, może za 20 lat hemofilia zostanie wyleczona. Jeśli chodzi o nowe terapie, to postęp jest coraz szybszy – zapewnia prof. Łaguna.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Jan Styczyński,
konsultant krajowy w dziedzinie onkologii i hematologii dziecięcej

Z koncentratami o przedłużonym działaniu wiąże się duże nadzieje na poprawę jakości życia chorych i większą skuteczność pro-

filaktyki. Dla dzieci, u których dostęp do żyły jest szczególnie trudny, rzadsze stosowanie preparatu ma ogromne znaczenie. Wprowadzenie czynników długo działających znacznie zmniejszyłoby liczbę wstrzyknięć dożylnych u dziecka, liczbę zakładanych cewników centralnych, powikłań związanych z cewnikami oraz poprawiłoby jakość życia. Czas półtrwania długo działającego czynnika IX jest niemal pięciokrotnie dłuższy niż dotychczas stosowanego koncentratu rekombinowanego czynnika IX. W przypadku długo działającego czynnika VIII czas ten jest 1,5-krotnie dłuższy. Odstępy między wstrzyknięciami u pacjenta z ciężką hemofilią A otrzymującego długoterminową profilaktykę można by wydłużyć do ok. trzech–pięciu dni, a u niektórych nawet do siedmiu dni. U dzieci z hemofilią B: do siedmiu–dziesięciu dni.

Grupą, dla której długo działające czynniki krzepnięcia byłyby najbardziej wskazane w profilaktyce, są dzieci biorące obecnie udział w badaniu klinicznym czynnika długo działającego, które jest prowadzone w kilku szpitalach klinicznych. Nie były one wcześniej leczone innymi czynnikami. Zakończenie badania klinicznego będzie dla nich oznaczać pogorszenie standardu leczenia. Leczenie ich za pomocą czynnika długo działającego wydaje się zatem najbardziej zasadne w pierwszej kolejności.



BOGDAN GAJEWSKI,
prezes Polskiego Stowarzyszenia Chorych na Hemofilię

Po co psuć coś, co dobrze funkcjonuje

W grudniu 2018 r. kończy się funkcjonowanie Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię na lata 2012–2018. Od stycznia powinna funkcjonować jego kolejna edycja. Ponad rok pracował nad nią ministerialny Zespół ds. Opracowania Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię, w którego skład wchodził lekarze-eksperti, pacjenci oraz urzędnicy Narodowego Centrum Krwi oraz

nie zostaną zarezerwowane w budżecie. Pod znakiem za-
pytania stanie nasze leczenie, ośrodki kompleksowej terapii, które miały powstać.

Obawiamy się też zapisu, który pojawił się w projekcie „Polityki lekowej państwa”, żeby leki w hemofili wchodziły do systemu refundacyjnego i programów lekowych. Teraz są kupowane w przetargach centralnych, co powoduje, że ich cena jest najniższa w Europie. Wejście do refundacji spowoduje powstanie programów lekowych i wzrost cen – jest więc niekorzystne dla budżetu państwa. Gdy leki będą droższe, państwo zakupi ich mniej, więc ucierpi nasze leczenie. Obecny system zapewnia szybki dostęp do leczenia na terenie całej Polski, niezależnie od tego, czy ośrodek jest realizatorem programu, czy nie. To ważne w sytuacjach nagłych, gdy trzeba szybko zastosować leczenie. Program to leczenie nie tylko hemofilii, lecz także rzadkich skaz krwotocznych, na które chorują często małe grupy pacjentów. Firmy nie wystąpią o refundację leku dla pięciu–sześciu osób. Zmiany mogą zagrozić naszemu zdrowiu i życiu.

Apelujemy do ministra o podpisanie Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię na kolejne lata oraz o rezygnację z pomysłu wprowadzania leków na hemofilię do refundacji. Po co psuć coś, co dobrze funkcjonuje? ©

Obecny system zapewnia szybki dostęp do leczenia na terenie całej Polski

Ministerstwa Zdrowia. Zespół zakończył prace w marcu tego roku. Program został przekazany AOTMiT, która oceniła go pozytywnie, choć zasugerowała pewne poprawki. Zostały one wprowadzone, program został znów przekazany do ministerstwa. Zadziwiło nas to, że ostatnio ministerstwo przekazało nam kolejnych 100 poprawek, z których większość była proceduralna i redakcyjna, niewiele zaś miało charakter merytoryczny. Program nadal nie został podpisany przez ministra zdrowia. Obawiamy się, że jeśli nie zostanie przyjęty na czas, to pieniądze na jego realizację

Z dr. Pawłem Salwą, urologiem, ekspertem urologii robotycznej rozmawia Monika Długosz

MONIKA DŁUGOSZ: Rak prostaty to dla mężczyzn wciąż wstydlivy nowotwór. Jak często występuje?

DR PAWEŁ SALWA: To ogromny problem. W krajach zachodnich, gdzie świadomość choroby jest duża, to obecnie najczęstsza złośliwa choroba nowotworowa u mężczyzn. Choruje na nią więcej mężczyzn niż na raka płuca czy jelita grubego. Mniejsza zapadalność w Polsce wynika z nied wykrywalności spowodowanej niewystarczającą liczbą urologów, brakiem badań przesiewowych i niższą świadomością zdrowotną społeczeństwa. Najpoważniejsze czynniki ryzyka to wiek oraz występowanie raka prostaty w rodzinie. Inne czynniki ryzyka, takie jak np. palenie papierosów i picie alkoholu, nie zostały udowodnione.

Skoro tak, to trudno zapobiec zachorowaniu?

Dlatego ważne jest wczesne wykrycie choroby. Niestety, w stadium, w którym możemy ją skutecznie leczyć, często nie ma jeszcze żadnych objawów. Mogą pojawić się problemy z oddawaniem moczu, ale najczęściej ich przyczyną są łagodne schorzenia prostaty. Jeśli jednak skłoni to pacjenta do pójścia do urologa, to jest szansa na wykrycie nowotworu. Często jednak nie ma żadnych objawów, a rak może się już rozwijać.

Jakie w takim razie wykonywać badania profilaktyczne?

Jednym ze sposobów wczesnego wykrycia nowotworu jest kontrolowanie we krwi poziomu PSA (antygen specyficzny dla prostaty), najlepiej już od 45. roku życia. Jeśli wynik jest nieprawidłowy, to wówczas warto skonsultować się z lekarzem, gdyż jest to wskazanie do wykonania biopsji prostaty. Niestety, zdarza się, że wynik PSA jest prawidłowy, mimo że rak się rozwija. Dlatego konieczne jest też badanie urologiczne pacjenta. Wielką pomocą dla mnie jest wykonanie rezonansu magnetycznego, który pozwala lepiej zdiagnozować nowotwór oraz drobiazgowo zaplanować operację, zindywidualizowaną dla konkretnego pacjenta i jego potrzeb.

Czym prostatektomia radykalna w asyście robota da Vinci, którą to metodą pan operuje, różni się od metod klasycznych?



Leczenie z asystą da Vinci

Przede wszystkim precyzją. Prostate ma kulisty kształt, jest wielkości kasztana. Znajduje się na dnie miednicy małej, otoczona z pięciu stron przez struktury, których każdy milimetr jest na wagę złota, jeśli chodzi o jakość życia po operacji. Od góry znajduje się ujście pęcherza moczowego, od dołu cewka moczowa (ich ochrona procentuje dobrym trzymaniem moczu po operacji), od lewej i prawej strony przylegają struktury naczyniowo-nerwowe odpowiedzialne za erekcję, a w tyle znajduje się odbytnica. Przy zastoso-

waniu klasycznych metod operacyjnych dostęp do prostaty jest bardzo utrudniony. Może to spowodować nieodwracalną utratę ważnej funkcjonalnie tkanki i, co za tym idzie, nieodwracalne skutki dla jakości życia.

Prawdziwą rewolucję w technikach operacyjnych przyniosło wprowadzenie robotów chirurgicznych da Vinci. Prostatektomia radykalna w asyście robota da Vinci to najnowocześniejsza i najbardziej zaawansowana technologicznie metoda leczenia raka prostaty. Dziesięciokrotne powiększenie obrazu, pełne

HD i trójwymiarowy obraz, czyli wielka precyzja szczegółów, narzędzia o długości 5 mm poruszające się w dowolnym kierunku zgodnie z intencją operatora (czyli moją) pozwalają skutecznie usunąć nowotwór. W ogromnym powiększeniu, widząc bardzo dokładnie tkankę, mogę milimetr po milimetrze usuwać nowotwór, a równocześnie zachowywać zdrową tkankę potrzebną do normalnego funkcjonowania po operacji.

Mężczyźni często nie chcą operacji, obawiając się, że pojawią się problemy z nietrzymaniem moczu i erekcją...

Po zastosowaniu konwencjonalnych metod operacyjnych – zarówno otwartej, jak i laparoskopowej – pacjenci rzeczywiście często mają problem z nietrzymaniem moczu. Ponad 90 proc. operowanych przeze mnie pacjentów nie ma takich problemów. Wynika to z precyzji. Po klasycznej operacji zachowanie erekcji jest trudne. Po operacji z asystą robota da Vinci, jeśli możliwa była operacja oszczędzająca, szansa na powrót erekcji jest bardzo duża.

Ważne jest jednak też doświadczenie osoby operującej...

Zalety operacji wynikają nie tylko z metody. Zawsze powtarzam, że robot da Vinci to tylko narzędzie. Jest znakomite, jednak trzeba umieć z niego korzystać. Dane naukowe potwierdzają, że operacja jest skuteczna tylko wtedy, gdy wykonuje ją doświadczony operator, który ma za sobą setki operacji. Powyżej 500 to poziom mistrzowski. Operowania robotem nie można nauczyć się podczas dwutygodniowego szkolenia. To proces, który trwa kilka lat. Jeśli operator wcześniej wykonał tylko niewielką liczbę operacji, to nie ma gwarancji, że efekt będzie dobry. To nie robot operuje, tylko człowiek.

A gdzie pan uczył się operować z asystą robota da Vinci?

W Niemczech, w największym w Europie centrum leczenia raka prostaty metodą robotyczną. Od 2013 r. jako operator da Vinci przeszedłem stopniowe, modelowe i certyfikowane szkolenie pod auspicjami Europejskiego Towarzystwa Urologii Robotycznej. Od tego czasu operuję. W 2016 r. zostałem ordynatorem tej kliniki. Do dziś zoperowałem metodą da Vinci ponad 800 pacjentów, dlatego moje doświadczenie jest ogromne.

Wcześniej otrzymałem wiele stypendiów i nagród w Polsce, m.in. premiera, ministra zdrowia, ministra edukacji narodowej, medal Polskiej Akademii Nauk. W klinice w Niemczech rozpoznano moje umiejętności, dlatego dość szybko zrobiłem w niej karierę.

Zdecydował się pan jednak wrócić do Polski. W klinice, którą właśnie pan tworzy, pacjent jest otoczony kompleksową i długoletnią opieką. Dlaczego to tak ważne?

Pacjent zwykle ma z nami pierwszy kontakt przez stronę www.urologiadavinci.pl, na której są podane informacje o leczeniu raka prostaty robotem da Vinci i numery telefonów do kierownika koordynacji operacji robotycznych, a prywatnie mojej żony Jagody Salwy, która jest też moim najważniejszym partnerem i wsparciem. W klinice w Niemczech opiekowała się pacjentami z Polski, pomagając im na poziomie językowym, organizacyjnym i emocjonalnym. Te doświadczenia przenosimy do Polski. Jagoda to osoba niezwykle empatyczna, za rękę i z uśmiechem prowadzi pacjenta przez meandry leczenia. Obydwoje sprawujemy opiekę nad pacjentem – ona organizacyjną, ja medyczną. U każdego pacjenta jestem co najmniej dwa razy dziennie, mam czas, by rozwiązać wszystkie jego wątpliwości. Większość pacjentów pozostaje z nami w kontakcie wiele lat po operacji. Bardzo cenią sobie możliwość kontaktu i konsultacji wykonywanych badań – po chorobie nowotworowej zawsze konieczne są kontrole.

Stworzył pan autorską modyfikację zabiegu z użyciem robota da Vinci – tzw. SMART (Salwa Modified Advanced Robotic Technique). Na czym ona polega?

Każdy element operacji został ulepszony. Wprowadziłem modyfikacje mające na celu poprawienie efektów operacji w kilku aspektach: usunięcie nowotworu, lepsze trzymanie moczu, zachowanie struktur odpowiedzialnych za erekcję, zmniejszenie ryzyka komplikacji. Metoda jest chroniona przez Urząd Patentowy RP. Jej wyniki zaprezentuję podczas odbywającego się we wrześniu w Marsylii Kongresu Europejskiego Towarzystwa Urologii Robotycznej, gdzie będę prelegentem.

Czy każdy pacjent, u którego konieczne jest wykonanie prostatektomii radykalnej, może być operowany w ten nowatorski sposób?

Zespół **Urologiadavinci.pl** zajmuje się organizacją wszystkich aspektów nowoczesnej diagnostyki i leczenia prostaty w Polsce. Doktor Paweł Salwa, do którego z całej Polski przyjeżdżają pacjenci z trudnymi przypadkami, stworzył autorską modyfikację zabiegu z użyciem robota da Vinci. Więcej informacji o metodzie da Vinci na stronie: www.urologiadavinci.pl.

Tak. Jeśli jego stan zdrowia pozwala na przeprowadzenie operacji klasycznej, to możliwa jest również operacja da Vinci. Bardzo często przeprowadzam operacje u pacjentów, których w Polsce nie chciano zoperować. Jeden z moich pacjentów miał od dwóch lat zdiagnozowany bardzo agresywny rak prostaty, który naciekał na okoliczne narządy, m.in. na pęcherz, odbytnicę. Otrzymałem leczenie paliatywne. Podjąłem się operacji, podczas której udało mi się usunąć nowotwór w całości. Pacjent jest zadowolony z efektu, czuje się bardzo dobrze. Inny pacjent miał przerzuty do węzłów i jemu również mówiono, że operacja nie jest możliwa. Jak widać, metoda nie ma ograniczeń, jeśli tylko potrafi się ją stosować.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



dr Paweł Salwa – urolog, operator da Vinci, ordynator największej kliniki urologii robotycznej w Europie; z użyciem robota da Vinci zoperował ponad 800 pacjentów. Jest m.in. członkiem Europejskiego Stowarzyszenia Urologii i American College of Radiology oraz autorem publikacji naukowych w prestiżowych czasopiśmie amerykańskich i europejskich.



DR MAŁGORZATA
GAŁĄZKA-SOBOTKA,
dyrektor Centrum
Kształcenia
Poddyplomowego
i Instytutu
Zarządzania
w Ochronie Zdrowia
Uczelni Łazarskiego

Poczujmy się współnikami

Choroba zdiagnozowana, ale nieleczona przynosi katastrofalne skutki. Podobną analogię odnajdujemy w polskim sektorze ochrony zdrowia. Jego dolegliwości są doskonale rozpoznane. Problemem jest ciągłe „przerywanie terapii” lub jej niepodjęcie

Na brak dostępu do świadczeń, długie kolejki i brak specjalistów najpierw odpowiadamy szerokim otwieraniem rynku świadczeń i rozszerzaniem uprawnień, a potem ich administracyjnym ograniczaniem. Na brak wiedzy o systemie reagujemy tworzeniem rejestrów i rozszerzaniem sprawozdawczości, aby za chwilę zwalniać podmioty w POZ z konieczności szczegółowego raportowania świadczeń. Paradoxem jest to, że ogrom informacji przesyłanych do różnych instytucji w niewielkim stopniu jest wykorzystywany przy podejmowaniu decyzji.

Źródłem zachowań uczestników systemu są wartości i założenia, których twórcą i strażnikiem jest w tym przypadku regulator.

stałym narzędziem generowania zmian w polskim systemie. Każdy ciągnie w swoją stronę, rozrywając absolutnie zbyt krótką kołdrę środków przeznaczanych na ochronę zdrowia. W tym ciągłym chaosie znajduje się pacjent, którego – pomimo że w ostatnich 10 latach przychody ze składek się podwoiły – obiektywna i subiektywna satysfakcja zasadniczo się nie zmieniła.

Jak długo damy radę utrzymać taki stan? Jak wyjść z impasu walki o indywidualne interesy poszczególnych grup i zacząć budować system wspólnych wartości i wspólnych celów?

Za nami pierwsza z konferencji w ramach ogólnopolskiej debaty „Wspólnie dla zdrowia”, do której zaprosił nas wszystkich minister Łukasz Szumowski.

obowiązk. Obejmuje to zwłaszcza powinność dbania o zdrowie, co wyraża się np. w aktywnej postawie wobec profilaktycznych badań czy szczepień.

Zgodnie przyjęto, że system musi zbudować mechanizmy profesjonalnego i zinstytucjonalizowanego pomiaru efektywności. Działania systemowe muszą być nastawione na osiąganie konkretnych celów: zwiększenie działań nakierowanych na profilaktykę i prewencję chorób, skuteczne leczenie, ograniczenie nierówności w zdrowiu z powodu wysokości dochodów, dostępu do informacji, miejsca zamieszkania, integrację opieki i efektywną organizację. Mogłoby się wydawać, że to nic nowego, od lat słyszymy podobne postulaty. Prawdą jest bowiem, że w zdrowiu małe jest ryzyko wyboru niewłaściwych celów; znacznie więcej problemów rodzi zarządzanie nimi i ich egzekwowanie.

Pprzed nami lepszy czas. Po latach starań politycy podjęli decyzję o zwiększeniu nakładów na ochronę zdrowia do 6 proc. PKB w perspektywie 2024 r. To szansa i zobowiązanie, aby racjonalnie wykorzystać te środki, przedstawiając system na wzrost jakościowy, a nie – tak jak dotychczas – ilościowy. Kolejne reformy, które nie wskazują, w jakich obszarach i na jakim poziomie wzrośnie wartość zdrowotna, nie zasługują na uwagę. Dyskusja o poziomie, źródłach finansowania i alokacji zasobów odnosić się musi do wyników zdrowotnych, które chcemy osiągać jako społeczeństwo i państwo. O konkretnych rozwiązaniach rozmawiać będziemy podczas drugiej konferencji „Wspólnie dla zdrowia” w Krynicy. Poczujmy się w końcu współnikami tego interesu, a nie konkurentami! ©

Każdy ciągnie w swoją stronę, rozrywając absolutnie zbyt krótką kołdrę środków przeznaczanych na ochronę zdrowia. W tym ciągłym chaosie znajduje się pacjent

To on, podtrzymując od lat kulturę dominacji, buduje system, w którym wygrywa największy i najsilniejszy. W konsekwencji od lat rywalizują lekarze z pielęgniarkami, pielęgniarki z ratownikami, personel biały z szarym, uczestnicząc jednocześnie w walce między szpitalami i lecznictwem otwartym, klinikami i szpitalami powiatowymi, profilaktyką i medycyną naprawczą. Wygranie pojedynczych bitew kończy się wyrównaniem pewnych przywilejów, np. w postaci podwyżek dla określonej grupy. Strategia podszczypywania regulatora okazuje się na tyle skuteczna, że protesty kolejnych grup interesów stały się

13 czerwca eksperci, reprezentujący różne segmenty sektora ochrony zdrowia, a także ekonomiści, prawnicy i konstytucjoniści dyskutowali o pryncypia systemu. Przywołano konstytucyjne zasady równości i solidaryzmu, wskazując na potrzebę ich interpretacji, aby mogły być realnie stosowane.

W kontekście dyskusji o gwarancji równego dostępu i solidaryzmu nie można jednak zapomnieć, że po pierwsze równy dostęp nie powinien być interpretowany jako bezpłatny dostęp do świadczeń opieki zdrowotnej (zresztą już dziś współpłacimy np. za leki), a po drugie prawo do ochrony zdrowia winny towarzyszyć

42 000 000

ODSŁON SERWISÓW INTERNETOWYCH

4 500 000

UŻYTKOWNIKÓW

SERWISÓW INTERNETOWYCH

WPROST.PL, DORZECZY.PL, SUPERHISTORIA.PL,
FILM.COM.PL

520 000

OBSERWUJĄCYCH NA TWITTERZE

640 000

ODBIORCÓW NA FACEBOOKU

130 000

CZYTELNIKÓW

Drukowanych i cyfrowych wydań tygodników
„WPROST” i „DO RZECZY”

3500

BEZPOŚREDNICH UCZESTNIKÓW

Wydarzeń organizowanych pod marką
„WPROST” lub „DO RZECZY”



**PMPG
POLSKIE
MEDIA SA**

**BIURO REKLAMY PMPG #POLSKIEMEDIA
NAPISZ DO NAS: REKLAMA@PMPG.PL**

**razem
ścigamy się
z cukrzycą**



"Razem ścigamy się z cukrzycą" to ogólnopolska kampania społeczno-edukacyjna na temat profilaktyki, skutecznego leczenia, edukacji i roli aktywności fizycznej w kontroli cukrzycy.

www.scigamysiezcukrzyca.pl

**Zapraszamy na bezpłatne badania poziomu
cukru we krwi na stoisko kampanii**

„Razem ścigamy się z cukrzycą!”

Badania odbywać się będą w trakcie XXVIII
Forum Ekonomicznego od 4 do 6 września 2018 r.